



OLA TRZECIECKA
**JAMNIK
Z KLUSKAMI**

Komedia omyłek, która dowodzi, że na pozorach
nie można budować przyszłości.

Prószyński i S-ka

OLA TRZECIECKA
JAMNIK
Z KLUSKAMI

Prószyński i S-ka

Projekt okładki
Luiza Kosmólska

Zdjęcie na okładce
TAGSTOCK1/iStockphoto.com

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska
Konrad Nowacki

Redakcja
Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta
Sylwia Kozak-Śmiech
Bronisława Dziejcz-Wesołowska

ISBN 978- 83-7961-847-7

Warszawa 2014

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszyński.pl

Mojemu mężowi, bez którego wsparcia ta książka by nie powstała

2013

1.

Pasiaste spodnie, które Anka wydobyla spod łóżka, były oblepione kłębami kurzu. Nienawidziła tej pizamy. Kiedy Adaś założył ją po raz pierwszy, obudziła się w środku nocy z krzykiem, bo przyśnił się jej obóz koncentracyjny.

Jej mąż najwyraźniej robił postępy. Jeszcze rok temu trzymał pod łóżkiem tylko brudne skarpetki i stare gazety, teraz upychał w ulubionym schowku wszystko, co wpadło mu w ręce. Była pewna, że nabrał tego nawyku, mieszkając z mamusią, która pełzała wokół niego na kolanach, w poczuciu świętej misji usuwając wszelkie ślady niechlujstwa ukochanego jedynaka.

Anka doszła do wniosku, że przyjdzie dzień, kiedy Adaś zaknebluje ją i wepchnie pod małżeńskie łóżo. Powinna zastanowić się zawczasu, czy ma ochotę spędzić resztę życia między zeszlotygodniowym egzemplarzem „Gazety Wyborczej” i przepoconym podkoszulkiem. Jeżeli nie okaże stosownego entuzjazmu, Adam wezwie na pomoc swoją matkę i razem wbiją jej do głowy, że nie zasłużyła na nic lepszego, skoro pozwoliła, żeby pod małżeńskim łóżem załęgły się koty kurzu. Pani Klusek święcie wierzyła, że kobieta, która nie myje podłogi pod meblami rano, w południe i wieczorem, zasługuje na sąd wojenny i natychmiastowe rozstrzelanie. Jej największym życiowym błędem była zgoda na związek wychuchanego synka z niereformowalną fleją.

Westchnęła z rozkoszy, przypominając sobie mamę Klusek przywaloną wersalką w kawalerce Magdy. Pod zdezelowanym meblem było wyjątkowo mało miejsca i niewiele brakowało, żeby wyjątkowo obszerna mamusia Adama pozostała tam na zawsze, uwięziona jak King z *W pustyni i w puszczy*. Świat nic by na tym nie stracił, a życie Anki stałoby się znacznie prostsze.

– Pomyśl tylko, Zaworku, jak to by było pięknie... – powiedziała do miniaturowego jamnika, który dzielnie towarzyszył jej w ekspedycji pod łóżko. – Mama Klusek przywalona wersalką byłaby zupełnie niegroźna. Dla pewności można by ją jeszcze zakneblować.

Pies pomachał ogonem, żeby wyrazić swoje poparcie. Był równomiernie oklejony kurzem,

a z ucha zwiślał mu papierek po czekoladowym batonie. Anka odkleiła go, obejrzała starannie i położyła obok pasiastych spodni. Sterta łupów rosła.

– Nie dziw się, Zaworku – pouczyła zakurzonego jamnika, który ponownie zarekwirował papierek i metodycznie obliżywał go z resztek lepkich słodkości. – Czekolada zastępuje seks, a twój pan nie jest ostatnio w formie.

*Ten słoń nazywa się Bombi,
ma trąbę, lecz na niej nie trąbi.*

Zaworek westchnął ze współczuciem i zanurkował pod łóżkiem w poszukiwaniu kolejnych smakowitości. Anka nie wątpiła, że i ta wyprawa zakończy się sukcesem. Jeżeli Adaś pożerał czekoladę tak często, jak normalni ludzie uprawiają seks, pies na pewno nie zdechnie z głodu.

Efekt jego działalności przerósł wszelkie oczekiwania. Pudełko, które wyciągnął spod łóżka, było dużo większe od największego batona.

– Znalazłeś całą bombonierkę? – ucieszyła się Anka i sięgnęła po zdobycz.

Zaworek spojrział na nią z wyrzutem i ostentacyjnie udał się do eleganckiej wiklinowej budy.

– Obraziłeś się? – spytała.

Nie zareagował.

Wzruszyła ramionami i zajęła się tajemniczym pudełkiem. Odwiązała zaślinioną różową kołardę i w poszukiwaniu smakółków rozgarnęła warstwy cienkiej różowej bibuły.

– Nie do wiary... – jęknęła. – Zaworku, chodź tu natychmiast i zobacz.

Jamnik wyłazł z budy i posłusznie wlepił wielkie brązowe oczy w różowe pudełko.

Anka nieufnie oglądała jego zawartość. Adam jeszcze nigdy nie kupił jej bielizny, jeśli nie liczyć pary bawełnianych majtek w rozmiarze XXL, które przez pomyłkę wrzucił do koszyka w hipermarkiecie. Był święcie przekonany, że schludny rulonik okaże się po rozwinięciu parą białych męskich skarpetek, a stanął oko w oko z miniaturowym namiotem o zaskakującej liczbie otworów wejściowych. Wezwana na pomoc Anka zidentyfikowała przedziwne zjawisko jako damską bieliznę i wykazała się rażącą niewdzięcznością, odmawiając przyjęcia nieoczekiwanego prezentu. Kiedy zasugerowała, że fikuśne pantalonek jak ulał pasowałyby na jego matkę, Adam obraził się śmiertelnie i ignorował ją przez trzy dni. Wielki zadek mamy Klusek stanowił dla jej syna tabu, którego za żadne skarby nie pozwoliłby sprofanować.

Przykazanie pierwsze: nie będziesz kpiła z teściowej swojej.

Widocznie Adaś dobrze zapamiętał smutną lekcję, bo zawartości pudełka nie można było pomylić z żadnym sprzętem turystycznym. Delikatnie uniosła do góry małe majteczki. Koronka w cielistym kolorze wyglądała jak dzieło leniwego pająka, który zdechł w połowie pracy. Anka zastanawiała się, jakim cudem w ogóle widać ją na ciele. Pewnie nie widać, pomyślała, i o to chodzi. Trzeba to sprawdzić. Odłożyła pudełko na łóżko i zaczęła rozpinać spodnie. Nie, najpierw obejrzy resztę. Wyjęła z kartonu cieniutki staniczek. Coś podobnego! W przejrzyste miseczki bez trudu zmieściłyby się dwie piłki lekarskie. Widocznie Adaś widzi w niej więcej, niż przypuszczała. W najbardziej dosłownym znaczeniu tych słów. Żeby zrealizować jego fantazje, musiałaby założyć sobie na klatce piersiowej hodowlę dyń olbrzymów. Wciągnęła jedną z miseczek na głowę i stwierdziła, że pasuje idealnie.

– Popatrz tylko, Zaworku. – Zamachała brzoskwinową koronką. – Twoja pani dostanie pod choinkę kapelusik

– Hau! – oświadczył z naganą jamnik, obrzucając monstrualny stanik nieufnym spojrzeniem.

– Jesteś niesprawiedliwy – pouczyła go Anka. – To musiało kosztować fortunę.

Nie wyglądał na przekonanego.

– Nie bądź taki zasadniczy. Pan chciał dobrze.

Dokładniej obejrzała szczałkowe majteczki i wystawiła palec przez dodatkowy otwór, umieszczony w najmniej spodziewanym miejscu.

– Spójrz, Zaworku – zmartwiła się. – Twojemu panu znowu wcisnęli jakiś bubeł.

Zmieniła zdanie, kiedy stwierdziła, że tajemniczy otworek ma kształt serduszka i został wyjątkowo starannie wykończony.

– Nie patrz na to, to nieprzyzwoite – poleciała i szybko wepchnęła majtki z powrotem do pudełka.

Zaworek wrócił do budy. Wyglądał na zdruzgotanego.

Anka przypomniała sobie artykuły zamieszczane w każdym kolorowym miesięczniku. Dzięki Bogu za prasę kobiecą. Przynajmniej wiedziała, co Adam dawał jej tym prezentem do zrozumienia. Nadeszła pora, żeby reaktywować ich życie erotyczne. Ciekawe tylko, jak reaktywuje się coś, co od roku praktycznie nie istnieje. Dziwne. Musiał być naprawdę zdeterminowany, skoro zaopatrył się w to świństwo. Ciekawe, gdzie kupuje się dziurawe majtki. Zaraz, zaraz... Anka przypomniała sobie, że widziała coś podobnego w telewizji. Była pierwsza w nocy, a rozchichotana dziewczyna wila się po ekranie, zachęcając do skorzystania z najnowszej superoferty Gorącego Sklepiku. *Zamów telefonicznie nasz ostatni ciepłutki katalog! Wybrane artykuły dostarczymy ci w przeciągu dziesięciu dni od momentu złożenia zamówienia. Wstydzisz się wścibskich sąsiadów? Paczkę dostarczy ci nasz pracownik przebrany za świadka Jehowy! Jeśli zadzwonisz natychmiast, otrzymasz w prezencie kasetę wideo z filmem Niebiańskie balony i olejek do masażu erotycznego o zapachu prawdziwego winogret, który zaostry ci apetyt na seks!*

Anka wyobraziła sobie, jak Adam wpuszcza ukradkiem do mieszkania nobliwą starszą panią, ukrywającą niewielką różową paczuszkę pod stosem egzemplarzy „Strażnicy”, i pospiesznie wciska jej odliczone wcześniej pieniądze. Upycha zdobycz pod łóżkiem, po czym pada na nie z westchnieniem ulgi i oddaje się dzikim fantazjom erotycznym, w których jego otulona w przezroczystą bieliznę żona przemienia się w demona seksu i zdziera z niego ubranie. Na szczęście zrezygnował ze smakowitego olejku. Żadna siła nie zmusiłaby jej do gry erotycznej, w której dostałaby rolę bałazana w oliwie.

– Jest nawet liścik – rzuciła w kierunku budy, w której Zaworek ukrył się przed panującym wokół zepsuciem. – Przeczytać ci?

Jamnik nie dawał znaku żyć. Anka wzruszyła ramionami i zajęła się różową karteczką.

Mój skarbie – przeczytała i wbrew sobie poczuła, jak na widok czułych słów skreślonych pedantycznie równym pismem ogarnia ją wzruszenie. W jej socjopatycznym małżonku drzemały jednak jakieś okruchy uczuć wyższych. Inna sprawa, że były wyjątkowo starannie ukryte przed światem. – *Mój skarbie, ile razy wyobrażam sobie Twoje piękne ciało...*

Z niedowierzaniem przyjrzała się karteczce. Jeśli Adam uważał, że jej ciało zasługuje na taki komplement, nigdy wcześniej jej o tym nie poinformował.

...i Twoje wspaniałe piersi, falujące zmysłowo pod sukienką...

Przetarła oczy. Jeśli biust w rozmiarze A potrafi zmysłowo falować, nauczył się to robić bez jej wiedzy. Poza tym nie pamiętała już, kiedy ostatni raz miała na sobie sukienkę. Nawet ślub brała w spodniach.

...cały drzę i liczę minuty do naszego następnego spotkania.

Dziwne. Anka miała wrażenie, że od roku widują się codziennie. Nie zauważyła też, żeby Adam miał dreszcze.

Najdroższy Króliczku...

Wyobraziła sobie, jak kręci pupą, z której sterczy puchaty biały ogonek. Nie sądziła, żeby pasowała do tej roli, ale była gotowa przebrać się nawet za legwana, jeśli cudownie odmieniony Adam uzna to za podniecające.

...wiesz, że Twoje pieścizoty doprowadzają mnie do szaleństwa.

Nic jej o tym nie wiadomo. Najwyraźniej nie doceniała własnego temperamentu. Swoją drogą, to zastanawiające. Podczas nielicznych aktów miłosnych Adaś wymagał od niej jedynie, żeby leżała płackiem jak gumowa lalka.

Izuniu, moje słoneczko...

Anka zamrugała. Jeżeli Adam zapomniał, jak ma na imię jego żona, jest najmłodszą w historii medycyny ofiarą alzheimera.

Izuniu, moje słoneczko, Twój puszysty miś nie może się doczekać, aż...

Ze wstrętem upuściła różowy liścik. Aż co? Albo nie знаła własnych personaliów, albo bielizna nie była dla niej. Wszystko wskazywało na to, że pomysły Adaś ukrył prezent dla jakiegoś obcego piersiastego krówska pod ich małżeńskim łóżkiem. Anka zachichotała nerwowo, gdy bez powodzenia usiłowała sobie wyobrazić, jak jej mąż, całe życie balansujący na granicy impotencji, przebiera się za Misia Uszatka i w napadzie miłosnego szału atakuje obce babsko o wielkich piersiach wylewających się z koronkowego stanika. Babsko uśmiecha się kusząco, szepcząc coś o odrobinie pikanterii, i polewa go sosem do sałatek. W powietrzu unosi się ciężki zapach czosnku i bazylii. „Schrup mnie, mój futrzany bohaterze”, mruczy zmysłowa kochanka, a Miś Uszatek unosi puchatą łapkę, żeby zedrzeć z niej przezroczystą koronkę.

Jestem sobie mały miś, grzeczny miś,

Znam te cycki nie od dziś!

Ostrożnie podniosła karteczkę. Czuli się, tak jakby trzymała w palcach zdechłego szczura, ale postanowiła sprawdzić, na co tak niecierpliwie czeka mały grzeczny miś. Skrzywiła się z niesmakiem. Lista żądań, które przedstawił Adaś, skłoniłaby Fanny Hill do pospiesznej zmiany profesji.

Nadeszła pora na małe co nieco, powiedział Puchatek.

Miód? Jaki miód? Poproszę dwie dynie w sosie winegret.

Anka poczuła, że zaraz zymiotuje.

– Zaworku, pakuj się, poszukamy sobie innego domu! – zarządziła, chwytając za telefon. – Nie będziemy mieszkać ze zbrojnicem.

Z budy nie dochodził żaden dźwięk.

Zaworek cierpiał w milczeniu.

Anka doszła do wniosku, że jeśli ma przewrócić swoje żałosne życie do góry nogami, potrzebuje moralnego wsparcia. Wezwanie na odsiecz brygady antyterrorystycznej raczej nie wchodziło w grę, poza tym odstrzelenie Adasia wiązałyby się z pewnymi niepożądanymi

konsekwencjami, których w obecnej sytuacji wołała uniknąć.

Wystukała więc znajomy numer i niecierpliwie czekała na połączenie.

– Odbierz wreszcie! – jęknęła.

Magda odezwała się po piętnastym sygnale.

– Daj mi wreszcie spokój! Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? – Anka miała wrażenie, że jej przyjaciółka warczy i gryzie komórkę.

– O ty podła...!

– To ty? – ucieszyła się Magda. – Całe szczęście. Ta durna Iwona wydzwania do mnie od samego rana i twierdzi, że jutro ktoś powinien być w redakcji. W Wigilię, rozumiesz? Mam nadzieję, że przedawkuje środki przeczyszczające i zdechnie w męczarniach. Wszyscy odetchną z ulgą.

– Zaproponuj jej, żeby spróbowała jutro. Może pójdzie jej lepiej, kiedy zacznie mówić ludzkim głosem – zaproponowała Anka.

– A co u ciebie?

– Adam mnie zdradza.

– Jakim cudem? Zawsze mówiłaś, że nie przepada za seksem.

– Chyba go nie doceniałam. Nie zgadniesz, co znalazłam! – Anka zachłyśnięta się z emocji. – Założę się, że ta baba zafundowała sobie implanty! Jak nic rozmiar DD. Adam robi to z cysterną silikonu! Pamiętasz, jak twierdził, że wielkie piersi są wulgarne? Paskudny hipokryta! Przecież ona musi chlupać przy najmniejszym ruchu! Pewnie oboje dostają od tego choroby morskiej.

– Zrobiłaś sobie nowe piersi? – Magda była wyraźnie podekscytowana. – Takie wielkie? Ale jesteś odważna. Ja bym się bała, że pękną. Wyobrażasz sobie? Facet przyciska się namiętnie i zaczyna całować, a tu nagle twój biust splywa mu po nogach. Ty udajesz, że nic się nie stało. Wybacz, kochanie, ale muszę iść poprawić makijaż.

– Zaczynj mnie wreszcie słuchać, do diabła! – zdenerwowała się Anka. – Nie ja sobie zrobiłam, tylko ta wywłoka. Niemożliwe, żeby się z czymś takim urodziła. I na pewno nie jest pęknięta. Wygląda na to, że ma się bardzo dobrze.

– A co mnie obchodzi samopoczucie jakiejś wywłoki? – zdziwiła się Magda. – Wystarczy, że mam na karłku Iwonę. A wiesz, to dobry pomysł. Powiem jej, żeby powiększyła sobie biust. Na koszt firmy.

– To nie jest jakaś tam wywłoka – przerwała jej Anka. – To wywłoka Adama.

Magda parsknęła śmiechem.

– Układasz nowy elementarz? To jest Adam. A to jest wywłoka. Adam ma wywłokę. To jest wywłoka Adama.

– Bo to jest wywłoka Adama. Nie rozumiesz? Natychmiast przestań się śmiać. Moje życie trzeszczy i rozłazi się w szwach, a ty rechoczesz jak głupia, zamiast mi współczuć.

– Uspokój się. Sama wiesz, że twoje małżeństwo to farsa, ewentualnie tragicznie bez happy endu. Pamiętasz, jak się modliłaś, żeby Adaś zrezygnował z pożytku małżeńskiego?

– Nie przypominaj mi. – W głosie Anki zabrzmiało obrzydzenie.

– Więc powinnaś się cieszyć, że definitywnie masz ten problem z głowy.

– Myślałam, że on w ogóle zrezygnował z seksu. A ta świnka obrabia jakąś lafiryndę!

– Pies ogrodnika – stwierdziła słodko Magda. – Jak się dowiedziałas?

– Znalazłam prezent gwiazdkowy.

- Rozumiem, że nie dla ciebie?
- Żebyś wiedziała!
- Nie przejmuj się, żadna baba nie ma z niego dużego pożytku – pocieszyła ją Magda. – Jeśli nieużywane organy zanikają, to ona potrzebuje lupy, żeby w ogóle zacząć się do niego dobierać.
- Od roku używał swojego zwiędłego przy rządu tylko do siusiania – parsknęła Anka. – Skarzył się na przemęczenie.
- A ty mu uwierzyłaś i pilnowałaś, żeby brał witaminy?
- Nie przypominaj mi o tym. Wmuszałam w niego multitabs, żeby miał siłę obrabiać to napompowane silikonem krówsko. Pewnie gra na jego rogu jak stary Wojski.
- Skąd wiesz, że to silikon? – spytała Magda z zainteresowaniem.
- Przecież ci tłumaczę! Kupił tej flądrze przezroczystą bieliznę. Majtek nie widać gołym okiem, za to ze stanikiem spokojnie można iść po świąteczne zakupy. Żadna normalna kobieta nie nosi czegoś takiego. Aha, zapomniałabym – majtki mają dodatkową dziurkę. Bardzo gustowną, w kształcie serduszka.
- Gdzie? – ożywiła się Magda.
- A jak ci się wydaje?
- Obrzydliwe.
- To jeszcze nic. Zgadnij, gdzie to schował. Pod łóżkiem. Pod naszym wspólnym łóżkiem. Chciałam wyciągnąć stamtąd jego brudne gacie, a znalazłam zestaw pierwszej pomocy dla zdesperowanych impotentów. Dołączył liścik ze spisem tego, czego spodziewa się w zamian. Panna Wielki Cyc będzie miała pełne ręce roboty. Zresztą nie tylko ręce. Może ci pocztytam?
- Dzięki, niedawno jadłam śniadanie. Nie chcę wymiotować.
- Jesteś pewna?
- Na sto procent.
- Szkoda. To program dla zaawansowanych. Mam nadzieję, że oboje skręcą sobie kark.
- Ciekawe, na kiedy planowali ten maraton.
- Już ci mówię. – Anka zaśmiała się ponuro. – Na drugi dzień świąt. Adam od tygodnia opowiada, że wybiera się do starej ciotki, która dogorywa w szpitalu i chce go zobaczyć przed śmiercią. Wyobrażasz sobie? Nawet się ucieszyłam, że w tym psychopacie drzemią jakieś uczucia wyższe. Proponowałam, że z nim pojedę, ale biedaczka jest ponoć tak wyczerpana, że wpuszczają do niej tylko najbliższą rodzinę.
- O rany, ale szczęściarz! Fajnie mieć ciotkę z cyckami jak arbuzy, która leży bez ruchu i czeka, aż ktoś ją pocieszy – zachwycała się Magda.
- Boże, co za gnida. A ja kupiłam mu prezent pod choinkę. – Anka aż jęknęła na myśl o własnej głupocie.
- Może pod tym łóżkiem było też coś dla ciebie? Lepiej wleź tam jeszcze raz i sprawdź.
- Coś ty! Boję się, co jeszcze mogłabym znaleźć. Może hoduje tam wielką nadmuchiwaną lalę? Czeka, aż zasnę, i zaprasza ją do łóżka. Niech ona da mu prezent, bo ja nie zamierzam.
- Może te cuda nadają się dla mnie? – Magda próbowała ją pocieszyć. – Szkoda, żeby się zmarnowały.
- Nie sądzę. To album z surrealistami.
- Chyba żartujesz! Płonące żyrafy? Zegary z gumy? Paskudztwo.
- Też tak uważam.

– Po co mu to? O ile pamiętam, nie odróżnia obrazu od fototapety.

– I co ja teraz zrobię? Nie mam dokąd pójść. Zaworek też. – Myśl o bezdomnym jamniku, blakającym się po ulicach w wigilijny wieczór, wydała się Ance wyjątkowo okrutna.

– Przyjeżdżajcie do mnie!

– Wiesz, chyba przyjadę – zdecydowała się Anka.

– Fajnie, urządzimy sobie święta. Po drodze możesz kupić choinkę.

– Mam tu jeszcze coś do zrobienia. – Anka rozejrzała się po pokoju. – Będę za dwie godziny. Naprawdę muszę przywieźć ze sobą Zaworka, bo Adam go nienawidzi i mógłby zrobić mu krzywdę. Poza tym nie mogę zostawić go w takim stanie. Na widok tych dziurawych gaci doznał szoku. Siedzi w budzie i w ogóle się nie rusza.

– Może nie żyje?

– Wątpię. Po prostu mi współczuje.

– Jeżeli chcesz zrobić Adamowi świąteczny prezent, zadzwoń pod numer jakiegoś sekstelefonu, powiedz, że twój niemy mąż potrzebuje kilku godzin rozrywki, i nie odkładaj słuchawki. Będzie miał niezły rachunek. Może nawet odłączy mu telefon.

– Sama to wymyśliłaś?

– Nie, przeczytałam w jakimś poradniku.

– To musiał być bestseller. Przyjadę, jak tylko skończę świąteczne porządki – obiecała Anka i rozłączyła się szybko, czując nagły przypływ w natchnienia.

Potrzebowała najwyżej godziny.

Poloneza czas zacząć!

2.

Matka Adasia, bez reszty zakochana w swoim jedynaku, całe życie marzyła o skórzanych meblach i o tym, żeby jej syn skończył medycynę.

– Kiedy zostaniesz lekarzem, dziecko, twoja matka będzie mogła umrzeć spokojnie – mawiała, a wzruszająca wizja tej chwili wyciskała jej z oczu kilka łez. Osuwa się w objęcia przepastnej skórzanej kanapy, a jej syn, dyplomowany chirurg, pada na kolana i błaga, żeby nie zostawiała go samego...

Potem, kiedy ukochany synuś spełnił pokładane w nim nadzieje, podczas gdy ona sama wciąż cieszyła się żelazną kondycją, sprawa mebli wysunęła się na pierwszy plan. Gdyby zwierzyła się Ance, w jakim kierunku zmierzają jej myśli, oszczędziłaby przyszłej synowej potężnego szoku. Niestety, mama Klusek była osobą dosyć skrytą i nie rzucała pereł przed wieprze. Prezent, który ofiarowała ukochanemu jedynakowi na nową drogę życia, wybrała w absolutnej tajemnicy. Kanapa i dwa fotele, podobne do stada zdechłych hipopotamów, przybyły do mieszkania nowożeńców pod nieobecność młodej pani domu. Na widok nowych lokatorów Anka ciężko zaniemogła. Wyśnione meble pani Klusek w przedziwny sposób łączyły w sobie biurową elegancję i motywy rodzimego folkloru. Anonimowy twórca w przypiływie natchnienia pokrył ich drewniane elementy bukiecikami w eklektycznym góralsko-łazubskim stylu. Końcowy efekt powalał na kolana. Ujęte w kwieciste ramy czarne obicia lśniły jak lustra, bezwzględnie egzekwując należne sobie względy. W zetknięciu z ludzkimi siedzeniami wydawały z siebie nieprzyjemne skrzywienie, dając do zrozumienia, że nie życzą sobie podobnych poufałości. Adam zignorował zwalistą kanapę, która wyglądała na przywódcę stada, i zdecydował się na okiełznanie jednego z foteli. Walka okazała się zacięta. Hipopotam był wyjątkowo złośliwy i nie chciał zaakceptować nowego właściciela. Śliskie obicie działało jak zjeżdżalnia, ale Adam desperacko chwycił się rzeźbionych poręczy, gotów zapłacić każdą cenę za przywilej życia w luksusie.

Anka rozejrzała się po salonie i poczuła, że nienawidzi hipopotamów.

– Chodź, Zaworku. Zrobimy świąteczne porządki.

Najpierw odpowiednie narzędzia. Dobrze przygotowany warsztat pracy to połowa sukcesu, pomyślała i pobiegła do kuchni.

Nic, co leżało na wierzchu, nie spełniało jej oczekiwań. Nie szkodzi. Szuflady i szafki pękały od przedwzrostnych akcesoriów, które teściowa ofiarowała jej w nadziei, że w niewydarzonej synowej obudzi się naturalny dla prawdziwej kobiety zapał do prac kuchennych. Anka dokonała szybkiego przeglądu tych, które wyglądały na ostre, i zdecydowała się na nożyce do cięcia drobiu, ostatni prezent imiennowy. Ten jeden raz musiała się zgodzić z życiowo doświadczoną mamą Klusek – nigdy nie wiadomo, kiedy taka rzecz się przyda.

Czas na małą rozgrzewkę. Anka rozsiała się wygodnie na podłodze w salonie i położyła przed sobą album z dziełami surrealistów. Uważnie przyjrzała się okładce. Faktycznie, biednej żyrafie płonął grzbiet. Co za okropieństwo. W odruchu litości postanowiła skrócić zwierzęciu męki i energicznie zaatakowała je nożycami. Ciach. Okładka okazała się wyjątkowo solidna, ale – ciach – nożyce do drobiu pani Klusek to też nie byle co. Ciach, ciach – żyrafa uległa dekapitacji, po czym – ciach, ciach, ciach – została poćwiartowana. Z kartkami poszło dużo – ciach, ciach, ciach, ciach, ciach – łatwiej. Anka zastrzygła nożycami w powietrzu. Czuła się jak Edward Nożyce coręki.

Jakto – ciach – było?

...bo dzieło zniszczenia

w dobrej sprawie jest święte

jak dzieło tworzenia...

No właśnie.

Tak, panie profesorze, doskonale rozumiem Orдона. Każdy ma czasem ochotę na małą demolkę.

Z podziwem wpatrywała się w efekty swojej działalności. Podłoga wokół niej pokryła się kolorowym spaghetti. Adam zawsze marzył o domowym makaronie, a mama Klusek przebąkiwała coś o istnieniu specjalnej maszyny. No to smacznego. Prawdziwa strawa duchowa, okraszona fragmentami powykręcanych sylwetki poważnie uszkodzonych zegarów.

– I co o tym sądzisz, Zaworku? – spytała Anka nieśmiało. Jak każdy twórca potrzebowała aprobaty otoczenia.

Zaworek nie odpowiedział. Rył nosem w ścinkach, popiskując radośnie. Nie przepadał za zwierzętami większymi od siebie, i egzekucja wykonana na żyrafie wprawiła go w podniecenie.

Anka poklepała go po łebku i podniosła się z kolan, gotowa do właściwej części zadania. Śmierć hipopotamom!

Na pierwszy ogień poszła kanapa. Na próbę dźgnęła końcem nożyc kwiecisty ornament i odskoczyła do tyłu. Hipopotamie ścierwo nie zareagowało, więc z dreszczem rozkoszy wbiła nożyce w obicie. Skóra rozdarła się z obiecującym trzaskiem, a ze środka wyłazły puszyste białe kłęby, natychmiast rozpełzając się po dębowych klepkach. Zaworek rzucił się w pogoń za puchatymi kulami, ujadając wściekle i z trudem utrzymując równowagę na nienagannie lśniącej parkiecie. Z rozkoszą rył ostrymi pazurkami ciemne drewno, po którym Adam zabronił mu biegać pod groźbą wywiezienia do schroniska.

Jego entuzjazm okazał się zaraźliwy. Anka krzyknęła radośnie i dźgnęła nożycami najbliższy fotel, z niedowierzaniem obserwując powtórkę białej eksplozji. Poszerzyła otwory w skórze i zaczęła wypruwać miękkie wnętrza całymi garściami. Na ten widok w Zaworku zagrała

krw dzikich przodków. Porzucił dewastowanie podłogi, zawarczał głucho i przyłączył się do swojej pani, szarpiąc zwłoki ulubionego fotela Adama. Salon, który od lat nawiedzał w snach panią Klusek, wyglądał teraz jak plantacja bawełny po przejściu gwałtownego huraganu.

– Hej kołoda, kołoda! – zaśpiewała Anka i udekorowała śnieżną czapą ogromny telewizor. Idealnie płaski kineskop o rekordowej liczbie cali od początku nie budził jej sympatii. Odsunęła się trochę, żeby lepiej ocenić uzyskany efekt, i uznała, że wiszący nad imponującym odbiornikiem obraz, owoc kolejnej senniejszej wizji pani Klusek, stanowczo zyskiwał w nowym otoczeniu. Skórzany pejzaż natychmiast nabrał wyrazu, a podkreślające niektóre szczegóły białe bryzgi aerografu doskonale komponowały się z zimową dekoracją. Anka mocniej ścisnęła nożyce i przejechała ostrzem po zmarszczonej powierzchni skórzanego jeziora, bezwzględnie rozdzielając pływającą po nim łabędzią rodzinę.

– Biedne małe ptaszki – westchnęła i rozejrzała się w poszukiwaniu kolejnej inspiracji. Kaktus – gigant w gustownej terakotowej donicy – tkwił w łacie, strosząc pięciocentymetrowe kolce. Cierpliwie czekał na ofiarę. Odkład rozpanoszył się w rogu pokoju, Anka już kilka razy wpadła na niego po ciemku i pokaleczyła sobie nogi. Adam za nic nie zgodziłby się na eksmisję kolczastego intruza. Dostał go od ambasadora jakiegoś południowoamerykańskiego kraiku po tym, jak wyjątkowo sprawnie pozbawił go ślepej książki, i traktował jak pamiątkę z podróży w tajemniczy świat dyplomacji. Anka rzuciła wrednej roślinie złe spojrzenie, ale po namyśle zrezygnowała z zemsty i otuliła kolczasty karkub białą kołderką.

– Popatrz, Zaworku – ucieszyła się. – Mamy bałwanika!

Bałwankowi najwyraźniej czegoś brakowało.

Anka rozejrzała się dookoła. Ależ oczy wiście!

– Dostaniesz czapeczkę – zakomunikowała i wtoczyła mu na łeb koronkowy stanik Pasował idealnie. Kłęby waty wystawały spod ażurowej miseczki jak kokieterijna grzywka.

– No i jak, Zaworku?

– Hau! – odpowiedział jamnik z głębokim przekonaniem.

– Masz rację – zgodziła się z nim. – Nie pasuje do reszty mieszkania. Idziemy do kuchni.

Zespół dekoratorski wkroczył do kolejnego pomieszczenia. Co za szkoda, pomyślała Anka, że tak tu pusto. Nic do poprucia. Ach, gdyby posłuchała rad pani Klusek i zaopatrzyła się w barek z imitującym marmur blatem oraz odpowiednie do niego stołki pokryte skórą...

Kup stołeczki, rzekła mama,

będziesz miała dom jak dama.

Ania nie słuchała mamy,

dziś daleko jej do damy.

Anka z całego serca zatęskniła za puszystą białą substancją, która na pewno siedziała pod obiciami miękkich barowych siedzeń. Trudno, śniegu nie będzie. Na szczęście istniały inne środki ekspresji. Posypała blaty szafek mąką i palcem wypisała na nich świąteczne życzenia.

Miłych odwiedzin u cioci!

Zdecydowała, że nijakie kraciaste zasłonki znacznie zyskają, jeżeli powycina je w serduszką. Zdaje się, że jej mąż uwielbia otwory w tym kształcie. Rozejrzała się w poszukiwaniu swoich noży c.

– Zgubiliśmy je – poskarżyła się Zaworkowi, zajętemu ozdabianiem oprószonej mąką podłogi odciskami maleńkich łapek – Szukaj!

Jamnik spojrział na nią z pretensją.

– Przepraszam. – Anka pogłaskała go po łebku. – Czy mógłbyś mi pomóc?

Zaworek, choć organicznie nie znosił trybu rozkłującego, postanowił jej wybaczyć.

Wrócili do ośnieżonego salonu, zdecydowani przeryć się przez imponujące zaspę. Anka z okrzykiem triumfu podnosiła w górę odzyskane nożyce, kiedy w zamku zachrobotał klucz. Zaworekna wszelki wypadek ukrył się za jej plecami.

Pan i władca powracał w domowe pielesze.

W drzwiach salonu pojawił się najpierw spory Święty Mikołaj w intensywnie czerwonym wdzianku. Plastikową buźkę w kolorze świńskiego różu wykrzywił złośliwy grymas, bez powodzenia naśladujący uśmiech. Wytrzeszczone ślepia groźnie wpatrywały się w Ankę. Uduśzcie cię, jak tylko się odwrócisz.

W filmach takie zabawki ożywały nagle w środku nocy i z nożem w łapie goniły po ciemnym domu oszalałe ze strachu dzieci, cały czas zachowując upiornie bezmyślny wyraz twarzy. Anka czuła, że stwór hipnotyzuje ją wzrokiem.

Nawet nie myśl o tym, żeby zasnąć. Będę twoim najgorszym koszmarem. Nigdy się ode mnie nie uwolnisz.

Wzdrygnęła się i z wysiłkiem oderwała od niego oczy.

Zza Mikołaja wychynęła głowa Adama.

– Popatrz, co przyniosłem. Śliczny, prawda? – Jak zwykle był z siebie wyjątkowo zadowolony. – Dostałem od pacjenta.

– Ktoś miał atak wyrostka? – zapytała Anka. – Może ambasador Laponii?

Adam wytrzeszczył na nią oczy. Jak zwykle nie zrozumiał.

Pochylił się, żeby postawić stwora na podłodze, i zauważył, że stoi po kolana w śnieżnobiałej zaspie. Teczka, którą ścisnął pod pachą, wysunęła się i znikła w morzu puchu. Zamarł w bezruchu, tuląc w ramionach czerwonego potworka.

– Co jest, do cholery...? – wybełkotał na widok tajemniczej białej zjawy, kłęczącej na podłodze z nożycami do drobiu w rękach.

Anka przyjrzała mu się uważnie. Był za niski, ale gdyby sprawił sobie niewielki postument, wyglądałby niezwykle dystygowanie w długim zimowym płaszczu, na którym dopiero zaczynały osiadać białe kłaki. Przypominał agenta ubezpieczeniowego ze starej reklamy. Powinna rzucić mu się na szyję i drżącym głosem wypowiedzieć swoją kwestię.

Kocham go... zwłaszcza że to mój mąż.

A gówno.

– Co tu się dzieje?! – wrzasnął Adam, kiedy stwierdził, że pierzasta postać przypomina trochę jego żonę. – Mieliliśmy włamanie?! Co zabrali?

– Chcieli wynieść meble – wyjaśniła Anka uprzejmie. – Były za duże, więc próbowali to zrobić w kawałkach. Pewnie ich spłoszyłeś.

Adam wpatrywał się w nią bez słowa. Poblądł.

Nie przeżyje, zmartwiła się Anka.

– Co ty wyrabiasz, do cholery?! – zawył w końcu. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że tkwiące w ręce Anki narzędzie musi mieć coś wspólnego ze stanem mieszkania. – Oszalałaś!

– Nie podoba ci się? – Anka wyglądała na zmartwioną. – Myślałam, że lubisz śnieg. Wybierałeś się nawet na narty.

– Co ty wygadujesz?! Odbiło ci?! – wydzierał się Adam.

– Widzisz, jaki niedobry? – poskarżyła się Anka Mikołajowi. Stwór przyglądał jej się bezmyślnie, wystawiając głowę zza rękawa Adama. – Powinien dostać różgę.

Adam ryknął dziko i cisnął w nią zabawką. Mikołaj przeleciał jej nad głową i zawisł bezwładnie na przy strojonym białym puchem kaktusie.

– Spójrz, Zaworku, i ucź się – powiedziała Anka. – Tak wygląda morderstwo.

Jamnik zadarł łebek i zawył ponuro. Wyczuł śmierć.

Nagle z przedpokoju dobiegł ogłuszający huk. Najwyraźniej Adam postanowił zejść ze sceny. Anka założyłaby się o wszystko, że za chwilę padnie w rozłożyste ramiona mamy Klusek Krzyżyk na drogę, skarbie.

Usiadła na środku przearanżowanego salonu. Trzeba się zastanowić, co zrobić z tak pięknie rozpoczętym dniem.

– Zaworku, czas na ewakuację – zarządziła.

2011

1.

Magda stwierdziła z niedowierzaniem, że Anka, która jeszcze przed chwilą szła obok i coś do niej mówiła, gdzieś się zapodziała. Zerknęła na boki i za siebie. Nic. Dla porządku spojrzała jeszcze pod nogi i ze zdziwieniem przekonała się, że przyjaciółka leży u jej stóp i patrzy na nią pełnym przerażenia wzrokiem.

– Pomóż mi! – stęknęła.

– O, skąd się tam wzięłaś? – Magda nie mogła wyjść z podziwu. Wszystko działo się tak szybko.

– A jak myślisz?! Upadłam – syknęła Anka.

– To wstań. Jeszcze się przeziebiesz. Nie powinnaś leżeć na chodniku.

– Jesteś pijana!

– To jeszcze nie powód, żeby krzyczeć. Wypiłyśmy po tyle samo. Tobie zaszkodziło bardziej, skoro leżysz. Ja przynajmniej stoję.

– To może pomogłabyś mi się podnieść? – spytała Anka ugodowo.

Magda chwyciła ją za rękę i energicznie szarpnęła.

– Jezu, moja kostka! Puszczaj, do cholery!

– Przepraszam, nie wiedziałam, że ciągnę za nogę. Chyba jednak nie jest ze mną najlepiej. – Magda była szczerze zmartwiona.

– Nic nie rozumiesz! Coś sobie zrobiłam i nie mogę wstać. – W głosie Anki brzmiała panika.

– Nie wrzeszcz tak – Magda rozejrzała się z niepokojem, ale Anka zawodziła wytrwale, ignorując jej radę.

– Niech ktoś mi pomoże!

– Zamknij się, idiotko, bo naprawdę ktoś cię usłyszy!

Anka zamilkła i spojrzała podejrzliwie na przyjaciółkę.

– Myślałam, że o to chodzi.

– Nie w takim miejscu. Przypominam, że jest północ, a my wędrujemy po Polu Mokotowskim. Chcesz, żeby nas okradli i zgwałcili?

– Chyba nie. – Anka po chwili namysłu podjęła decyzję. – Będziemy tu siedzieć do rana?
– Wezwę karetkę. – Magda wysypała na chodnik zawartość torebki, szukając komórki. – Dawno temu wystąpiłybyśmy w reklamie z serii *jak telefon komórkowy uratował mi życie* i zarobiłybyśmy kupę forsy – rozmarzyła się. – Jęcz tak, żeby cię było słycać, to szybciej przyjadą. No już, wrzeszcz!

– Pomocy! – zawyla Anka posłusznie.

– Jeszcze raz – zachęcała ją Magda, czekając na połączenie.

– Na pomoc! Niech ktoś mnie stąd zabierze! – improwizowała Anka z uczuciem. – Boże, jak boli... Magda, naprawdę mnie boli, rozumiesz?!

– Moja przyjaciółka miała wypadek... – Magda zdawała relację komuś po drugiej stronie linii. – Tak, leży płasko... Nie, nie mam zamiaru jej ruszać! Nie wiem, czy krwawi, jest ciemno... Nie, nic mi nie jest... Proszę się pospieszyć! Nie słyszy pan, jak krzyczy?... Strasznie cierpi... Tak, jest ubezpieczona... Gdzie? Pole Mokotowskie, kawałek od Lolka... Tak, to ten lokal... Pijane? Tak, trochę... Nie, na pewno nie jesteśmy bezdomne... Jakie narkotyki?! Przecież mówię, że złamała nogę! Dobrze, czekamy.

– I co? – Anka ostrożnie podniosła głowę. – Przyjadą?

– Chyba są nawet gotowi odwieźć nas na izbę wytrzeźwień.

– Jezu... Uciekajmy.

– Nie panikuj, jesteś ranna i należy ci się pomoc. Może zemdlejesz? Będziesz bardziej przekonująca. – Magda przyjrzała jej się krytycznie. – Albo spróbuj się rozplakać.

– A jak kazać nam zapłacić? Przesyłają rachunek każdemu, kto nie umrze w drodze do szpitala. Mogłaś wezwać taksówkę, wyszłoby taniej.

– Za późno. Słyszysz to wyście? Jadą po nas.

– Co mam robić?!

– Po prostu leż i się nie odzywaj. Powiem, że jesteś w szoku. Albo wiesz co? Mów od rzeczy. Będą podejrzewali wstrząs mózgu. Jak podstawia ci pod nos rękę i każe liczyć palce, to mów, że widzisz jedenaście, pamiętaj.

Z ciemności wyłoniły się dwie białe postacie.

– Uwaga! Już idą – zakomenderowała Magda.

– Tutaj! – Pomachała w stronę pielęgniarzy. – Szybko!

– To pani jest ranna? – Mężczyzna w białym fartuchu przyjrzał jej się nieufnie. – Nieźle się pani trzyma.

– To nie ja. To ona. – Odsunęła się usłużnie i wskazała palcem Ankę. – Boję się o nią. Majaczy.

– Proszę pani! – Mężczyzna kucnął i wyciągnął rękę. – Czy pani mnie słyszy?

– Jedenaście – wymamrotała Anka na wszelki wypadek – Widzę jedenaście.

– No i co pan o tym sądzi? – wtrąciła Magda. – Chyba naprawdę z nią źle.

– Dobra, jeszcze o tym pogadamy. – Facet w fartuchu skinął na kolegę. – Bierzemy ją. Co ona piła? – Pociągnął nosem.

– To, co ja. – Magda poczuła się urażona. – Piwo. Myśli pan, że jej zaszkodziło? Przecież nie narzekała na ból brzucha. Ona tylko upadła.

– O, z pewnością. Po alkoholu ludzie czasem się przewracają – zarechotał radośnie, pomagając koledze położyć Ankę na noszach.

– Jadę z wami – stwierdziła twardo Magda.

– Mowy nie ma. Bierzemy tylko ranną.

– Zostawicie mnie samą w parku w środku nocy? Zamordują mnie i zgwałcą. Niekoniecznie w tej kolejności.

Sanitariusz zadumał się głęboko. Magda, zdecydowana wspomóc zachodzące w nim procesy myślowe, wydała z siebie rozdzierający szloch.

– Błagam, niech mnie pan ratuje!

– Pani jest chociaż z rodziny?

– Prawie – stwierdziła szybko Magda.

– To tak czy nie?

– Ona jest sierotą. Matka i rodzeństwo zginęły w pożarze. Ojciec powiesił się z rozpacz.

Reszta rodziny wymarła na żółtą febrę.

Sanitariusz pokręcił głową.

– No dobrze, zapraszam do karetki. Miejsca jest niewiele, więc usiądzie mi pani na kolanach.

– Sanitariusz mrugnął do niej zachęcająco i skinął na koleżkę. Razem unieśli nosze i ruszyli w stronę samochodu. Magda, knąc pod nosem, zamykała uroczy sty pochód.

Podróż na sygnale trwała niecałe dziesięć minut.

Anka spodziewała się, że w szpitalu otoczy ją tłum biegających tam i z powrotem pielęgniarek, przemęczonych lekarzy i ludzi trzymających się za rozbite głowy. Tymczasem izba przyjęć wyglądała na dawno wymarłą. Widocznie wszyscy pacjenci, którzy mogli poruszać się o własnych siłach, wybrali domowe sposoby leczenia. Z przyjemnością zdecydowałyby się na to samo. Nikt przy zdrowych zmysłach nie chce przebywać w miejscu, które wygląda jak dekoracja do niskobudżetowego horroru.

Porzucicie nadzieję, wy, którzy tu wchodzić.

Od smrodu lizolu łąwiły oczy. Pięć minut postoju w drodze na salę operacyjną, pomyślała Anka, i żadna narkoza nie jest potrzebna. Miała nadzieję, że uraz kostki nie wymaga natychmiastowej interwencji chirurga. Ona w każdym razie nic nie podpisze. Powie, że podczas upadku uszkodziła obie ręce. Albo głowę.

Panie doktorze, do czego służy to coś ze śmiesznym małym przyciskiem? Nie, dziękuję, proszę to sobie zatrzymać. Długopis? Pierwszy raz słyszę, ale skoro pan, panie doktorze, tak twierdzi... Podpisz? A co to takiego?

– Magda, jesteś tu?

– Na razie jeszcze tak – zadudniła dziwnie Magda.

– Zostałaś brzuchomówcą? Mogłaś poczełkać z tym do jutra.

– Staram się nie oddychać. Nie czujesz, jak tu śmierdzi? – dudnienie zabrzmiało ponownie. –

Nie zagaduj mnie, bo będę musiała nabrać powietrza.

– Pomóż mi stąd uciec – zażądała Anka.

– Daj mi spokój. – Magda stanęła przed Anką jak astmatyczny wyrzut sumienia. – Duszę się.

– Zabierz mnie stąd. – Anka była zdecydowana wrócić do tematu. – Świeże powietrze dobrze ci zrobi.

– Konrad mówił, że to niezły szpital, tylko wygląda nieszczególnie. Więc nie ma się czego bać – rzuciła Magda półgębkiem.

Trenowała oddychanie przez nos.

– Jaki Konrad, na miłość boską? – zajęczała Anka. – Czy ja mam coś ze słuchem? Pewnie umieram.

– To ten z karetki, nie kojarzysz? – Magda posłała jej karcące spojrzenie. – Przecież siedział koło ciebie przez cały czas i trzymał cię za rękę.

– Ale rozmawiał tylko z tobą.

– Trudno, żeby zabawiał cię konwersacją, skoro udawałaś zemdloną.

– Dlatego zajął się tobą? Prawdziwy dżentelmen.

– Służba zdrowia ma obowiązek zabiegać o pacjenta. Chciał być uprzejmy i opowiadał o swojej pracy.

– Proszę, cóż za profesjonalista! Zademontrował ci sztuczne oddychanie? – warknęła Anka.

– Miło, że zechcieliście mnie tu podrzucić, ale mogliście sobie nie przeszkadzać.

– Co miałam robić? Rwać sobie włosy z głowy i zawodzić? Ostatecznie żyjesz i nie jesteś sparaliżowana.

– Ale zasługuję na odrobinę współczucia. Cierpiałam, a ty szczebiotałaś jak głupia i trzepotałaś rękami.

– Niczym nie trzepotałam! – Magda aż podskoczyła.

– Akurat, zawsze trzepoczesz – syknęła Anka. – Jak ci nie wstyd? Zachowujesz się skandalicznie.

– Stajesz się agresywna.

– Kto jest agresywny? Chętnie pomogę. – Nad wózkiem Anki pochylił się starszek w wymiętych fartuchu. Pociągał nosem i uśmiechał się nieprzytomnie.

– Dziękuję, same sobie poradzimy. – Magda spojrzała na niego nieufnie i dyskretnie otarła rękę. Starszy pan pluł podczas mówienia. – Czekamy na lekarza.

– No właśnie, wezwano mnie z oddziału do ofiary wypadku. Rozumiem, że chodzi o panie. – Mężczyzna ziewnął szeroko i przetarł oczy. – Przepraszam. Przespałem się trochę... i jeszcze ten katar. A może to grypa? Zaraz się paniami zajmę, znajdę tylko okulary... Proszę się rozgościć – zaproponował i mrużąc pod nosem, ruszył w stronę schodów.

– Jezu, Magda, nie pozwól mu mnie dotknąć! Pomóż mi! – Anka gwałtownie oprzytomniała.

– Jak? Podobno jestem idiotką.

– Pomyliłam się, przysięgam. On tu wróci, słyszałaś?! Jeszcze zdążymy uciec – przekonywała Anka gorączkowo. – Może to jakiś wariat. Jest tu oddział psy chiatry czny?

– Chyba nie. Poza tym wariatom nie dają stetoskopów.

– Pewnie sam sobie wziął. – Anka usiadła na wózku. – Błagam, znajdź jakiegoś lekarza!

– Ale jak?! – Magda poczuła, że udziela się jej panika. – Tu nikogo nie ma. – Rozglądała się bezradnie.

Gdy w głębi korytarza mignęła postać w białym kitlu, zdeterminowana głęboko nabrała powietrza.

– Doktorze! Panie doktorze! – wrzasnęła dramatycznie, bo wiedziała, że taka okazja mogła się nie powtórzyć. – Pomocy!

Mężczyzna w fartuchu odwrócił się w ich stronę.

– Najwyżej metr siedemdziesiąt – mruknęła.

– Siedemdziesiąt jeden – odruchowo poprawiła ją Anka. – Kategoria druga. Od biedy.

Na własny użytek podzieliła mężczyzn na trzy grupy. Przedstawiciele kategorii pierwszej byli

stworzeni do tego, żeby nosić przy nich niebotycznie wysokie obcasy. W razie randki z facetem zaliczynom do drugiej grupy wysokość obcasów powinno się zredukować do pięciu centymetrów. Odpowiednim obuwiem na spotkanie z facetem trzeciej kategorii były klapki kąpielowe.

– Dla ciebie, owszem – skrzywiła się Magda. Ponieważ dwie trzecie przedstawiciele płci przeciwnej sięgało jej do ramienia, tym najmniej wydarzonym przydzielała kategorię czwartą. – Cicho, bo idzie.

Młody lekarz rzeczywiście podążył w ich stronę.

– Pani mnie wołała? – upewnił się i podszedł do wózka. – Co my tu mamy?

– Nogę – usłużnie podsunęła Magda.

– Wydaje mi się, że nie tylko. – Pochylił się nad Anką. – Co się stało?

– Upadła.

– Proszę nie płakać – zażądał miniaturowy doktor.

Rola wybawcy najwyraźniej mu odpowiadała. Anka zastanawiała się, jak wyglądałby w kostiumie Supermana. O ile szyją coś takiego w rozmiarze S.

– Nie płaczę. To ten smród – wyjaśniła.

– Jaki smród?

– Nieważne, pewnie mi się wydawało.

– Boli panią?

A jak ci się wydaje, małeńki?

– Bardzo, panie doktorze – szepnęła omdlewająco Anka.

Lekarz spojrział na nią z nowym zainteresowaniem. W jego oczach pojawił się zwycięski błysk. Zapewne sądził, że dokonał błyskawicznego podboju, co musiało mile polećtać jego ego.

– Zajmę się panią – obiecał z mocą.

– To się dobrze składa. – Magda zdedydowała się przerwać rodzającą się na jej oczach idyllę. – Napastował nas jakiś wariat ze stetoskopem.

Lekarz w rozmiarze S skrzywił się lekko.

– Rzeczywiście, doktor Wołek bywa rozkojarzony, kiedy budzi się go zbyt gwałtownie, ale gwarantuję, że nie stanowi większego zagrożenia. Oczywiście jeżeli nadal nie wzbudza pani zaufania, jestem gotów go zastąpić. – Wyprężył się dumnie, dzięki czemu urósł o dwa centymetry. – Na szczęście też jestem chirurgiem, a mamy obowiązek dbać o dobre samopoczucie pacjenta.

– A widzisz, mówiłam ci – wtrąciła Magda. – Tu nie jest tak strasznie.

– Rozumiem, że zyskałam pacjentkę. – Pokiwał głową, jakby wydawało mu się pewne, że wszyscy ranni w promieniu trzydziestu kilometrów potrzebują jego osobistej interwencji. Proszę chwilę poczekać, położę doktora Wołka spać. Biedak chyba złapał grypę. Zaraz wracam.

– Błagam, złam mi coś, najlepiej mały palec – poprosiła Magda, kiedy młody lekarz zniknął im z oczu. – Marzę, żeby udzielił mi pierwszej pomocy.

– Może lepiej skoncentruj się na pracownikach pogotowia? On się dla ciebie nie nadaje. Gdyby przez pół godziny patrzył ci w oczy, dostałby przykurczu szyi.

– A może dwa palce? – ciągnęła rozmarzona Magda. – W taką znajomość warto zainwestować. Nie mam pracy, a lekarze są majętni. Pamiętaj, że aktualnie przejadamy resztę spadku po twojej babci. Dużo już tego nie zostało.

Anka westchnęła ciężko. Gdyby nie to, że jej babka darzyła ją szczerym –

i odwzajemnionym – afektem, który przełożył się na dość okazały spadek, jej wnuczka, zamiast pisać doktorat, objadałaby tylną ścianę do spółki z przyjaciółką.

Była zdecydowana porzucić niewygodny temat.

– Magda, zlituj się – zachichotała. – Kategoria czwarta, nie pamiętasz? Już to przerabiałaś. On próbuje pocałować cię na dobranoc. Ty schodzisz trzy stopnie w dół i radzisz, żeby spróbował raz jeszcze.

– Nie przesadzaj, w ostateczności się nada.

– Jesteś nienormalna.

– Jestem praktyczna – poprawiła ją Magda. – Mam dwadzieścia dziewięć lat i nie zamierzam uschnąć w panińskim stanie. On jest nieduży, ale milusi. Może kupię mu wiklinowy koszyk?

– Jezu, tobie naprawdę odbiło.

– No dobra, zdecydowałam się. – Spojrzała na Ankę z determinacją. – Złam mi rękę, byle szybko. I złaż z tego wózka, to cię zastąpię.

Anka zagulgotała radośnie.

– Nigdzie się stąd nie ruszam. Uczciwie na niego zapracowałam. – Spróbowała wygodnie ułożyć się na wózku, ale z bólu aż zawyla. – Cholera, moja noga! Mówiłam, żebyś mnie nie rozmieszała!

– Uwaga, wraca! – Szturchnęła ją Magda.

Anka ostrożnie uniosła głowę. Faktycznie, lekarz szedł w ich stronę, a za nim biegły truchtem dwie pielęgniarki.

– Nic pani nie jest? – spytał. – Wydawało mi się, że ktoś krzyczał.

– Tak, to ona – wyjaśniła Magda. – Bardzo cierpi.

– Proszę zawieźć pacjentkę na prześwietlenie i powiadomić mnie, kiedy tylko będą wyniki – rzucił krótko. Nawet nie spojrzał w stronę pielęgniarek, które chciwie spijały z jego ust każde słowo. Pewnie uważa je za część szpitalnego wyposażenia. Biedne dziewczyny, pomyślała Anka. To niesprawiedliwe, że pielęgniarki zawsze zakochują się w lekarzach.

Kiedy zwrócił się do niej, jego głos wyraźnie stał się mniej oschły.

– Zaskoczyła pani na zastrzyk przeciwbólowy – oświadczył z taką miną, jakby ofiarowywał jej kulię z brylantów czystej wody. – Siostrzo, proszę o tym nie zapomnieć. To szczególna pacjentka. Odpowiada pani za nią głową.

Ciekawe, czy znęca się nad nimi celowo. Wśród lekarzy trafiają się sadyści. Ten konkretny nie wygląda na doktora Mengele, ale pozory mylą. W każdym razie warto zachować czujność.

Siostrzyczki zrzuciły maski aniołów miłosierdzia, kiedy tylko znalazły się poza zasięgiem wzroku ukochanego pana doktora. Z impetem wtoczyły wózek do windy i zatrzasnęły stalowe drzwi. Grubawa brunetka przyglądała się pacjentce z namysłem.

Babciu, babciu, czemu masz takie wielkie oczy?

Tylko spokojnie.

– Dokąd jedziemy? – zagadnęła Anka, żeby odwrócić jej uwagę.

– Zaraz się pani przekona – obiecała śliczna blondynka, posyłając jej olśniewający uśmiech.

Babciu, babciu, czemu masz takie wielkie zęby?

Kabina wolno ruszyła w górę. Anka zamknęła oczy. Piętro wyżej siostrzyczki wypchnęły ją na korytarz z taką siłą, że wózek uderzył o ścianę. Zrećnie wzięły ostry zakręt i powlokły ofiarę w głąb oddziału.

Nie domyślasz się? Żeby cię zjeść!

Będę wzywać pomocy, postanowiła.

Wózek zażrzytał nieprzyjemnie i zahamował.

– Teraz zrobimy pani malutki zastrzyk. W pupę. – Brunetka uśmiechnęła się jadownicie.

Przewróciła Ankę na boki i rozpięła jej dżinsy.

– Ostrożnie. To boli!

– Trochę musi boleć. – Pielęgniarka z rozmachem wbiła jej igłę w pośladek.

Anka wrzasnęła.

– Patrz, jaka delikatna – zdziwiła się blondynka.

– Proszę się nie ruszać – zakomenderowała koleżanka.

Anka poczuła, że jej prawy pośladek zaraz eksploduje. Pociemniało jej w oczach.

– Coś ty mi zrobiła?! – zawyla i chwyciła brunetkę za tłustą łapę. Druga harpia przygwoździła ją do wózka.

– Chce pani, żebym złamała igłę?

– Co wyście mi wstrzyknęły? Gadaj, do cholery!

– A jaka niekulturalna – mruknęła grubaska z dezaprobatą.

– To tylko pyralgina – zaszczębiotała radośnie blondynka. – Nie słyssała pani? Doktor kazał.

– Nie było cyjanku? – warknęła Anka. – Zaraz odpadnie mi noga.

– O amputacji zadecyduje lekarz – poinformowała blondynka uprzejmie. – A teraz jedziemy na prześwietlenie.

2.

No i jak? Zastryk pomógł? – Anka usłyszała znajomy głos i zmusiła się do otwarcia oczu. Jeżeli zaaplikowany jej specyfik miał sprawić, żeby zapomniała o chorej nodze, to doskonale spełnił swoje zadanie. Gratulacje, panie doktorze. Teraz bolało ją wszystko od pasa w dół.

– Pyralgina jest na ogół bardzo skuteczna – młody lekarz z przekonaniem zachwalał zabójczą substancję.

– O tak, działa piorunująco – przytaknęła.

Pewnie, ty potworze. Zaraz rozerwie mi tyłek.

– Czasem występuje lekkie drętwienie w miejscu iniekcji.

Drętwienie? Przydałby ci się słownik języka polskiego. Masz ubogie słownictwo.

– Myśli pan, że odzyskam kiedyś władzę w dolnej części ciała?

– Troszkę histeryzujemy, co? – Uśmiechnął się z wyższością młody uzdrowiciel, prezentując idealne uzębienie. Anka w duchu zagotowała się z wściekłości. Milusi zdaniem Magdy osobnik nabrał już fatalnego zwyczaju zwracania się do pacjentów w liczbie mnogiej.

Depersonalizacja? A co to takiego?

– Proszę tego nie robić – ostrzegła.

– Nie rozumiem...

Gdybyś urosł piętnaście centymetrów, byłbyś szalenie przystojny.

Nie mógłbyś wejść na krzesło?

– Proszę się do mnie nie uśmiechać. Pana uroczę asyistentki wydrapią mi oczy.

Lekarz zrobił minę właściciela wyjątkowo liczego harem.

– Obiecuję, że sobie z nimi poradzę.

O, nie wątpię. Z każdą oddzielnie czy z obiema naraz?

– Sporo pan ryzykuje. Są uzbrojone w ostre narzędzia i gotowe na wszystko.

Właściciel harem uśmiechnął się skromnie, dając do zrozumienia, że doskonale radzi sobie z niesfornymi kobietami.

– Tej nocy zostanie pani ze mną – poinformował.

– Doprawdy?

Co za wyrafinowane poczucie humoru.

– Pani przyjaciółka wyraziła zgodę. Mam pani przekazać, że warto pocierpieć w imię idei.
Czy to jakieś przesłanie religijne?

– Poniekąd.

Po co go straszyć?

Anka odruchowo spojrzała na jego dłoń.

Nie ma obrączki.

– Przyjedzie po panią koło południa. A teraz proszę spać.

Oczywiście, panie Kaszpirowski.

– Gdyby panią bolało, proszę zadzwonić – zaprezentował jej dyndający na kablu przycisk –
Pielęgniarka zrobi pani kolejny zastrzyk.

Pewnie malutki? Nie ma głupich.

– Nie sądzę, żeby był potrzebny. Pana pomocnice wyjątkowo przyłożyły się do pracy –
zapewniła.

– Muszę już iść. – Ton lekarza sugerował, że powinna płakać i wymachiwać na pożegnanie
białą chusteczką. – Pacjenci czekają.

Tak naprawdę nazywam się doktor Wilczur.

– Przykro mi, że zostawiam panią samą.

Niestety obawiam się, że dwuosobowy zespół wyspecjalizowany w malutkich iniekcjach
wpadnie w tym czasie na pani trop.

– Panie doktorze...

– Jestem Adam – powiedział z taką powagą, jakby otworzył przed nią wrota sezamu. –
Mówmy sobie po imieniu.

– To chyba mało profesjonalne? – Postanowiła nieco zepsuć jego denerwująco dobry
humor.

– Tutaj ja ustalam zasady – stwierdził z godnością, po czym odwrócił się na pięcie
i wymaszerował z sali.

Anka poczuła, że ogarnia ją dziwna ociężałość. Ani chybi zazdrosne o Adasia siostrzyczki
wstrzyknęły jej jakąś truciznę.

Ziewnęła i zamknęła oczy.

Przyśniła jej się rzeźnia.

Z trudem wlokła się słabo oświetlonym korytarzem. Brudne białe kafelki na ścianach były
pokryte rdzawoczerwonymi plamami.

Wiedziała, że nie ma czasu do stracenia.

Poślizgnęła się i spojrzała pod nogi. Brodziła po kostki we krwi.

Obejrzała się za siebie.

Nie ucieknie im.

Były coraz bliżej.

Widziała je.

Tabun rozwścieczonych pielęgniarek uzbrojonych w gigantyczne strzykawki wypełnione mętną cieczą. Miały pusty wzrok i groźnie wyszczerzone zęby.

– Wracaj, wredna suko – zawodziły chórem. – I tak nie uciekniesz.

Obie nogi miała w gipsie. Czemu wcześniej tego nie zauważyła? Prawie nie mogła się ruszać. Zaraz ją dopadną.

– Oddawaj doktora, ty złodziejko! – wyły. – Gdzie go schowałeś?!

Zasłoniła rękami uszy.

– Oddajadamaoddajadamaoddajadama... Dziwkadziwkadziwkaaaaa...

Potknęła się i upadła.

– Mamy cię. Zaraz dostaniesz zastrzyki!

Poczuła pierwsze ukłucie...

Ocknęła się, kiedy naburmuszona salowa przyniosła talerz ze śniadaniem i z wprawą cisnęła nim o metalową szafkę przy łóżku. Nawet się nie rozleciał. Lata praktyki, pomyślała Anka z szacunkiem.

– Kubek jest?! – warknęła salowa.

– Nie ma. – Anka poczuła się winna. Pomyślała o przedszkolu. Z trudem powstrzymała się przed naciągnięciem kodyry na głowę. Jeśli ta kobieta zaraz sobie nie pójdzie, ze strachu zsiąka się do łóżka.

– To herbaty też nie będzie. Kubek z domu przynieść, ile razy mam powtarzać?! – Salowa łypnęła oskarży cielsko podmalowanymi na błękitno ślepiami i wyszła, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi.

Anka poczuła ulgę.

Usiadła i rozejrzała się z ciekawością. Dwa łóżka, drugie na szczęście puste, dwie odrapane stalowe szafki, w kącie stojak na kropłówkę. Dekorator wnętrz był wyznawcą szlachetnego minimalizmu.

Obejrzała czerstwą bułkę i odgryzła kawałek, na wypadek gdyby ktoś chciał sprawdzić, czy jej smakowało. Żuła pracowicie, obserwując drzwi. Klamka poruszyła się lekko. Kto tym razem?

Do sali wkroczył Adaś. Anka szybko odłożyła bułkę.

– Dobrze spałeś? – zapytał i przyjrzał jej się uważnie. – Jak na ofiarę wypadku wyglądasz całkiem nieźle.

Ty też. Naprawdę nie mógłbyś trochę urosnąć? Może są na to jakieś zastrzyki. Malutkie, rzecz jasna.

– Wątpię. – Postanowiła uczynić zadość konwenansom.

– To tylko naciągnięte ścięgno. Szybko dojdiesz do siebie. Obiecuję ci to, a mam opinię świetnego diagnosty – zapewnił dumnie.

Pora na autoprezentację.

– Na pewno. – Anka uśmiechnęła się, żeby zachęcić go do kontynuowania występu. Mimo niesprzyjających okoliczności zaczynała się nieźle bawić. Obcowanie z rozbuchanym męskim ego zawsze poprawiało jej samopoczucie,

Taniec godowy nabiera tempa. Teraz pewnie zagulgocze i zatańczy.

– Gdzie te dwie od zastrzyków? – przy pomniała sobie o uzbrojonych rywalkach.

– Skończyły dyżur. – Adaś zrobił minę, jakby chciał dać do zrozumienia, że wróciły do czworaków.

– Pewnie nie znoszą dziennego światła. Co z nimi robicie? Zamykacie w trumnach i wypuszczacie, kiedy zajdzie słońce?

Adaś wyglądał na zdeorientowanego.

– A może po prostu wyjmujecie im baterie? – Anka dała mu kolejną szansę.

Może w końcu załapała, pomyślała z nadzieją. Najwidoczniej nie jest szczególnie rozgarnięty i przydałyby mu się szczudła, ale w końcu nie można wymagać zbyt wiele. Może Magda ma rację?

Daj męża,

daj męża,

daj męża,

o Boże!

– Czy masz jakieś zastrzeżenia do ich pracy? – Adam wypiął pierś i nastroszył się groźnie. – Osobiście dopilnuję, żeby dostały naganę.

Chyba jednak nie obejdzie się bez tańca.

– Śniło mi się, że chcą mnie zabić.

– Jakos sobie poradziłaś. Nie stwierdzam nowych obrażeń.

– Uratował mnie latający talerz. – Wskazała na szafkę.

– A tak, pani Jadzia i jej fruujące posiłki. Powinienem był cię ostrzec.

– Chciała pracować w cyrku?

– Nie smakuje ci? – Spojrzał na nadgryzioną bułkę. Nie wydawał się rozbawiony.

– Zostawiłam sobie na później.

Przysiadł na brzegu łóżka i obejrzał talerz.

– Dostałaś zestaw numer dwa. Dietetyczny – wyjaśnił. – Czerstwe pieczywo z masłem i herbata.

– Bez herbaty. Nie ma kubka, nie ma picia. Powiedz, co wy podajecie starszym ludziom? Przecież oni tego nie pogryzą. Karmicie ich dożylnie?

Adaś roześmiał się z przyzorem.

– Zaraz wypuszczę cię do domu. Jeżeli obiecasz, że przez tydzień nie będziesz próbowała chodzić, daruję ci usztywnienie.

Usztywnienie? Mniam!

– Chcesz zwolnienie? – zaproponował wspaniałomyślnie niewyrośnięty doktor.

Tylko nie wybrzdziej, Napoleon też był nieduży.

– Dziękuję, mam wakacje.

– Uczysz się? – Ta myśl wyraźnie go zmartwiła. – Nie mów, że jesteś nieletnia.

A co, chcesz się ze mną zaprzyjaźnić, Supermanie?

– Jestem już duża. Robię doktorat.

– To już lepiej – westchnął z ulgą. – Jaki kierunek?

– Historia.

– Czy m się zajmujesz?

– Polowaniami na czarownice.

– Zaczynam się bać. – Adaś najwyraźniej próbował być dowcipny.

– Nie martw się. Próba nakłuwania dała wynik negatywny. Wciąż mnie boli.

Spojrzał na nią pustym wzrokiem.

Znowu nie zrozumiał.

Cóż, nie można mieć wszystkiego.

Konwersacja ewidentnie kulała.

– Na mnie już czas. – Ton Adasia sugerował, że czeka go misja ratowania świata.

Więc jednak Superman.

Wyprężony jak struna pogromca złych mocy wymaszerował z sali. Wybujale ego jakimś cudem zdołało przepchnąć się przez drzwi i podążyło za swoim panem.

3.

Drzwi otworzyły się po raz kolejny. Otyła kobieta wyglądająca na salową wtoczyła do sali przedpotopowy wózek inwalidzki obity buraczkową imitacją skóry. Zatrzymała się w progu i wybałuszyła oczy na zakopaną pod kołdrą pacjentkę.

– Czy coś się stało? – zapytała Anka uprzejmie.

Salowa kontynuowała obserwację.

– Wygląda pani całkiem normalnie – orzekła po namyśle. – Widocznie chodziło o kogoś innego. O mój Boże, tak się bałam. Ja mam w życiu pecha i zawsze spotyka mnie wszystko, co najgorsze. No więc jak mi kazali wziąć wózek i tu przyjść po tą, co się tak w nocy rozbijała, to już myślałam, że się zbliża mój koniec.

– Mieli państwo jakieś kłopoty? – zagadnęła Anka. – Bo ja nic nie słyszałam. Widocznie przez ten zastrzyk

– O, proszę pani, ja tu jestem dopiero od rana, ale pielęgniarki z nocnego dyżuru mówiły, że przywieźli do nas psychiczną. – Kobieta znaczącym gestem wskazała na swoją głowę i dla pewności zrobiła sobie palcem kółko na czole. Aż zaróżowiła się z emocji. – Jedną taką to nawet pobiła, kiedy próbowały dać jej coś na uspokojenie, pani sobie wyobraża? We dwie ledwo ją utrzymały. Krzyczała tak, że strach było słuchać.

– Często macie niebezpiecznych pacjentów? – Anka starała się podtrzymać rozmowę i zdobyć zaufanie salowej. Jeśli grasują tu wariaci, za wszelką cenę musi wydostać się na zewnątrz.

– Nie, ale to jakaś dziwna historia. – Kobieta zbliżyła się do łóżka i zniżyła głos do dramatycznego szeptu. – Siostrzyczki mówiły, że to kochanka naszego doktora Kluska. Wie pani, młody i przystojny, trudno się dziwić. Rzucił ją podobno, bo brzydka jak nieszczęście i jeszcze na dodatek kulawa. Zwariowała od tego i wyskoczyła oknem. Pewnie w ciąży jest, biedaczka. Jak się doktor dowiedział, zaraz kazał przywieźć do nas. Dobre ma chłopak serce, inny to by się nawet nie obejrzał – westchnęła.

O Jezu. Zmasakrowane pielęgniarki to te dwie białe larwy, które chciały ją zamordować.

A kulawa wariatka to ani chybi ona sama.

Klusek?! Doktor Adam Klusek? Jak można się tak nazywać? To straszne.

– Ale nie skoczyła z wysokości, skoro żyje? – Anka zainteresowała się losem porzuconej kaleki.

Salowa machnęła ręką.

– Pani wie, jak to jest z wariatami. Krzywdy sobie łatwo nie zrobią – skrzywiła się z niechęcią.

– I co z nią teraz będzie? – zagadnęła Anka.

– Do zakładu ją zabierają – szepnęła salowa z przejęciem. – Podobno teraz jest spokojna, ale z takimi to nigdy nic nie wiadomo. Dlatego jak mi powiedzieli, żeby wziąć wózek i tu przyjechać, to aż nogi się pode mną ugięły. Wie pani, ja mam troje dzieci. Co by to było, gdyby same zostały na świecie?

– Ma pani rację. – Anka uśmiechnęła się szeroko. Skoro upierne siostrzyczki zrobiły z niej wariatkę, przynajmniej trochę się zabawi.

Wywaliła język na brodę i przewróciła oczami.

Salowa cofnęła się odruchowo.

– Dziwne, numer sali niby się zgadza... – mruknęła i na wszelki wypadek zastawiła się wózkiem. – A pani od kiedy tu jest?

Anka zasyzczała ostrzegawczo i poruszyła językiem.

– Słodki Jezu, to ona! – Kobieta złapała się za głowę. – Co teraz będzie?

– Pani mnie stąd zabierze – poinformowała Anka pogodnie. – Nic pani nie zrobię. Uwielbiam szpitale psychiatryczne.

W ukrytą za wózkiem kobietę wstąpiła nadzieja.

– No przecież po to przyszłam. Taksówka już czeka i taka ładna pani po panią przyjechała – zapewniła skwapliwie i przyjrzała się jej z szacunkiem. – Naprawdę chce pani do tego zakładu? Sama z siebie pani pojedzie?

– Adam, to znaczy doktor Klusek, często mnie tam zabiera. – Anka poczuła, że powinna zwierzyć się salowej. – Kiedy byłam w pierwszej ciąży, też skakałam z okna.

– To nasz doktor ma dziecko? – Kobieta zapomniała o środkach bezpieczeństwa i przysunęła się do łóżka.

A co mi tam.

– W drugiej ciąży podcinałam sobie żyły – kontynuowała Anka. – Obiecał, że się ze mną ożeni.

– A to łobuz! – W oczach salowej zapłonęło święte oburzenie. – Chodź, dziecko, bo taksówka czeka. Tam się tobą zaopiekują.

– Może podjedzie z tym pani bliżej? – Anka skinęła głową w stronę wózka. – Nie bardzo mogę chodzić – poskarżyła się. – To było drugie piętro. Niby nic, ale trochę się potukłam.

– Oczywiście! – Kobieta skwapliwie podsunęła wózek – Wsiadaj, kochana! A chłopami się nie przejmuj, bo nie warto – poradziła. – Doktor, nie doktor, wszyscy jednakowi.

Magda czekała w taksówce na szpitalnym podjeździe. Widząc nadjeżdżającą Ankę, pomachała jej radośnie.

– Do twarzy ci z tym wózkiem – zachwyciła się, kiedy salowa doholowała wózek do samochodu.

– Chyba raczej do nogi – sprostowała Anka. – Lepiej mi pomóż.

– Ja pani pomogę. – W oczach salowej malowała się niezdrowa ciekawość. – A ta pani to kto? – zapytała scenicznym szeptem.

– To poprzednia kochanka doktora Kluska. Ma z nim czworo dzieci. Wszystkie są upośledzone.

Kobieta głośno przełknęła ślinę.

– To ja już lepiej sobie pójdę – zagadnęła i porzuciwszy wózek na podjeździe, ruszyła koślawym truchtem w stronę szpitala.

– O co tu chodzi? – zapytała Magda, kiedy taksówka ruszyła.

– Niezrównoważona psychicznie kochanka lekarza wyskoczyła z okna, próbując zabić siebie i jego nienarodzone dziecko. Ze szpitala odwieźli ją prosto do domu wariatów, bo zachowywała się jak opętana. To tak w skrócie.

– Kto jest ojcem?

– Doktor Klusek. Miałas okazję go poznać. Jest nieduży, ale miłusi.

– A to drań!

– A ciążną byłąm ja – oświadczyła Anka z dumą.

Przyjaciółka spojrzała na nią ze współczuciem.

– Miałas wstrząs mózgu?

– W końcu wyskoczyłam przez okno. To cud, że w ogóle żyję.

– Zawracamy – zawołała Magda do taksówkarza. – Z powrotem do szpitala!

– Niech pan jej nie słucha – poprosiła Anka i powróciła do przerwanej konwersacji. – Zaraz ci wszystko wytłumaczę. To te dwa białe krówska. Zrobiły ze mnie ciążną wariatkę i niedośłą samobójczynię. Opowiedziały wszystkim, że je pobilałam.

– Uderzyłaś którąś? – ucieszyła się Magda.

– Co ty! To one na mnie napadły. Wstrzyknęły mi coś takiego, że przez kilka godzin byłam sparaliżowana. Chciały mnie zabić!

– Więc nie skakałaś przez okno?

– Jakim cudem? Do rana nie mogłam ruszyć tyłka z łóżka.

– Zrobiły to, bo wyczuły konkurencję. Facet aż się skęcał, żeby udzielić ci pierwszej pomocy. Zobaczysz, zadzwoni.

– Taki bufon? Nie sądzę. Poza tym nie ma numeru – oświadczyła Anka. Jak na wariatkę-samobójczynię wykazała się wyjątkowym zmysłem praktycznym.

– Zostawiłam go pielęgniarce w izbie przyjęć. – Magda najwyraźniej była z siebie dumna. – Przekáže go naszemu malutkiemu. Powiedziałam, że sam prosił, bo zapomniał podać w wypisie dalsze zalecenia.

– Tylko po co nam ten liliput? Jedyne, co mu urosło, to ego.

– Bierz, co jest pod ręką, i nie wybrzydzaj. Mam ci przypomnieć? Szukasz bogatego męża, żeby nie gnieździć się już ze mną w jednym zagrzybionym pokoju. Poszukujesz stabilizacji materialnej i poczucia bezpieczeństwa. Sama mówiłaś, że najlepszy byłby lekarz. Ich zarobki wzrosły w ciągu ostatnich kilku lat o sto piętnaście procent.

– Nie wiedziałam, że zbierasz szczegółowe dane. – Spojrzała na przyjaciółkę z podziwem.

– Do sprawy należy podchodzić metodycznie. Pani doktorowa Klusek? Mogłaś trafić gorzej.

– No to dokąd w końcu jedziemy? – Zniecierpliwiony taksówkarz obejrzał się przez ramię. – Do szpitala czy na Uniwersytecką?

– Stanowczo na Uniwersytecką – zarządziła Magda.

Mrucząc coś pod nosem o niezdecydowanych babach, kierowca wziął ostry zakręt.

4.

Kiedy lekko wypaczone drzwi zamknęły się za nimi, Anka westchnęła ciężko.

– Myślisz, że w tych warunkach w ogóle można wyzdrowieć? – Stwierdziła, że kilka słów otuchy wpłynęłoby na nią zbawiennie.

Magda rozejrzała się z powątpiewaniem.

Nie lubiła kłamać.

Atmosfera kawalerki, którą wynajmowały, raczej nie sprzyjała rekonwalescencji. Stuletnia kamienica była ciemna i wilgotna, a wrażenie doskonale zaaklimatyzowanego sprawiał tylko obficie porastający ściany grzyb. Z piwnicy, do której nie wypuściłyby się za żadne skarby świata, wiało cmentarnym chłodem. Ostatnia żarówka zniknęła z klatki schodowej na długo przedtem, zanim się wprowadziły. Poprzedni lokator uciekł nazajutrz po tym, jak dwóch osiłków napadło go w prawdziwie egipskich ciemnościach i pobiło za to, że nie miał przy sobie nic wartego kradzieży. Kawalerka, określona w ogłoszeniu jako stylowo umeblowane mieszkanie w centrum Warszawy, czekała na kolejne ofiary.

Umeblowanie, zgodnie z zawartą w ogłoszeniu obietnicą, faktycznie mogło uchodzić za dokumentne. Zestaw sprzętów upchniętych w jednym pokoju wystarczyłyby do urządzenia dwupoziomowego apartamentu. Oczywiście pod warunkiem, że jego właściciel reflektowałby na zwaliste meble pochodzące z wczesnych lat pięćdziesiątych. Honorowe miejsce zajmowało stalinowskie biurko z groźnym czarnym telefonem. Wprowadzić więźnia. Nie, nie rozkładać go. Niech trochę znieknie. Na połyskującym blacie stała lampa wprost stworzona do świecenia w oczy przesłuchiwanym. Nie chcesz mówić? W porządku. Mamy mnóstwo czasu. Pocełamy, aż się zdecydujesz. No to co, bohaterze? Nazwiska, adresy, kontakty. Tylko powoli, żebym nadążył z pisaniem. Małe okna wybite w grubym murze starannie zakratowano.

Atmosferę godną katowni UB miały zładoczyć poukładane na wszystkich meblach szydełkowe serwetki i seria myśliwskich widoczków. Grupy mężczyzn o twarzach butnych pruskich oficerów pochylały się z podziwem nad zwłokami pomordowanej leśnej zwierzyny. Decyzją właścicielki mieszkania, starszej damy o jasno sprecyzowanych poglądach i żelaznej woli, usunięcie galerii

obrazów oznaczało natychmiastowe rozwiązanie umowy najmu. Z kolei serwetki, wydziergane ponoć przez świątobliwą wdowę po nieokreślonym bliżej powstańcu, zaliczały się do rodzinnych pamiątek i ukrycie ich przed wzrokiem potomnych mogło się okazać grzechem śmiertelnym.

Kuchnia nie miała okien, wyposażono ją za to w zamontowaną na samym środku poobijaną żeliwną wannę na wygiętych szponiastych łapach. Rozkraczony groźnie stwór wytrwale bronił swojego terytorium, spychając kilka rozsypanych się szafek w najdalszy kąt ciemnego pomieszczenia. Z zawieszzonego cztery metry nad podłogą sufitu zwisała na długim czarnym kablu goła żarówka. Skójarzenie z wisielcem było banalne, ale oczywiste.

Łazienka śmierdziała jak szalet na dworcu i nie pomagał żaden z reklamowanych w telewizji środków czystości. Ilość żrących substancji, którą kolejni lokatorzy utopili w pozółkłym klozecie, wystarczyłaby, żeby wytruć milionowe miasto, ale odór zawsze zwyciężał. Przy każdej próbie odkręcenia wody z rur dobiegał niski bulgot, a przedpotopowy kran wypluwał fontannę rdzawej cieczy.

Magda westchnęła.

– Nie przesadzaj, nie cierpisz na galopujące suchoty – pocieszyła Ankę bez specjalnego przekonania. – Wilgoć cię nie zabije.

– To czemu czuję się jak nasza szkapa w piwnicznej izbie?

– Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie zdradzała się ze znajomością klasyki? – Magda skrzywiła się z niechęcią. – To działa na facetów jak płachta na byka.

– Nie czytali *Naszej szkapy*? – zmartwiła się Anka.

– „Nie ma nic nudniejszego jak kobieta przygnębiająca zbytkiem erudycji” – wyrecytowała Magda uroczyście.

– Sama to wymyśliłaś?

– Niestety nie, to cytat.

– Z Biblii?

– Prawie. *Zasady prowadzenia domu*, rok wydania tysiąc dziewięćset dwudziesty szósty. Niektóre mądrości są ponadczasowe.

– Znasz jeszcze jakieś?

– Kobietę winna cechować anielska cierpliwość.

– Co mi radzisz?

– Spal książki, usiądź w kącie i z pokorą czekaj na telefon, który zdecyduje o twoim losie. Ręce zajmij jakąś robotką.

– Koniecznie?

– Kobieta, która siedzi beczynnie, zaczyna słuchać diabelskich podszeptów. Dlatego do zbawienia potrzebuje igły z nitką.

– To też przeczytałaś czy wymyśliłaś sama?

– Nie bluźnij, kobieta nie umie myśleć samodzielnie. Jak na osobę, która pisze doktorat o czarownicach, wykazujesz się rażąco ignorancją.

– Obyś miała rację, bo samodzielnie wymyśliłam, że nie będzie żadnego telefonu.

– Skąd wiesz?

– Przyjrzyj mi się i powiedz, co widzisz.

– Pandę z przetrąconą łapą.

– Mogłabyś to rozwinąć? – poprosiła Anka grzecznie.

– Wokół oczu masz spore czarne kółka z rozmazanego tuszu. Chcesz lusterko?

– Lepiej nie. Cholera, wiedziałam, że powinnam była kupić wodoodporny. Chora panda? Facet nie jest weterynarzem.

– Nie bądź głupia. Tusz do rzęs zmieszany ze łzami to odwieczny kobiecy sposób na poruszenie męskiego serca. Wodoodporne mascary są drogie i nieromantyczne – pouczyła ją Magda.

– Twierdzisz, że płakałam? – Anka była oburzona.

– Pewnie, przecież cię bolało.

– To ten parszywy lizol.

– Nieważne, efekt był ten sam.

– Piorunujący. Mała, chuderlawka i zaplamiona tuszem. Na pewno zakochał się od pierwszego wejrzenia.

– W ży ciu nie liczy się uroda – poinformowała rzeczowo Magda.

– Gdzie to wyczytałaś?

– Wszyscy tak twierdzą.

– Jasne, grunt to dobre serce. I inteligencja, byle bez nadmiaru przygnębiającej erudycji. Na moim wydziale nie ma ani jednej kobiety, która nie wymieniłaby tytułu naukowego na parę fantastycznych nóg.

Magda zerknęła na własne.

Doskonale wiedziała, że mogłaby zostać dublerką Julii Roberts.

– Budzisz we mnie irracjonalne poczucie winy – mruknęła.

– Widzisz? Stereotypowa reakcja – ucieszyła się Anka. – Zawsze jest tak, że piękne kobiety starają się brać na litość te pozostałe. Chcą w ten sposób uniknąć linczu.

Magda na wszelki wypadek nieco się cofnęła.

– Trzy sta lat temu spalono by cię na stosie – oświadczyła Anka twardo.

– Nie patrz tak na mnie, bo zaczęłam się bać.

– Wiesz, że mam rację. Brzydkie kobiety oskarżały te piękne o czary. Tyle na temat słynnej kobiecej solidarności.

– Powiedz to feministkom. Wyrwą ci język

– Nie dziw się. Miło jest wierzyć, że stosy rozpalali mężczyźni, bo czuli się bezradni wobec odwiecznej zagadki kobiecości. Dużo trudniej przyznać, że to robota zazdrosnych brzyduli, których nikt nie chciał. Najpierw opowiadały o chorujących krowach i kwaśniejącym mleku, a potem same dorzucały do ognia i płażały w kółeczku wokół wesoło trzaskającego stosu.

– Nie mamy krów.

– Dzięki, że mi powiedziałaś. Co ja bym bez ciebie zrobiła?

– Nie wiesz? Zapożyczyłabyś się do końca życia na montaż implantów wielkości dorodnych arbuźów.

– Zamknij się – poradziła uprzejmie Anka.

– Nic z tego. – Magda stanęła w pozie prorokini ogłaszającej koniec świata. – Widzę przyszłość. Któregoś dnia arbuzy eksplodują. Giną wszyscy w promieniu kilometra. Dostajesz dożywiecie.

– Przesadzasz. – Anka uśmiechnęła się do wizji własnej osoby wyposażonej w bardziej przekonujące atrybuty kobiecości. – Po prostu nie latałabym samolotem.

– Żaden by cię nie zabrał. Z takim balastem można tylko leżeć na plecach.

– Raczej spoczywać na laurach. – Zerknęła na Magdę tęsknie. – To może chociaż te silikonowe wkładki do stanika, które pokazywali w telewizji?

– Nie myślałabyś cały czas o tym, że któraś wypadnie? Wyobraź sobie, stoisz przytulona do faceta i nagle na jego butach ląduje galaretowata breja. Pomyślałby, że właśnie poroniłaś.

Anka spojrzała na nią z wyrzutem.

– Sama widzisz – westchnęła Anka ciężko. – Wszystko stracone.

W tym momencie czarny telefon na biurku zaterkotał.

– To na pewno on! – ucieszyła się Magda i ruszyła w stronę telefonu. – Zaraz się dowiem, co myśli o protezach biustu.

– Zabiję cię!

– Najpierw musisz mnie złapać. – Magda rzuciła wymowne spojrzenie na ozdobioną elastycznym bandażem kostkę Anki, która wyglądała jak żyrafia szyja niedbale okręcona białym szalikiem.

Podniosła słuchawkę i szepnęła rozmarzonym głosem:

– Jak pan myśli, co jest lepsze? Mały i naturalny czy wielki silikonowy?... Chwileczkę, nie rozumiem... Janusz Kiliński?... Jest pan pewien?... Myślałam, że nazywa się pan Adam Klusek.. O Boże! – Głos Magdy błyskawicznie przestał być rozmarzony. – Prezes Kiliński?... Tak, oczywiście, że pamiętam... Nie, nie jestem po operacji, to nieporozumienie... Tak, może się pan przekonać osobiście... Jutro?... Ależ tak, z przyjemnością... Mnie też było miło, do zobaczenia...

Rzuciła słuchawkę na widełki i osunęła się na podłogę.

– Zamknij się – poradziła przyjaciółce, która zwiślała z fotela i ryczała ze śmiechu. – Mam jutro rozmowę w sprawie pracy.

– Agencja towarzyska czy salon masażu? – Anka poprawiła się w fotelu. – Radziłabym jednak wielki silikonowy.

– Jezu, zabiję się! Co za obciach – jęczała Magda, wciąż leżąc na podłodze. – Facet myśli, że polecałam zrobić sobie nowe cucky.

– Przy najmniej widać, jak ci zależy na tej pracy.

– Redakcja pisma młodzieżowego to nie burdel.

– Prawie. Sama się przekonasz. – Anka zrobiła mądrą minę. – W miejscu pracy wciąż obowiązują stosunki feudalne.

Telefon znowu zadzwonił.

– Słucham? – Tym razem Magda odezwała się tonem wzorowej recepcjonistki. – Oczywiście, już łączę. – Wręczyła Ance słuchawkę i rozsiadła się wygodnie.

Zaczynało się słuchowisko.

– Nie zrobiłabyś mi herbaty? – Anka spojrzała na współlokatorkę z nadzieją, zasłaniając słuchawkę dłonią.

– Niestety, właśnie się skończyła. Zostaję i zamieniam się w słuch.

– To może kawy?

– Kawy też nie ma. Usiądę sobie w kąciuku i będę ci podrzucać kwestie. Jak suflerka.

– Nie uważasz, że powinnaś skoczyć do sklepu?

– Mowy nie ma. Będę cię wspierać.

– W tej chwili wyjdź! – Anka podniosła głos, ale kiedy Magda wygodniej rozsiadła się

na dywan, skąpiłowała.

– Słucham?

– Pan doktor potrzebuje informacji o stanie zdrowia swojej pacjentki – powiedział Adam na powitanie. Anka uznała, że próbuje być uwodzicielski, co przy jego zbyt cienkim jak na mężczyźną głosie wypadło dość komicznie.

Stwierdziła w duchu, że najwyraźniej niektórzy faceci niewiele zyskują, korzystając z usług telekomunikacji. Szkoda. Mimo to postanowiła włączyć się do gry.

O jednym oku,

byle w tym roku!

– Pacjentka czuje się wzruszona troską pana doktora – odpowiedziała.

– Dziękuję. To miłe, że ktoś mnie docenia.

– Coś się stało?

– Kłopoty w pracy – rzucił Adam krótko. – Wolałbym o tym nie mówić.

Nie musisz, pomyślała Anka. Oczami wyobraźni ujrzała rozemocjonowaną salową, której zwierzyła się z sercowych perypetii.

...Kochane, pojęcia nie macie, co to za łobuz. Chodzi sobie jakby nigdy nic, wielki pan doktor, zamiast pomyśleć o tych biednych sierotkach. Dzieci ma, całą dwójkę, wiem, co mówię. Wszystkie chłopcy takie same. Żenić się nie chce, kobietę prawie do grobu wpędził, chociaż w ciąży jest. Trzecie w drodze, toż to obraza boska. A jak nosa zadziera! Że niby taki święty, a wstydu nie ma za grosz. No przecież mówię, że chciała się zabić, u nas na oddziale leżała, biedactwo. Z okna skałała. Nie, już jej nie ma, do wariatkowa ją odwieźli. Ja to bym takim u...

Anka poczuła wyrzuty sumienia. Może trochę przesadziła.

– Powiedz, ulży ci – zachęciła ojca trójki swoich dzieci.

– Nawet nie bardzo wiem, o co chodzi. – Adam wyraźnie był zdenerwowany. – Wszyscy dziwnie na mnie patrzą i chichoczą po łatach. Pielęgniarki trącają się łokciami i robią głupie miny.

Oho, harem się zbuntował. Nieładnie.

Anka przypomniała sobie dwie białe harpie, które próbowały wyprawić ją na tamten świat. Nadeszła godzina zemsty.

– Chyba wiem, o co chodzi – westchnęła. – Mój Boże, jakie te kobiety potrafią być perfidne.

– O czym ty mówisz? – Adam podniósł głos.

Proszę państwa, oto dwie chrześcijańskie dziewice, które zaraz rzucimy na pożarcie lwu. Gwarantujemy, że rozerwie je na strzępy. W przeciwnym razie zwrócimy państwu pieniądze za bilety.

– Salowa, ta, która zawiozła mnie na dół, wspomniała o jakichś dwóch pielęgniarkach, które opowiadają o tobie straszne rzeczy.

Proszę państwa, nadchodzi lew. Nie jadł od tygodnia.

– Które to?!

– Chyba te z nocnego dyżuru, wiesz, tłusta brunetka i blondynka, ta, co wygląda jak szkielet w peruce.

Proszę państwa, proszę państwa, co za niezwykle widowisko! Lew zwietrzył ofiary i szykuje się do skoku...

– Jesteś pewna? – Głos Adama drżał z wściekłości.

– Raczej tak – stwierdziła Anka. Harpie popamiętają ją do końca życia.

Proszę państwa, atakujcie! Widzicie, państwo, krew?

– Jutro to załatwię.

– Na pewno.

Od dziś mów mi Poppea.

– Nie powiedziałaś, jak się czujesz – wyartykułował Adaś z pretensją. Stanowczo wyszedł z roli uwodziciela.

– Nieźle – odparła raźno.

– Ktoś się tobą opiekuje?

– Przyjaciółka nie odstępuje mnie na krok – Nie dodała, że właśnie usiłuje wymierzyć jej kopniaka zdrową nogą. Magda wyla się po wytartym dywanie i wydawała zduszone pojękiwania. Anka domyślała się, że sugeruje jej zaaranżowanie romantycznej randki.

– Czy jest tam ktoś jeszcze?

Najwyraźniej dopytywał o męskie towarzystwo.

– Mogę cię uspokoić. – Zwycięstwo nad harpiami wprawiło Ankę w słowiczy nastrój. – Kandydat na stanowisko osobistego pielęgniarza pilnie poszukiwany.

Zerknęła na Magdę, która odsunęła się na bezpieczną odległość i udawała, że kołysze dziecko.

– Co powiesz na wizytę domową? – Adaś z powrotem wczuł się w rolę.

– Nie będę kwestionować opinii fachowca.

– To może jutro?

– Dobrze. – Anka starała się, żeby w jej głosie zabrzmiał szczerzy entuzjazm.

– Może wieczorem? O siódmej? Nie muszę pytać, czy będziesz w domu. Zresztą z tą nogą nigdzie nie uciekniesz.

Cóż za subtelność.

– A do tego czasu? Masz jakieś specjalne zalecenia?

– Myśl o mnie pół godziny przed zaśnięciem – zaproponował. – Na początek wystarczy. To optymalna dawka. Ale uwaga, bo można się uzależnić.

Anka była pewna, że jej nowy adorator usłyszał tę kwestię w jakiejś kiepskiej komedii romantycznej i starannie przechował w pamięci. Jeśli nie myliła się co do jego gustów, na nową drogę życia będą musieli kupić sobie dwa telewizory.

– Do jutra – rzuciła i odłożyła słuchawkę. Dalsze słuchanie gruchającego doktora Kluska było ponad jej siły.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że właśnie umówiła się na romantyczne *rendez-vous*.

– O cholera. On tu przyjdzie. Jutro. – Rozejrzała się po pokoju. – Nie zdążymy zrobić remontu.

– A więc jednak doktorowa Klusek? – zagadnęła Magda, wygodnie układając się na dywanie.

– Nie sądzę. Nie zna naszego adresu.

Magda przerwała własną wariację na temat marsza weselnego.

– Adres też mu podałam.

– I tak ucieknie, jak zobaczy nasze mieszkanie – podsunęła Anka. – Pomyśli, że jesteśmy nienormalne. Tu śmierdzi.

– Nie ucieknie. Mamy kraty w oknach.

– Mamy też pleśń na ścianach, a on jest lekarzem i pewnie obilo mu się o uszy słowo „higiena”. Tacy jak on nie zadają się z marginesem społecznym. – Anka pociągnęła nosem i kolejny raz obrzuciła spojrzaniem ich przytulne gniazdko. Martwe zwierzęta uwiecznione na myśliwskich widoczkach wpatrywały się w nią szklistymi, szeroko otwartymi oczami. – Dojdzie do wniosku, że trafił na ubogie krewnie Adamsów.

– Mamy kupę czasu na zaaranżowanie przytulnej atmosfery. – Magda była dobrej myśli.

– A jak zachce mu się siusiu i zajrzy do łazienki? Ucieknij, a zamiast kwiatów przyśle mi baniak lizolu i ulotki o chorobach skórnych.

– Zaproponujemy mu naszą wannę. Powiemy, że to antyczny pisuar. – Magda nie posiadała się z radości.

Wizja konfrontacji Adama z potworem zamieszkującym ich kuchnię poprawiła Ance humor.

– A gdyby... – zaczęła, ale nie była w stanie dokończyć.

– Coś ty. – Magda bezbłędnie odgadła, o co jej chodzi. – Założę się, że on nie robi kupy, to do niego nie pasuje. Jest taki czyściutki i sterylny.

– To świętokradztwo – upomniała ją Anka.

Magda wzruszyła ramionami.

– Nawet święci mieli jakąś przemianę materii.

– Powinien nas teraz usłyszeć. Każdy facet, którego poznałam, usiłował ode mnie wyciągnąć, o czym rozmawiają kobiety, gdy są same.

– I co im odpowiadałaś?

– Że wstydzę się o tym mówić.

– Jak mogłaś zapomnieć, że wymieniamy się przepisami i dyskutujemy o pielęgnacji sadzonek? – zmartwiła się Magda. – Rujnujesz sobie przyszłość.

Anka wytrzeszczyła oczy.

– No wiesz, przydomowy ogródek, troska o roślinki, instynkty opiekuńcze. Tradycyjna kobiecość w pigułce – wyjaśniła przyjaciółka.

– Co za dulszczyzna. Pozwól, niech zgadnę. *Zasady prowadzenia domu*, rok wydania tysiąc dziewięćset dwudziesty piąty.

– Dwudziesty szósty – poprawiła ją Magda. – Poza tym nikt nie pisze o rzeczach tak oczywistych.

– To poniżające. – Kandydatka na panią doktorową postanowiła nie ułatwiać swatce zadania.

– Ale działa, a to najważniejsze. Kupimy kilka książek o pielęgnacji roślin i porozkładamy je w widocznych miejscach.

– Nie będę się wygłupiać.

– Przydałoby się kilka doniczek i jakaś gustowna konewka. – Magda nie dała się obrazić. – Chcesz zostać starą panną?

– Nie ma już starych panien, nie wiedziałas? Są radosne singielki, które wydają pensję na markowe ciuchy i przysyłają widokówki z Afryki swoim uwięzonym w domu koleżankom.

– To czemu jesteś tutaj, a nie na safari?

– Mam skręconą nogę – odparła Anka z godnością. – Poza tym czekałam na telefon.

– Sama widzisz. Metoda na książkę jest bardzo skuteczna. Pamiętasz Agnieszkę?

– Tę z zębami i jak królik?

Magda skinęła głową.

– Upolowała faceta z politechniki, rozsiewając wokół siebie podręczniki do algebry.

– I co?

– I nic. Zostawił ją, kiedy powiedziała mu, że jest w ciąży. Podobno nie podejrzewał, że będzie zwracała mu głowę prozaicznymi sprawami. Spodziewał się porozumienia umysłów, a nie stosu brudnych pieluch.

– W łóżku też korzy stał tylko z mózgu? – zdziwiła się Anka. – Nie słyszałam o intelektualnym zapłodnieniu.

– Posiejemy rzeżuchę, może do jutra wyrośnie. Pani od biologii kazała nam robić coś takiego na Wielkanoc. – Magda powróciła do roślinnych fantazji. – Na mokrą watę sypie się takie małe ciemne nasionka. Na drugi dzień robią się galaretowate i wypuszczają kielki.

Najwyższy czas zmienić temat, doszła do wniosku Anka. Pomysł zdobywania mężczyzny za pomocą kielkującej galarety nie do końca przypadł jej do gustu.

Jakto mówiła śliczna Scarlett O'Hara?

Pomyślę o tym jutro.

5.

Ankę wyrwał ze snu upiorny warkot.

– Czemu mnie budzisz o takiej niehumanitarnej porze? – zawyła. – Jest szósta rano!

– To nie ja, to suszarka – zaświergotała Magda. – Mam dziś rozmowę kwalifikacyjną, nie pamiętasz?

– Z konsultantem od biustów? – Anka ryknęła radośnie na wspomnienie Magdy przemawiającej do słuchawki z wprawą weteranki w branży sekstelefonów.

– Z prezesem Kilińskim – poprawiła ją Magda z godnością.

– Ciekawe, czy będzie miał szablę.

– Nie szargaj świętości narodowych!

– Oszalałaś? – Anka spojrzała na przyjaciółkę z obrzydzeniem.

– Będę pracować w redakcji pisma dla nastolatków. Muszę dbać o wizerunek.

– Jasne. I codziennie myć głowę w środku nocy.

– Nie sądzisz, że powinnam się dziś zaprezentować z jak najlepszej strony? – Magda tanecznym krokiem podeszła do łóżka. – Ładnie wyglądam?

– Ty zawsze wyglądasz ładnie – orzekła niechętnie Anka. – Chyba ci zazdroścę.

– Coś za coś. Ty jesteś wybitnie inteligentna.

– To raczej wada niż zaleta, nie uważasz?

– Nie martw się. Małe jest piękne – stwierdziła filozoficznie Magda.

– Dla kogo niby?

– Choćby dla Batmana. Pamiętasz?

– Fakt... – Anka pogrzyżyła się w upojnych wspomnieniach. Magdę i Batmana, studentów archeologii śródziemnomorskiej, poznała na imprezie zorganizowanej przez Wydział Historyczny UW. Za jednym zamachem zyskała przyjaciółkę i adoratora. Przyjaciółka okazała się inwestycją na resztę życia, adorator stał się koszmarem. Wojtuś Wroński, którego zgodnie ochrzciły Batmanem, zakochał się w Ance od pierwszego wejrzenia, a następnie oświadczył jej się, kłękając na środku zabloconego Krakowskiego Przedmieścia.

- Sama widzisz, miałaś swoją szansę – oświadczyła zimno Magda.
- On był prawie ślepy.
- Ale bogaty z domu. I znał łacinę.
- I ten biały frędzel na czole...
- Nie frędzel, tylko gen albinoski.
- I pluł, jak mówił. Po cholere mi łaćński zraszac?
- Jesteś obrzydliwa.
- Nie obrzydliwa, praktyczna.
- Dom na oficerskim Żoliborzu, siedlisko na Mazurach, samochód...
- Batman w samochodzie? – zachnęła się Anka. – Taki na wpół ślepy? Inwalida?
- Wyobraź sobie tylko... – rozmarzyła się Magda. – Niedługo po ślubie, powiedzmy pół roku, po którejś z upojnych nocy...
- Anka wyglądała, jakby za chwilę miała zymiotować.
- Chyba nie wyobrażasz sobie, że mogłabym pójść z nim do łóżka.
- Magda spojrzała na nią z dezaprobatą.
- Bez pracy nie ma kołaczy, moja droga. Spełnianie powinności małżeńskich nie jest chyba szczególnie sioną ceną za stabilizację i spokój na resztę życia.
- Życia z tym kosmitą?!
- No przecież ci mówię. Po którejś z upojnych nocy, jeszcze przed świtem, posyłasz wciąż roznamiętzonego Batmana do sklepu...
- Zamykają o dwudziestej.
- Do całodobowego. Im dalej, tym lepiej. Proszisz go, żeby ci kupił... – Magda zamilkła, szukając natchnienia.
- Co? Czerstwy chleb? A może snickersa?
- Coś absolutnie niezbędnego. Nieprzytomny i niedowidzący małżonek zderzyłby się z pierwszym napotkanym samochodem. Płacz, pogrzeb, odrobina żałoby, a potem ty jako młoda, atrakcyjna wdowa z kupą kasy...
- Tere-fere. Pamiętasz kazus Agnieszki Machówny? Wysła z chłopskiej chaty, wydała się za arystokratę, a jak chciała zagarnąć jego włości, rodzinka się wkurzyła. Słończyła na katowskim pieńku.
- To był siedemnasty wiek – przypomniała Magda. – Teraz jesteśmy wyemancypowane, nieprawdaż?
- Powiedzmy.
- Właśnie. Miałybyś święty spokój i kupę kasy.
- Będę miała.
- Niby skąd?
- Od Adasia. – Widać było, że Anka podjęła ważną życiową decyzję.
- Racja. On ma dobry wzrok, w końcu jest chirurgiem. I nie wygląda na takiego, co jeździ po nocy, bo jego żonie zachciało się batonika.
- Od biedy mógłby pozostać żywy. Jest taki malutki, nie zajmuje wiele miejsca. Będzie w sam raz. Ewidentnie szuka żony.
- Ma w czym wybierać. Sama mi opowiadałaś o tych upiornych siostrzyczkach. W szpitalu czyhają na niego za każdym rogiem.

– On potrzebuje kogoś bardziej reprezentacyjnego. Inteligentnego.

– Siejącej rutkę erudytki z rozgrzebanym doktoratem?

Anka spojrzała na Magdę z wyrzutem.

Et tu, Brute, contra me?

– Wspominał coś o zerwanych zaręczynach. Właśnie z pielęgniarką, jak mi się zdaje.

– Biedactwo.

– Jakto powiedziała Izabela Łęcka? Temu panu spodobało się zagustować we mnie.

– Nie da się ukryć.

– Takiej okazji nie wolno przegapić.

– Co zamierzasz zrobić? Myślisz, że złapie się na rzeżuchę?

– Jestem Machiavellim w wydaniu kieszonkowym – powiedziała Anka z wyższością. – Dam sobie radę.

– No dobra, czas na mnie – westchnęła Magda. – Prezes czeka.

Kiedy Magda weszła do siedziby redakcji, drogę zastąpiła jej skwaszona kobieta w praktycznej burej garsonce.

– Pani do kogo? – spytała groźnie.

Magda poczuła się jak talib owinięty w pasie wiązkami dynamitu.

– Ja do prezesa. W sprawie pracy.

– Jestem jego osobistą sekretarką – oświadczyła kobieta z taką dumą, jakby zwierzała się z zażyłych stosunków z członkami angielskiej rodziny królewskiej. – Zaanonsuję panią – dodała i oddaliła się wyłożonym pseudomarmurowymi płytkami korytarzem.

Magda skrzywiła się z niesmakiem. Nie znosiła sztucznego marmuru.

Sekretarka wróciła po minucie.

– Pan prezes czeka – oznajmiła z namaszczeniem. – Zaprowadzę panią.

Magda posłusznie ruszyła za nią. Sekretarka zapukała do masywnych drzwi. Najwyraźniej pan prezes lubił rezydować w zacisznym odosobnieniu, bezpiecznie odizolowany od świata zewnętrznego.

– Wejść! – zza drzwi dobiegła krótka komenda.

Magda wymięła sekretarkę i wkroczyła do przybytku władzy absolutnej.

Za biurkiem siedział lekko łysiejący mężczyzna w średnim wieku. Nie wstał na powitanie, ale Magda gotowa była się założyć, że za imponującym biurkiem ukrywa pękaty brzuszek.

– Proszę siadać – mruknął, nie podnosząc wzroku nad rozłożonych papierów. – Jestem bardzo zajęty.

– To może ja sobie pójde? – zaproponowała Magda.

– Proszę siadać.

Magda uznała, że facet kreuje się na zblazowanego twardziela, co przy jego fizjonomii

wypadało raczej komicznie. Usiadła naprzeciwko biurka, czekając, aż karykatura Stevena Seagala zwróci na nią uwagę.

W końcu prezes uniósł głowę i bez żenady otaksował Magdę wzrokiem. Jego zachowanie uległo błyskawicznej zmianie.

– Witam, pani...

– Magdo – postanowiła mu trochę dopomóc.

– Właśnie. A więc, pani Magdo...? – Najwyraźniej starał się, żeby zabrzmiało to odpowiednio wieloznacznie. Wyglądało na to, że definitywnie porzucił rolę twardziela.

Magda odruchowo skuliła się na krześle i mocniej ścisnęła kolana. Facet beczelnie rozbierał ją wzrokiem.

– A więc skończyła pani archeologię... – zamruczał.

– Śródziemnomorską – potwierdziła.

– Dlaczego nie pracuje pani w zawodzie?

– To dziedzina zdominowana przez mężczyzn. Potrzebuje ich temperamentu i zdecydowania... – stwierdziła słodko.

Facet wyprostował się dumnie na fotelu.

– Tak świetnie to pani ujęła... – stwierdził z widocznym ukontentowaniem.

Zaraz zaczniesz się ślinić. Może chusteczkę?

– Więc twierdzi pani, że praca na uniwersytecie była mało satysfakcjonująca? – Przyszły szef uśmiechnął się z zachętą. Jego mina sugerowała, że chciałby otrzymać dużo więcej niż odpowiedź na zadane pytanie.

Chciałbym zobaczyć pani referencje.

Proszę się rozebrać. Tylko powoli.

Magda stwierdziła, że baryłkowany casanova cały czas mówi do jej biustu. Miała nadzieję, że nie zacznie w któryś momencie używać liczby mnogiej.

– A więc porzuciła pani dziecięce marzenia i pragnie odnaleźć swoje miejsce w życiu?

Twoim hobby jest zatem psychologia. Gratuluję, palancie.

– Chętnie pomogę.

O, nie wątpię.

– Więc jaki tytuł ma pana nowe pismo? – Magda zasugerowała delikatnie, że ma do czynienia z magnatem prasowym. – W ogłoszeniu tego nie podano. – Starła się skierować rozmowę na bezpieczne tory.

– „Twoje Drugie Ja” – oświadczył facet z dumą.

Pewnie sam to wymyśliłeś i zastanawiasz się, czy wystąpić o literacką Nagrodę Nobla. Powodzenia.

– I będzie kierowane do nastolatek? – Była gotowa udawać idiotkę, byle podtrzymać konwersację. Inaczej facet się na nią rzuci. Nawet jeśli zacznie krzyczeć, dobrze wytresowana sekretarka nie przyjdzie jej z pomocą.

– Właśnie. Wyszedłem z założenia, że na rynku znajdzie się miejsce dla jeszcze jednej pozycji tego typu, i miałem rację.

A jakżeby inaczej?

Z pewnością znasz się na pozycjach.

– Nie mam doświadczenia redakcyjnego – przypomniała na wszelki wypadek

Założymy się?

Do gabinetu wkroczył blondwłosy kościotrup.

Odcudzanie? A co to takiego? Mam doskonałą przemianę materii i jem absolutnie wszystko.

Kiedyś zjadłam naraz całą kromkę chleba. Uwierzyćcie?

– Poznajcie się.

Nie ma sprawy.

– Zapraszam. Pokażę pani gabinet – oświadczył kościotrup kwaśno.

– A więc do zobaczenia – rzucił na pożegnanie prezes.

Magda nie wiedziała, czy ma na myśli ją, czy rachityczną Iwonkę.

Doszła do wniosku, że gabinet prezesa musiał być oazą luksusu, którego nie zamierzał dzielić z pracownikami. Iwonka, uśmiechając się złośliwie, zaprowadziła ją do mikroskopijnej kłitki bez okien, w której z trudem mieściło się poobijane biurko i coś, co wyglądało jak prototyp komputera. Magda widywała coś podobnego na filmach z wczesnych lat dziewięćdziesiątych.

Jakto włączyć?

Rozpalić w piecu.

Zakręcić korbką.

Przykro nam, to nie jest prawidłowa odpowiedź.

Proszę próbować dalej.

Iwona skłębła głową w stronę biurka gestem, jakim panna dziedziczka odsyłała dziewczynę od krów tam, gdzie jej miejsce.

I żeby nie przyszło ci do głowy pchać się na salony, rozumiano?

Tak proszę jaśnie panienki.

– Trochę ciasno, prawda? – zagadnęła z satysfakcją. – Przedtem stało tu ksero, ale Janusz... – Machnęła ręką z lekceważeniem.

Ach tak O to chodzi. Nieznośny Janusz wymienił starą kserokopiarzkę na nową pracownicę i nawet nie spytał cię o zdanie.

Magda starannie obejrzała swoją nową zwierzchniczkę.

– Piękny kostium – pochwaliła, gotowa ocieplić trochę stosunki z przyśłą szefową.

Cel uświęca środki, nieprawdaż?

Szarobłękitne wdzianko Iwony pochodziło z kolekcji pod nazwą Obowiązkowy Mundurek dla Młodej Nowoczesnej Kobiety na Bardzo Odpowiedzialnym Stanowisku. Mogła sobie na niego pozwolić, skoro codzienne zakupy ograniczała chyba do pięciolitrowego baniała wody mineralnej i paczki środków przeczyszczających.

– Dziękuję. – Iwonka uśmiechnęła się, prezentując głębokie zmarszczki mimiczne, przecinające jej chorobliwie wysuszoną skórę. – Janusz go wybrał. To znaczy...

Chyba już zrozumiałaś, że sy piam z szefem?

Teraz widzisz, kto tu rządzi.

Jakieś pytania?

– Czy wy...? – szepnęła Magda głosem przepełnionym czcią. Zaczynała doskonale się bawić.

– Tak – Iwona spuściła oczy. – Właściwie jesteśmy zaręczeni.

Jasne. Że też się nie domyśliłam.

– To cudownie!

Mój Boże, zastępczyni redaktora naczelnego i kochanka prezesa. Powinnaś dostać odpowiedni

identyfikikator.

– Muszę cię zostawić. – Westchnienie Iwony sugerowało, że dobrowolnie zapracowuje się na śmierć. – Układam wstępniak – Znajomość fachowej terminologii najwyraźniej sprawiała jej rozkosz. – W zasadzie nie należy to do moich obowiązków, ale sama rozumiesz...

Gadaj zdrowa, serdeczko. Wyobrażam sobie twoje obowiązki. Pewnie masz odleżyny i śpisz na brzuchu.

– Jeżeli będziesz czegoś potrzebowała, mój gabinet jest naprzeciwko.

Magda uśmiechnęła się słodko.

– Właśnie chciałam z kimś o tym porozmawiać... – zagadnęła. – Co sądzisz o projektach wprowadzenia łącznej pisowni „nie” ze wszystkimi imiesłowami przymiotnikowymi? My, ludzie pióra, powinniśmy być wyczuleni na takie niuanse.

No i co, chuderława kretynko?

Nie rozpoznałabyś imiesłowu, nawet gdybyś się o niego potknęła.

Zgadnij, co to takiego?

Podpowiem ci.

To nie jest ciuch.

Ani wysokokaloryczny posiłek, do którego wyjesz po nocach.

Ani sto pierwsza pozycja miłosna.

Pip, pip, pip.

Niestety, czas minął.

– Podyskutujemy o tym w jakiejś wolnej chwili – zaproponowała pogodnie.

Magda obserwowała, jak profesjonalistka w twarzowym wdzianku cofa się w stronę wyjścia. Zawsze szczyła się tym, że na kilometr wyczuwa osoby niepiśmienne.

Starannie zamknęła drzwi i usiadła na niewygodnym krześle.

Czas na małe podsumowanie.

W dotychczasowym życiu poznała już kilka tuzinów Iwonek i nie była pewna, czy dojrzała do obcowania na co dzień z kolejną przedstawicielką tego gatunku. Poszczególne egzemplarze różniły się między sobą długością włosów i odcieniami kostiumów, ale zawsze charakteryzował je wysoki poziom agresji. Typowa biurowa zmora w najnowszej wersji, dużo groźniejszej niż wariant klasyczny, stanowiła dowód, że kochanki szefów uległy modernizacji w takim samym stopniu jak reszta biurowego wyposażenia. Po dawnemu trzęsły firmą, ale teraz za swoje usługi żądały już nie luksusowych apartamentów i biżuterii, ale eleganckich gabinetów udekorowanych ostatnimi zdobyczami techniki.

Rozejrzała się po swojej klitce. Eksmitowane ksero musiało mieć rozmiary pudełka od zapalek. Być może dostało klaustrofobii i w odruchu rozpaczki zdecydowało się na autodestrukcję. Ona będzie mądrzejsza.

Postanowiła ruszyć na zwiady.

Zapukała do drzwi, za którymi rezydowała Iwona, i weszła do jej sanktuarium. Było dokładnie tak, jak się spodziewała. Elektroniczne bibeloty sprawiały wrażenie szczególnie kosztownych. Monitor komputera miał przynajmniej dziewiętnaście cali, a imponująco płaski skaner zajmował większość biurka. Na oddzielnym stoliku pysznił się supernowoczesny faks.

Brakowało tylko zestawu do telekonferencji.

– Jesteś grafikiem? – spytała z szacunkiem.

Iwona wyglądała na zdezorientowaną. Najwyraźniej nie odkryła jeszcze przeznaczenia przedmiotów, którymi przyozdobiono jej królestwo.

– W czymś ci pomóc? – Spojrzała na Magdę z niechęcią. – Pracuję.

– Właśnie widzę – mruknęła Magda. – Wyglądasz na wyczerpaną. Nie powinnaś bardziej się oszczędzać?

Iwona wytrzeszczyła na nią oczy.

– Czego chcesz? – warknęła.

– Janusz powiedział... – zaczęła Magda i wstrzymała oddech w oczekiwaniu na eksplozję.

Nie zawiodła się.

– Jesteście na ty?! – zasyczała Iwona. – Można wiedzieć od kiedy?

– Od dzisiaj – zagruchała Magda. – To bardzo sympatyczny człowiek, prawda? I taki bezpośredni.

Zaraz trafi ją szlag, ucieszyła się na widok miny swojej szefowej.

– Zauważyłaś, że lubi blondynki? – rzuciła niedbale, poprawiając włosy.

Iwonie najwyraźniej groziła apopleksja.

– Może byś coś zjadła? Żle wyglądasz.

Iwona wyglądała, jakby poraził ją prąd.

Ciekawe, co ona robi na widok hamburgera.

Straż pożarna? Policja?

Ratunku! Zabierzcie go stąd!

Tak jest uzbrojony. Oczywiście, że się nie mylę! Widzę plasterek żółtego sera!

Do jasnej cholery, czy pan wie, co to są kalorie?!

Żądam osobistej ochrony!

Na pomoooooooooooc!

– Gdybyś się zdecydowała, mam czekoladę – dorzuciła Magda.

Iwona gwałtownie pobrała i kuczowo wczepiła się w brzeg biurka cienkimi jak patyczki palcami. Zaraz je połamie, zmartwiła się Magda. Wyobraziła sobie suchy trzask, jaki wydają pękające pod butami gałązki.

Zdaje się, że wspominając o jedzeniu, popełniła ciężkie przestępstwo.

Uwaga, uwaga!

Na terenie instytucji obowiązuje całkowity zakaz posiadania artykułów spożywczych, ich konsumpcji oraz wydawania dźwięków kojarzących się z jedzeniem.

– W każdym razie zostawię ci kawałek.

Na razie wystarczy, postanowiła i z gracją opuściła gabinet.

6.

Zaraz po wejściu do mieszkania Magda wyjęła z torby wypchaną szarą kopertę i dramatycznym gestem rzuciła ją Ance na kolana.

– Czytaj!

– Co to jest? – Anka nieufnie obejrzała pakunek.

– Popełniłam dla ciebie przestępstwo. – Magda miała minę bohaterki francuskiego ruchu oporu z serialu *Allo, Allo!* Brakowało jej tylko beretu z antenką. – Kto wie, może już mnie szukają?

– Roznosisz bibułę? – zdziwiła się Anka. – Trzeba było zacząć jakieś trzydzieści lat temu.

– Wykrałłam z redakcji listy od czytelniczek „Twojego Drugiego Ja” – wyjaśniła Magda. – Mówię ci, są ich setki. Wybrałam najlepsze.

– Przecież wydali dopiero dwa numery?

– Ale świetnie się sprzedają. Do pierwszego dołączyli w prezencie prezerwatywę o smaku coli.

– Mniam, mniam, co za smakowity kąsek – skrzywiła się Anka.

– Nie przesadzaj. Po prostu nie przepadasz za gazowanymi napojami. – Magda machnęła ręką. – Zrobię ci herbaty.

– Tylko proszę bez bąbelków.

Kiedy Magda wróciła z kuchni, zamiast Anki w fotelu tkwiła żona Lota z obandażowaną nogą. Z nieruchomej ręki sterczała kartka papieru.

– Zaczęłaś beze mnie? To nieładnie.

Oślupiała Anka intensywnie wpatrywała się w niechlujny świstek.

– Zobacz, w kratkę. Wygląda jak wyrwana z zeszytu. – Podniosła na Magdę oczy wielkości deserowych talerzyków. – A to pismo jest jeszcze dziecięce.

Magda odstawiła kubki i wzięła od niej kartkę.

– O, widzę, że zaczęłaś od najlepszego – stwierdziła, rozpoznając nieporadne kulfony. – Ostatnia dziewczyna w klasie? Jak to otworzyłam, zadławiłam się bananem. O mało się nie udusiłam.

– Wiesz, zawsze miałam nadzieję, że te listy ktoś wymyśla – westchnęła Anka. – Droga

Redakcjo, mam czternaście lat i spiam ze swoim ojczymem. Mama mi nie pozwala. Czy ma rację? Pomóżcie! Coś w tym stylu. Ale to... Wszystkie chłopaki się ze mnie śmieją – wydekłamała z uczuciem. – Koleżanki mówią, że jeszcze trochę i żaden nie będzie chciał tego ze mną robić. Bo jak dziewczyna za długo jest dziewicą, to znaczy, że nie ma powodzenia, a chłopaki lubią umawiać się z laskami. Ostatnio jeden kolega z klasy przykleił mi do kurtki kartkę z napisem „nieużytek”. Co to znaczy?

– Już wiem, jak odpowiedzieć – ucieszyła się Magda. – Moja droga, Twój kolega ma jak na swój wiek bardzo bogate słownictwo. Poproś, żeby pomagał Ci w odrabianiu lekcji.

– Dlaczego masz jej odpowiadać? – zdziwiła się Anka.

– Faktycznie, zapomniałam się przedstawić. Cześć! Jestem Zuza, Twoja starsza siostra. Masz problem? Napisz do mnie! Spróbujemy rozwiązać go razem!

Przyjaciółka spojrzała na nią z obrzydzeniem.

– Jak ci nie wstydz?

– Nie bądź taka zasadnicza. Podoba ci się mój pomysł?

– Mam lepszy.

– Mogę sobie wyobrazić – parsknęła Magda. – Niestety, nic z tego. Szef uważa, że to list miesiąca. Zainspirował go do ogłoszenia konkursu *Mój pierwszy raz*. Foto mile widziane.

– Zdjęcia w stylu przed i po?

– I w trakcie.

– Jaką nagrodę przewidujecie?

– Zaproponowałam zestaw środków plemnikobójczych, ale zostałam przegłosowana. Mamy zapas *Doliny Muminków*.

– Czy one jakos się rozmnazają?

– Nawet z dużą łatwością. Przeczytaj resztę. – Magda podetknęła Ance kopertę.

– Pytałam o Muminki.

– A wiesz, że to niezły pomysł? Konkurs literacki *Pierwszy raz Muminka*. – Magda zapaliła się do nowego projektu. – Będę miała okazję, żeby zabłysnąć inicjatywą. Zaproponuję nowy cykl. Następny temat... może *Śnieżka wśród krasnoludków*. Co sądzisz o seksie zbiorowym?

– Jesteś obrzydliwa.

– A ty niewdzięczna – oburzyła się Magda. Ryzykowałam dla ciebie głowę. Za wynoszenie tej literatury na zewnątrz grozi kara śmierci.

– Nie przesadzaj.

– Mówię poważnie, sam szef udzielił mi pouczenia. Nazywa to etyką zawodową. Pewnie boisz się, że ktoś wystawi to na Allegro.

– Całkiem możliwe.

– Możesz sobie wyobrazić? Gdyby coś takiego wpadło w niepowołane ręce, rozpętałaby się ogólnokrajowa akcja zwalczania wtórnego analfabetyzmu.

– A nie możecie wysłać im w nagrodę słowników ortograficznych? – Anka wyraźnie się ożywiła.

– Wątpię. To byłoby niedelikatne. W młodym pokoleniu nie wolno zabijać wiary we własne siły – stwierdziła Magda. – Dobra, siadam do roboty. Muszę napisać na jutro tekst Dziesięć sposobów na sprawdzenie, czy masz u niego szanse.

– Pomogę ci – zaofiarowała się Anka. – Sposób pierwszy: podejdź do niego na przerwie

i rozbiierz się do naga. Jeżeli uciekniesz z wrzaskiem, daj sobie z nim spokój. Widocznie jest niedojrzały.

– Cudowne. Jeszcze jakiś pomysł?

– Sposób drugi: spytaj, czy chciałby uprawiać z tobą seks oralny. Jeśli będzie się zastanawiał nad odpowiedzią dłużej niż dwie sekundy, to znak, że nie jesteście sobie przeznaczeni.

– Masz prawdziwy talent.

– Sposób trzeci: zaproponuj, że wspólnie odegracie scenę, którą najczęściej sobie wyobraża, kiedy się onanizuje. Jeżeli...

Anka była w transie.

– Która godzina?

– Prawie szósta – rzuciła Anka i lekceważąco machnęła ręką. – Mogłabyś mi nie przerywać?...jeżeli poczuje się skrępowany, spróbuj... Co?! To niemożliwe! Klusek będzie tu za godzinę!

– Tak właśnie mi się wydawało. – Magda pokiwała głową.

– Trzeba coś zrobić z tą norą! – Anka zerwała się z fotela i stanęła na chorej nodze.

Wrzasnęła z bólu i czym prędzej usiadła z powrotem.

– Zrób coś – zażądała, wpatrując się w przyjaciółkę.

– Przecież obiecałam, że ci pomogę.

– To na co czekasz? – Anka niecierpliwie kręciła się w fotelu. – Może skoczysz po drabinę i farby?

– Mam lepszy pomysł. Dziesięć sposobów, które sprawią, że twój pokój zamieni się w miłosne gniazdko.

Anka rzuciła w nią kopertą z listami.

– Przede wszystkim schowaj gdzieś te świnstwa!

– Po prostu na nich usiądź – zaproponowała Magda. – Może wchłoniesz te mądrości przez osmozę.

Po chwili namysłu starannie zaciągnęła zasłony. Pokój w dalszym ciągu trudno było nazwać przytulnym gniazdkiem, ale pewne szczegóły nieco mniej rzucały się w oczy. Hodowla grzyba utonęła w półmroku, a oczy martwych jeleni na myśliwskich widoczkach nie wydawały się już tak przeraźliwie szkliste.

– I jak? – Magda rozejrzała się, oceniając efekt.

– Przecież na dworze jest jeszcze jasno! – zaprotestowała Anka. – Co mu powiem, jeżeli spyta, dlaczego siedzę po ciemku?

– Masz migrenę i razi cię dzienne światło. Nie przeszkadzaj, tworzę.

Anka wstrzymała oddech, żeby nie sponosić kapryśnej muzy.

Magda zapaliła lampę na biurku.

– Teraz lepiej?

– Idealnie. Mogłabyś robić scenografię do *Sensacji XX wieku*. Facet pomyśli, że trafił na przesłuchanie.

– Poczekaj, aż skończę. – Magda narzuciła na lampę jedwabną apaszkę. – Wskazówka pierwsza: przede wszystkim zadbaj o odpowiednie oświetlenie. Bez tego trudno marzyć o romantycznej atmosferze! Może użyjesz świec? W ich świetle wydasz mu się tajemnicza, a nawet najbardziej zaawansowane zmiany trądzikowe na twojej buzi staną się mniej widoczne...

Stworzysz własny zakątek rozkoszy...

Anka popatrzyła na nią podejrzliwie.

– Zakątek rozkoszy? Brzmi jak nazwa agencji towarzyskiej.

– Wskazówka druga: pamiętaj o odpowiedniej muzyce, która wprawi go we właściwy nastrój. W naszym katalogu wysyłkowym znajdziesz płytę z rewelacyjną składanką najgorętszych przebojów, zatyłowaną *Daj mi tę noc*. Kiedy już będziecie tylko we dwoje, zrób striptiz w rytm ulubionej piosenki. – Magda zaczęła przerzucać kolekcję płyt. – Cholera, same oratoria i msze żałobne. Jak się przy tym rozbierać? – spytała z pretensją.

– Zdejmę ubranie, skórę i całą resztę – postanowiła Anka. – Potem mój szkielet wykona *danse macabre*.

– Wskazówka trzecia: koniecznie zmień pościel. W ten sposób dasz mu do zrozumienia, że poważnie myślisz o waszym związku. Pamiętaj, w naszym zaczarowanym sklepiku kupisz romantyczny komplet pościeli w malutkie penisy za jedyne 39,99 zł, dostępny w trzech niepowtarzalnych kolorach. – Magda ruszyła tanecznym krokiem w stronę rozgrzebanej wersalki. – Wiesz, mieszkanie w kawalerce ma swoje dobre strony. Nic nie możesz poradzić, że na pierwszej randce zobaczy twoje łóżko.

– Nie mamy pościeli w penisy – zmartwiła się Anka.

– Wskazówka czwarta: połóż środki antykoncepcyjne w takim miejscu, żeby łatwo było po nie sięgnąć. Nie każ mu czekać zbyt długo! Przypominamy, że do pierwszego numeru naszego czasopisma dołączyliśmy prezerwatywy o smaku twoich ulubionych napojów! Nie zapomnij go spytać, co pije najchętniej. Twoja troska o takie szczegóły na pewno go zuroczy...

– Poproszę coś light.

– Wskazówka piąta: przygotuj jakieś drobne przekąski, które podasz mu w chwili odpoczynku. Przypominamy, że seler naciowy i zielona pietruszka działają jak afrodyzjak! Jeżeli namówisz go na odrobinę zieleniny, być może nabierze ochoty na dalsze przyjemności...

– Co mamy w lodówce? – zastanowiła się Anka.

– To, co zwykle. Lakier do paznokci i piwo.

– Ciekawe, co lubi bardziej.

– Poczekaj, zaraz wracam! – Magda skierowała się w stronę drzwi wejściowych.

– Idziesz do sklepu? – zawołała za nią ucieszona Anka. – Kup mi coś słodkiego!

Magda wróciła po kilku minutach, przyciskając do siebie sporą donicę, z której sterczała pierzasta kępa liści.

– Nie za duży ten seler? – zmartwiła się Anka. – Jeszcze mu zaszkodzi.

– To dracena. Pożyczyłam od tej miłej staruszki z pierwszego piętra, której pomagasz nosić zakupy. Niestety nie miała żadnych książek o pielęgnacji roślin doniczkowych. Położymy ci na kolanach moje *Zasady prowadzenia domu*. Jest tam rozdział o kwiatkach, będziesz mu mogła pokazać.

– Koniecznie?

– Wskazówka szósta: musisz pamiętać, że twój partner tak naprawdę spodziewa się po tobie ciepła i kobiecości. Nie rozczaruj go. Wymyśl sobie jakieś oryginalne hobby i opowiedz mu o nim, kiedy będzie odpoczywał po miłosnych igraszках. Doradzamy szydełkowanie albo uprawę roślin doniczkowych. Pokaż mu, że potrafisz być prawdziwą panią domu!

– Powiem mu, że sama wydzierałam te wszystkie serwetki – postanowiła Anka. – Spytam,

czy chciałby mieć podobną.

– Staruszka proponowała mi jeszcze kota – przypomniła sobie Magda. – Bardzo gustowny, syjamski.

– I nie wzięłaś? – Anka była niepokieszona.

– Wskazówka siódma: na ten szczególnie wieczór pozbądź się swojego czworonożnego ulubieńca. Musisz zrozumieć, że twój chłopak ma prawo poczuć się zazdrosny o psa czy chomika (wyjątek stanowią rybki). W ten sposób dasz mu do zrozumienia, że jest dla ciebie najważniejszy!

– Biedny chomik – uzależniła się Anka. Zawsze była bardziej wrażliwa na krzywdę małych puchatych zwierzątek niż na ludzkie problemy.

– I na koniec najważniejsze: wybierz strój, który sprawi, że będzie wspominał tę chwilę do końca życia. – Magda przyjrzała się krytycznie przyjaciółce, która siedziała w zapadającym się fotelu zawięta w sprany szlafrok w kaczuszkę. – Przydałby ci się peniuar. Z kokardkami.

– Oraz lustra w złożonych ramach, purpurowe aksamitne kotary i kilka obrazów z Ledą w towarzystwie dorodnego łabędzia – poradziła Anka. – Urządzimy tu burdel w stylu retro.

– Doskonały pomysł. Będę burdelmamą.

– Teraz wszystko zależy już tylko od twojej wyobraźni. Powodzenia! Opisz chwilę, które spędziliście razem, i przyślij nam swoją historię. Możesz dołączyć do niej wasze wspólne zdjęcie! Nie zapomnij o zgodzie na publikację podpisanej przez oboje rodziców. Prześlemy ci atrakcyjną nagrodę książkową, fascynującą opowieść *Seks w Dolinie Muminków*.

– Nie sądzisz, że powinnam się jednak przebrać? – spytała Anka. – Te kaczuszki fatalnie wyglądają na zdjęciu.

– Potrzebujesz czegoś zwiewnego – postanowiła Magda. – Naprawdę nie masz peniuaru?

– W którejś szafie widziałam starą firanę – przypomniła sobie Anka. – Mogę się nią owinąć.

– Będziesz wyglądała jak abażur.

– Przy najmniej przy mierzę. – Anka stanęła na jednej nodze i zdjęła szlafrok.

Kiedy zabrzmiał dzwonek do drzwi, straciła równowagę i ciężko oparła się o Magdę.

– Wybacz, ale muszę otworzyć. – Magda ustawiła przyjaciółkę w pozycji pionowej i wybiegła z pokoju. Na odchodnym rzuciła jej koc.

– Lepiej się przykryj – poradziła. – Czasami pójście do łóżka na pierwszej randce nie jest wskazane.

Anka szczerze owinięła się kraciastym pledem i wcisnęła w fotel.

– Tak, proszę pana, pani przyjmuje – z przedpokojem dobiegał radosny szebiot. – Czy mogę prosić o kapelusz? Ach, jakie piękne kwiaty!

Chwilę potem Magda wprowadziła Adama do pokoju.

– Nie zwracaj na nią uwagi – poprosiła Anka i spojrzała na przyjaciółkę ostrzegawczo. – Była molestowana seksualnie i załamała się psychicznie.

– Rozumiem. – Adam z powagą skinął głową. – Czy ona się leczy?

– Beznadziejny przypadek – Anka uśmiechnęła się smutno. – Próbowaliśmy wszystkiego. Straciła poczucie własnej wartości i walczy z tym, udając kogoś innego.

– Wezmę to, proszę pani. – Magda wyszczerzyła zęby i wyrwała jej kwiaty. – Pani uwielbia rośliny, sama to wyhodowała. – Wskazała Adamowi dracnę. – Prawda, że imponujące? Zaraz podam herbatę i seler. Pietruszka niestety nam się skończyła – oświadczyła i wyszła do kuchni.

Adam odprowadził ją wzrokiem i rozejrzał się po pokoju. Na jego twarzy odmalował się głęboki namysł. Najwyraźniej szukał tematu do niezobowiązującej konwersacji. Anka postanowiła mu pomóc.

– Śliczne serwetki, prawda? – zagadnęła.

– Tak – Adam zdecydowanie się ożywił. – Sama je zrobiłaś?

Anka wydała z siebie wieloznaczny pomruk

Wybacz, wdowo po powstańcu.

– Moja mama też lubi robótki – rozmarzył się Adam. – Zrobiła mi ten sweter. – W jego głosie pojawiła się autentyczna czułość.

Miłość zaślepia, pomyślała Anka na widok dzieła zręcznych matczynych rąk. Sweter był jasnokremowy i o kilka numerów za mały. Adam wyglądał w nim jak przerośnięty ministrant.

– Zimno ci? – Przyjrzał się Ance ciasno okrywanej kocem. – Wydawało mi się, że tu jest gorąco.

– Mam dreszcze – poskarżyła się i spojrzała na niego żałośnie.

– Chyba nie masz gorączki? Pokaż. – Dotknął jej czoła.

Jeżeli teraz się poruszy, pokaże mu więcej, niż mógłby się spodziewać. Czują, jak koc powoli się rozwija.

– Odsuń się.

– Czemu? – Adam wyglądał na rozczarowanego.

– Słabo mi.

– Przyniosę ci wody. – Adam poderwał się energicznie. W tym momencie z kuchni dobiegł wrzask i brzęk tłuczonego szkła. – Co to było?! – Rozejrzał się z przerażeniem. Najwyraźniej obmyślał plan ewakuacji.

– Magda wpadła do wanny – poinformowała go odruchowo.

Na widokminy gościa zrozumiała, że wyjaśnienie nie do końca go zadowoliło. Nic dziwnego, przecież nie widział jeszcze ich kuchni. Trudno. Może będzie chciał zobaczyć to na własne oczy i wyjdzie z pokoju, a ona w tym czasie dokładniej owinie się kocem.

Adam wyruszył na poszukiwanie źródła dziwnych dźwięków. Nie było chwili do stracenia. Stała na zdrowej nodze i zerwała z siebie koc. W tym momencie Adam pojawił się z powrotem. Ciągnął za sobą ślaniającą się na nogach Magdę. Z jej ręki kapała krew.

– Pomóż mi! – zawodziła. – Przyśięgam, że jestem zdrowa. Nie mam AIDS. Niczym cię nie zarażę. Błagam, zrób coś z tą ręką!

– Ona nie lubi widoku krwi – wytłumaczyła rzeczowo Anka.

– Szybko, apteczka! – Na widok gołej Anki, podskakującej na jednej nodze, Adam zamilkł i gwałtownie zawrócił.

– Muszę umyć ręce – wybełkotał i wybiegł z pokoju.

– Szuka łazienki – smartwiła się Magda. – Uprzedziłaś go, co będzie, jak odkręci wodę?

– Jakoś nie było okazji. – Anka sięgnęła po koc. – Zaraz sam się przekona.

Z łazienki dobiegł złowrogi bulgot.

Po chwili w pokoju pojawił się Adam. Przód jasnego swetra ociekał rdzawoczerwoną cieczą. Patrzył na przyjaciółki z obłędem w oczach, dając do zrozumienia, że oczekuje pomocy.

Anka miała wrażenie, że na krótką chwilę czas stanął w miejscu.

Adam wpatrywał się w rudy zacieki na brzuchu.

Mamusi, mamusiu, te dwie brzydkie dziewczynki zniszczyły mi sweterek

Magda chichotała.

Z rozciętego palca wolno ściekała krew.

Nagle rozległa się radosna melodia *Marsylianki*. Czar prysł.

– Moja komórka. – Adam otrząsnął się z osłupienia i sięgnął do kieszeni. – Tak słucham? –

Głos mu drżał. – Nie, mam, mam, wszystko w porządku... Nie, musiało ci się wydawać... Oczywiście, że w szpitalu, mam pacjenta... Tak, nagły przypadek.. Ciężki? Bardzo ciężki... – Przyjrzał się Magdzie z namysłem. – Boję się, że beznadziejny... Nie martw się, wiem, że czasem nic nie można zrobić... Tak, będę jak najszybciej... Na pewno zdążę na kolację... Tak, mam. Do zobaczenia.

Wsunął telefon do kieszeni.

– Wybaczcie, ale powinienem jechać do domu. Zapomniałem, że muszę być na kolacji... Moja mama... Ona prosiła, żebym... Jutro zadzwonię... – Spojrzał na Ankę bezradnie. – Naprawdę muszę już iść. Owiń czymś ten palec, mocno krwawi – poradził Magdzie i wyszedł z pokoju.

Usłyszały, jak cicho zamyla za sobą drzwi.

– O Boże, co za wstyd – jęknęła Anka. – Równie dobrze mógł powiedzieć, że zapomniał wyłączyć żelazko.

– Nie gniewaj się. – Magda przestała chichotać i z wysiłkiem oderwała wzrok od rozciętego palca. – Chyba nie myślisz, że zrobiłam to specjalnie.

– Czy to nie wszystko jedno?

– O Boże, tak mi przykro. Ale nie masz czego żałować. On mieszka z mamusią. Słyszałaś, jak z nią rozmawiał? Myślałam, że na koniec powie „kocham cię” i ucałuje telefon. Synuś idealny. Tacy zawsze są najgorsi.

– Napisz o tym. Dziesięciu facetów, którzy ch powinnas omijać z daleka – poradziła jej Anka. – Ale najpierw zrób coś z tą ręką. Krwawisz jak zarzynane prosię.

– Coś śmierdzi – zauważyła Magda.

– Może masz gangrenę?

– Sama powąchaj.

– Faktycznie. – Anka pociągnęła nosem i rozejrzała się po pokoju.

– Cholera! – Magda skoczyła w stronę biurka. – To moja apaszka. Zapaliła się od lampy.

– Mam pomysł – ożywiła się Anka. – Dziesięć sposobów na podgrzanie atmosfery.

7.

Coś ty mi wczoraj dała?! – Anka usiadła na łóżku i przetarła oczy.

– Poczekaj... Mała okrągła tabletką ze śmiesznym obrazkiem? – zawołała z kuchni Magda. – To chyba extasy. Chcesz jeszcze?

– Zwariowałaś!

– Uspokój się. Zwykła tabletką nasenna. Nie mogłam patrzeć, jak się zdręczasz. – Magda zajrzała do pokoju. – Chcesz kawy? Zaraz staniesz na nogi. Przynajmniej na jedną.

Anka nie rezygnowała.

– Musiałaś się pomylić. Całą noc miałam koszmary.

– Akurat, spałaś jak niemowlę. Nawet pochrapywałaś.

– Za to teraz mam halucynacje!

– A co widzisz?

– Kwiatek

– To miłe, nie uważasz?

– Kwiatek naszej sąsiadki. Sterczy z doniczki korzeniami do góry.

– A, o to ci chodzi – westchnęła Magda z ulgą. – Wystraszyłaś mnie. Przyznaję, trudno go poznać.

Anka spojrzała na nią wzrokiem rodzonej siostry bazyliśka.

– Nie patrz tak. Spadł wczoraj, kiedy już spałaś. Nawet próbowałam wsadzić go z powrotem.

– O tak, widzę. Nie mogłaś znaleźć właściwego końca? Rzeczywiście trudno zauważyć, że stoi do góry nogami.

– Było ciemno. Nie zapalałam światła, żeby cię nie budzić.

– Dzisiaj jest jasno.

– Jestem ranna, zapomniałaś? – Przyjaciółka spojrzała na Ankę z pretensją. – Od grzebania w ziemi mogłabym dostać tężca.

– Faktycznie, nie pomyślałam. Co teraz będzie?

– Nic. – Magda odzyskała spokój. – Ciesz się, że nie wzięłyśmy kota.

– A jak twój palec? Strasznie krwawił. Popatrz, zachlapałaś nawet ścianę.

Magda pobałdała.

– Nie wiedziałam, że straciłam tyle krwi. Chyba mi słabo. Nie idę do pracy – postanowiła akurat w momencie, gdy zadzwonił telefon.

– Za późno – rzuciła Anka. – Już cię znaleźli.

Magda westchnęła ciężko i podniosła słuchawkę.

– Słucham?... Tak, oczy wiście... Czuję się doskonale... Widać, że za panią tęskni. Oczy wiście, tylko do wieczora... Nie, jak mogłybyśmy o tym zapomnieć?... Obiecuję, że sprawdzę... Nie, chyba mamy termometr... Do widzenia.

– Przestań się na mnie gapić – poprosiła Ankę, odkładając telefon. – To była nasza sąsiadka. Prosiła, żebym podlała dracenę. Podobno lubi letnią wodę.

– Możliwe, że zmieniła upodobania. – Anka zerknęła z powątpiewaniem na smętny kikut wystający z doniczki. – Wygląda trochę inaczej.

– Myślisz, że nie żyje?

– Chyba trzeba się z tym liczyć.

– Mam wyrzuty sumienia. Lepiej pójdę do pracy.

– A jak zadzwoni pani od kwiatka? – przestraszyła się Anka.

– Powiedz, że wyprowadziłam go na spacer – poradziła Magda. – Dam ci coś, na wypadek gdybyś zaczęła się nudzić.

– Kolejną pigułkę?

– Coś ty. To metoda naturalna, zero skutków ubocznych. Poczekał.

Uklęka i wpełza pod rozpadającą się wersalkę.

– Uważaj na sprzężyny – poradziła Anka. – Kiedy stamtąd wyjdiesz?

– Już mam. – Magda wstała i wręczyła jej stos książek w jadowicie kolorowych okładkach.

Anka spojrzała na tytuły.

– *Orgia piekielnych namiętności. Zakątek tajemnej rozkoszy. Niebezpieczna żądza. Niszczycielski płomień.* – Podniosła oczy na Magdę. – Co to jest?

– Nie widzisz? Romanse.

– Romanse?

– Mam ci przeliterować? Wymawiasz to, jakbyś pluła.

– Naprawdę?

– Widzisz? Dałaś się sterroryzować.

– Komu?

– Facetom. Anty feministom. Dupłom.

Anka spojrzała na nią pytająco.

– Nie zauważyłaś? – zdziwiła się Magda. – Obejrzyj pierwszy z brzegu film obyczajowy. Mąż nakrywa żonę z książką. *Znowu czytasz te babskie bzdury!* Z uśmiechem politowania ogląda okładkę i wzdycha. *Wszystkie kobiety to idiotki.*

Anka parsknęła śmiechem.

– Myślisz, że to zabawne? Mówię ci, uczą ich tego na jakichś tajnych kompletach. Powiedz przy facecie „prasa kobieca” i przyjrzyj mu się uważnie. Zrobi minę, jakby wdepnął w kupę, albo uśmiechnie się pobłaźliwie i zacznie gadać o niewyżytych seksualnie feministkach.

– Nie wiedziałam, że walczysz o prawa kobiet. Tyłko czemu trzymasz te książki pod łóżkiem?

– A jak myślisz? – Magda wzruszyła ramionami. – Bałam się, że Kamil je znajdzie.

– I kto tu mówi o manipulacji? Przez pół roku robił z ciebie idiotkę.

– Było mi go żal. On naprawdę uważał, że tylko penis daje prawo do życia. Musiał się czuć bardzo niepewnie, mając szczątkowe atrybuty człowieczeństwa.

– Jak na kogoś z problemami radził sobie doskonale. A ty zachowywałaś się jak kompletna idiotka. – Anka skrzywiła się z niesmakiem.

– Udawałam intelektualistkę.

– No i co, warto było?

– Niespecjalnie. O mało nie dostałam zapalenia mózgu, a on mnie zostawił. Podobno byłam za mało kobieca.

– Może o tym napiszesz? Dziesięć sposobów, których on użyje, żeby zrobić z ciebie niewolnicę.

– To za trudne. Wymyślimy coś, jak wrócę z pracy. A jak nam się nie uda, to poprosimy o pomoc Iwonkę. Sukces murowany.

8.

Magda zakłęła. Znowu uderzyła w klawiaturę chorym palcem. Obejrzała plaster i skrzywiła się. Oczywiście zaczął przeciekać. Podniosła się, żeby poszukać nowego, ale w tym momencie do pokoju wpadła Iwonka, ciągnąc za sobą wyraźnie rozjuszonego mężczyznę.

– Ta pani odpowiada za korespondencję. Udzieli panu wszelkich wyjaśnień – zapewniła i spojrzała na Magdę z mściwą satysfakcją. – Gdyby nie okazała się pomocna, proszę zwrócić się do mnie. Obiecuję, że wyciągnę konsekwencje. – Uśmiechnęła się zachęcająco i wyszła.

Facet zatrzasnął za nią drzwi i natarł na Magdę.

Cofnęła się o krok

Przyparł ją do ściany i chwycił za ramię.

Postanowiła, że będzie krzyczeć.

– Co pani narobiła?! – Facet potrząsnął nią brutalnie. – Czy chociaż zdaje sobie pani sprawę z własnej głupoty?!

– Nie rozumiem...

– Pani jest niebezpieczna! Powinno się panią zamknąć! – Zamachał jej przed oczami wymiętą gazetą. – Pozwę panią do sądu!

– Ale...

– Pani to napisała! – Podetknął jej gazetę pod nos. – Zuza, starsza siostra! – wypluł z pogardą. – To obrzydliwe!

Magda zaczęła rozumieć.

Facet ścisnął w rękę „Twoje Drugie Ja”.

– Panu nie chodzi o mnie – wyjaśniła z ulgą, próbując oswobodzić ramię. Napastnik nie puszczał.

– A o kogo?! – warknął i znowu nią potrząsnął.

– O moją poprzedniczkę. Pracuję tu od wczoraj.

– Uważa mnie pani za durnia?! Zawsze tak się mówi!

Magda odepchnęła go energicznie i wyrwała mu czasopismo.

- Proszę sprawdzić. To numer sprzed miesiąca. Naprawdę jeszcze mnie tu nie było.
- Facet spojrział na nią trochę łagodniej.
- Nie zabije mnie, ucieszyła się.
- Gdzie ona jest? Ukręć jej łeb.
- O, nie wątpię.
- Gdzie ją znajdę?
- Może spróbuje pan na oddziałach psychiatrycznych? Albo w jakimś ośrodku odwykowym?
- zaproponowała Magda skwapliwie.
- Pani żartuje?
- Absolutnie. Boję się pana i usiłuję pomóc. Zwolnili ją. Okazała się niezrównoważona.
- W to akurat jestem w stanie uwierzyć. Proszę to przeczytać – zażądał i otworzył gazetę na odpowiedniej stronie. – Tak, właśnie to.
- Magda nie próbowała protestować.
- *Droga Zuzo, ty jedna mnie zrozumiesz. Rodzice nie pozwalają mi się widywać z moim chłopakiem. Przyszedł do nas pijany i próbował zdjąć mamie ubranie. Pewnie się pomylił, a ona teraz robi mi na złość. Krystian mówi, że jest zazdrosna. Czy ma rację?* – Magda podniosła wzrok – Mam kontynuować?
- Teraz odpowiedź – zakomenderował mężczyzna.
- *Niestety tak. Typowa postawa psa ogrodnika. Spotykajcie się u niego. Twoja Zuzo.*
- Następnym razem – padł rozkaz.
- Nie ma sprawy.
- *Najdroższa Zuzo! Czy można umawiać się z czterema chłopakami jednocześnie? Odpowiedź: Jasne, a jak inaczej sprawdzić, który jest najlepszy? Podpis jak wyżej.*
- Ten na samym dole jest od mojej córki. Proszę się nie krępować.
- *Ukochana Zuzo! Poradź mi, co mam zrobić. Chciałam sobie założyć kilka kolczyków, a tata się nie zgodził. Wszyscy w klasie już mają. Czemu jest taki? Kiedyś mnie kochał.*
- Chyba wiedziała, co będzie dalej.
- *Doskonale Cię rozumiem. Odkąd sama mam dwa kolczyki w języku, inaczej patrzę na świat. Też masz do tego prawo. Ojcem się nie przejmuj. Pewnie chciał mieć syna. Podaję Ci numer telefonu zaufania dla ofiar przemocy w rodzinie. Pamiętaj, nie jesteś sama! Twoja starsza siostra. O Boże...*
- Wie pani, co ona zrobiła?
- Zadzwoniła na ten numer i nasłała na pana policję?
- Gorzej. Znalazła jakiegoś palanta, który nie zainteresował się, ile ma lat, i podziurawił ją jak sitko.
- A ile ma?
- Czternaście. I dwa razy tyle otworów we wszystkich możliwych miejscach.
- Co pan zrobił?
- Próbowałem się dowiedzieć, kto ją tak urządził. Nie powiedziała.
- Może to dobrze, nie uważa pan?
- Teraz też tak sądzę. Zabilbym gnojka gołymi rękami.
- Wierzę. – Magda rozmasowała zdrętwiałe ramię.
- Powinienem panią przeprosić, ale sama pani rozumie...

Ależ proszę nie robić sobie wyrzutów. Uwielbiam przemoc. To takie podniecające.

– A co z pana córką? – zagadnęła uprzejmie.

– Zabrałem ją na pogotowie. Chirurg powyjmował kłoczki, ale do tego najgorszego nie chciałem się dotknąć. Wezwał ginekologa.

– Naprawdę bardzo mi przykro. To musiało być dla pana straszne.

Facet skrzywił się boleśnie.

– Dzisiaj to bardzo wrażliwe dziecko. Odłąd rozstaliśmy się z żoną, zupełnie nie może się odnaleźć.

– Dzisiaj? – Magda doszła do wniosku, że nie dosłyszała.

– Zdrobnienie od Jadwigi. To po mojej matce. Zawsze chciała, żeby wnuczka nosiła jej imię.

A gdyby nazywała się Hermenegilda Symplicja?

– Doprawdy urocze – zapewniła pospiesznie.

Jak dla mnie może mieć na imię nawet Pszczółka Maja. Tylko nie bij.

– Lepiej już pójde. – Mężczyzna spojrział w stronę drzwi.

Magda przytaknęła z entuzjazmem. Ojciec wielbicieleki piercingu tyłem wycofał się z mikroskopijnej kanciapy.

Magda uznała, że najwyższy czas ewakuować się z miejsca kaźni.

– No i jak, widziałeś kiedyś coś podobnego?

Anka przetarła oczy, kiedy Magda weszła do pokoju. Za nią z szumem liści majestatycznie wkroczyła gigantyczna roślina.

– Kwiatek – wyjaśniła Magda radośnie.

– Bzdura. – Anka usiłowała podejść do sprawy racjonalnie. – Stokrotka to kwiatek. Niezapominajka to kwiatek. To jest jakieś cholerne drzewo.

– Jak Boga kocham, zara upuszczę! – Drzewo mówiło z akcentem z Powiśla. – Gdzie pani życzy to postawić? Ciężkie draństwo.

– Gdziekolwiek – Magda uśmiechnęła się zachęcająco.

Drzewo przestało poruszać liśćmi. Z gąszczy wyłonił się obcy facet wymazany ziemią.

– O, Tarzan! – ucieszyła się Anka.

– To ja już pójde – zaproponował facet.

– Słusznie – przytaknęła Magda.

Mężczyzna otrząpał spodnie i wyszedł.

– Może trzeba mu było zaproponować coś do picia? Wyglądał na wyczerpanego – zmartwiła się Anka.

– Jeszcze czego! – Magda niechętnie spojrzała w stronę drzwi. – To nie żaden małpi król, tylko taksówkarz. Umówiliśmy się, że dostanie dziesięć złotych, jeżeli wniesie to draństwo po schodach. Na pierwszym piętrze się zaparł. Musiałam dać dwadzieścia.

– Chyba nie miałaś innego wyjścia. – Anka zerknęła na drzewo z respektem. – Co to właściwie jest?

– Dracena, a co myślałaś?

– Napadłaś na ogród botaniczny?

– Byłoby taniej – westchnęła Magda. – Zobaczyłam to w kwaciarni.

– Nie mieli mniejszych? To jakiś mutant.

– Była ta jedna, na dodatek w charakterze dekoracji. Facet zza lady nie chciał zdemolować

wystawy.

– Jak go przekonałaś?

– Obiecałam zrealizować jego erotyczne fantazje. Z laktusem w roli głównej.

– Ostry facet. Masz zamiar dotrzymać słowa?

– Poniękąd. Podałam mu numer Iwony. – Magda była zachwycona.

– Biedny człowiek – mruknęła Anka. – Myślisz, że przeżyje?

– Molestował mnie.

– A nie ty jego?

– Nie bądź drobiazgowa.

– Wymyśl jeszcze, jakim cudem kwiatek naszej sąsiadki przerósł ją o głowę w ciągu jednej nocy.

– Mamy tu idealne warunki. Jakieś pole magnetyczne – zastanawiała się Magda. – Możemy powiedzieć, że same sporo urosłyśmy, odkąd tu mieszkamy. Żyłki same się ostrzą. Rany goją się w ciągu jednej nocy. Chromi widzą. Ślepi chodzą.

Anka spojrzała na nią podejrzliwie.

– A nie na odwrót?

– Nieważne. Liczy się efekt ogólny.

– A doniczka? Też urosła?

– Tak i z wysiłku zmieniła kolor. Jak ją to zaniosę? – Magda obeszła w koło dorodną roślinę.

– Nie martw się, pewnie pójdzie sama. Pamiętajsz *Dzień tryfidów*?

Magda jęknęła.

9.

Ktoś załomotał do drzwi.

Magda podskoczyła ze strachu i wyłała na siebie herbatę.

– Kto to może być, do cholery?!

– Nie otwieraj – poradziła Anka. – Może to ten facet z kwaciarni? Pewnie cię śledził. Chce się upomnieć o figle z kaktusem.

Łomot rozległ się ponownie.

– Proszę otworzyć! – usłyszały nieznoszący sprzeciwu głos.

– O Boże, nie. To sąsiadka. – W oczach Magdy błysnęła panika. – Co teraz zrobimy?

– Chyba trzeba ją wpuścić – zdecydowała Anka.

Magda posłusznie ruszyła w stronę drzwi. Szczęknięt zamek, a po sekundzie do pokoju wpadła staruszka z trzeciego piętra. Już nie wyglądała na miłą. Za nią z podniesionym ogonem wkroczył wielki tłusty kot.

– Kici, kici... – Anka usiłowała nawiązać uprzejmą konwersację, wyciągając rękę w stronę opasłego zwierzęcia. – Chodź do mnie, śliczny koteczku – zagruchała przy milnie.

Kot spojrział na nią jak na idiotkę i parsknął.

Czytałaś *Cmętarz zwieżąt*? Jestem Church.

– Ramzes pani nie polubił – poinformowała sąsiadka krótko.

Anka poczuła się jakśmieć.

– Przyszłam po kwiatek – zakomunikowała staruszka. – Mam przecucie, że stało się coś złego. Gdzie on jest?

Anka bez słowa wskazała na stojące na środku pokoju drzewo.

– Pani chyba żartuje! Gdzie moje biedne maleństwo?! – Staruszka zaczęła miotać się po pokoju. Kot usiadł naprzeciwko Anki i wpatrywał się w nią złym wzrokiem. Pilnował, żeby nie uciekła.

– Co tu się dzieje?! – zakończyła inspekcję. Maleństwo najwyraźniej zniknęło, a ona nie zamierzała się z tym pogodzić. W jej oczach błysnęła ponura determinacja.

Anka obronnym gestem podciągnęła wyżej koldrę.

Kot zasy czał i wyprężył się do skoku.

Magda podeszła do rozdygotanej starszej pani. Uspokajającym gestem dotknęła jej ramienia, ale starszka odskoczyła jak rżona prądem.

– Gdzie... – zaczęła, ale Magda nie dała jej dokończyć.

– Czy słyszała pani kiedyś, że to mieszkanie ma cudowne właściwości? – Zatoczyła ramieniem szeroki krąg i spojrzała wy czekująco.

Kobieta wytrzeszczyła oczy i poruszyła ustami.

– Nie. Naprawdę? Aż trudno w to uwierzyć, chociaż... – Zrobiła dramatyczną pauzę. – Być może właścicielka mieszkania zachowała to dla siebie.

– My śli pani, że to możliwe?

Sąsiadka skrzywiła się niechętnie.

– Wie pani, wcale bym się nie zdziwiła – wyszeptała konspiracyjnie. – Nikt jej tu nie lubił. W kościele ani razu nie była, a jak ksiądz po kółdzie chodził, to gasiła światła i udawała, że nie ma jej w domu. Jej nieboszczyk mąż to był ubek, pani sobie wyobraża?

– Niemożliwe! – Magda wyraziła stosowne oburzenie.

– Sąsiadów szpiegował i donosił swoim, a jak umarł, że dwadzieścia lat już minęło, to mu pogrzeb bez księdza wyprawili. Z orkiestrą. – Starsza pani wzdygnęła się ze wstrętem, a Magda pokręciła głową w niemym zdumieniu.

– No więc sama pani widzi – ciągnęła kobieta z przejęciem. Wyglądało na to, że chwilowo zapomniała o swoim kwiatku. – Jeśli działy się tu jakieś cuda, na pewno nikomu nie powiedziała. Nic dziwnego, że tak przed księdzem uciekała – stwierdziła z satysfakcją.

– Ma pani rację. Nas też nie uprzedziła. Same to zauważyłyśmy.

– A co się paniom przydarzyło?

– Cudowne uzdrowienie – zakomunikowała Magda uroczy ście.

Starsza pani westchnęła z rozkoszy.

– Koleżanka miała wypadek – Magda wskazała na Ankę, która zakopała się głębiej w pościeli. – O mało nie straciła nogi. Otwarte złamanie – improwizowała z uczuciem. – Poprosiła, żeby zabrać ją ze szpitala. Już pierwszej nocy rana prawie się zagoiła. Nawet lekarz przyjechał, żeby ją obejrzeć, bo nie chciał uwierzyć. A dzisiaj rano... proszę spojrzeć.

Anka posłusznie wysunęła nogę spod koldry.

– Sama pani widzi – zakończyła Magda triumfalnie. – Został tylko siniak wokół kostki.

Sąsiadka zaniemówiła z wrażenia. Magda postanowiła to wykorzystać.

– Niech pani popatrzy na swój kwiatek – zakomenderowała. – To się stało dzisiejszej nocy. Rósł tak szybko, że rozsadził doniczkę. Właśnie skończyłam go przesadzać.

– O mój Boże... – szepnęła starsza pani. – Nie mogę uwierzyć!

– Ja też nie mogłam – pospieszenie zapewniła Magda. – Trzeba czasu, żeby się z tym oswoić.

Starszka potruchtała do drzwi.

– Proszę poczekać, zaraz wracam! – zawołała z przejęciem i wybiegła z mieszkania.

Magda spojrzała niepewnie na Ankę.

– O co jej chodziło? Mam niedobre przeczucia.

– Ja też – odparła Anka. – Popatrz, zapomniała kota.

Walenie do drzwi, które rozległo się po chwili, było dużo bardziej natarczywe niż poprzednio.

Kot zastrzygł uszami.

– Boję się – szepnęła Magda.

– Udawajmy, że nas nie ma.

Kot zamiauczał oskarży cielsko i spojrzął na Ankę z pogardą.

– Nic z tego. Nie nabierze się – orzekła Magda i z rezygnacją powlokła się do drzwi.

Po chwili do pokoju wkroczyła dziwna procesja. Na czele sunęła pani od kwiatka. Za nią pojawiły się dwie widmowe postacie w szlafrokach.

– Panie z pierwszego piętra – zaanonsowała sąsiadka.

– Chciały byśmy usiąść – upomniała się jedna z nich.

– Ależ proszę bardzo. – Magda z niedowierzaniem przetrzała oczy. – Tylko nie bardzo wiem, gdzie można by...

Procesja skierowała się w stronę wersalki, na której kuliła się Anka.

– Ona jest chora! – Magda próbowała jej bronić.

– My też – oświadczyła z godnością otyła dama w różowym szlafroku, spod którego wystawała flanelowa koszula.

Kobiety usadowiły się rzędem na brzegu wersalki i zastygły w bezruchu.

Anka wbiła się w najdalszy kąt i szarpnęła kódrę w swoją stronę. Różowa zjawa podskoczyła gwałtownie i spojrzała na nią groźnie.

– Proszę się nie rozpychać – upomniała. – Pani już została uzdrowiona.

Magda otrząsnęła się z osłupienia.

– Czy mogłabym się dowiedzieć, czemu zawdzięczamy tę wizytę? – spytała grzecznie.

Właścicielka kwiatka spojrzała na nią ze zniecierpliwieniem.

– Pani spod dwójki – wskazała na różową damę – ma problemy z pęcherzem. Leczy się od dziesięciu lat i nic, pani sobie wyobraża? A pani spod trójki od dwóch miesięcy wypadają włosy. Kiedy dowiedziały się o cudzie – spojrzała z podziwem na Ankę – od razu postanowiły tu przyjść. Może się pomodlimy? – zaproponowała z zapałem, wyciągając różaniec.

– Ktoś puła – poinformowała Anka spod kódry.

– Zatelefonowałam po księdza proboszcza – pochwaliła się sąsiadka. – Udzieli nam duchowego wsparcia.

Magda wyszła do przedpokoju z miną Marii Stuart prowadzonej na szafot. Westchnęła ciężko i otworzyła drzwi.

Na progu stał nobliwie wyglądający staruszek w wytartej sutannie.

– Moje biedne dziecko... – westchnął na widok przerażonej miny Magdy. – Co tu się dzieje?

– Cudowne uzdrowienie – wyjaśniła.

Ksiądz znowu westchnął ciężko i otarł spocone czoło.

– Tego się obawiałem. Ile ich jest? – Zerknął w stronę pokoju.

– Trzy – szepnęła Magda konspiracyjnie. Miała ochotę rzucić mu się na szyję. – To chyba moja wina...

Leciwy duchowny uśmiechnął się i uspokajająco poklepał ją po ręce.

– Nie martw się, dziecko. Na pewno nie zdawałaś sobie sprawy... Pani Wąsowicz jest nieco zbyt... – zawahał się – ...gorliwa. To dobra kobieta, ale trochę za bardzo egzaltowana. Ma słabość do mistycznych doznań i trochę nadużywa boskiej cierpliwości. Tydzień temu zerwała mnie na nogi o północy. Zobaczyła w lustrze Matkę Boską.

Magda parsnęła śmiechem.

– Jak się ich pozbyć?

– Z bożą pomocą – uśmiechnął się ksiądz. – Idziemy?

Sytuacja w pokoju nie uległa zmianie.

Trzy penitentki siedziały nieruchomo na brzegu wersalki i w skupieniu wpatrywały się w dracnę. Na widok księdza wyraźnie się ożywiły.

– Prosimy, prosimy! – Właścicielka cudownej rośliny czyniła honory domu. – Zdążył ksiądz w samą porę, pani Tomaszewska czuje już przyjemne mrowienie skóry głowy – poinformowała z entuzjazmem.

Pani Tomaszewska przytaknęła skwapliwie. Ksiądz zaniemówił.

– Pani Tomaszewska łysieje – wyjaśniła posiadaczka cudownej rośliny. – Widocznie zaczęły odrastać jej włosy.

– Moje drogie panie... – zaczął łagodnie duszpasterz, ale pani Wąsowicz gwałtownie poczerwieniała i nie pozwoliła mu dokończyć.

– On nam nie wierzy – oznajmiła dramatycznie i mocniej ścisnęła różaniec.

Panie w szlafrokach wydały bolesne westchnienie.

– Proszę mnie posłuchać... – Ksiądz nie ustępował.

Właścicielka cudownej rośliny zerwała się na nogi.

– Precz! – wrzasnęła dziko.

Ksiądz zrobił krok do tyłu i potknął się o kota.

Po raz kolejny ktoś zapukał do drzwi.

– A więc dobra nowina już się rozeszła! – Staruszka chwyciła zwierząka na ręce i rzuciła księdzu triumfalne spojrzenie. – Alleluja!

– Otworzyłam? – Magda zerknęła na Ankę, która tylko ciałniej owinęła się kołdrą.

– Mną się nie przejmuj.

Magda powlokła się do drzwi i po chwili wróciła z nowym gościem.

Na jego widok Anka zamrugowała z niedowierzaniem.

– Widzę, że macie gości – stwierdził Adaś, przyglądając się z uwagą szlafrokom i sutannie.

– Bal kostiumowy – wyjaśniła Anka.

– Na co pan choruje, młody człowieku? – Mistrzyni ceremonii szybko przejęła inicjatywę.

– Ja nie choruję, ja leczę, proszę pani – wyjaśnił Adam.

– Nie potrzebujemy tu lekarzy – oświadczyła z godnością starsza pani i przycisnęła kota do piersi. – Idź w pokój.

Kiedy pukanie rozległo się ponownie, Magda bez słowa wyszła do przedpokoju. Nie sądziła, żeby jakikolwiek gość był jeszcze w stanie zrobić na niej wrażenie. Zresztą lista możliwości już chyba się wyczerpywała. Z rozmachem otworzyła drzwi i stanęła oko w oko z ojcem nastoletniej entuzjastki piercingu, który rano zaatakował ją w redakcji.

– Proszę nie robić mi krzywdy – poprosiła. – Albo niech pan przynajmniej poczeka z tym do jutra.

– Przychodzę w pokojowych zamiarach – zapewnił mężczyzna i na dowód, że mówi prawdę, wyciągnął w jej stronę wiązankę kwiatów. – To dla pani. Mogę wejść?

Magda zawahała się.

– Skąd pan ma mój adres? – spytała w nadziei, że odwróci jego uwagę.

- Dostałem od pani szefowej. Czy ona jest chora?
 - Tylko opóźniona w rozwoju.
 - Mówię o dolegliwościach fizycznych. Wygląda na wyniszczoną.
- Magda parsknęła.
- Ile razy ją widzę, mam ochotę spytać, czy nie skoczy po jakąś bułkę. Jakim cudem wyciągnął pan od niej mój adres?
 - Powiedziałem, że zdecydowałem się panią pobić. Była gotowa mi towarzyszyć.
 - Wierzę. Jest wyjątkowo obowiązkowa.
- Mężczyzna roześmiał się.
- Więc jak wpuści mnie pani? Mam na imię Dominik
- Magda przedstawiła się i ceremonialnie uściśniła wyciągniętą dłoń.
Z głębi mieszkania dobiegły odgłosy szamotaniny i zduszony okrzyk.
Dominik spojrział na Magdę niepewnie i na wszelki wypadek zabrał rękę.
Gospodyni odsunęła się od drzwi.
- Nie zmieniłeś zdania? Wobec tego proszę. – Gościnnym gestem wskazała mu drogę do pokoju. – Mamy tu małe spotkanie, pewnie chętnie się przyłączysz. Gwóźdź programu niestety już za nami.
- Na widok sceny rozgrywanej się w pokoju zmieniła zdanie. Najwyraźniej zabawa dopiero się zaczynała.
- Dwie starsze panie w szlafrokach pracowicie zdzierały kordrę z Anki, skulonej w rogu wersalki. Kierująca akcją właścicielka draceny wczepiła się w plecy Adama, który próbował odciągnąć je od ofiary.
- Zejdź nam z drogi, niedowiarku! – wrzasnęła i z całej siły szarpnęła go za włosy.
 - Puść mnie, ty stara wariatko! – zaryczał Adam.
 - Ramzes, broń swojej pani! – zakomenderowała starsza pani, gramoląc się na kolana.
- Kot posłusznie wskoczył Adamowi na głowę.
- Kobiety w szlafrokach ze świeżym zapachem napadły na Ankę.
- Pomóż mi! – krzyknęła Magda do Dominika, rzucając się na ratunek
 - Każdy ma prawo to zobaczyć! – zasyczała grubaska spowita w ostry róż. – To cud!
 - Właśnie! – zawtórowała druga. – Niech położy nogę!
 - Naprzód, siostry! – zachęcała je właścicielka draceny, usiłując podnieść się z kolan.
- Z kąta wyłonił się ksiądz. W jego oczach błyszczała determinacja.
- Spokój! – huknął niespodziewanie silnym głosem.
- Wszyscy zamarli w bezruchu.
- Wychodzimy – zarządził, patrząc groźnie na swoje ogarnięte szaleńce owieczki. – Albo wyrzucę was z chóru i kółka różańcowego. Żadnych procesji, żadnych sztandarów, żadnego sypania kwiatków. Nie żartuję.
 - No to zostaliśmy we czwórce. Jak miło – ucieszyła się Magda. – Herbaty?

– A więc dalej będę siała rutkę – stwierdziła płaczącym głosem Anka.

Magda nie miała siły zaprzeczać. Nalot nawiedzonych bab był niczym wobec tragedii, która rozegrała się potem. Kameralne spotkanie *à quatre* okazało się totalną kłęską. Anka, ciągle w szkolu po ataku nawiedzonych chłastuszek, prawie się nie odzywała. Magda paplała nerwowo w nadziei na rozładowanie ciężkiej atmosfery. Dominik wpatrywał się w nią z miną sugerującą, że kompletnie rozczarował się co do jej osoby. Gwiazdą wieczoru był jednak doktor Klusek. Siedział nabzdyczony, patrząc z góry na resztę towarzystwa. Co chwila nerwowym ruchem dotykał niewielkiego zadrapania, które pozostało mu na czole po pazurach Ramzesa. Najwyraźniej spodziewał się w każdej chwili śmiertelnego ataku wściekłej kłuski. Zagadnięty krzywił się szpetnie, całym sobą okazując dezaprobatę reszcie towarzystwa. Zapytany o coś wprost, udzielał odpowiedzi przez zaciśnięte zęby, ostentacyjnie zerkając na zegarek i tęsknie popatrując w stronę przedpokoju, stanowiącego drogę ucieczki z domu wariatów, w którym się znalazł. Aby jeszcze dobitniej wyrazić swoją pogardę dla otoczenia, na które został skazany, ze wstrętem wpatrywał się w podaną mu filiżankę herbaty. Po upiornych dwóch kwadransach wyszedł, zdawkowo skinąwszy głową niegodnemu jego towarzystwa pospólstwu.

Przez pół godziny ani razu nie spojrzął na Ankę, która wyglądała jak zawinięta w koc kupka nieszczęścia.

– Nie było tak źle – wydukała Magda bez przekonania.

– I zobaczysz, że wrócę do Waniewa – wzdygnęła się Anka, dalej snując katastroficzne wizje swojego zmarnowanego życia.

Miasteczko, z którego pochodziła, było gorsze od Obrzydłowa. Ojcem duchowym Waniewa został przedsiębiorczy proboszcz, ponieważ udało mu się podnieść z gruzów gotycką katedrę, wziętą swego czasu na cel przez sowieckich oswoobodzicieli. Ponieważ z jakichś tajnych peerelowskich przyczyn o charakterze wojskowo-wywiadowczym wieża nie mogła osiągnąć dawnych rozmiarów, powstała świątynia z racji swych proporcji przy pominała stołową ozdobioną dzwonnica. W cieniu świętej budowli załęgło się kilka zgromadzeń zakonnych, które wraz z jedynym w okolicy liceum dbały o intelektualne i duchowe życie kilkudziesięciotyśięcnej trzódki. Ukończywszy lokalną szkołę *summa cum laude*, Anka z rozkoszą wyfrunęła do Warszawy, pozostawiając za sobą rozplątowany, żyjący życiem bliźnich miejscowy światek, mocno zalatujący kruchta.

Było trzy karczmy, bram cztery ułomki,

klasztorów dziesięć i gdziegdzie domki – zanuciła.

– Kłasztorów dziesięć – machinalnie poprawiła ją przyjaciółka.

– Może być. – Anka uśmiechnęła się z przymusem. – Jak ci się podobała ucieczka doktora Kluska?

– Raczej ewakuacja. Ucieczka wy daje się zdecydowanie poniżej jego godności.

– Widzę, że stajesz się ekspertką w tym temacie.

– Nie żartuj. Łatwo go rozgryźć, to przydepnięty paw w kostiumie homo sapiens.

– Raczej homo habilis, jeśli wziąć pod uwagę gabaryty.

– Możliwe. Zwłaszcza że na dodatek nie wy daje się szczególnie lotny intelektualnie.

– Skończył medycynę.

– Widocznie uczył się na pamięć – orzekła Magda. – Przy padek tępego kujona.

– Nasz mały happening był więc akurat na jego poziomie. Cuda mniemane, opętanie, baby –

dziwa i tresowane zwierzęta. Komplet wrażeń. Wręcz rozpustna wielorakość doznań oddziałujących na najniższe instynkty.

– Żartujesz, przecież on zupełnie nie ma poczucia humoru. Jest sztywny jak kij od mioty.

– Może się wyrobi?

– Marne szanse. Za dużo czasu zajmuje mu pielęgnowanie rozdętego ego.

– Mogłabym mieć poczucie humoru za nas oboje.

– Nie sądzę, żebyście pod tym względem doszli kiedyś do porozumienia. Ty jesteś zwolenniczką absurdu w stylu Monty Pythona, a założę się, że wśród chirurgów-krasnali to niezbyt popularne.

W tym momencie rozległ się dzwonek telefonu.

– Jak nic Iwonka – mruknęła Magda.

– Przecież jest wieczór – zdziwiła się Anka.

– Może zadzwonił do niej facet od kaktusów. – Magda westchnęła ciężko i podniosła słuchawkę. Po chwili spojrzała na przyjaciółkę wielkimi oczami.

– Nie do wiary... – wykrztusiła. – Do ciebie.

Anka, kuśtykając, podeszła do telefonu. Kiedy w słuchawce usłyszała głos doktora Kluska, zatkało ją z wrażenia. Tym razem Magda postanowiła stworzyć jej bardziej intymną atmosferę i na palcach wymknęła się z pokoju. Dla dobra sprawy gotowa była spędzić trochę czasu w obskurnej kuchni, chociaż goła żarówka pod sufitem zawsze przyprawiała ją o atak depresji.

Zanim skończyła kontemplować urokliwe otoczenie, z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł triumfalny okrzyk. Kiedy pędem wróciła do pokoju, zastała tam Ankę wykonującą na jednej nodze taniec zwycięstwa.

– Adaś powiedział, że nam wybacza. – Przestała kręcić się w kółko i triumfalnie spojrzała na Magdę.

– Wybacza? A to palant. Mam nadzieję, że odesłał go do diabła.

– Wręcz przeciwnie. Podziękowałam.

– Że co?!

– A tak. Nie będzie rutki. Nie będzie Waniewa.

– A może on szuka kochanki, a nie żony?

– Kochanki to może znajdować sobie w szpitalu. Ma tam szwadron wielbicieli.

Magda nie wyglądała na przekonaną.

– Zaprosił mnie na randkę! Pójdziemy do Lolka – rozmarzyła się Anka.

– Temu się akurat nie dziwię. Tu już raczej nie przyjdzie.

– Robisz się zgryźliwa. Pewnie mi zazdrościsz.

Magda spojrzała na Ankę z politowaniem.

– Kiedy się spotykacie?

– Jutro.

– A twoja kontuzja?

– Pokuśtykam. Dla takiej sprawy warto się poświęcić.

– Będziesz jak Sigourney Weaver w *Pracującej dziewczynie*.

– Coś w tym jest. Zwłaszcza że Harrison Ford też nie urósł za duży.

– Miałabyś za teściową jakieś wstrętne babsko, które uzna, że odebrałaś jej synka. – Magda postanowiła ostudzić zapał Anki. – Mówię ci, to na pewno jakiś potwór.

– Myślisz? Może nie jest tak źle.

– Nie miej złudzeń. Gotuje dorosłemu facetowi obiady i dzierga mu na drutach chłopięcę sweterki. To jakaś patologia.

– Ale będę panią doktorową, zasobną, zaopatrzoną i zabezpieczoną na przyszłość – rozmarzyła się Anka.

– Przejdiesz do porządku dziennego nad jego gabarytami?

– Będę go hodować pod stołem.

– Biedny krasnoludek

– I jaki praktyczny. Portatywny.

– Nie masz aby zamiaru zamienić się we wzorową *Hausfrau*? – Magda spojrzała na Ankę podejrzliwie. – Wiesz, małżeństwo zmienia kobietę.

– Chyba żartujesz. To zjawisko interesuje mnie wyłącznie teoretycznie.

– Skąd znasz teorię?

– Z opasłych międzywojennych tomisk dla wzorowych niemieckich gospodyń. Kochbuchy, werkbuchy, względnie *Unsere klainen Kinder*.

– *À propos*, a jak się z tobą rozwiedzie i ożeni z płodną, biodrzastą siostrą oddziałową?

– Nic się nie martw. – Anka uśmiechnęła się przebiegle. – Każdy sąd przyzna mi alimenty.

– Byłeś tu już?

W pubie jak zwykle było gęsto od zagadanych gości, biegających dzieci i wszelkiej maści czworonogów. Anka bardzo lubiła miejscową atmosferę. Z miny Adasia łatwo było natomiast wywnioskować, że miejsce mu nie odpowiada. Objął pełnym pogardy wzrokiem sielską scenografię, po czym skrzywił się z niesmakiem i spuścił oczy na nierówną kamienną podłogę.

Anka postanowiła walczyć o swoje szczęście.

– Zobacz – zagadnęła słodko. – Właśnie zwalniam się miejsce przy kominku. Siadamy?

Uśmiechnęła się zachęcająco i ruszyła w stronę wesoło trzaskającego ognia. Skrzywiony boleśnie Adaś poskuszenie podążył za nią. Widać było, że boi się pozostawienia na pastwę zadomowionych gości, ich nadaktywnej progenitury i psów, które już dawno uznały lokal za swoje terytorium.

Anka usiadła przy wolnym stoliku i wskazała Adasiowi miejsce naprzeciwko.

– Na co masz ochotę? – zapytała radośnie.

Wyglądał, jakby dopadła go nagła niestrawność.

– Tylko kawa – warknął. – Espresso, o ile coś takiego tu mają.

Atmosfera z chwili na chwilę staje się coraz bardziej romantyczna.

Dzięki, Romeo.

Mina Adasia jednoznacznie sugerowała, że po tak plebejskim lokalu spodziewa się co najwyżej wody z koryta i karmy dla zwierząt.

– Tu generalnie pije się piwo – stwierdziła mężnie Anka.

– I jeszcze może Królewskie? – Skrzywił się szpetnie. – W sam raz dla bezdomnych i innych degeneratów.

Masz sprecyzowane poglądy na temat hierarchii społecznej. Ciekawe, gdzie jest w niej miejsce dla krasnoludków.

– W takim razie kawa. – Anka pomachała ręką w stronę kelnerki w długim czarnym fartuchu. – Możemy panią prosić?

Ze smutkiem zrezygnowała z dużego piwa z sokiem malinowym.

Że też nie domyślałam się, co krasnale sądzą o piwie. W końcu to chamski napitek.

– Dwie duże espresso – zadysponowała Anka, gdy dziewczyna na podeszła do stolika.

– Mała wystarczy – mruknął doktor Klusek

Atmosfera z chwili na chwilę staje się coraz bardziej romantyczna.

Dzięki, Romeo.

– Coś jeszcze?

– To wszystko – szczerknął Adaś.

– Dla mnie jeszcze sernik – poprosiła Anka. Mina Adasia sugerowała, że nie przywykł, aby ktoś podważał jego decyzje.

– A więc sernik – rzucił niechętnie, a gdy spłoszona kelnerka odeszła w stronę baru,

ze wstrętem zwrócił się do Anki:

– Widziałas ten tatuaż? I kłoczki w nosie.

Anka przypomniała sobie zakolczykowaną Dwidzię i nerwowo zachichotała.

Dobrze, że tylko w nosie. Nie trzeba wzywać ginekologa.

– Na pewno nie zamówimy nic więcej? – Miała coraz większą ochotę na piwo. Co tam, na dziesięć piw. Może po pijaku Adaś wyda się jej mniej antypatyczny.

– Widzę, że lubisz alkohol. – Doktor Klusek spojrział na nią z przenikliwością profesjonalisty. – Masz z tym jakiś problem?

– Jasne. Codziennie chodzę ma mityngi AA.

– To miał być żart? – skrzywił się szpetnie.

Zdaje się, malutki, że nie w twoim guście.

Anka uśmiechnęła się słodko.

– To tylko przejaw lokalnego patriotyzmu – wyjaśniła.

Rodzinne strony Anki nie były krainą płynącą mlekiem i miodem, za to piwo łąło się po całej okolicy szerokim strumieniem. Miejscowy browar, zatrudniający połowę waniewskich mężczyzn w wieku produkcyjnym, warzył piwo o wiele lepsze od Królewskiego. Tajemnicą sukcesu była podobno miejscowa woda, doskonale nadająca się do zakrojonej na szeroką skalę produkcji. Utrzymująca się przez kilka miesięcy mniejsza frekwencja pod budkami z piwem wiązała się z odkryciem, że cudowna ciecz przesącza się przez glebę największego miejscowego cementarza. Skandal szybko jednak zatuszowano i piwny interes kwitł w najlepsze. Organizowane corocznie Waniewskie Piwowary pozwalały zapoznać się ze smakiem lokalnego specjału młodszymi pokoleniami, jako że nagrodami w rozlicznych konkursach były beczki piwa, przetaczane natychmiast przez nietleńców w miejsca odpowiednie do potajemnej konsumpcji.

Anka uznała, że podjęcie poważnej dyskusji na tematy społeczne byłoby w tej chwili dość ryzykowne.

– Mają tu doskonałe ciasta – podjęła bezpieczniejszy temat. Porcja sernika z bitą śmietaną nie kojarzyła się na szczęście z zagrychą dla nałogowego alkoholika, była więc nadzieją, że Adaś nie zaproponuje jej leczenia w ośrodku zamkniętym. – Może jednak spróbujesz?

Energicznie pokręcił głową.

– Jadam tylko domowe ciasta – oświadczył z absolutną powagą. – Od mamusi.

Anka poczuła się bezradna. Na tym polu nijaknie mogła konkurować z mamą Klusek. Jedyne biskupstwo, jakie w życiu upiekła, konsystencją przypominał zimową oponę i miał gigantyczny

zakalec.

– Jesteś mocno związany z matką – stwierdziła i dodała z determinacją: – Bardzo chciałabym ją poznać.

– Ona wolałaby Grażynkę – zakomunikował enigmatycznie. Zrobił przy tym minę sugerującą, że temat uważa za wyczerpany.

Grażynka?

Ki diabeł?

Anka uznała, że na razie lepiej nie drążyć sprawy. Nie wszystko naraz.

Adaś spojrział na nią z głębokim namysłem.

– W niedzielę pójdziemy do mamusi na obiad.

– Nie mogę się doczekać. Rozumiem, że mieszkacie razem?

Uśmiechnął się tęsknie na wspomnienie sielankowych lat spędzonych pod opiekuńczymi skrzydłami rodzicielki.

– Właśnie kupiłem sobie apartament na Pięknej – oświadczył. – I nowy samochód. Mercedesa.

Uważał zapewne, że jest dostatecznie wyekwipowany na nową drogę życia. Z niejasnych powodów nie zamierzał instalować w nowym mieszkaniu ukochanej przez mamę Klusek tajemniczej Grażynki.

Z jego miny można było wywnioskować, że wypasione auto jest jego najlepszym przyjacielem.

Niedobrze.

– Po ślubie mamusia kupi mi nowe meble. Skórzane – zakomunikował dumnie.

Czyżby oświadczyły?

– Mamusia mówi, że muszę się ożenić – kontynuował.

Anka postanowiła ocenić swoje szanse na mariaż z zamożnym konuskiem.

– Twój ideał kobiety? – Podejrzała, że ona nie może raczej pretendować do tego tytułu. Nie zaskodziłoby natomiast sprawdzić, czego brakuje jej najbardziej.

– Wszystkie kobiety są do siebie podobne – oświadczył Adaś z pełnym przekonaniem.

Seksizm? Czy tylko głupota?

Anka, zaprzysięgła indywidualistka, poczuła, jak narasta w niej wewnętrzny bunt. Jej niewyrośnięty amant najwyraźniej wrzucał ją do jednego worka z groźną panią Klusek uzbrojonymi w igły harpiami i tajemniczą Grażynką.

– Są pewne różnice. Na przykład we wroście – zaśmiała się nerwowo.

Spojrział na nią groźnie.

– Nie lubię wysokich. Wyglądają jak transwestyci – wycedził.

Żona wyższa o głowę?

Mowy nie ma.

Ale nie wszystko stracone. Zanosilo się na to, że jej sto sześćdziesiąt centymetrów okaże się w przełomowym momencie życia atutem na wagę złota.

– Wolisz brunetki czy blondynki? A może szatynki? – drążyła.

Adaś lekceważąco machnął ręką.

– Wszystko jedno – stwierdził łaskawie. – Może być szatynka.

Najwyraźniej był przekonany, że właśnie obdarzył Ankę błyskotliwym komplementem.

– A charakter? – postanowiła, że nie da się zbyć bez walki.

Skrzywił się lekko.

– Ma się słuchać – stwierdził lakonicznie.

– A więc preferujesz związki partnerskie, w których ważny jest dialog.

Adaś niedbale skinął głową.

– I żeby była pojęta.

– I inteligentna – dopowiedziała Anka.

Na twarzy doktora Kluska odmalował się niesmak

– Żadnej feministki – warknął.

– To może empatyczna?

Przyjrzał jej się z zastanowieniem.

– Że co?

Anka poczuła, że stąpa po niepewnym gruncie. Była przekonana, że w sześcioletnim programie medycyny musiało znaleźć się miejsce na kilka wykładów z psychologii.

– No wiesz, inteligencja emocjonalna... – Najwyraźniej brnęła w ślepy zaułek

Wzdrygnęła się nerwowo pod pustym wzrokiem doktora Mengele.

– Muszę zaraz iść – stwierdził Adaś, przerywając niewygodną rozmowę. – Umówiłem się z mamusią. Będziemy wieszać firanki.

Na co wejdiesz, Supermanie? Teleskopowa drabina? A może wysięgnik strażacki?

– To miło z twojej strony. – Anka uśmiechnęła się słodko. – Dobry syn.

Nie odpowiedział. Najwyraźniej uznał, że temat został wyczerpany.

Skinęła na kelnerkę.

– Poprosimy o rachunek

– Zostaniesz moją żoną? – Jego twarz pozostawała bez wyrazu.

Anka z trudem wciągnęła powietrze.

Prosimy państwa o spokój. To tylko niewielkie turbulencje.

– Oświadczasz mi się?

Po raz pierwszy tego wieczoru Adaś wyglądał na zadowolonego z siebie.

– Tak po prostu? – wolała się upewnić.

– Mamusia się ucieszy.

– Dlaczego ja?

– Będziesz pasowała do mojego wizerunku.

O, znasz wyrazy składające się z czterech sylab. Jak miło.

– A niby jak?

– Robisz doktorat.

Państwo doktorostwo. Jak miło.

– Wykształcone żony są teraz modne w wyższych sferach – kontynuował Adaś z powagą.

Anka oczami duszy zobaczyła siebie jako ofiarę przelotnych trendów w środowisku stołecznych lekarzy.

– A co z nimi będzie, kiedy przestaną być modne? – drążyła.

Po minie Adasia można było stwierdzić, że nie wziął pod uwagę tej kwestii.

– I masz herb – dodał z powagą.

– Nie całkiem.

– Masz te... no... korzenie.

– Raczej korzonki – skóry gowała.

Zawsze uważała, że historia jej pochodzenia mogłaby się stać kanwą scenariusza niezbyt ambitnego filmu. Od strony matki wywodziła się z herbowej rodziny szlacheckiej skoliąganej z kilkoma arystokratycznymi rodami. Jej ojciec był za to potomkiem ciemnych małorolnych chłopów ze środkowego Mazowsza. Odłąd pamiętała, identyfikowała się raczej z przodkami po kądzieli, legitymującymi się imponującym herbem i bogato rozrośniętym drzewem genealogicznym, zdominowanym przez silne, piękne kobiety o mocnej osobowości i bujnym temperamentem, hurtowo rodzące kolejne urodziwe i obdarzone silnym charakterem córki. Jej prababcia powiła dwanaścioro dzieci – jedenaście dziewczynek i rachitycznego, wiecznie niedomagającego Izydorka, który opuścił padł łez w wieku lat siedmiu, zabierając ze sobą bliźniaczą siostrzyczkę Reginkę. Prababcia pogrzyżyła się w rozpacz i popadła z czasem w permanentną melancholię, którą pogłębiały ciągłe zdrady łasego na kobiecie wdzięki pradziadka. Po uporaniu się z cnotą pańien podkuchennych i pokojówek pan dziedzic zagustował w pięknej i pazernej córce żydowskiego karczmarza. Córki prababci wystawały pod oknami jego lokalu, śledząc na polecenie matki postępy w karesach ojca i ponętnej karczmareczki. Kiedy kuta na cztery nogi Rachela znudziła się amorami z podtatusiałym pradziadkiem, ten z rozpaczki przepuścił cały majątek, pozostawiając dziesięciu córkom barwne wspomnienia i cudem ocalałe resztki rodzinnej biżuterii. Cioście-babcie Anki na zawsze zachowały wielkopańskie maniery i ułańską fantazję. Żyły z rozmachem, pielęgnowały tradycję i z namaszczeniem prowadziły drzewo genealogiczne podupadłego rodu.

Adaś nie wiedział chyba, że herb dziedziczy się po mieczu, a nie po kądzieli. Anka stwierdziła, że lepiej nie wtajemniczać go teraz w arkana genealogii.

– Nie mam posagu – uprzedziła lojalnie.

Wyglądał na zadowolonego.

– Mam pieniądze. – Wypiął cherlawą pierś.

Ance stanęły przed oczami udręczona żony rodem z powieści Philippy Gregory, oczekujące w pokorze, aż pan i władca raz na kwartał wyasygnuje im kilka funtów na szpilki i dobroczyńność.

– No to wyjdiesz czy nie? – Adaś wyglądał na zniecierpliwionego. Anka nie wiedziała, czy ma opuścić lokal, czy przyjąć romantyczne oświadczenia.

Optymistycznie założyła, że doktor Klusek ma na myśli drugą opcję.

Nigdy nie uważała się za specjalną romantyczkę, ale zaproponowana przez Adasia formuła zaręczyn nieco zbiła ją z tropu.

– Wyjdę – oświadczyła beznamiętnie, dostosowując się do obowiązującej konwencji.

Zamknij oczy i myśl o Anglii.

– No to załatwione – ucieszył się Adaś. – Dzisiaj powiem mamusi, a w sobotę pójdziemy do niej na obiad. Będą cioście i wujkowie – zapowiedział, najwyraźniej sugerując, że poznanie jego rodziny oznacza dla Anki nobilitację.

Na myśl o konfrontacji z klanem Klusków Ance zrobiło się niedobrze ze zdenerwowania.

– Chętnie pójdę – stwierdziła jednak bohatersko.

A co tam. Raz kowie śmierć.

Biedna kowa.

Do stolika podeszła zakłoczona kelnerka. Adaś po raz kolejny przyjrzał jej się z zimną

nienawiścią. Anka poczuła dreszcze.

– Rachunek – Dziewczyna patrzyła na nich nieufnie. – Gotówka czy karta?

– Gotówka – oznajmił Adaś i z namaszczeniem wyciągnął gruby czarny portfel. – Ja zapłacę – oświadczył z powagą, która sugerowała, że dokonuje poważnej inwestycji na przyszłość.

A pierścionek?

Starannie odliczył trzydzieści złotych i wręczył pieniądze kelnerce.

– Bez napiwku? – zapytała Anka, kiedy dziewczyna odeszła od stolika.

– Nie będę sponsorował tej kreatury – stwierdził z godnością. – To pewnie satanistka.

Anka nie czuła się na siłach, żeby podjąć dyskusję.

– Idziemy – zarządziła i ruszyła przez pełną ludzi salę. Adaś, najwyraźniej przestraszony kontaktem z przedstawicielką ciemnej strony mocy, grzecznie podążył za nią.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,

Co to będzie, co to będzie?

– Następnym razem to ja wybiorę lokal – zapowiedział.

– Nie mogę się doczekać – odparła radośnie. – Lubię niespodzianki.

10.

Anka siedziała sztywno przy stole, z lekką przyłoczona tym, co działo się wokół niej. Zgodnie ze swoją zapowiedzią – czy też groźbą – Adaś zawlókł opierającą się narzeczoną na rodzinny obiad. Kiedy przedstawiał ją szacownemu gremium, dał jasno do zrozumienia, że powodowany litością wyświadcza przysługę niedorozwiniętej i nieprzystosowanej życiowo przedstawicielce gorszej płci. Jeśli Anka oczekiwała od mężczyzny, który miał się z nią ożenić, czegoś na kształt entuzjazmu, mogła czuć się nieco zawiedziona.

Aby odegnąć ponure myśli, wsłuchiwała się w luźną towarzyską konwersację.

– ...i od kiedy smarujemy tą nową maścią, prawie przestało się łuszczyć – ciotka Adama kończyła półgodzinną opowieść o liszaju, który trzy miesiące temu zaatakował łokieć jej małżonka. Anka podejrzewała, że szczególnie opisana zmiana skórna nie została zaprezentowana obecnym tylko dlatego, że przy stole było zbyt ciasno, aby chory mógł zrzucić z siebie świąteczny przyodziewek.

Poczuła, że robi jej się niedobrze. Z obrzydzeniem wpatrywała się w leżący na jej talerzu okazały sznycel wołowy, polany zawieszistą brunatną substancją, która bez powodzenia udawała sos pieczarkowy. Miała nadzieję, że jeśli będzie robić to dostatecznie długo, wytworna *spécialité de la maison* jakimś cudem ulegnie dematerializacji.

Nic z tego. Odkroiła mikroskopijny kawałek twardego jak podeszwa mięsa i z wysiłkiem podniosła widelec do ust.

– ...i zupełnie przestało swędzieć – zachwycała się rodzona siostra mamy Klusek.

Gumiasty sznycel rósł Ance w ustach. Siłą woli powstrzymała się od wyplucia go na talerz. Od godziny wysłuchiwała relacji o dolegliwościach nękających krewnych Adama. Członkowie klanu Klusków przekrzykiwali się wzajemnie, częstując towarzystwo naturalistycznymi opowieściami o wysypkach, zastrzałach i postępującej paradontozie.

W tle ryczał nastawiony na cały regulator telewizor.

– Nie jesz? – Pani Klusek posłała Ance jadowite spojrzenie. – Nie smakuje jej – poinformowała uroczyście zebranych.

Anka skuliła się pod obstrzałem pełnych potępienia spojrzeń. Gospodyni przyjęcia cieszyła się w rodzinie opinią świetnej kucharki. Z gabarytów reszty Klusków można było wnioskować, że podziela ją jej zamiłowanie do pływających w tłuszczu kopytek i smażonych na smalcu schabowych.

Poczuła, że Adam kopie ją pod stołem.

– Co ty wyprawiasz? – syknął. – Jedź!

– Patrzcie, jaka chuda – kontynuowała mama Klusek – Pewnie nie zajdzie.

– Dokąd? – spytała Anka. Skojarzenie niewielkich gabarytów z niemożliwością przemieszczania się z miejsca na miejsce wydało jej się cokolwiek irracjonalne.

– W ciążę nie zajdzie! – Starsza siostra pani Klusek najwyraźniej nie miała problemu z podążaniem za tokiem rozumowania ukochanej siostrzy czki. – Znaczy się bezpłodna. – Ostatnie słowo wypłynęło z wyraźnym obrzydzeniem.

Anka poczuła, że robi jej się niedobrze. Kawalek wołowej podeszwy coraz bardziej rósł jej w ustach.

– A bez dzieci to Sodomia i Gomoria! – podsumowała pani Klusek tonem nieznośnym sprzeciwu.

– I co ludzie powiedzą? – wybełkotał z pełnymi ustami wujek Adasia, odwracając na moment uwagę od gęstej mazi na stojącym przed nim talerzu. Po brodzie spłynął mu strumyczek brunatnego sosu.

– Właśnie! – zagadała pani Klusek i rozejrzała się, najwyraźniej oczekując ogólnego aplauzu. – Wstyd i skaranie boskie!

– Niedoczekanie... – niewyraźnie wyseplenił nestor rodu Klusków. Anka przyjrzała się dokładnie dziewięćdziesięcioośmioletniemu staruszkowi, od godziny pochłoniętemu bez reszty pracowitym żuciem kawałków łykowanej wołowiny. Wzdrygnęła się nerwowo przekonana, że dziadek Adasia udławi się na jej oczach kłosem stwardniałego mięsa. Przed godziną z widoczną ulgą pozbył się sztucznej szczęki, z namaszczeniem informując zebranych, że proteza przeszkadza mu podczas jedzenia. Anka bała się, że jego trzy własne samotne siekacze nie wytrzymają konfrontacji z pancerną bitką produkcji mamy Klusek.

Wszystko wskazywało na to, że klan Klusków solidarnie wyznaje jasno sprecyzowane poglądy, oczekując tego samego po najbliższym otoczeniu.

W salaterce wielkości balii zastygały powoli resztki sosu.

– To ja posprzątam – zaproponowała Anka, uznawszy, że rodzinny obiad ma się ku końcowi.

Wstała od stołu i zaczęła zbierać brudne od gęstej mazi talerze. Na śnieżnobiały obrus skapnęło kilka kropel grzybowej brei. Pani Klusek wytarła je kołkowanym paluchem i oblizała go z widocznym ukontentowaniem. Anka znów poczuła, że robi jej się niedobrze. Chwyła stósek talerzy i ruszyła w stronę ślepej kuchni. Ciemny przedpokój okazał się zasadzką. Wypolerowane na wysoki połysk płytki PCV były pokryte małymi chodniczkami o fantazyjnych kształtach, ślizgającymi się na błyszczącej szarzielonej tafli. Balansując na filcowych misiach i biedronkach, Anka przedostała się w okolice zażółconego zlewozmywaka. Pani Klusek wtoczyła się za nią do ciasnego pomieszczenia, gotowa udzielić przyszłej synowej pierwszej lekcji prowadzenia domu.

– Mało płynu – szczełnęła.

Nie ma sprawy.

Anka dzielnie chwyciła brunatny zmywak i sięgnęła po oblepioną brudem butelkę ludwika. Ziemistej barwy gąbka okazała się obrzydliwie oślizgła, co musiało pozostawić w pewnym związku z konsystencją zaserwowanego niedawno sosu. W dodatku zmywak cuchnęła zgnilizną, która zionęła również z odpływu zlewozmywaka.

– I nie lać ciepłej wody – komenderowała przyszała teściowa. – To kosztuje.

Anka bezradnie patrzyła na stos naczyń. Umycie ich za pomocą zimnej wody i gąbki znajdującej się w ostatnim stadium rozkładu wydawało się ponad jej siły. Czując na plecach spojrzenie pani Klusek, zabrała się do pierwszego talerza. Walcząc z narastającymi nudnościami, obejrzała go dokładniej z obu stron. Spód paskudnego talerzyka w pseudogreckie meandry pokrywał stary sinożółty tłuszcz. Zamknęła oczy, czując, że powraca do niej jeden z najgorszych koszmarów dzieciństwa. Najstarsza z sióstr herbowej babci miała zwyczaj podejmowania rodziny corocznym obiadem, który był dla Anki prawdziwym koszmarem. Ciocia-babcia mieszkała w imponującej kamienicy przy głównym bulwarze nadmorskiego kurortu. Wysokie na kilka metrów pokoje, utrzymane w ciemnej tonacji monumentalne antyczne kredensy i poustawiane na koronkowych serwetkach bibeloty z zaśniedziałego srebra stanowiły godną oprawę wielodaniowego posiłku. *Spécialité de la maison* była czernina. Kilkuletnia Anka z przerażeniem wpatrywała się w tężejący na warstwie makaronu krwawy skrzep, popędzana do jedzenia przez pochylające się nad nią stadko staruszek pomrukujących niczym wiedźmy z *Makbeta*. Talerze, na których podawano wampirzy przysmak, były tak samo niedomyte jak niedzielna zastawa pani Klusek.

– Wołałam Grażynkę. – Uwaga pani Klusek przeniosła się najwyraźniej ze śmierdzącej gąbki na przyszłość ukochanego syna.

Anka próbowała zgadnąć, czy ma to odebrać jako zaproszenie do konwersacji. Retoryka przyszłej teściowej ograniczała się do szczekliwych poleceń i rzucanych w przestrzeń złotych myśli. Elokwentna była tylko w rozmowach z jedynakiem.

– Uczucia się zmieniają – zaryzykowała Anka, uznawszy oklepaną prawdę życiową za sentencję w guście pani Klusek

– Grażynka była akurat! – zaszczekała tamta.

Wszystko wskazywało na to, że przysza synowa powinna wzniesć się ponad oklepane slogany.

– Będę dobra dla Adama – postanowiła uczynić konwersację nieco bardziej osobistą.

Pani Klusek wydała z siebie odgłos, który skłonił Ankę do porzucenia brudnego talerza. Odwróciła się od niedomytego zlewozmywaka i stanęła oko w oko z rozjuszoną kobietą, podobną w tej chwili do lochy gotowej bronić zagrożonego przychówku.

– Z takim byle kim...! – wydyssała świńska mama.

Anka uznała, że czas na decydującą próbę sił. Czując się jak Dawid stający do walki z żądnym krwi żeńskim odpowiednikiem Goliata, postanowiła jednak heroicznie zmierzyć się z upiorem, który miał jej towarzyszyć na nowej drodze życia.

– Pani mnie obraża – stwierdziła z godnością.

Pani Klusek wyglądała, jakby groził jej atak apopleksji.

– Mój Adaś...! – wychrypiała. Jej stan sugerował, że za chwilę zwali się bezwładnie, taranując obtłuczony stolik z laminatu i sielski kosz z ziemniakami. Należało rozładować atmosferę.

– Mogę dostać przepis na tę pyszną wołowinę? – zaświergotała Anka, na co pani Klusek spojrzała na nią z obrzydzeniem i wytoczyła się z klaustrofobicznej kuchni.

– Nie umie zmywać – dobiegło po chwili z salonu.

Anka doszła do wniosku, że uczyli ją wszystko co możliwe, aby unormować stosunki z przysłą teściową. Obrzuciła niechętnym wzrokiem zapuszczoną kuchnię i poszła za gospodynią.

– Mam świetny przepis na czerninę – oświadczyła radośnie.

Klan Klusków ział nienawiścią.

– Z makaronem.

Siedem par wrednych oczek śledziło każdy jej ruch.

Z przerażeniem uświadomiła sobie, że jedne z nich należą do Adasia.

Żeby wziąć się w garść, sporządziła w myślach błyskawiczny bilans zysków i strat. Dokonanie wyboru między spędzeniem reszty życia w zagrzybionej kawalerce a pławieniem się w luksusach pod nieustannym ostrzałem wścibskich wodnistoniebieskich ślepek wymagało nie lada hartu ducha.

Ponownie zamknij oczy, dalej myśl o Anglii.

Dość tego.

Wymierzyła Adasiowi pod stołem solidnego kopniaka, chcąc odwrócić jego uwagę od kolejnej opowieści o liszaju.

– Czas na nas – syknęła. – Pożegnaj się z ciocią. I z mamusią.

Zmaltretowana psychicznie Anka z ulgą otworzyła drzwi uroczej kawalerki, marząc o błogim odpoczynku na zapadającej się kanapie. Nawet myśl o jelenich truchłach zdobiących ściany nie była w stanie osłabić jej radości z powrotu do upiornego lokum, które dziś gotowa była nazwać domem. Każde miejsce odpowiednio oddalone od siedziby upiornej mamy Klusek wydawało jej się przytulne, kameralne i godne pożądania.

Jej radosny nastrój gwałtownie prysnął, kiedy uświadomiła sobie, że z głębi mieszkania dobiega wściekły głos Magdy. Ponieważ jej przyjaciółka na ogół przyjmowała życie z całym dobrodziejstwem inwentarza, nie dając się byle czym wyprowadzić z równowagi, Anka uznała, że spotkała ją coś wyjątkowo paskudnego.

– Zabiję tę wyfysiałą cholere – warczała Magda. – Zagryzę babę i każdy sąd mnie uniewinni.

– Co ci się stało? – zapytała łagodnie Anka, wchodząc do pokoju. Była gotowa nieść pocieszenie i lać oliwę na wzburzone fale. Kara za morderstwo w postaci osadzenia w zakładzie karnym na piętnaście lat wydawała jej się w wypadku Magdy średnio pożądaną opcją.

– Co mi się stało?! Nie mnie, tylko nam, idiotko!

– Jak to nam? – Postanowiła nie reagować na inwektywę. Przypomniała sobie, że do wariatów należy przemawiać łagodnym tonem.

– Rozejrzyj się lepiej – syknęła Magda jadownicie.

Anka posłusznie wykonała polecenie. To, co zobaczyła, sprawiło, że błyskawicznie zapomniała o obiedzie u Klusków.

Kawalerka, o której przed chwilą myślała z takim sentymentem, przypominała tonący Titanic. Woda spływała różnymi strumyczkami po ścianie za kanapą, na której przed kilkoma minutami Anka miała ochotę się położyć. Teraz doszła do wniosku, że bezpieczniej będzie odłożyć to na bardziej sprzyjającą okazję. Na wszelki wypadek spojrzała pod nogi i stwierdziła, że dywan, stanowiący karykaturę perskich kobierców w socrealistycznym wydaniu, nasiąka brudnoszarą cieczą. Jej kolor pozostawał zapewne w ścisłym związku z brudem wdeptanym w nigdy nietrzepaną karykaturę persa.

– Dywany pierze się chyba na sucho? – zainteresowała się Anka.

Przyjaciółka rzuciła się w jej kierunku jak wcielenie śmiertelnej furii.

– Ściany najwyraźniej też – wycedziła przez zęby. – Najlepiej polewając je wodą ze szlauchu.

– Nie wiedziałam, że mamy szlauch.

– Co ty bredzisz?! – ryknęła Magda. – Randka z tym mikrym przygłupem rzuciła ci się na mózg?!

– W takich warunkach nie będę rozmawiać o swoim życiu osobistym – stwierdziła Anka z godnością. – Pogadamy, jaktrochę ochłoniesz.

– To sobie poczekasz. A teraz myśl, skąd można pożyżyć bazookę.

– Że co?

– Albo karabin maszynowy. Ewentualnie pistolet dużego kalibru.

– Jedziesz do Afganistanu? Potrzebujesz jeszcze munduru. I namiotu.

Magda nie wyglądała jednak w tej chwili na zwolenniczkę misji pokojowych.

– Rzuciłaś pracę w redakcji i zostałaś płatnym mordercą?

– Ciepło, ciepło. Mam zamiar utrupić tę cholerną babę, co mieszka nad nami. Tę łysiejącą prukwę.

– A skąd wiesz, że ona łysieje?

– To Tomaszewska, jedna z tych, co przyszły odprawiać modły przed cudowną dracaną, pamiętasz? Po kwadransie stwierdziła, że czuje przyjemne mrowienie skóry na głowie. Już ja jej dam mrowienie! I zafunduję prawdziwą przyjemność!

– To ona nas załała? – domyśliła się Anka.

– Nie załała, tylko dalej zalewa. Spójrz na te cholerne ściany!

Anka, która dotychczas skupiała się na losach mebla, o którym jeszcze przed dziesięcioma minutami marzyła, po raz pierwszy spojrzała na resztę ścian. Ze wszystkich spływały szemrzące strużki.

– Dlaczego to nie przestaje płynąć? – Nad zdenerwowaniem wzięł górę instynkt badacza. – Nie mogłaś interweniować?

– Byłam w pracy – poinformowała sucho Magda. – Kiedy wróciłam, Sajgon trwał w najlepsze. – Westchnęła ciężko. – To babsko też ma wannę w kuchni. Chciała się pewnie wykąpać, czyścioszka sakramencka, więc odkręciła kurki na cały regulator, po czym o tym zapomniała. Ta jej koleżanka od adoracji draceny poinformowała mnie, że łyse babsko wybrało się na giełdę kryształów i minerałów i nie ma go w domu od trzech godzin. Na diabła jej

kryształy? W tym czasie woda lała się już w najlepsze. Przedstawiłam sytuację sąsiadowi Tomaszewskiej, a to na szczęście facet postury jednego z braci Kliczków. Nie dał się długo prosić i zignorował gniewne okrzyki zwolenniczki cudownych uzdrowień za wstawianiem roślin doniczkowych. Natarł na drzwi barkiem z siłą policyjnego kafara. Drewno trzasnęło z dźwiękiem przypominającym wystrzał, zamki puściły. Mieszkanie pani Tomaszewskiej stanęło przed nami w całej krasie. Rozumiesz, że w tych warunkach trudno zwiedzać lokal, ale już to, na co przelotnie zwróciłam uwagę, zagwarantowało, że w innych okolicznościach chłonęłabym go jak gabinet *varia et curiosa*. W oczy zdążyło mi się rzucić jedynie wypalone na drewnianym talerzu oblicze Janosika. Rant rzeczonoego talerza zdobił podwójny rząd rodzimych muszelek, niepozornych, za to grubo polakierowanych.

Głos Magdy nieco złagodniał. Anka miała nadzieję, że wspomnienia o obcowaniu z socrealistycznym wyrobem lokalnego rękodziela podziła na nią kojąco.

Niestety, grubo się pomyliła.

– Brodząc po kostki w tej pieprzonej wodzie, dotarliśmy do kuchni i próbowaliśmy obezwładnić tego bezczelnie rozpartego na środku żeliwnego potwora, ale kurki były odkręcone z taką siłą, że nijak nie dawały się ruszyć! Wyobrażasz sobie? Wygląda na to, że sama zacznę wierzyć w moc kryształów, bo ta parszywa baba musi mieć w rękach siłę grubasa od sumo. W końcu Kafar wpadł na genialny pomysł i zakręcił zawór. Z wanny przestało się lać, ale co mi po tym, do diabła! W kawalerce pieprzonej wielbicielki kryształów jest wody po kostki. Rozkład pomieszczeń w tej łysej żmii jest dokładnie taki sam jak u nas – *ergo*: za pół godziny będziemy brodzić w wodzie jak bociany na wiosnę!

Anka przez moment zadumała się tęsknie nad bocianami, setkami sejmikującymi na podwaniewskich błoniach. Mieszkańcy jej rodzinnego miasteczka przypominali nieco mniej bliskie jej sercu zwierzęta: pakujące na siłowni pitbulle, okupujące kruchty kwoki, zajmujące się mikrobiznesem hieny i – *last, but not least* – włóczące się bez pracy kocury-lazęgi. Przyznać musiała natomiast, że okoliczne łąki i lasy nawet jak na warmińskie standardy były wyjątkowo piękne.

– No i co my teraz zrobimy? – wrzasnęła Magda, której nie opuszczał duch bojowy. – Już wiem. Ponieważ nie mamy czym zastrzelić tej wyliniałej gnidy, poprosimy Kafara, żeby ją udusił. Albo lepiej utopił w wannie – warknęła Magda z mściwym błyskiem w oczach. – A może zaczniemy się w ciemnym korytarzu i załatwimy wywłokę czy mś ciężkim?

Ankę zaniepokoiła nieco strategia przyjaciółki. Jeśli trafi do pierdła z wyrokiem piętnastu lat za współudział w morderstwie, doktor Klusek z pewnością nie będzie na nią czekał, roniąc łzy z tęsknoty.

– To może zaczniemy sprzątać? – zaproponowała łagodnie, w nadziei że odciągnie uwagę Magdy od krwawych porachunków.

– Oszalałaś?

– Niby czemu? – Anka poczuła się do głębi dotknięta. Nawet ona, przy swojej starannie pielęgnowanej niechęci do prac domowych, wiedziała, że mieszkanie, w którym po kostki brodzi się w brudnej wodzie, wymaga sprzątania.

– Jakie sprzątać, jakie sprzątać?! – wrzasnęła Magda, znowu rozjuszona. – Tłumaczę ci właśnie, że mieszkanie tej bezwłosej kłukwy zamieniło się w jezioro. Kafar – uczynny człowiek, chociaż podobny do sześcianu z czterema kończynami – właśnie wygarnia wodę wiadrem!

– I pewnie wlewa do wanny? – Anka ryknęła histerycznym śmiechem.

Magda wyglądała jak gorgona chcąca uśmiercić ją wzrokiem.

– Myślisz, że można wylać wodę z morza wiaderkiem? – wycedziła.

– Biedny sześcian...

– Biedny?! Jego nora jest sucha jak pieprz!

Anka podniosła oczy w oczekiwaniu na grom z jasnego nieba, który powali Magdę za brak miłości bliźniego. Wzdrygnęła się na myśl, że nie tylko jej przyjaciółka stoi w wodzie, która, o ile jej wiadomo, doskonale przewodzi prąd.

Nie była gotowa umierać.

Była za to gotowa zawiadomić Magdę, że sufit też przecieka.

– Ożeż jasna cholera! – ryknęła. – Kafar coś tam faflunił, że ta obskubana kłabzdra ma w pokoju stary parkiet, więc na pewno przecieknie do nas. No i masz!

Obie zapatrzyły się na brudnobiały sufit, na którym malowniczo wybrzuszał się tynk, sugerując rychłą ulewę.

– No i co robimy? – zapytała Anka. – Uciekamy?

– A niby dokąd? Jesteśmy tak jakby bezdomne.

– To zostajemy?

– Nic z tego. Ktoś z administracji oceni szkody i poinformuje właścicielkę. Będzie musiała tu zrobić generalny remont. Jedyna pociecha, że to ona będzie się użerać z łysą cholera.

– Remont... – rozmarzyła się Anka. – To może poprosimy ją od razu, żeby eksmitowała wannę z kuchni?

– Zaczynamsz bredzić. To pewnie opóźniona reakcja na stres. Przecież baba natychmiast nas stąd wyrzuci.

– I co teraz będzie?

– Ja tu zostanę – stwierdziła mężnie Magda. – Poczekam na to łyse krówsko i administrację. Potem zastanowię się, co dalej. A ty pakuj manatki i jedź.

– A niby dokąd? – zdziwiła się Anka.

– Jak to dokąd? Do Adasia.

Jadąc załadowaną po dach bagażami taksówką, Anka była pełna złych przeczuć. Adres apartamentu na Pięknej, do którego zresztą nigdy nie została zaproszona, zapamiętała tylko dlatego, że Adaś miał zwyczaj zachwalać jego doskonałą lokalizację. Skoro nie dostała zaproszenia, przy puszczeniu progów Kluskowego sanktuarium, zjawiając się tam z własnej inicjatywy, przypuszczalnie nie będzie mile widzianym gościem, zwłaszcza objuczona stertą niechlujnych pakunków.

Taksiarz wziął ją zapewne za uciekającą przed mężem-sadystą ofiarę przemocy domowej, ponieważ zgodził się zatańczyć jej żalosny dobytek na pierwsze piętro.

– Ucieka pani, co? – zapytał niezobowiązująco, zanim zatrzymał samochód pod wskazanym adresem.

Na wszelki wypadek Anka energicznie skinęła głową. Wołała nieco minąć się z prawdą niż zatańczyć po schodach dobytek upchnięty w reklamówki.

– Biję?

– Próbuje – odpowiedziała enigmatycznie.

– Próbuje? – Mężczyzna przyjrzał jej się bacznie, najwyraźniej szukając śladów po pięściach.

– Po nogach – improwizowała Anka. Modliła się w duchu, żeby nie zostawił jej przy krawężniku z górą bambetli. Musiało podziałać, bo taksówkarz zatrzymał się z piskiem opon, po czym prężąc szcztkowe muskuły, wyciągnął z samochodu kilka wypełnionych po brzegi reklamówek. Anka chwyciła resztę i potruchtała za nim.

Rozglądając się po stylowej klatce schodowej, świeżo upieczony tragarz łypnął na Ankę niezłownie, bo odrestaurowana secesyjna kamienica w żaden sposób nie przypominała schroniska dla kobiet w trudnej sytuacji życiowej.

– A tu mieszka ten drugi? – warknął. – Pewnie, ładniej tu niż na Uniwersyteckiej. Grunt to się dobrze ustawić.

Na pierwszym piętrze cisnął torby pod nogi Anki i wyciągnął włochate łapsko.

– Czterdzieści złotych się należy.

Musiał źle zinterpretować nieszczęśliwą minę Anki, bo obdarzył ją lekceważącym-wzgardliwym spojrzeniem.

– No, na biednych nie trafiło – stwierdził z przekąsem. Wepchnął banknoty do tylnej kieszeni dzinsów i ulotnił się w ekspresowym tempie.

Anka spojrzała na drzwi oznaczone czwórka. Były to właściwie wrota – dwuskrzydłowe, masywne, z błyszczącego drewna przypominającego lity dąb. Na prawym skrzydle połyskiwała miedziana tabliczka z wygrawerowanym wymyślną czcionką napisem: „Doktor Adam Klusek”. Już sam fakt, że nazwy profesji nie skrócono do tradycyjnego „dr”, a słowo „doktor” wypisano wielką literą, mówi sporo o osobniku bytującym za okazywałmi wierzejami.

Nacisnęła dzwonek, który odegrał jakąś skoczną melodyjkę. Zdążyła pomyśleć, że tak sielski motywy muzyki nie bardzo pasuje do ekskluzywnego otoczenia, kiedy drzwi uchyliły się odrobinę i w wąskiej szparze ukazało się oblicze pana domu.

Na widok Anki Adaś zrobił minę, jakby zobaczył upióra.

– Co ty tu robisz? – wyjąkał.

– Przyjechałam do ciebie. – Anka starała się, żeby jej głos brzmiał radośnie.

– A po co?

Żebym to ja wiedziała.

– Naszą kawalerkę zalało i musimy sobie poszukać nowego mieszkania – zaszczębiotała.

Szpara w drzwiach zrobiła się nieco szersza. Adaś wystawił głowę na klatkę schodową i rozejrzał się na tyle, na ile pozwalała mu krótka szyja.

– Ona też tu jest?

Anka doszła do wniosku, że szuka Magdy. Najwyraźniej doktor Klusek obawiał się, że zwałała mu się na głowę w towarzystwie przyjaciółki, której nie znoził jak śmiertelnej zarazy.

– Jestem sama – pospieszyła zawiadomić Adasia, który z obłędem w oczach lustrował klatkę schodową. Jego głowa obracała się jak peryskop. – Trochę tu zostanie. Cieszysz się, prawda?

– Trochę? – powtórzył za nią Adaś, który widocznie nie otrząsnął się jeszcze z osłupienia wywołanego niespodziewaną wizytą. – To znaczy ile?

– Właściwie mogę zostać na stałe. Przywiozłam trochę rzeczy. – Anka wskazała stos

niechlujnych pakunków.

Doktor Klusek wyglądał na zdezorientowanego. Po raz kolejny wydał się Ance wyjątkowo tępy. Nawet ktoś tak nierozgarnięty powinien zauważyć wypchane reklamówki i zrozumieć, że narzeczona przybyła z nieco dłuższą, niżby sobie w końcu życzył, wizytą.

– Chcesz tu zostać? – Adaś wyraźnie zdał sobie w końcu sprawę z powagi sytuacji.

– Właściwie to nawet zamieszkać. – Anka starała się, żeby zabrzmiało to możliwie niezobowiązująco. Miała obawy, że jeżeli sploty Adasia, narzeczony zatrzśnie jej drzwi przed nosem.

– Nie chcę z tobą mieszkać – stwierdził płaczliwie.

– Po ślubie też nie? – spytała przytomnie.

Adaś zadumał się głęboko. Wyglądało na to, że spełniając wolę mamy Klusek, nie wziął pod uwagę konieczności zamieszkania z żoną pod jednym dachem.

– Po ślubie to co innego – oznajmił wreszcie.

Patrząc na niego, Anka uznała jednak, że nie do końca pogodził się z tą myślą. Konieczność dzielenia z żoną ekskluzywnego apartamentu musiała mu się wydać mało pociągająca. Wyglądał jak przerośnięty sześciolatek, któremu odebrano ulubioną zabawkę.

– To nie wypada – orzekł świętoszkowato, składając w ciup wąskie usteczka. – Mamusia nie pozwoli.

– Zróbmy jej niespodziankę – zaproponowała Anka. – Będę spała na kanapie.

Adaś ożywił się nieco. Najwyraźniej przerażała go myśl o dzieleniu łóża z przysłą żoną.

Doktorek zupełnie nie kwapił się do skonsumowania ich związku. Początkowo Anka była mu wdzięczna za wstrzemięźliwość. Bez względu na to, jak bardzo nienawidziła dzielonej z Magdą kłitki i odwrotnie proporcjonalnych do jej rozmiarów możliwości finansowych, trudno jej było pogodzić się z faktem, że zmiana sytuacji życiowej oznacza dzielenie łóża ze średnio wydarzonym hobbitem. W miarę upływu czasu do uczucia ulgi dołączył rosnący z każdym dniem niepokój. O ile Aadaś nie zaspokajał potrzeb fizycznych gdzieś na boku, jego abstenencja mogła dawać do myślenia. Jeszcze kilka tygodni temu Anka była gotowa zgodzić się z powszechnie panującą opinią, że niewyrośnięci mężczyźni stają na głowie, żeby jak najszybciej zawlec nową zdobycz do sypialni i tam dać jej dowód swej nieadekwatnej do gabarytów męskości. W gorszych – i na szczęście mniej licznych – przypadkach okazywali się groźnymi psychopatami, uwielbiającymi niezobowiązujące zabawy z użyciem ostrych narzędzi. Po stwierdzeniu, że chorobliwa schludność Adasia nie pozwoliłaby mu raczej na krwawą przemoc, postanowiła spokojnie czekać na rozwój wypadków.

Tak czy inaczej, praca nad zmianą metrażu okazywała się ciężką orką.

Adaś z ociąganiem otworzył drzwi i wpuścił Ankę do mieszkania. Najwyraźniej nie przyszło mu do głowy, że mógłby jej pomóc. Zamiast wziąć od niej część bagażu, stał beczynnie, obserwując, jak szarpie się z nieporęcznymi pakunkami. Być może okazywał w ten sposób dezaprobatę dla poczynań narzeczonej, która ośmieliła się zburzyć jego spokój, wkraczając bez zaproszenia w tak przez niego cenioną bezpieczną egzystencję. Jediną kobietą w życiu Adasia była obecnie mama Klusek i wszystko wskazywało na to, że taki stan rzeczy w zupełności mu odpowiada.

– Będiesz mieszkać w salonie. – Aadaś najwyraźniej ociągał się z dokwaterowaniem przysłej żony do swojego lokum.

– No to idziemy – zarządziła Anka rażno. Była gotowa wziąć sprawy w swoje ręce.

– Tędy. – Gospodarz płynnie sunął po wyfroterowanym do połysku dębowym parkiecie. – Tylko nie nabrudź – rzucił przez ramię.

Anka poczuła się jak bezdomna z tobołami pełnymi odpadków i butami oklejonymi tygodniowym brudem. Objuczona nieporęcznym bagażem poturczała rażno za narzeczonym, który w każdej chwili mógł zmienić zdanie i wyrzucić ją z mieszkania. Na myśl o powrocie do kawalerki na Uniwersyteckiej, która z pewnością zdążyła już przemienić się w przytulne akwarium dla egzoty cznych rybek, zrobiło jej się słabo.

– Tutaj – mruknął Adaś, wprowadzając Ankę do pokoju o imponującym metrażu. Łatwo było zauważyć, że wobec najazdu na swoje włości stał się jeszcze mniej komunikatywny niż zwykle. Anka była gotowa przypisać to silnemu szokowi, na jaki naraziła go swoim przybyciem. Ponieważ wskutek tego wstrząsu wyglądał jak niedoszły apoplektyk, zmartwiła się, że padnie rażony śmiertelnym atakiem, co oznaczałoby dla niej niezbyt pożądany kontakt z policją i konieczność skorzystania ze schroniska dla bezdomnych.

Rozejrzała się po przestronnym pokoju i stwierdziła, że jedynym meblem jest coś w rodzaju wiekowego szezlonga. Na myśl, że będzie na nim spać, poczuła się niezbyt komfortowo. Na pocieszenie przypomniała sobie portret cesarzowej Józefiny – ukochana żona Napoleona spoczywała z niewymuszonym wdziękiem na czymś do złudzenia podobnym. Pocieszyła się myślą, że piękna Kreolka miała za męża mężczyznę bardzo przypominającego wzrostem jej aktualnego narzeczonego. Nie oznaczało to jednak bynajmniej, że Adaś ruszy któregoś dnia na podbój Europy.

– Widzę, że lubisz minimalistyczne wnętrza – zaćwierkała. – To się dobrze składa, bo ja też.

Adaś kompletnie zignorował aluzję do harmonii ich przysłego pożycia.

– Mamusia kupi mi meble do salonu, jak się ożenię. – Ostatnie słowo wypłynęło z taką odrazą, jakby mówił o końcowym stadium trądu. – Mówiłem ci. Zapomniałaś? – szczełkał z pretensją.

Anka uznała, że musi hodować we wdzięcznej pamięci każdy szczegół wiążący się z jej przysłą teściową.

To tak na przysłość.

– Rozumiem, że będę spała na tym pięknym szezlongu? – zapytała pogodnie.

– Szez... co? – Adam spojrzał na nią z głupią miną.

– Na leżance. – Uznała, że bezpieczniej użyć określenia związanego ze słownictwem szpitalnym. Istniała nadzieja, że tym razem doktor Klusek zrozumie, co do niego mówi.

– Możesz na podłodze – stwierdził łaskawie. – Tylko nie zniszcz parkietu.

Oczy ma duszy Anka ujrzała, jak owinięta na noc drutem kółczastym pracowicie żłobi rysy w eleganckiej podłodze.

– Spróbuję – obiecała.

Adaś spojrzał na nią podejrzliwie. Wyglądało na to, że niezbyt jej ufa.

I vice versa, malutki.

– Jutro zaczy nasz kurs przedmałżeński – stwierdził Adaś nieco *ad hoc*. – Mamusia cię zapisała.

– To tego nie trzeba robić osobiście? – zainteresowała się przelotnie Anka.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że procedura, o którą pyta, ma bezpośredni związek z jej osobą.

– Jaki kurs?

– U dominikanów. Na Freta – wyjaśnił Adaś z taką satysfakcją, jakby kontakt z bogobojnymi mnichami miał zbawiennie wpłynąć na nadwątlone jego zdaniem morale przyszłej małżonki.

– A po co ten kurs?

– Żeby wziąć ślub. – Doktor Klusek spojrział na przyszłą żonę jak na wariatkę.

– Kościelny? – przeraziła się Anka. Jej kontakty z Kościołem katolickim były raczej sporadyczne i nie miała specjalnej ochoty ich zacieśniać.

– Mamusia tak zdecydowała. – Adaś najwyraźniej uznał temat za zakończony.

Anka postanowiła udawać, że pomysł mamy Klusek przypadł jej do gustu. Stwierdziła, że zajmie się tym problemem, kiedy skuteczniej zagnieździ się w mieszkaniu bogobojnego narzeczonego.

– Idziemy razem? – Obiło jej się o uszy, że na kursy przedmażeńskie chodzi się parami.

– Jutro idziesz sama – rzucił Adaś krótko. – Będzie o pożytku małżeńskim. – Sądząc z tonu, temat był dla niego dość niewygodny. – Graży nka też chodziła – dodał zagadkowo.

Anka uznała, że czas dowiedzieć się czegoś więcej o tajemniczej postaci, którą zdaniem Adasia mama Klusek darzy wciąż głębokim uczuciem.

– A kto to właściwie jest? – zapytała grzecznie.

– Narieczona – stwierdził lapidarnie doktor Klusek, składając usteczka w ciup.

Mam nadzieję, że nie aktualna.

Masz zamiar założyć harem?

Ekscytujące.

– To jest nas dwie?

– Rozstaliśmy się – obwieścił Adaś uroczyście.

Wyglądało na to, że nie jest skłonny kontynuować niewygodnego tematu. Anka postanowiła, że podejmie go w bardziej sprzyjających okolicznościach. Jako wyjątkowo niepożądany gość nie czuła się jeszcze wystarczająco pewnie.

Anka z namysłem wpatrywała się w prelegentkę. Czy ktoś już jej powiedział, że pluje, kiedy mówi?

Na oko niedawno przekroczyła pięćdziesiątkę, chociaż w wypadku tego typu kobiet niczego nie można było stwierdzić na pewno. Równie dobrze mogła osiągnąć ten stan zaraz po okresie dojrzewania. Jej wygląd pomagał zrozumieć, czemu jeszcze nie tak dawno kobiety po czterdziestce uznawano za staruszki.

– Kiedy – tfu – plemnik męża – tfu – łączy się z – tfu – jajeczkiem żony... – Wyraźnie rozkoszowała się roztaczaną przed słuchaczkami wilgotną wizją. Oczka za grubymi szklami błyszcząły niezdrowym podnieceniem, a w kąciakach ust, funkcjonujących jak najlepszej jakości zraszacz ogrodowy, regularnie pojawiały się i pękały banieczki śliny.

Anka marzyła o parasolce i głowiła się, jakim cudem kobieta nie zauważyła, że prawie każda z jej niezamężnych słuchaczek jest w zaawansowanej ciąży. Przekonywanie, że poczęcie dziecka nierozważalnie łączy się z zawarciem związku małżeńskiego, wydawało się dość ryzykowne. Wciśnięte w odpowiednie dla niezbyt dobrze rozwiniętych pierwszaków szkolne ławki dziewczyny zgłębiły już praktyczną stronę zagadnienia, czego dowody dumnie dźwigały dobre pół metra

przed sobą. Plemniki i jajeczka okazały się w tym wypadku wyjątkowo – tfu – niezdyscyplinowane.

*Siadła pszczołka na jabłoni
i zapylila kwiat...*

– Mąż i żona – tfu – winni cały czas pamiętać, że ich – tfu – głównym powołaniem jest – tfu – danie początku nowemu życiu – oświadczyła kobieta z naciskiem i rozejrzała się po sali z taką miną, jakby spodziewała się okłasków.

A co wy sobie myślałyście? Że to ma być przyjemność? Tfu!

Jedna z dziewcząt zachichotała nerwowo. Kobieta obrzuciła ją karcącym spojrzeniem i z dezaprobatą zacisnęła wąskie usta.

Każdy widzi, jaka z ciebie puszczałska. Obiecuję, że pójdziesz do piekła! Będziesz się smażył w ogniu i błagać o łyk wody, a ja usiądę sobie z boczką i popatrzę. Zobaczymy, czy wtedy będzie ci do śmiechu.

– Fizyczne zbliżenie – tfu – między małżonkami – tfu – winno być poprzedzone wspólną decyzją o – tfu – poczęciu potomstwa – stwierdziła z mocą, wpatrując się w winowajczynię, która zaczerwieniła się gwałtownie i spuściła głowę. Być może dotarło do niej, że fizyczne zbliżenie to inna nazwa tego, co robiła ze swoim chłopakiem, kiedy rodziców nie było w domu. Wyglądała tak, jakby udźwignięcie tej wiedzy okazało się ponad jej siły.

Teraz żałujesz? Za późno, ty wszetecznicu!

Anka wyobraziła sobie, że okropne babsko to robot, któremu na plecach zamontowano przypominającą ręczny hamulec dźwignię. Wystarczyło energicznie szarpnąć, żeby powstrzymać wylewający się z jego ust nieprzerwany potok mądrości. Sądząc po stroju, model pochodził z późnych lat siedemdziesiątych i nigdy nie przeszedł generalnego remontu. Opięty na biodrach oliwkowozielony kostium przypominał o charakterystycznej dla tamtego okresu fascynacji tworzywami sztucznymi. Nakrapiane oprawki okularów, przypominających dwa czarno-białe telewizory, nieudolnie naśladowały szylkret. Brązowa aksamitka, która podtrzymywała rzadkie szarawe włosy, stanowiła jedyną dającą się zauważyć oznakę nieśmiałej kokieterii, kojarzącej się z mocno przerośniętą pensjonarką. Całości dopełniały pantofelki *à la* kaczce łapki i czarna skajowa torebka z zatrząskiem wykonanym sporymi kulkami z imitacji bursztynu. Podobną, jak Anka przypominała sobie z rozrzewnieniem, miała kiedyś jej babcia. Żadnych plemników, żadnych jajeczek Tfu.

Jako autorytet w sprawach zbliżeń fizycznych robot nie prezentował się wiarygodnie. Anka postanowiła się przekonać, czy nie ocenia go zbyt pochopnie.

– Czy mówi pani z własnego doświadczenia? – zagadnęła.

Kobieta zabulgotała gniewnie. Na sali zapadła pełna wyczekiwania cisza.

– Chodzi mi o kwestię zbliżeń – kontynuowała Anka.

Wokół zapanowało wyraźne ożywienie. Przyszłe matki powoli budziły się z letargu.

– Jestem panną – oświadczyła prelegentka z godnością.

– My też – ucieszyła się Anka.

– Z rozpoczęciem współżycia należy poczekać do ślubu.

Anka rozejrzała się uważnie.

– Istnieją chyba pewne wyjątki?

Kobieta zarumieniła się wstydliwie i poparowała szylkretowe telewizory.

– Nad fizycznym popędem można zapanować – poinformowała oschle.

Sama raczej nie miała z tym problemu. Anka nie wyobrażała sobie, żeby ktoś szczególnie nachalnie nastawał na jej cnotę. Wcięty oliwkowy żakiet wyglądał na przyrośnięty do ciała. Może się w nim urodziła. Na myśl o siwowłosym niemowlaku w miniaturowym zielonkawym wdzianku Anka zakwiczła z radości.

Oliwkowa dziewczica wybałuszyła na nią oczy. Wyglądała jak wkurzony ufoludek w stylu retro.

– Po co tu przyśłaś?! – zapiszczała histerycznie.

– Nie mam pojęcia. – Anka wstała i skierowała się do wyjścia.

– Dołąd?! – krzyknęła za nią zielona furia.

– Do toalety. Będę – tfu – wymiotować. Pewnie jestem – tfu – w ciąży.

Wyszła z sali, głośno trzaskając drzwiami.

11.

Anka uznała, że o rezygnacji z nauk przedmażeńskich bezpieczniej będzie powiadomić Adasia nieco później. Pod pozorem uczestnictwa w pouczających wykładach przez dwa tygodnie zaszywała się w Bibliotece Narodowej, cyzelując rozprawę o czarownicach i opatrując ją tasiemcowymi przypisami. Wołała nie myśleć o przyszłym mężu, karnie uczęszczającym na męską część kursu. Przytoczona sytuacją, pozwoliła tymczasem mamie Klusek zaopatrzyć się w kompletny ślubny przyodziewek. Na razie postanowiła nie zastanawiać się, jak zareaguje ona na synową, która odmawia wystąpienia w dziewiczej bieli, i zastosować wypróbowaną przez pokolenia rozumnych kobiet metodę Scarlett O'Hary.

W końcu uznała, że dalsze zwlekanie z wyznaniem Adasiowi tragicznej dla rodziny Klusków prawdy mija się z celem.

Sursum corda, mili masoni,

En avant, en avant, en avant!

– Zrezygnowałaś z nauk przedmażeńskich?! – Adam zachowywał się tak, jakby Anka wyznała mu, że jest seryjną morderczynią. – Co powie mamusia?

Co powie mama?

Co powie mama?

Co mama mi powie,

co na to odpowie mi dziś?

– Czy zdajesz sobie sprawę, jak ona to przeżyje? – zawodził. – Ty chyba chcesz ją zabić!

Nic z tego, skarbie. Twoja mama przeżyje nawet trzecią wojnę światową. Po wybuchu jądrowym wstanie, otrzepie się i będzie dalej smażyć kotlety.

Anka nie potrafiła zapanować nad błogim uśmiechem.

– Uważasz, że to zabawne? – W głosie Adasia zabrzmiało głębokie obrzydzenie.

Zgadłeś.

– Teraz i tak już za późno. Nikt w promieniu stu kilometrów nie udzieli mi ślubu kościelnego.

– Co będzie z suknią? – Adaś najwyraźniej doszedł do wniosku, że czas wytoczyć najcięższe

działa.

Może sam ją założyysz? Na pewno pasuje jak ulał, a mamusia uwielbia cię w bieli.

Na myśl o ślubnym ekwipunku Ance zrobiło się niedobrze. Suknia wisiała w szafie, starannie ukryta pod zimowym płaszczem. Spod okrycia wymykał się tren obsyty łabędzim puchem. Góra składała się z sino połyskującej gipiury, perełek, kilku figlarnie rozrzuconych satynowych różyczek i ogromnej kołardy umieszczonej tuż powyżej pośladków. Według pani Klusek puch i perełki stanowiły nieodzowny element ślubnej ceremonii. Niemożliwa okazała się również rezygnacja ze śnieżnej bieli. Zdaniem przyszłej teściowej każdy inny odcień sukni sugerował, że panna młoda pozbyła się cnoty w podejrzanych okolicznościach i bez udziału obecnego narzeczonego. Ewentualne wątpliwości co do dziewictwa wybranki miał rozwiązać gęsty welon odpowiedni dla wyjątkowo ostrożnego pszczelarza i wieniec ze sztucznych kwiatów, ciężki i twardy jak świeżo napompowana dętka.

– Już zapomniałaś, że wybrałyście ją razem? – zaatakował doktor Klusek – Mama była taka szczęśliwa!

Na wspomnienie wyprawy na zakupy stan Anki gwałtownie się pogorszył.

Zaraz po wejściu do salonu chwyciła z zachęcająco podświetlonego wieszaka prostą sukienkę z kapturem uszytą z jedwabnej surówki w kolorze kości słoniowej i pognała do eleganckiej przy mierzalni, zanim matka Adama zdążyła wydrzeć jej cenną zdobycz. Na widok przyszłej synowej w kreacji skrojonej niczym mnisi habit pani Klusek wydała z siebie pełen dezaprobaty jęk i wbiła wzrok w ozdobiony sztukaterią sufit. Podmalowane na czarno brwi w kształcie idealnych wycinków koła podjechały do góry, a reszta twarzy zastygła w wyrazie świętego oburzenia.

– Nigdy na to nie pozwolę – oświadczyła z mocą i potruchtała w stronę złożonych wieszaków. Szybko przetrząsnęła ich zawartość, po czym wyciągnęła puchowo-koronkowe cudo z lśniącą jak podszełka satyny.

– Ta! – krzyknęła triumfalnie i wręczyła Ance suknię. – Przy mierz!

Anka posłusznie wróciła do przy mierzalni i nie patrząc w lustro, ubrała się w połyskliwą kreację z tworzywa sztucznego, które szeleściło pod palcami jak ortalion.

– Przepiękna! – Na widok przyszłej synowej przebranej za łabędzia pani Klusek wpadła w ekstazę.

Przytłoczona jej entuzjazmem Anka zrobiła krok do tyłu i potknęła się, nadeptując na puchowe wykończenie wlokącego się po podłodze trenu.

– Jak pani uważa? – Pani Klusek wbiła groźne spojrzenie w młodą ekspedientkę, która stała z boku, nie okazując stosownej euforii. Anka zauważyła, że dziewczyna żarłocznie wpatruje się w brwi wymagającej klientki, namalowane czarną kredką na samym środku czoła.

– To chyba nie mój rozmiar – rzuciła, patrząc na nią błagalnie.

– Poza tym to model sprzed kilku lat – dziewczyna pospieszyła jej z pomocą. – Powinna pani przy mierzyć coś z tegorocznej kolekcji.

– Prawdziwa elegancja jest ponadczasowa – stwierdziła twardo pani Klusek, z lubością obserwując, jak padające ze stylowego kryształowego żyrandola światło rozpala tęczowe błyski w dżetach ozdabiających wykończenie głębokiego dekoltu.

Anka zerknęła w olbrzymie lustro wiszące na ścianie. Suknia wyglądała jak skrzyżowanie peniuaru ze świeżo otynkowanym Petit Trianon.

– Oczywiście musisz się odpowiednio ucześć. – Matka Adama przyjrzała się krytycznie ściągnięty m w cucky włosom Anki. – Nie rozumiem, dlaczego zupełnie o siebie nie dbasz.

Opinia pani Klusek o tym, jak prezentuje się kobieta zadbana, była niezmienna i jasno sprecyzowana. Na jej wizerunek składała się centymetrowa warstwa makijażu utrzymanego w tonacji świąńskiego różu, fryzura w formie porcji makaronu polanego kilkoma litrami lakieru, czerwony kostiumik, czarne szpilki i mała torebka na złoty m łańcuszku.

– Wy gładasz gorzej niż zwykle – poinformowała Ankę, krzywiąc się boleśnie. – Czemu nie uży wasz tej szminki, którą dałam ci ostatnio?

Bo nie chcę wyglądać jak wóz strażacki.

– Jest dla mnie trochę za intensywna. – Anka wzdrygnęła się na wspomnienie intensywnej czerwieni.

– Bzdura. – Pani Klusek nie zamierzała dyskutować o rzeczach oczywistych. – Mogłabyś wy gładzić porządnie przynajmniej na własnym ślubie.

– Postaram się. – Anka obiecałaby wiele, żeby uwolnić się z cyrkowego przyodziewku.

– To będzie mimo wszystko piękna ceremonia – westchnęła pani Klusek i otarła oczy. Nie musiała dodawać, że jej zdaniem elementem zakłócającym sielankę okaże się osoba panny młodej. – Mój syn jest lekarzem – zwierzyła się młodej ekspedientce.

– Ach tak? – Dziewczyna na okazała stosowne zainteresowanie. – Pani też? – zagadnęła Ankę uprzejmie.

Pani Klusek lekceważąco machnęła ręką.

– Ona robi ten... no... doktorat – poinformowała głosem sugerującym, że prędzej zaakceptowałaby synową zatrudnioną na wysypisku śmieci. – Syn radzi jej, żeby zrezygnowała, jak tylko urodzi się pierwsze dziecko.

Ekspedientka spojrzała z szacunkiem na przyszlą wieloródkę.

Niedoczekanie!

Anka energicznie szarpnęła za suwak sukni.

– Bierzemy ją – poinformowała. Kupiłaby strój pletwonurka, by le wy dostać się ze sklepu.

Pani Klusek spojrzała na nią z politowaniem.

– A welon? – Po czym zwróciła się w stronę sprzedawczyni: – Proszę nam pokazać taki do samej ziemi.

Po kwadransie oprócz szeleszczącego kostiumu łabędzia Anka miała na sobie zwój tiulu do złudzenia przypominający moskietierę, lakierowane szpilki i wieniec, który wyglądał jak przy sypany śniegiem dar od przodującego pegeeru.

Plon niesiemy, plon,

dożynkowy wieniec,

złoto naszych pól,

owoców rumieniec.

Plon niesiemy, plon

w gospodarza dom!

– Bierzemy wszystko! – zadysponowała pani Klusek z błyskiem w oku.

– No więc co będzie z sukienką? – Głos Adama sprawił, że Anka porzuciła drogie sercu wspomnienia. – Mama była z niej taka dumna.

– Może ją czasem pożyczą – zaproponowała wspaniałomyślnie. – Wianek i buty też.

A z welonu zrobimy firanki.

– Nie waż się kpić z mojej matki! Zadzwoń, żeby tu przyszła i przemówiła ci do rozumu.

– W takim razie wychodzę. Z mamusi pogadam sobie kiedy indziej.

Anka czuła się lekko osłabiona awanturą. Wszystkie wskazywało na to, że najlepsze jeszcze przed nią – prawdziwe piekło rozegra się, kiedy dopadnie ją mama Klusek

Dotarła na pobliskie skwerek i opadła na żeliwną ławkę, zdecydowana pomyśleć o czymś przyjemniejszym.

Po chwili zauważyła, że pod ławką coś się porusza.

– Kici, kici – zawołała z przyzwyczajenia.

Spod ławki wyszedł miniaturowy podpalany jamnik i spojrzał na nią nieufnie. Widocznie doskonale zdawał sobie sprawę, że nie jest kotem.

– Jak masz na imię?

– Hau – odpowiedział jamnik i pomachał cienkim ogonem.

– Gdzie twój pan?

Jamnik zapisał smutno i zwiesił głowę.

– Coś ci się pomyliło – pouczyła go Anka. – Niemożliwe, żebyś był bezdomny. Takie psy jak ty nie giną.

Jamnik z namysłem przekrzywił łebek

– Musiałeś sporo kosztować – wyjaśniła.

Jamnik wydawał się niezwykle rasowy. Był zadbany i arystokratycznie szczupły. Jedwabista sierść połyskiwała niczym focza skóra.

– Ktoś bardzo o ciebie dba – próbowała go przekonać.

Popatrzył na nią smutno i smętnie spuścił cieniutki ogonek

– Bezpańskie psy wyglądają zupełnie inaczej. – Anka wstała. – Poczekaj tu, twój pan na pewno niedługo przyjdzie.

Jamnik zaskomlał i wrócił pod ławkę.

Anka zrobiła kilka kroków i zawróciła.

– Przecież doskonale wiesz, że cię tak nie zostawię – westchnęła i przyklucnęła koło ławki.

Pies podszedł do niej, energicznie wachlując ogonem. Był widocznie tego samego zdania.

– To pani piesek? – Jakaś starsza kobieta zatrzymała się i obserwowała scenę z bezpiecznej odległości.

– Niestety nie.

– To niech pani uważa, rano pogryzł dozorcę i jego rottweilera. – Na samo wspomnienie kobieta wzdygnęła się nerwowo.

– Jest beżpański? – Ance nadal nie bardzo chciało się w to wierzyć.

– Siedzi tu od paru dni. Jak się pani nie boi, to niech go pani stąd zabierze. Dozorca się odgrażał, że wróci z hyclem.

Pokręciła głową i szybko odeszła.

– Jesteś bardzo dzielny – oświadczyła Anka z podziwem i podrapała psa za uchem.

Jamnik przewrócił się na plecy, prezentując gładki brzuszek. Zerknął na nią w oczekiwaniu na aplauz.

– Co jeszcze potrafisz? – zapytała.

Jamnik usiadł i podał jej łapę.

– To się nie liczy. Każdy pies to umie.

Jamnik stanął słupka, opierając się na podwiniętym ogonie. Jego błyszczące pazurki przy pominały łapę.

– Wyglądasz jak sury katka – ucieszyła się Anka. – Widziałeś kiedyś żywą sury katkę?

– Hau?

– Nie martw się. Ja też nie.

Jamnik wyglądał na uspokojonego.

– Pójdiesz ze mną do domu? – zaproponowała.

Tak naprawdę oboje wiedzieli, że zdecydował się na to już wcześniej.

– Adam nie będzie zachwycony – ostrzegła go lojalnie.

Jamnik warknął i pokazał zęby.

– Odwiedza nas jego mamusia. – Postanowiła niczego przed nim nie ukrywać. – Jest gorsza niż dziesięć buldogów.

Uniósł łapę, przy bierając pozę myśliwego.

– Chyba sobie poradzisz. Jak chcesz mieć na imię?

– Hau – szczechnął zachęcająco i zakręcił się w kółko.

– Może Pafnucy?

Nie wyglądał na przekonanego.

– Fagot? – próbowała dalej.

Spojrzał na nią jak na wariatkę

– Masz rację, to głupi pomysł. Będziesz się nazywał Zaworek.

Zaworek nie protestował. Wzięła go na ręce i poszła do domu. Dla dobra Zaworka, który z pewnością miał dosyć bezdomności, Anka była gotowa na konfrontację z groźną mamą Klusek. Cichutko otworzyła drzwi mieszkania i zaczęła nasłuchiwać.

Z kuchni dobiegał znajomy jazgot.

– Przyśzedł buldog – ostrzegła i postawiła Zaworka na podłodze. – Lepiej gdzieś się schowaj.

Jamnik posłusznie usiadł w kącie. Anka odetchnęła głęboko, zbierając siły przed wejściem na scenę.

– Taka piękna suknia! – Żałosne zawrodozenie stało się głośniejsze. – Tyle pieniędzy! I welon do samej ziemi, prawdziwy tiul! A buty? Włoskie, lakierowane. Wszystkim sąsiadkom już opowiedziałam! Co ja im teraz powiem? Mój Boże, co za wstyd, ludziom w oczy nie spojrzę... Jakby nie dość było tego, że żyjecie ze sobą bez ślubu!

– Mamo, nie denerwuj się tak, pamiętaj o swoim sercu – błagał Adam.

– Dziecko moje, kogoś ty sobie wynalazł...? Powinieneś być ożenić się z Grażynką. Taka miła dziewczyna! – W głosie pani Klusek zabrzmiała szczerza tęsknota. – I ładna!

Anka pomyślała o oprawionej fotografii, którą zauważyła w salonie mamy Klusek podczas pamiętnego rodzinnego obiadu. Intuicja podpowiadała jej, że zdjęcie przedstawia poprzednią narzeczoną Adasia. Grażynka miała piętnaście kilo nadwagi i wyglądała jak Reymontowska Jagna w przebraniu pielęgniarki. Twarz koloru rozkwitłej piwonii aż tryskała zdrowiem, a szerokie biodra pod opiętym białym fartuszką stanowiły gwarancję płodności i napełniały panią Klusek nadzieją na tuzin krępkich lnianowłosych wnucząt.

Miałeś, chamie, złoty róg...

– Grażynce ślicznie byłoby w tej sukience... – westchnęła łzawo niedoszła babcia. – Tak

ładnie się ubierała. Nie to, co... – zawiesiła głos.

Anka odruchowo zerknęła na swoje wytarte dżinsy.

– Sam rozumiesz, dlaczego mamy przerebane, Zaworku – szepnęła.

Kiedy pani Klusek zobaczyła ją po raz pierwszy, uniosła domalowane brwi tak wysoko, że znikły pod nadpaloną po ostatniej trwałej grzywką. Przez większość czasu, który spędziły w swoim towarzystwie, brwi nie opuściły się nawet o milimetr. Mimika pani Klusek była dość ograniczona, ale wyraz pełnej oburzenia dezaprobaty opanowała do perfekcji. Wymalowane na czole smolistoczarne łuki uczyły z niej wyspecjalizowaną w jednej sztuczce gwiazdę pantomimy.

– Kiedy chciała coś sobie kupić, zawsze pytała mnie o radę... – Matka Adama pogrążyła się we wspomnieniach. – Pamiętasz ten czerwony kostiumik, który włożyła na moje imieniny?

Anka wyobraziła sobie przysadzistą blondynkę w szkarłacie.

Poproszę befsztyk. Tylko żeby był naprawdę krwisty!

– Dlaczego od niej odszedłeś? – Z obfitej piersi mamy Klusek wydobył się ciężki szloch. – Złamałeś mi serce!

– Mamusiu, już nie pamiętasz? – usłyszała Anka. Gotowa była się założyć, że Adam czułym gestem ujął rękę rodzicielki. – Sama kazałaś mi z nią zerwać, kiedy powiedziała, że chce iść na studia.

– Po ślubie wybiłbyś jej to z głowy – stwierdziła pani Klusek tonem świadczącym, że nie poczuwa się do winy. – Zresztą jakby urodziła dziecko, to nie miałyby czasu na głupoty.

Anka doszła do wniosku, że usłyszała już dosyć. Zaczepnęła powietrza i wkroczyła do kuchni.

– Przyszła mamusia – poinformował ją Adam na wszelki wypadek.

– Widzę. I słyżę. – Sknęła głową.

– Dlaczego to zrobiłaś?! – zaatakowała ją pani Klusek – Nie masz wstydu! Nigdy nie zgodzę się na ślub cywilny!

– Wobec tego będziemy żyli na kocią łapę – poinformowała Anka pogodnie.

Rozpoczęła się pantomima. Łuki brwi podjechały do góry i znikły wśród tlenionych loczków. Potem w stałym programie nastąpiła nieznaczna zmiana. Z niezrozumiałych przyczyn pani Klusek wbiła wzrok w podłogę i jęknęła.

– Co to jest?!

Anka odwróciła się i zobaczyła Zaworka.

– Na drugi raz się schowaj – pouczyła go troskliwie. – Przecież ci mówiłam.

– Skąd to się tu wzięło?! – Matka Adama zjeżyła się groźnie, ale Zaworek nie tylko dzielnie trwał na zajętej pozycji, ale zdecydował się na poczynienie kroków zaczepnych. Przyjrzał się kopiastej furze platynowych loczków i cicho warknął. Być może doszedł do wniosku, że nie lubi pudli.

– On warczy! – Pani Klusek z oburzeniem spojrzała na syna. – Jak mogłeś na to pozwolić?!

Adam zerknął na psa i wzruszył ramionami.

– Pierwszy raz go widzę – mruknął.

– Moje biedne dziecko! – Troskliwa matka stwierdziła, że najwyższy czas ująć się za jedynakiem. – Ona zaraz go odniesie.

– Po moim trupie – oznajmiła Anka zimno. – Prawda, Zaworku?

Zaworek szczełknął na znak, że całkowicie się z nią zgadza.

– Cicho bądź! – rozkazała mu pani Klusek

Jamnik pokazał zęby i zadarł do góry ogon. Czekał na znak do ataku.

– Widziałeś?! – Mama Klusek wzięła swoje jedyne dziecko na świadka. – Chce mnie ugryźć! Nie on jeden.

– Zaworek, spokój. – Anka upomniała psa bez specjalnego nacisku.

– Spokój! – zawtórował jej dzielnie Adam, zerkając na matkę w oczekiwaniu na wyrazy podziwu.

W tym momencie pies podniósł nogę i obsikał mu nogawkę spodni, po czym obwąchał swoje dzieło i wywędrował z kuchni.

– O mój Boże! – Oczy pani Klusek zaczęły wychodzić z orbit. Anka przestraszyła się, że dostała jakiegoś ataku. – Adasiu, moje serce!

– Mamo! – krzyknął rozdzierająco Adam, podrywając się na nogi. – Przyniosę ci coś na uspokojenie.

Pobiegł do łazienki, gdzie na takie okazje czekała opróżniona do połowy buteleczka kropli walerianowych. Wrócił, ściskając flaszeczkę w garści, i drżącymi rękami nalał do szklanki trochę wody. Nie spuszczał przy tym wzroku z matki, która siedziała z zamkniętymi oczami, wydając z siebie regularne pojękiwania.

– Na cukier! – Czujnie otworzyła jedno oko, żeby śledzić poczynania swojego dziecka. – Już zapomniałeś? – zaszczębiotała przy miłnie i bezradnie zatrzepotała rzęsami przy pomijającym kosmate pajęczce nogi.

– Jak możesz, mamo? – Adam spojrział na nią z czułym wyrzutem. – Przecież zawsze o tym pamiętam! To tylko do popicia.

– Moje kochane dziecko...

Anka zastanawiała się, czy nie lepiej zostawić ich samych. Intymność tej sceny sprawiła, że poczuła się jak intruz.

W tym momencie do kuchni wrócił Zaworek. Z miłością popatrzył w oczy nowej pani i złożył jej u stóp poszarpany biały łachman.

Odruchowo schyliła się po zmięty kawałek materiału i poklepała psa po łebku.

Podniosła głowę, słysząc dziwny dźwięk.

Pani Klusek jedną ręką trzymała się za serce, a drżącym palcem drugiej wskazywała prezent od Zaworka.

Anka obejrzała białą szmatę.

Trzymała w ręku objedzony z łabędziego puchu tren ślubnej sukni.

– Zabiję cię – obiecał Adaś beznamiętnym tonem. Nie wiedziała, czy mówi do niej, czy do Zaworka, uznała jednak, że tak czy inaczej, bezpieczniej będzie się ewakuować.

– Zaworku, wychodzimy – zarządziła.

Z trzydziestu sześciu planów ucieczki jest planem najlepszym.

Wzięła jamnika na ręce i wycofała się do przedpokoju.

– Musisz nas ukryć!

Magda stała w drzwiach swojej świeżo wynajętej kawalerki. Zdaniem Anki tak elegancka lokalizacja miała sporo wspólnego z faktem, że właściciel mieszkania zapalał afektem do swojej nowej lokatorki i znacznie obniżył pierwotną cenę wynajmu. Była spokojna – dopóki uczucie kamienicznika pozostawało niespełnione, będzie żył w nadziei skonsumowania platonicznego związku i nie pozbedzie się atrakcyjnej lokatorki. Nie było wątpliwości, że poczęła *ad mortem defecatum*, więc przyszłość Magdy malowała się różowo.

– Nie mogłabyś z tobą zamieszkać?

– Zapomnij. Mam alergię na sierść – odparła Magda, przyglądając się wtulonemu w Ankę jamnikowi.

Anka westchnęła ciężko. Oczami duszy widziała zamordowanego Zaworka, potajemnie wyrzuconego przez Adasia z okna pierwszego piętra.

– *À propos*. Od kiedy macie psa?

– Ja mam psa – poprawiła. – Mogłabyś nas wypuścić? Jeżeli Adam nas wytropi, zabierze mi Zaworka i każe go uspić.

– Zaworka?

– Tak dostał na imię.

– Co zrobił Adasiowi?

– Obsiakał mu spodnie. I chciał pogryźć mamę Klusek Uciekliśmy, kiedy Adam udzielał jej pierwszej pomocy.

– Bohater. Należy ci się medal. – Magda z aprobatą pogłaskała jamnika po łebku. – Czuj się jak u siebie w domu.

Zaworek posłusznie zeskoczył na podłogę i udał się na zwiady.

– Jest u mnie Domiś z rozkosznym przychówkiem – przy pomniała sobie. – Nie pogryzie ich?

– Nie sądzę.

– Tatusiu, zobacz, jaki ładny piesek! – z pokoju dobiegł głośny pisk – Kupisz mi takiego?

– Oczywiście, kochanie – rozległ się zmęczony męski głos.

– Dzisiaj! – padł piskliwy rozkaz.

– A może jutro, skarbie? – W tonie mężczyzny zabrzmiała pokorna prośba. – Dzisiaj jest już trochę za późno.

– Tatusiu!

– Dobrze, zaraz pójdziemy po pieska.

W oczach Magdy błysnęła chęć mordu.

– Zamorduję gówniarę – syknęła przez zaciśnięte zęby. – Mieliśmy iść do kina.

– Z Dzidzią?

– Dominik obiecał, że odwiezie ją do matki.

– Wobec tego nastąpiła zmiana planów.

Nagle z pokoju dobiegło złowrogie warczenie.

– Dzidzia dobrała się do Zaworka – zgadła Anka.

Magda zazgrzytała zębami.

– Chyba czas na odsiecz?

– On sobie poradzi.

– Z Dzidzią? Zapomnij. – Magda pokręciła głową. – Walczę z gówniarą, odkąd się znamy,

i osiągnęłam tyle, że przestała rzucać się na mnie z pięściami.

– A co z jej nosem? – przypomniała sobie Anka.

– Miałam nadzieję, że zgnije i odpadnie, ale nic z tego. – Magda wyglądała na niepokieszoną.
– Zagoił się jak nie uchybiając nikomu, na psie.

– A reszta?

– Nie wszędzie miałam ochotę jej zajrzeć, ale chyba niestety w porządku. Żałuję, że nie wszczepiła sobie kolczyka w mózg, może wywołałby zaburzenia psychoruchowe i miałabym chwilę spokoju.

Dzidzia okazała się fanatyczną zwolenniczką piercingu i tylko dzięki heroicznym wysiłkom Dominika nie udało jej się powtórzyć wyczynu, do którego zachęciła ją przed rokiem Zuza, Twoja starsza siostra. Jedynym trwałym następstwem zdarzenia był związek jej ojca z Magdą. Dzidzia walczyła z rywalką zębami i pazurami, wykorzystując przy tym uprzywilejowaną pozycję dziecka z rozbitej rodziny. Magda znajdowała się na skraju załamania, a Dzidzia kwitła. Tydzień temu udało jej się nawet zmylić pogoń i przekłuć sobie nos.

Kiedy Anka zajrzała do pokoju, Zaworek siedział pod wersalką i warczał, a Dzidzia usiłowała wyciągnąć go z kryjóWKi za ogon.

– Zostaw go! – Anka z trudem powstrzymała się, żeby nie podnieść jej do pionu za cudem ocalały nos.

Dzidzia nie reagowała.

– Zabierz ją albo ja to zrobię – syknęła Anka do Dominika, który uważnie śledził poczynania swojego dziecka.

– Przecież tylko się z nim bawi. – Ledwie zaszczyił Ankę spojrzeniem. – Bardzo lubi psy.

– Będzie musiała polubić jakiegoś innego. – Anka chwyciła Dzidzię za sweter marki Cottonfield i odciągnęła od wersalki.

– Zostaw! – Dzidzia szarpnęła się wściekle i próbowała wymierzyć jej kopytka.

– Nie waż się bić mojego dziecka! – Dominik szarpnął Ankę za ramię. Strząsnęła z siebie jego rękę i chwyciła w ramiona zbulwersowanego Zaworka.

– Oddaj mi go! – zażądała Dzidzia.

– Po moim trupie, skarbie. – Anka przytuliła do piersi sponiewieranego psa. – Tatuś na pewno kupi ci ładniejszego.

– Tatusiu? – Dzidzia wbiła w ojca wyczekujące spojrzenie. – Idziemy?

– Oczywiście, kochanie – odparł Dominik i cwałem ruszył w stronę wyjścia. W przedpokoju zderzył się z Magdą i trochę wyhamował.

– Przepraszam, ale się spieszymy – powiedział uprzejmie, zdecydowanie odsuwając ją na bok.

– A kino? – zagadnęła nieśmiało.

– Innym razem. – Dominik spojrział na nią ze zniecierpliwieniem. – Nie widzisz, że mamy do załatwienia ważną sprawę? – Czule otoczył ramieniem Dzidzię, która deptała mu po piętach.

– Do zobaczenia – rzucił przez ramię i wyszedł z mieszkania. Dzidzia posłała Magdzie pełne triumfu spojrzenie i wymaszerowała za ojcem, z głośnym hukiem trzaskając drzwiami.

– Przepraszam... – Anka poczuła, że powinna się wytłumaczyć. Podniosła rękę na młodą infantkę, więc z pokorą oczekiwała kary.

– Daj spokój. – Magda nie wyglądała na zmartwioną. – Jestem przyzwyczajona. – Spojrzała

na kuczczowo wczepionego w Ankę Zaworka. – Może trzeba go nakarmić? Wygląda na wyčerpanego.

Anka skinęła głową i poszła do kuchni. Ostrożnie postawiła jamnika na podłodze i otworzyła lodówkę. Na widok jej zawartości ogarnęło ją wzruszenie. Przez chwilę kontemplerowała kolekcję lakierów do paznokci, zasuszony plasterek szynki i kilka truskawkowych jogurtów. Widok kojarzył jej się z czasem nieskrępowanej wolności, który najwyraźniej dobiegł końca.

Chwyciła podobną do pergaminu wędlinę i zaprezentowała znalezione Zaworkowi. Jamnik powąchał je ostrożnie i uznał, że nie nadaje się do jedzenia. Anka w duchu przyznała mu rację.

– Nic więcej nie ma. – Pokazała mu puste półki. Zaworek posłał jej bolesne spojrzenie, dając do zrozumienia, że sprawia mu poważny zawód. Położył się na znak, że rozumie sytuację i jako oddany pies jest gotów umrzeć z głodu, nie skarżąc się na swój los. Anka miała wrażenie, że poczucie winy skręca jej wnętrzności.

– Jesteś manipulatem – oświadczyła, patrząc na psa z naganą.

Westchnął z rezygnacją i przewrócił się na bok. Wyglądał na konającego.

Anka otworzyła jogurt i podstawiła go jamnikowi pod nos.

– Może by ć?

Zaworek poderwał się błyskawicznie i wpakował długą mordkę do kubeczka. Był uratowany.

W tym momencie w przedpokoju rozległ się jakiś rumor.

– Masz gości – zawołała Magda.

Anka wyszła z kuchni, gotowa grzecznie przywitać nowo przybyłych.

W drzwiach stała dwuosobowa ekspedycja Klusków.

– Możemy wejść? – upewnił się Adam.

Mama Klusek spojrzała na niego z politowaniem i nie czelając na zaproszenie, władowała się do przedpokoju.

– Ależ oczywiście. – Anka odsunęła się od drzwi. – Miło, że wpadliście.

Dość tych uprzejmości.

– Skąd miałeś adres? – zwróciła się do Adasia, który wkroczył do mieszkania bezpiecznie ukryty za rozłożystą mamusią. Wyraźnie czuł się pewniej, dokonawszy lokalizacji groźnego przeciwnika.

– Znalazłem w twoim notesie – stwierdził z miną, jakby oczekiwał pochwały za swoją przedsiębiorczość, po czym błyskawicznie przeszedł do konkretów.

– Gdzie pies? – spytał.

Nie czelając na odpowiedź, mama Klusek podjęła poszukiwania na własną rękę. Jej głowa obracała się jak peryskop.

– Jest! – Wyciągnęła przed siebie tłusty paluch. – Łap go!

Anka obejrzała się przez ramię. Zaworek stał w progu kuchni. Końce uszu miał upačkane za różowo.

– Zabieram go do schroniska – Adaś uroczyście ogłosił wyrok – Chciał ugryźć mamusię.

Ale nie ugryzł.

Może następnym razem?

– Tyłko mi się zdawało. – Mama Klusek wyprostowała się z godnością.

I dlatego darłaś się jak zarzynane prosię?

– Daj psa. – Adam zmarszczył brwi.

Powinieneś trochę je podmalować. Twoje spojrzenie nabrałoby wyrazu.

– Weź go sobie. – Anka odsunęła się pod ścianę.

Pani Klusek uznała, że czas wkroczyć do akcji.

– Nie dotykaj go, Adasiu! – Skoczyła do przodu i zasłoniła synka własnym ciałem. Barykada była tak masywna, że wystarczyłaby do odparcia ataku watahy głodnych wilków. – Sama sobie poradzę.

Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy.

Niech trwa!

Fortyfikacja wykonała zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i zamieniła się w maszynę obłąkającą. Oczy przeczesywały teren w poszukiwaniu ofiary. Paszcza pluła ogniem.

Kryć się!

Zaworek zniknął. Anka rozłożyła ręce na znak, że nie ma z tym nic wspólnego.

– Znajdę go. – Machina wtoczyła się do pokoju. Gestem ręki zarządziła ciszę i podjęła nasłuch.

– Tam włącz! – wskazała na rozlatującą się wersalkę.

Ciężko osunęła się na kolana i popęzła w stronę zdezelowanego mebla. Połowa masywnego cielska zniknęła pod łóżkiem.

– Prawie go mam! – dobiegał stłumiony bełkot. – Chodź tu, ty cholero!

– Mam, pomogę ci – zadeklarował Adam *pro forma*. Z góry znał odpowiedź.

– Nie trzeba, synku! – Reszta pani Klusek zaczęła głębiej wsuwać się pod wersalkę. Nagle siedzenie zakolało się i ze złowrobnym skrzyknięciem osiadło pół metra niżej.

– Ratunku! – Anka po raz pierwszy usłyszała panikę w głosie przyszłej teściowej. Nawet chóry anielskie nie wprawiłyby jej w większą ekstazę.

– Coś mnie trzyma! – lamentowała pani Klusek

– To spręży ny. – Anka wystąpiła w roli gospodyni. – Wystają.

– Synku, pomóż mi! – Zawodzenie stawało się coraz bardziej żałosne.

Adam rozejrzał się bezradnie.

– Za nogi. – Anka spontanicznie objęła dowodzenie. Z wysiłkiem odpędziła od siebie wizję, w której pogodzona z losem pani Klusek spędza resztę swoich dni przywalona zwłokami wersalki.

Złapała za jedno z ryjących dywan odnóży, odziane w pantofelek z powodzeniem naśladowujący świńskie kopytko, i szarpnęła je na próbę. Bucik został jej w ręce. Ze wstrętem upuściła go na podłogę.

– Bierz drugą – zarządziła, ignorując dobiegające spod mebla protesty.

Adam posłusznie wykonał polecenie. Przy akompaniamencie okrzyków i pojękiwań pani Klusek majestaty cznie wyjechała spod wersalki. Oblepiający ją kurz sprawił, że wyglądała jak gigantyczna bazia.

– To wszystko przez nią! – Wycelowała zakończony poźółkłym szponem paluch w Ankę, która z zachwytem wpatrywała się w ozdobioną kotami i kurzu żeńską głowę rodu Klusków. Przygodkowo dobrana dekoracja stanowczo przypadła jej do gustu. Szare kłęby, które przyłgnęły do czarnej workowatej spódnicy i ozdobionego perełkami amarantowego sweterka doskonale komponowały

się z grzywką spaloną wyjątkowo trwałą ondulacją.

– Nie żenisz się – zdecydowała mama Klusek.

Wszystko wskazywało na to, że nadszedł czas rozstrzygających decyzji. Anka doszła do wniosku, że bezpieczna stabilizacja u boku szanowanego doktora Kluska niebezpiecznie się oddala.

– Wyrzuć ją z domu! Dość tej rozpusty, tfu!

Na twarzy milczącego dotąd Adasia odmalowało się coś na kształt determinacji.

– Ożenię się z nią, mamusiu.

– Co?! – Mama Klusek zapewne po raz pierwszy w życiu doświadczyła sprzeciwu ze strony ukochanego synusia.

– Wszystkie kobiety są takie same – powiedział Adaś z zimną pogardą. – To niech już będzie ta. Wszystkie jedno.

– Idziemy stąd, syneczku. Porozmawiamy w domu.

Adaś stanął przed Anką, prężąc dumnie swoje sto siedemdziesiąt centy metrów.

– Wybieraj! – zażądał z emfazą.

– Co? – zdziwiła się szczerze Anka.

– Ja albo pies! – wrzasnął.

Anka przez moment wydawała się rozdarta.

– Jakoś nie potrafię wybrać – stwierdziła w końcu jadownicie. – Więc zabieram Zaworka.

– Nigdy się na to nie zgodzę!

– Nigdy! – zawtórowała jedynekowi mama Klusek – Idziemy, synku!

– Czy ty wiesz, co robisz?! – rzucił dramatycznie Adaś. – Niszczysz sobie życie!

– Nie sądzę. – Anka gotowa była wdać się w polemikę z miniaturą narzeczonego.

– Pożałujesz! – ryknął.

– Pożałujesz! – syknęła jadownicie mama Klusek

– Pożałujesz! – niespodziewanie do greckiego chóru dołączyła Magda.

Anka spojrzała na nią z niesmakiem.

– *Et tu, Brute?*

– Co ona znowu gada?! – Wszystko wskazywało na to, że mamie Klusek grozi masywny udar.

– Chodźmy, mamusiu! – Adaś chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę drzwi. – A z nami koniec!

12.

Magda opadła ciężko na zarwaną wersalkę. Mebel-pułapka zapadł się pod nią z przeraźliwym skrzy pieniem.

– Złaź! – wrzasnęła Anka.

– A to czemu? – zainteresowała się Magda, moszcząc się wygodniej na zapadniętym siedzeniu.

– Tam jest Zaworek!

– O cholera, faktycznie. – Magda zerwała się jak oparzona.

– Zaworku, żyjesz? – Anka przykucnęła przy wersalce. – Chodź do pani!

Jamnik nie dawał znaku ży cia.

– To chociaż się odezwij!

Ponieważ odpowiedziała jej głucha cisza, położyła się na podłodze i spróbowała wpełznąć pod uszkodzony mebel.

– Nie wyjdiesz – ostrzegła ją Magda. – Zostaniesz tam na zawsze.

– Przy najmniej Zaworeknie umrze samotnie.

W tym momencie spod wersalki rozległo się ciche popiskiwanie.

– Żyje! – ucieszyła się Anka i ze zdwojoną energią zaczęła wpychać się w mroczną czeluść.

– Zaworku, chodź do pani!

Popiskiwanie stawało się coraz bardziej rozpaczliwe.

Anka postanowiła zmienić taktkę. Posapując z wysiłku, wysunęła się spod wersalki i usiadła na podłodze.

– Zaworku, oni już poszli. – Doszła do wniosku, że sponiewieranemu jamnikowi należy przedstawić pełny obraz sytuacji.

– Co mam zrobić?! – jęknęła Anka.

– Skąd ja mogę wiedzieć? – Magda zachowała kamienny spokój wobec rozgrywającej się na jej oczach tragedii. – To twój pies.

– Na pewno jest w szoku! Podobno jamniki są bardzo wrażliwe.

– Ten wyglądał na całkiem rozsądnego. Jest tu pierwszy raz, a jak po sznurku trafił do lodówki i wyżał mi jogurt. Umie o siebie zadbać.

– Jesteś zimna i cyniczna!

– Domiś też tak mówi. Coraz częściej.

– Sama widzisz. Nie masz serca – zawyrokowała Anka. – To się na tobie zemści!

Magda spojrzała na nią jak na wariatkę.

– O czym my w ogóle mówimy? O psie czy o imponderabiliach?

– To jedno i to samo.

Jakby w odpowiedzi spod wersalki dobiegło ciche szuranie.

– Widzisz? Wyłazi! – triumfowała Anka. – Wy starczyło mu wytłumaczyć!

Magda z politowaniem pokręciła głową.

– Na jego miejscu też bym wyszła. Tam jest dość ciasno.

– Zaworku! Chodź do pani! Masz coś słodkiego? – Błagalnie spojrzała na Magdę.

– Cukierek Lindt. Ostatni.

– Dawaj!

Przyjaciółka posłusznie wyszła z pokoju. Po chwili, wyraźnie się ociągając, wróciła z czerwono-złotym zawiniątkiem.

– Zaworku, wytrzymaj jeszcze chwilę – poprosiła pokornie Anka.

– Masz. – Magda wręczyła jej ekskluzywny czekoladowy specjał.

Anka odwinęła czekoladkę, zachęcająco szeleszcząc papierkiem.

– No chodź – zamruczała, zaglądając pod wersalkę. – Na pewno nie jadłeś jeszcze szwajcarskiej czekolady.

Ciche kwiknięcie sugerowało, że Zaworek przyznał jej rację.

– Chodź... – Anka nadgryzła czekoladkę, sugestywnie pomrukując z rozkoszy. – W środku jest nugat.

Spod mebla wysunął się czarny nos.

– Widzisz? Wy chodzi!

– Dziwisz się? – zapytała zimno Magda. – Te czekoladki kosztowały osiemdziesiąt złotych.

Anka spojrzała na nią z obrzydzeniem.

– Jesteś podła. Zaworku, wychodź, idziemy!

– Dokąd?

– Do domu!

– Ty już nie masz domu.

– O cholera!

Anka odskoczyła jak oparzona i zerwała się z podłogi. Dopiero teraz uświadomiła sobie, w jak beznadziejnej sytuacji się znalazła. Oczami duszy zobaczyła mamę Klusek wyrzucającą przez okno jej skromny dobytek. Konsekwencje niesubordynacji mogły okazać się tragiczne. Wyobraźnia podsunęła jej obraz wychudzonego Zaworka, błąkającego się między śmietnikami w poszukiwaniu resztek jedzenia. Niewykuczone, że ją samą czeka podobny los. Stypendium doktoranckie pozwoliłoby co najwyżej na wynajęcie psiej budy albo pokoju w jakiejś melinie na peryferiach Warszawy. Wzdrygnęła się na myśl o zapluskwionej klitce u rodziny alkoholików, wypelzających co rano ze wspólnego barłogu, żeby pod najbliższym monopolowym zebrać o złotówkę na pierwsze piwo.

– Zaworku, wyłaż, grozi nam eksmisja! – zawołała dramatycznie.

Jamnik wy skoczył spod wersalki. Usiadł przy Ance i z oddaniem popatrzył jej w oczy.

– Zrozumiał! – ucieszyła się. – Wy chodzimy!

– Gdzie? – zapytała Magda.

– Pacyfikować Klusków!

– Przed chwilą wy waliłaś ich za drzwi.

– Zapomniałam, że mam teraz nowe obowiązki. – Anka wzięła psa na ręce i ruszyła do wyjścia. – Cel uświęca środki.

– Zacerujesz ślubną suknię i pogodzisz się z mamą Klusek – kusila Magda.

– Zapomnij. Przyfastryguję tę oderwaną szmatę i sprzedam świństwo na Allegro, a za zarobione pieniądze kupię Zaworkowi wiklinową budę.

– Lepiej kup prezent teściowej. Może kredkę do brwi?

– Ma pewnie zapas na trzydzieści lat.

– Myślisz, że tak długo żyje?

– Przeżyje nas wszystkich. Zobaczysz. Ona nie jest człowiekiem.

– Fakt. To jakiś cyborg – zgodziła się Magda.

– Sama widzisz – westchnęła Anka ciężko.

– To może kup jej najobrzydliwszą rzecz, jaką znajdziesz. Puchaty sweterek z dzetami.

Najlepiej różowy.

– Różowy już ma.

– No to żółty. Albo fioletowy.

– Nic z tego. Dojdzie do wniosku, że to suknia Dejaniry.

Magda spojrzała na Ankę z politowaniem.

– Oprzytomnij. Chyba nie sugerujesz, że czytuje klasykę.

– Masz rację. Ona nie umie czytać.

– Obiecuję Adasiowi, że odtąd będziesz mówić do niej „mamusiu”.

– Błę... – Anka wykrzywiła się z obrzydzeniem. – Udławiłabym się własnym językiem.

Zresztą Adaś się nie nabierze. Na odległość widać, że nie znoszą baby jak zarazy.

– Trudno zaprzeczyć – zachichotała Magda.

– A więc najwyższy czas ratować swoją przyszłość. Zaworku, idziemy. – Jamnik posłusznie

udał się w stronę drzwi.

– Widzisz, jaki odważny? Do spółki załatwimy Klusków na amen.

W tym momencie jednak Zaworek gwałtownie zawrócił i z groźnym warczeniem przysiadł przy Ance.

– Co on robi? – Magda zerknęła nieufnie na bojową wersję jamniczkiej miniaturki.

– Nie rozumiesz? Ktoś idzie po schodach.

– Jezu, tylko nie to...

Jak na zawołanie rozległo się głośne pukanie do drzwi.

– Lepiej otwórz – poradziła Anka.

– Ani mi się śni. Miałam dość atrakcji jak na jeden dzień. Kto tym razem? Kosmici? A może świadkowie Jehowy? Ostatnio chodzą całymi stadami.

Pukanie stawało się coraz bardziej natarczywe.

– Powiedz im, że jesteś muzulmanką.

– Myślisz, że poskutkuje? – spytała z nadzieją Magda. – Sprawdzę – zdecydowała i wyszła z pokoju. Po chwili wróciła, prowadząc za sobą Domisia.

– Musimy porozmawiać – oświadczył z niepokojącą powagą.

Ankę ogarnęły złe przeczucia. Z doświadczenia wiedziała, że taka kwestia, wypowiedziana odpowiednio grobowym głosem, oznacza wstęp do zakończenia kulejącego związku.

– Zostawiam was samych – oświadczyła i wyklęła się z pokoju. Zaworek obrzucił pełnym dezaprobaty spojrzeniem rozpadającą się na jego oczach parę i z podniesionym ogonem pomaszerował za swoją panią.

Anka otworzyła drzwi apartamentu, który najprawdopodobniej przestał być jej domem. Z ulgą stwierdziła, że Adaś nie zdążył wymienić zamków.

– Korzystaj, Zaworku – poradziła. – Niewykluczone, że noc spędzimy na ulicy.

Jamnik podreptał do pokoju i wskoczył na szeszląg. Anka usiadła obok niego.

– Musimy zwabić tu Adasia.

Pies nie wyglądał na przekonanego.

– Samego, bez mamusi – pocieszyła go.

Wpełził jej na kolana i zwinął się w precelek.

Nagle zadzwonił telefon.

– Może to Adaś – ucieszyła się Anka, gotowa do pertraktacji.

Wygodniej umościła się na niewygodnym meblu, który zdążyła serdecznie zniechęcić. Pierwszej, a zarazem ostatniej nocy, którą na nim spędziła, przyśniło jej się madejowe łóżko, wokół którego w roli oprawcy uwijała się rażno mama Klusek Rano, osłabła z niewyspania, postanowiła przenieść się na podłogę. Dębowy parkiet wyglądał na miększy od upiornego pseudoempirowego mebelka.

– Zaworku, pora na przedstawienie – oświadczyła i odebrała telefon.

– Zostawił mnie! – rozległ się wrzask Magdy. Anka odruchowo odsunęła aparat od ucha. – Ten cholerny drań mnie zostawił!

– Tak przy puszczałam.

– Dlaczego?

– Przecież byłam świadkiem książkowego przykładu zaaranżowanego przez faceta zakończenia związku.

– Nic nie słyssałaś. Wyszłaś.

– Wystarczyło mi to, co widziałam.

– A co takiego widziałas?

Anka zastanowiła się nad niekonsekwencją, której świadkiem była już kilkakrotnie. Magda, skądinąd racjonalna i obiektywna, głupiała zupełnie, kiedy w grę wchodził jej aktualny wybranek.

– Kiedy facet mówi „musimy porozmawiać”, komunikuje, że ma cię dosyć. Jeszcze na to nie

wpadłaś?

– Przezań teoretyzować! – krzyknęła Magda. – Lepiej poradź, jak mam go sprowadzić z powrotem.

– Zero szans. – Anka postanowiła być okrutna.

– Dlaczego?

– Przecież tłumaczę. Puścił cię w trąbę.

– Świnia!

– A jakich użył argumentów? Bredził coś o wolności i strachu przed zobowiązaniami? A może o tym, że wszystko stało się za szybko?

– No co ty. Powiedział, że nie byłam dobra dla Dzidzi. I że ona mnie nie akceptuje – sarknęła Magda.

– I co z tego? – dociekała Anka.

– Podobno jest za wrażliwa. Jej delikatna psychika wymaga niepodzielnej uwagi tatusia. Uznała mnie za rywalkę.

– Niech jej zafunduje psychoterapię.

– Chyba żartujesz – prychnęła Magda. – Jest za tępa.

– Parszywa gówniara. Pewnie teraz skacze z radości, że ma ukochanego tatuśka tylko dla siebie

– Żartujesz? Że niby ona go kocha? Ta krowa nie ma uczuć wyższych. To jakiś potwór.

– No to może na znak ukontentowania założyła sobie nowy kółczyk – błysnęła inwencją Anka.

– Niby gdzie? Niektóre dziury po poprzednich pewnie nie zagoiły się tak dobrze jak jej cholerny nochal – stwierdziła Magda z obrzydzeniem.

– Na pewno sobie poradzi – usiłowała pocieszyć ją przyjaciółka.

– A jak ja sobie poradzę?

Anka zachichotała. Za nic nie mogła sobie wyobrazić Magdy wypłakującej oczy za wyposażonym w toksyczną córeczkę Domisiem.

– Masz mnie pocieszać, a nie głupio chichotać – zgromiła ją Magda.

– Ja? Ciebie? Chyba kłisz. Do jutra zapomnisz o istnieniu tego palanta.

– Myślisz? – Głos Magdy wskazywał, że po namyśle jest skłonna zgodzić się z Anką.

– A nie? Przy pomnij sobie wszystkim poprzednich.

– Żaden mnie nie chciał. – Magda najwyraźniej postanowiła porozczulać się nad sobą.

– Jesteś za silna i za błyskotliwa. I za ładna – pocieszyła ją Anka. – Na pewno się ciebie boją.

Właściwie można to uznać za komplement.

– Dobrze ci mówić. Ty masz Adasia.

– Bo opanowałam sztukę kamuflażu.

– To znaczy?

– Udamę głupią. Czasami.

– Akurat.

– I potulną. Okazjonalnie.

Magda parsknęła.

– To czemu wywaliałaś ich za drzwi? Podejrzewam, że więcej ich nie zobaczysz.

– Nie strasz – jęknęła Anka. – Jesteśmy z Zaworkiem na Pięknej. Jeszcze mnie oskarżą o włamanie i naślą na mnie policję.

– Do tego straż miejską i pułk saperów.

– Tak myślisz? – przestraszyła się Anka.

– Niewykluczone. Na twoim miejscu nie byłabym taką optymistką. Mama Klusek ziała ogniem i pluła jadem. Pewnie w tej chwili odbiera od Adasia przysięgę, że więcej się z tobą nie zobaczy.

Anka wyobraziła sobie Adasia kłęczącego u stóp rodzicielki i zaklinającego się na dostarczoną przez świadków Jehowy Biblię, że na wieki wyrzeknie się zdegenerowanej latawicy, którą śmiało wprowadzić do niedostępnej dla wszeteczeństwa twierdzy Klusków.

– Poradzę sobie z nimi.

– Jak? – Magda była szczerze zainteresowana.

– Zgwałcę kóreś z nich na znak nierozzerwalnych więzów, które połączyły mnie z rodziną Klusków.

– Pójdiesz do łóżka z mamą Klusek? Super!

– Zaraz zwymiotuję. – Na myśl o sinawym cielsku wyswobodzonym z poszarzałych barchanów Ance zrobiło się słabo.

– Pamiętasz, co poradziła matka królowej Wiktorii? „Zamknij oczy i myśl o Anglii”.

– Wobec tego uwiodę Adasia – zdecydowała. – Poczekam, aż ogarnie go postkoitalne rozrzewnienie, i poproszę, żeby nie wyrzucał mnie z mieszkania.

– Dalej nie rozumiem.

– Czego? Przecież wyrażam się jasno.

– Chyba nie całkiem. Wychodzi na to, że jeszcze nie spałaś z Adasiem.

– Bo nie spałam.

– Żartujesz?

– Ani trochę. Zasugerował, że poczekamy z tym do ślubu.

– I ty się zgodziłaś?

Anka parsknęła.

– Chyba nie wyobrażasz sobie, że tęsknię za seksem z wybrakowaną miniaturą Supermana? Poza tym z wysiłku ego wyłałoby mu się uszami.

– A fuj...

– A ponieważ w środku nie ma nic więcej, zostałam z bezkształtnym zewłókiem w czerwonej pelerynce.

– Przestań... to obrzydliwe.

Nagle Zaworek zeskokczył z kolan Anki i ujadając, rzucił się do drzwi.

W zamku zachrobotał klucz.

– Muszę kończyć. Nadciągają Kluski!

Anka rozłączyła się szybko, zerwała z łoża tortur i gotowa zmierzyć się z przeznaczeniem wystawiła głowę na korytarz.

Drzwi otworzyły się z impetem i w progu stanął Adaś.

– Co ty tutaj robisz?! – zapytał zimno.

– Wróciłam do domu – wyrecytowała z emfazą Anka.

– Po co? Kazałem ci się wynosić.

Uznała, że nie podda się bez walki. Nie chciała pogodzić się z faktem, że jej los zawisł na cienkim włosku. Nie po to mężnie znosiła towarzystwo szwankującego na umyśle krasnala,

żeby teraz skapitulować i pogrzebać wszelkie widoki na przyszłość.

– Brakowało mi ciebie. – Robiła wszystko, żeby w jej głosie zabrzmiała prawdziwa szczerść.

Adaś patrzył na nią jak na wariatkę. Jeśli kiedykolwiek za czymś tęsknił, były to luksusowe dobra materialne o wymiernej, łatwej do przeliczenia na pieniądze wartości. Podobnie subtelnym uczuć nie budziła w nim żadna żywa istota poza mamą Klusek.

Anka, w pełni świadoma jego upośledzenia emocjonalnego, postanowiła odwołać się do uczuć synowskich.

– Gdzie mamusia? – zagruchała. – Za nią też się stęskniłam.

Adaś spurpurowiał.

– Nie waż się mówić o mamusi! – ryknął jak rozwścieczony tygrys.

Raczej tygrysiątko. Nieduże.

Nie tędy droga. Dla własnego bezpieczeństwa Anka postanowiła nie profanować więcej świętego imienia rodzicielki doktora Kluska i skoncentrować się na jego osobie.

– Tęskniłam za tobą – spróbowała raz jeszcze zainteresować Adasia stanem swoich uczuć.

Dla podkreślenia wagi tej deklaracji podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu.

– Nie dotykaj mnie! – zawył i odskoczył jak oparzony.

Houston, mamy problem.

Anka uświadomiła sobie, że był to jej najbliższy jak dotąd kontakt fizyczny z narzeczonym. Wzdrygnęła się nerwowo i czym prędzej cofnęła na bezpieczną odległość. Miała nadzieję, że gwałtowna reakcja Adasia nie jest wymierzona w jej osobę. Wolała myśleć, że biedak cierpi na ciężką nadwrażliwość na dotyk.

– Wynoś się! – zażądał doktor Klusek z nową siłą. – Ty i to małe czarne gówno! Wynocha!

Niedoczekanie.

Jak na komendę na placu boju pojawił się Zaworek.

Adaś wydał z siebie wściekły bulgot.

– Widzisz, on też się stęsknił – próbowała łagodzić, ale Adaś nie słuchał. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w jamnika.

Zaworek wykorzy stał moment zaskoczenia. Błyskawicznie rzucił się w stronę Adasia i wpił się zębami w nogawkę zaprasowanych na kant spodni.

Doktor Klusek wrzasnął dziko i puścił się w wir oszalałego tańca, próbując pozbyć się napastnika. Wyglądał jak ofiara płasawicy.

Anka z wysiłkiem porzuciła kontemplację rozgrywającej się przed nią sceny. Uznała, że najwyższy czas wkroczyć do akcji.

– Zaworku, dosyć! – zarządziła.

Jamnik karnie podporządkował się komendzie.

Adaś, przerwawszy taniec świętego Wita, z nienawiścią spojrział na przyszłą żonę.

– Zabiję... – wybełkotał.

Uff, jak gorąco.

Anka postanowiła odwrócić jego uwagę od sprofanowanego elementu garderoby. Wolała nie wiedzieć, jak wygląda z bliska atak epilepsji.

– Zacznijmy od nowa – zaproponowała pogodnie.

Wbił w nią szkliste spojrzenie.

– To się nazywa druga szansa – pouczyła. – Ludzie czasem tak robią.

Mina Adasia mówiła jasno, że odżegnuje się od przynależności do reszty gatunku homo sapiens.

– O czym ty, do cholery, gadasz?!

Dobre pytanie.

Czas na strzał z grubej rury.

– Mamy się wynosić, tak?

Adaś kołkowatym palcem wskazał drzwi.

– I to już! – ryknął.

– Jesteś pewny?

– Nie gadaj tyle, tylko wynocha!

Anka uśmiechnęła się jadownicie.

– Dobrze, ale jutro na pożegnanie odwiedzę cię w szpitalu. Co ty na to?

– Ani się waż! – wrzasnęła dziko. Skonstatowała, że jak na psychopatę wyjątkowo szybko przestaje nad sobą panować.

– I porozmawiam z tymi dwoma miłymi pielęgniarkami. Pogadamy sobie od serca. Wiesz, jak to kobiety. – Uśmiechnęła się szerzej.

– Odbiło ci do reszty? – Anka stwierdziła z zadowoleniem, że mina narzeczonego nieco zrzedła.

– Wiesz, kobiety jako istoty ograniczone najbardziej lubią plotkować o seksie.

Z satysfakcją obserwowała, jak twarz Adasia pokrywa się trupią białością. Najwyraźniej ogarnęły go złe przeczucia.

Czas na *coup d'état!*

– I może zwierzę im się z naszej malutkiej tajemnicy...

Doktor Klusek wyglądał tak, jakby miał za chwilę zemdleć.

– Jakiej tajemnicy? – wychrypiął.

– Że jesteś... – Anka żałowała, że nie umie czerwienić się na zawołanie –...impotentem... – zniżyła głos do teatralnego szeptu.

Poruszył ustami jak karp, niezdolny wy dobyć z siebie głosu.

– Jak myślisz, po jakim czasie będzie o tobie plotkował cały szpital? – wysyczała jadownicie, porzucając ton niedbałej konwersacji.

No i co teraz, Koszałku-Opałku?

Adaś dla odmiany zrobił się purpurowy. Anka cofnęła się nieco, na wypadek gdyby miał się posunąć do rękoczynów.

Rzeczywiście ruszył w jej stronę, szczerząc groźnie zęby. Porzucił jednak mordercze zamiary, kiedy zauważył, że między nim a niedoszłą ofiarą stanął Zaworek. Natychmiast uznał, że bezpieczniej będzie zrobić krok do tyłu.

Asekurant.

– Zapłacę ci – wyjąkał. Jego mina świadczyła, że wolałby raczej własnoręcznie wyciąć sobie nerkę niż pozbyć się pieniędzy.

Myśl o nieoczekiwanym wzbogaceniu się była całkiem kusząca, ale Anka nie traciła z oczu przyświecającego jej celu.

– Tak nisko mnie cenisz? – spytała cicho. – Mnie, swoją przyszłą żonę? Nie uważasz, że nasz związek powinien być zbudowany na silnych podstawach?

– Jaki związek? – A daś wybałuszył na nią wodnistoniebieskie oczy.

Jeszcze nie rozumiesz? Jakis ty tępny, nieboraku.

Anka uśmiechnęła się pogodnie.

– Nasz, kochanie. Nie cieszysz się? Po ślubie twój małutki problem na pewno się rozwiąże.

Wyraz twarzy doktora Kluska sugerował, że w końcu zrozumiał swoje oplakane położenie.

Był w pułapce.

13.

Do dnia ślubu, który odbył się niecałe dwa tygodnie później, związek Anki i Adasia pozostał nieskonsumowany. Jeśli przyszła doktorowa miała nadzieję, że narzeczony jak najszybciej będzie próbował udowodnić jej swoją męskość, srodze się rozczarowała. Nieco skonfundowana narzuconą jej przez przyszłego męża rolą *virgo intacta*, niezbyt przekonująco udawała zainteresowanie przygotowaniem do ceremonii. Ograniczyła się właściwie do zarekomendowania Magdy na świadka ze swojej strony. Adaś, choć musiał odebrać to jako osobistą zniewagę, zaprotestował bez specjalnego zaangażowania. Najwyraźniej zaczął godzić się z tym, że na nowej drodze życia będzie go regularnie prześladowała hydra lernejska pod postacią najlepszej przyjaciółki żony. A choć Magda budziła w nim głęboki wstręt, Anka nie sądziła, żeby był gotowy odegrać rolę Herkulesa.

Organizację ceremonii pozostawiono mamie Klusek, którą za sprawą Anki ominął podniosły ceremoniał właściwy zaślubinom kościelnym. Matka Adasia podniosła się jednak po tej tragedii i z właściwym sobie tępym uporem wywalczyła odpowiednią jej zdaniem oprawę chwili tak brzemiennej w skutki dla cennego synusia. Za jej sprawą ślub miał się odbyć z pełną pompą w Pałacu Ślubów na placu Zamkowym. Anka odniosła się do tej koncepcji z pewnym niesmakiem, jednak Adaś zareagował na nią ze szczerym zachwytem. Choć narzeczona nie budziła w nim żadnych ciepłych uczuć, uznał, że jego pozycja społeczna i zawodowa nakazuje mu wstąpić w związek małżeński ze splendorem godnym monarchy.

Jak na tak wiekopomne wydarzenie grupa gości była nieliczna. Anka nie zdziwiła się jakoś specjalnie – Adaś, rasowy socjopata, praktycznie nie miał przyjaciół i z trudem tolerował znajomych przyszłej żony. Na tle zgromadzonych wyróżniała się pani Klusek, odziana w przyciasną garsonkę w kolorze jadowitego różu. Na nogach miała pantofle raciczki z błyszczącego czarnego tworzywa skóropodobnego. Obuwie rażąco gryzło się z resztą przyodziewku. Ankę szczerze zachwycił osiągnięty przez prawie teściową spektakularny efekt. Sama, ubrana w skromną szarozieloną sukienkę bez rzucających się w oczy błyszczących dodatków, w żaden sposób nie mogła się z nią równać. Jeszcze dzień wcześniej stoczyła heroiczną

batalię, gdyż mamusia Adama nie mogła wyrzucić z serca oszalałomiejącej wizji panny młodej spowitej w dziewiczą biel. Ponieważ zaś Anka stanowczo odmówiła współpracy w tym względzie, obawiała się, że przyszła teściowa zniechęciła ją nieodwołalnie i do reszty.

Magda i jakiś wyliniały blondyn trzymali się w pobliżu średnio szczęśliwej młodej pary, najwyraźniej nieco zagubieni wobec przytaczającej obecności smoczyca spowitej w połyskujący róż. Na tle łysiejącego, ulizanego świadka ze strony pana młodego Magda prezentowała się niezwykle malowniczo, co wynikało nie tylko z faktu, że jak zwykle eksponowała niemal w całości imponująco długie nogi, różniące się nieco od krótkich, pałkowatych niby nówek kolegi pana młodego. Co istotniejsze, trzymała w objęciach Zaworka, który przybrany na tę okoliczność sztywną białą kryzą, wyglądał jak miniatura hiszpańskiego granda. Kiedy do pani Klusek dotarło, że ślub odbędzie się z psią asystą, była o krótszy niż zwykle włos od ataku apopleksji. W tym wypadku Anka okazała się jednak nieustępliwa. W duchu żałowała, że Zaworek nie mógł wystąpić w roli świadka, uznała jednak, że miałyby pewne problemy z podpisaniem stosownego dokumentu.

Urzędniczka powitała młodą parę znużonym uśmiechem.

– Witam państwa młodych i gości, którzy przybyli tu dzisiaj, aby świętować z nimi dzień, stanowiący jeden z najważniejszych...

Anka nie słuchała. Wyłączyła się kompletnie i pogrążyła w niewesołych myślach na temat swojej sytuacji życiowej. Obiektywnie stwierdziła, że nie ma specjalnych powodów do dumy. Wymieniła bez troskę egzystencję na dwudziestu kilku metrach kwadratowych na życie w luksusowym apartamencie z psychopatycznym osobnikiem stanowiącym dokładne przeciwieństwo jej ideału mężczyzny. Obcowanie z agresywną wanną i narowistą armaturą łazienkową wydało jej się w tej chwili o niebo bardziej atrakcyjne. Cóż, za późno.

Kości zostały rzucone.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Adasia wyszczekującego tekst przysięgi małżeńskiej.

– Świadomy praw i obowiązków...

Praw i owszem, gorzej z tym drugim.

– ...uroczyście oświadczam, że wstępuję w związek małżeński z Anną...

O cholera. To ja.

– ...i przyrzekam, że uczynię wszystko...

Tere-fere.

– ...aby nasze małżeństwo było zgodne, szczęśliwe i trwałe.

Litości.

W ciszy, która zapadła, trzaśnięcie drzwiami zabrzmiało jak wystrzał. Anka odwróciła głowę i zamarła. Rażno postukując obcasami, na salę wkroczyła Grażynka. Od pierwszych dni znajomości z Adasiem Anka, pasiona widokiem fotografii jego niedosłej oblubienicy, nie miała problemów z identyfikacją nowo przybyłej. Chociaż zamiast białego fartucha miała na sobie ognistoczerwony kostiumik kokieteryjnie opinający się na obfitym biuście. Czarna lakierowana torebeczka dyndająca na złotym łańcuchu stanowiła idealne dopełnienie stroju, który w opinii mamy Klusek wynosił zapewne jego właścicielkę na wyżyny elegancji.

– Proszę pani!

Anka drgnęła.

– Proszę pani, czy zechce pani wypowiedzieć tekst przysięgi małżeńskiej? – W głosie

urzędniczką sły chać było zniecierpliwienie.

Ależ oczy wiście, proszę pani. Żaden problem.

– Świadoma praw i obowiązków... – machinalnie zaczęła powtarzać za urzędniczką.

Ratunku!

– ...uczynię wszystko...

A potem odgryzę sobie język

– ...szczęśliwie...

O, z pewnością. Czas na karę za krzy woprzy sięstwo.

Tradycyjny grom z nieba?

A może coś bardziej wyrafinowanego?

– ...i trwale.

Ankę przeszedł zimny dreszcz, kiedy urzędniczka podeszła do nich, uroczyście dzierząc w dłoni tacę z obrączkami. Adaś chwycił wyjątkowo obrzydliwe, gęsto nabijane cyrkoniami złote kółeczko i siłą wtoczył je na palec oblubienicy. Odpychając od siebie czarne myśli, Anka pocieszyła się wizją jak najszybszego utopienia w klozecie tandetnie połykającego symbolu zniewolenia. Z determinacją wsunęła obrączkę na palec Adasia, którego ręka była jak zwykle nieprzyjemnie lepka.

W grobowej ciszy rozległ się cichy szloch. Nie musiała się oglądać, żeby odgadnąć, że krzyk rozpaczy wydarł się z obfitej piersi Grażynki. Skoro dawna narzeczona Adasia nie próbowała przerwać doniosłej ceremonii, wyglądało na to, że wybrała rolę ofiary, a nie żarłocznej harpii. Dobre i to, pomyślała Anka. Wolała jak najszybciej mieć za sobą całą uroczystość, a protesty Grażynki mogłyby nieco zakłócić jej przebieg.

– Adaś, mój Adaś...! – piskliwe zawodzenie nie ustawało.

Nowo poślubiony mąż Anki bez wahania opuścił ślubny kobierzec i potruczał w stronę byłej narzeczonej, którą w między czasie mama Klusek zdążyła przy cisnąć do obfitej piersi.

Stara miłość nie umiera.

On revient toujours... etc.

Teściowa posłała Ance pełne triumfu spojrzenie.

– Moje biedne dziecko! – gruchała, tuląc do siebie niedozłą synową.

– Kto to jest? – wokół rozległy się podekscytowane szepty.

– Druga żona – skwapliwie poinformowała Anka, podchodząc do zaafierowanego męża.

Pani Klusek sapnęła groźnie.

– On cię nie kocha! – pisnęła Grażynka, posyłając Ance spojrzenie zranionej łani.

– Wiem.

– On kocha mnie!

Anka spojrzała na nią z politowaniem. Myśl, że Adaś miałby obdarzyć uczuciem kogoś innego niż troskliwa mamusia, wydała jej się absurdalna.

– Jasne – mruknęła.

Grażynka, wciąż wtulona w panią Klusek, chwyciła Adasia za rękę.

– Powiedz jej! – zażądała.

Pan młody poruszył blady mi usteczkami jak wyrzucony na brzeg karp.

– Ja...

Goście zastygli w oczekiwaniu. Napięcie rosło.

– Byłeś moim pierwszym! – zaszlochała Grażyna.

– Skąd mogłem wiedzieć, że jesteś dziewicą?! – wrzasnął Adaś, odskakując na bezpieczną odległość. Jako skończony asekurant organicznie nie znosił oskarżeń pod swoim adresem. – Zresztą pewnie i tak kłamiesz! – Po raz kolejny udowodnił, że nie ma dobrego zdania o przedstawicielkach płci żeńskiej *en masse*.

Goście zaszemrali.

– Wykorzystałeś mnie!

Podniecenie na sali rosło.

Grażyna zalała się łzami.

– Myślałam, że my, że ty... – zachlipała.

Anka poczuła się jak pięćsetnym odcinku wenezuelskiej telenoweli.

Jose Antonio! Zbrukałeś moją niewinność!

– Złamałeś mi serce! – Jeśli Grażyna próbowała odwołać się do uczuć Adasia, to jej apel trafi w idealną próżnię.

Anka bawiła się coraz lepiej. Stwierdziła, że jako osoba bezpośrednio zainteresowana ma obowiązek włączyć się do rozmowy, i z żalem porzuciła rolę biernego widza.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytała grzecznie.

Niespecjalnie.

– Zabrałaś mi go! – zawodziła Grażyna.

Uwaga zgromadzonych skupiła się na oblubienicy.

– To może chcesz go z powrotem? – zaproponowała Anka z uprzejmym uśmiechem.

Grażyna oderwała się od różowego łona pani Klusek, najwyraźniej traktując propozycję dosłownie. Pozbawiona oparcia zachwiała się gwałtownie. Anka odruchowo rzuciła jej się na pomoc.

– Nie dotykaj mnie! – ryknęła Grażyna.

Kiedy Anka posłusznie puściła jej rękę, była pana młodego płynnym ruchem osunęła się na wyfroterowany parkiet i zaczęła pełznąć w stronę Adasia. Pani Klusek, próbując nieść pomoc osaczonemu jedynakowi, chwyciła ją za nogę, w wyniku czego dawna narzeczona jej syna zaprezentowała spektakularny półszpagat.

– Mamusi! – Adaś przeskoczył przez płóciącą się jak trujący bluszcz byłą narzeczoną i dramatycznym ruchem rzucił się w stronę pani Klusek – Zabierz ją!

Noga zaplątała mu się w złoty łańcuch zdobiący lakierowaną torebkę byłej narzeczonej. Wygiął tułów pod dziwnym kątem, próbując utrzymać równowagę.

Anka z zachwytem kontemplowała postmodernistyczny wariant *Grupy Laokoona*. Brakowało tylko węży morskich. Doszła do wniosku, że w tej roli powinien wystąpić przystrojony na biało Zaworek który na razie ograniczał swój występ do wściekłego jazgotu.

Rzeźba ożyła.

– Masz za swoje! A mówiłam, żebyś się z nią żenił! – wrzasnęła mama Klusek, puszczając nogę Grażynki, która wreszcie przyjęła bardziej obyczajną pozę.

Adaś wyglądał na skrzywdzonego, co mogło sugerować, że rodzicielka podniosła na niego głos po raz pierwszy w życiu.

– Popatrz, jaka ładna! W sam raz na żonę! I usłuchana! – zaskrzeczała mamusia, wskazując grubym paluchem Grażynkę, która niezdarnie gramoliła się ze śliskiego parkietu. – A teraz –

z nienawiścią lypnęła na Ankę – na co ci przyszło...? Z takim czymś...!

– Mamusiu, już nie pamiętasz? – zaskomlał Adaś. – Sama mówiłaś, że przewróciło jej się w głowie. Na studia chciała! A potem do pracy za granicę!

– Ta to by się może jeszcze opamiętała... Ta druga to dopiero cholera! – wysapała mama Klusek – Do kościoła nie chciała! W urzędzie trzeba było...! Taka piękna suknia! Co ludzie powiedzą?! Sodomia i Gomoria!

Adaś ani myślał stanąć w obronie świeżo pozyskanej małżonki. Anka była skłonna zgodzić się z wszelkimi oskarżeniami, jeśli tylko miałyby to przyspieszyć zakończenie urozmaiconej występami artysty czynu mi ceremonii.

– I przyjęcia nie urządziła! – Teściowa postanowiła wytoczyć najcięższe działa. Ślub bez gremialnej wyzerki musiał jej się wydawać profanacją odwiecznej tradycji, nakazującej nakarmić i napoić gości, nękanych nazajutrz ciężkim kacem lub przynajmniej uporczywą niestrawnością.

Pozbawiona tej satysfakcji dyszała jak rozjuszona locha.

Grażynka, wreszcie w pozycji stojącej, cicho jęczała do wótora.

Adaś całym sobą dawał do zrozumienia, że nie ma nic wspólnego z panującym wokół chaosem.

Zaworek popiskiwał.

W tej sytuacji Anka postanowiła przejąć inicjatywę.

– Zapraszam wszystkich na lampkę szampana!

Anka nie była w stanie dokładnie określić, ile czasu minęło od dnia ślubu. Czas, którego nie spędzała w uczelnianej bibliotece, trwonila, dosiadając jednego ze skórzanych mebli hipopotamów, którymi mama Klusek zgodnie z obietnicą udekorowała gniazdko ukochanego jedynaka. Z sentymentem wspominała przeraźliwie niewygodny szezlong, kojarzący jej się teraz z ostatnimi chwilami radosnej, nieskrępowanej swobody. Czytała albo tępo wpatrywała się w przestrzeń, rozpamiętując szczegóły swojej nocy poślubnej. Okazała się jeszcze paskudniejsza, niż Anka się spodziewała. Jej świeżo poślubiony mąż potraktował ją jak gumową lalkę z podejrzanego sex shopu, a jego zabiegi kazały przypuszczać, że doświadczenia z dziedziny *ars amandi* zdobywał u prostytutki najgorszego sortu. Anka leżała bez ruchu, mając nadzieję, że jej radośnie dokazującego małżonka trafi atak apopleksji, która uczyni z niej bogatą wdowę. Nic z tego. Adam bez przeszkód dojrzał do końca miłosnego aktu, po czym natychmiast odwrócił się i zapadł w sen, spychając ją przy okazji na sam skraj łóżka. Uznała, że obcesowe zachowanie Adasia wynika z faktu, że nie spełniła jego wyrafinowanych oczekiwań. Teraz rozumiała, dlaczego Adaś wykręcił się od sypania z nią przed ślubem. Jeśli zafundowałby jej wtedy seans rodem z filmu pornograficznego, uciekaby z wrzaskiem.

Przed załamaniem nerwowym ratowało ją tylko to, że Adaś po kilku dniach pożycia małżeńskiego zapadł na lekkie przeziębienie, które w jego interpretacji było co najmniej ciężkim przydadkiem mononukleozy. Po kilku dniach w jego ślady poszła pani Klusek, co uradowało Ankę jeszcze bardziej, jako że ratowało ją przed codziennymi inspekcjami teściowej. Matka Adasia ani myślała zapowiadać się telefonicznie – wpadała o najbardziej nieprawdopodobnych porach, nie

szczędząc Ance zjadliwych uwag na temat jej talentów jako pani domu. Kiedy kóregoś razu demonstracyjnie rzuciła się na podłogę, żeby wygarnąć spod kanapy rzekome tony kurzu, Anka nie wytrzymała i zasugerowała, że na czas wizyt będzie opuszczała mieszkanie.

– A widzisz, synku? Mówiłam, że ona ma coś do ukrycia! Ja tu będę sprzątać, a ona pewnie pójdzie do kochanka! Zawsze ci powtarzałam, że wszystkie studentki się puszczają – zasyczała wówczas jadownicie mama Klusek, sącząc do uszu jedynaka życiowe mądrości. – Każ jej siedzieć w domu i sprzątać!

Na takie *dictum* Anka złapała Zaworka i opuściła plac boju, z rozmachem zatraskując za sobą drzwi. Z satysfakcją skonstatowała, że przy okazji ze ściany odpadł spory kawał tyłku.

– Spójrz tylko, Zaworku, co za tandeta. – Była szczerze uradowana, że wilczy szaniec, w którym chciała ją zamknąć mama Klusek, nie jest specjalnie solidny.

Zbiegając po schodach, słyszała za sobą wściekłe ujadanie teściowej.

Od tego dnia mama Klusek ostatecznie uznała, że jej syn ożenił się z wariatką ze skłonnościami do nierządu. Nieodwołalnie wzięła Adasia pod swoje skrzydła, możliwie jak najwięcej czasu spędzając w mieszkaniu młodej pary. Przede wszystkim zajęła się dokarmianiem pokrzywdzonego przez los jedynaka, przynosząc mu codziennie fury tłustego żarcia, na którego widok Ance robiło się niedobrze. Za nic nie tknęłaby kotletów, zrazów i gołąbków produkcji ukochanej teściowej, ale cieszyło ją jedno: lodówka ku ukontentowaniu jej małżonka zawsze była pełna. Adaś pożerał wytwory matczynej rąk konsekwentnie i w całości. Wyglądało na to, że uprawiana profesja nie wyczerpała go na kwestię złogów cholesterolowych, odkładających się w ścianach tętnic.

Kres sielanki żywieniowej nastąpił, kiedy mamę Klusek powaliło przeziębienie. Adaś najwyraźniej nie dowierzał, że napełniająca się dotąd w cudowny sposób lodówka uporczywie pozostaje pusta. Anka przez kilka dni wstawiała do niej wyłącznie jogurty i sałatę, które uważał za niejadalne.

Po trzech dniach bez smażonego mięsa skapitulował.

– Idziemy na zakupy – rzucił tonem pana i władcy. – Lodówka jest pusta – stwierdził z pretensją w głosie.

Anka uniosła głowę znad książki, którą czytała, walcząc z ogarniającym ją uparciem stuporem. Wzdrygnęła się nerwowo, brutalnie wyrwana ze świata, w którym uznane za czarownice istoty płci żeńskiej skwierczały na wesoło trzaskających stosach. W tym momencie z radością zamieniłyby się miejscami z którąś z nich.

– Zdaje się, że samochód jest w warsztacie? – zagadnęła zde gustowanego jej niedbalstwem męża. Wizja Adama przemierzającego labirynty supermarketu w poszukiwaniu produktów, które da się usmażyć na głębokim tłuszczu, albo chociaż udusić w odpowiednio zawieszonym sosie, wywoływała u niej gwałtowną niestrawność. Jeśli Adaś oczekiwał, że przejmie rolę jego matki, pracownicy warzącej tłuste ochłapy, to grubo się mylił. Skoro uparł się nimi żyć, będzie musiał sam je przyrządzać albo konsumować na surowo.

– Oczywiście, że jest w warsztacie – wycedził przez śnieżnobiałe ząbki rozdrażniony potomek rodu Klusków. Nie mieściło mu się w głowie, że niewydarzona małżonka tak niedbale wyraża się o jego najnowszej zabawce marki Infinity. – Zapomniałaś, że jest poważnie uszkodzony?

Anka z satysfakcją przypomniała sobie scenę sprzed dwóch dni. Adam wpadł wtedy do domu rozdygotany niczym przyrządzana przez jego utalentowaną mamusię galaretką z nówek

i ciężko opadł na ulubiony fotel. Jęknął rozdzierająco, po czym ukrył twarz w dłoniach. Anka gotowa była rzucić się ku niemu w spontanicznym odruchu współczucia. Co się stało? Na stole operacyjnym wykrwawił się na śmierć jakiś szczególnie uprzywilejowany pacjent? Na oddziale pojawił się dwumetrowy konkurent, przypominając doktorowi Kluskowi, że zdradziecka natura obdarzyła go wzrostem siedzącego psa? Mamę Klusek porwały ufoludki?

Nic z tych rzeczy.

– Zadrapali... – wyjęczał Adaś spomiędzy zbiegających palców. – Zadrapali...

Czyżby błąd w sztuce lekarskiej? Nie, z zadrapaniem, jak sądziła, jej mąż jakoś by sobie poradził.

– Zadrapali mi lakier – wydusił z siebie Adam. Do reszty wycieńczony dramatycznym wyznaniem bezwładnie zwiesił się z fotela.

Anka zaniemówiła. Czyżby jej mąż pokrył się jakąś substancją chemiczną, aby w nienaruszonym stanie zaprezentować się potomnym? Chwileczkę... No jasne. Jakis profan zbeczcześci aktualny przedmiot Adasiowego kultu – lśniący granatowy samochód, za którego kierownicą dumny właściciel wyglądał z racji swych gabarytów jak mrówka w kołpocie statku kosmicznego. Skąpo obdarzeni przez naturę mężczyźni kupują sobie duuuużę samochody. Kolejny dowód na to, że wytarte slogany to w gruncie rzeczy gorzka prawda w pigułce, pomyślała Anka. Okazało się, że rysa na lakierze jest grubości włosa niemowlaka i prawie niedostrzegalna, co sugerowało, że wyolbrzymiający rozmiary tragedii Adaś po zakończeniu każdego dyżuru opada na kolana i centymetr po centymetrze kontempluje pod lupą sprofanowany lakier. Wyglądało na to, że w jego wyobraźni skaza rozrosła się do rozmiarów Wielkiego Kanionu. Ukochane auto zostało w końcu z należnymi honorami odstawione do warsztatu, gdzie oczekiwano na usunięcie szkazy na urodzie. Fakt, że Adaś oddał cudowny wehikuł w cudze ręce, świadczył o tym, że działał w stanie skrajnej desperacji.

– Idziemy do sklepu – powtórzył Adam głosem nieznośnym sprzeciwu. – Teraz – zaakcentował, z nienawiścią wpatrując się w książkę, którą Anka wciąż trzymała w ręce. Niechęć do słowa pisanego była w rodzinie Klusków dziedziczna. Anka próbowała sobie wyobrazić, jak jej mąż skończył medycynę, na której – przynajmniej teoretycznie – miało się do czynienia z opasły mi tomiskami zapisany mi ledwie czytelny maczkiem. Bezskutecznie. Adaś, nieodrodny potomek rodu półanalfabetów, za osobistą zniewagę uważał fakt, że jego żona śmie pograżać się w lekturze, odpływając w świat niedostępny dla zakompleksionych niskopiennych chirurgów. Po raz kolejny Anka przekonała się, że niewyrośnięci mężczyźni muszą żyć z poczuciem permanentnego zagrożenia ze strony nieprzyjaznego świata.

Wychodzi Adaś za krzaka

i udaje junaka...

Westchnęła ciężko i odłożyła konfliktogenny wolumin. Na szczęście w wypadku Adasia każdorazowe wyjście z domu poprzedzała zakrojona na szeroką skalę akcja dobierania właściwego stroju i odpowiednio wysublimowanych dodatków. Z zaangażowaniem godnym lepszej sprawy jej mąż cyzelował swój publiczny wizerunek.

Miała zatem przynajmniej pół godziny dla siebie.

Trwaj, chwilo, jesteś piękna!

Niestety, nic nie trwa wiecznie. Odpowiednio przyozdobiony Adaś zarządził wymarsz do pobliskiego centrum handlowego. Anka, gdy tylko mogła, omijała podobne przybytki szerokim

lukiem, natomiast Adaś potrafił godzinami błędzić po rzeźbicie oświetlonej świątyni konsumpcji, zahipnotyzowany wystawami pełnymi wysoce przez niego pożądanymi dóbr materialnych. W zachwyt wprawiało go wszystko, od rozkosznie drogich kijów golfowych po równie kosztowne fikuśne męskie stringi. Anka podejrzała, że zawarte w nazwie centrum handlowego słowo „galeria” dawało mu złudzenie obcowania z kulturą wyższą.

Kiedy przekroczyli progi Adasiowej mekki, małżonek rozejrzał się wokół nieprzytomnym wzrokiem, po czym rażno potruchtał w stronę ulubionego sklepu z wyrafinowanymi męskimi gadżetami. Tym razem do głębi poruszył go widok srebrnego otwieracza do butelek opatrzonego rączką w kształcie nagiej kobiecej sylwetki. A fuj! Anka poczuła, jak ogarnia ją obrzydzenie.

– Chodźmy stąd – rzuciła zimno i odciągnęła Adasia od elegancko zaaranżowanej wystawy.

Wyrwany z rozkosznego transu, niechętnie podreptał jej śladem w stronę hipermarketu. Brak sprzeciwu świadczył o tym, że śni na jawie o błyszczących przedmiotach o krągłych kobiecych kształtach.

Po wypełnieniu gigantycznego kosza mięsem, którym mogłaby się wykarmić cała zamarzająca pod Moskwą armia napoleońska, ruszyli w kierunku kas. Adaś zmierzył niechętnym wzrokiem oblegających je zziębniętych ludzi, stanowiących dla niego nędzny podgatunek, do którego sam nie był skłonny się zaliczyć. Stał w ogonku, z marnym skutkiem usiłując zachować przysługującą mu w jego mniemaniu *splendid isolation*.

Uregulowawszy rachunek błyszczącą jak brylant czystą kartą kredytową, Adam skierował wózek do względnie zacisznej kasy i zajął się pakowaniem łupów. Zakupy wyzwoliły w nim pradawny instynkt łowcy, potoczył więc wokół dzikim wzrokiem, gotów przepędzić wszystkich, którzy zbliżyliby się do wywalzonego z trudem terytorium. Fakt, że był niewiele większy od wypakowanego po brzezi wózka, zupełnie mu nie przeszkadzał.

...Wstąpiłem na działo

i spojrzalem na pole...

Zakupione przy kasie torby pęczniały w oczach. Anka stwierdziła, że jej małżonek wygląda, jakby urządził napad na podrzędną jatkę. Adaś przerwał na chwilę pracę, w zamyśleniu wpatrując się w dwa kartoniki. Oba zawierały produkty podatne na zgniecenie, a miłe sercu wytrawnego konsumenta, już zawnieszone poruszone wizją jajeczniczy na kielbasie.

– Położyć ser na jajach? – zapytał z kamienną twarzą.

Uhaha!

– Ależ nie krępuj się – odparła grzecznie Anka, choć wiedziała, że pytanie małżonka było ściśle retoryczne. Nie zwykł radzić się żony w sprawach najwyższej wagi.

W tym momencie wyobraźnia podsunęła Ance obraz Adasia pokrywającego sobie genitalia pastą serową.

Parsknęła śmiechem. Adaś spojrział na nią jak na rezydentkę szpitala psychiatrycznego i skrzywił się szpetnie.

– Odbiło ci? – zasycał. – Tu są ludzie!

Syn pani Klusek tak samo jak jego matka do przesady dbał o swój wizerunek w oczach reszty populacji. Anka, zawsze wyczulona na przejawy dulszczyzny, spojrziała na niego z obrzydzeniem.

– No i co się gapisz? Bierz jaja!

– Tutaj? Publicznie? – upewniła się i zakwiczała z radości. Po raz pierwszy od dnia ślubu coś było w stanie szczerze ją rozbawić.

– Idiotka! – wycedził jej mąż, zgrzytając zębami. Skoro przestał na chwilę martwić się stanem szkliva, musiał być autentycznie przejęty.

Anka stwierdziła z radością, że ludzie zaczynają przyglądać się im z zainteresowaniem. Adaś też musiał to zauważyć, bo spłonął purpurą.

– Źle się pan czuje? – zapytała życzliwie jakaś starsza pani.

Tego było już za wiele. Adam poczerwieniał jeszcze bardziej i wytrzeszczył wodniste niebieskie oczka. Szykował się do ataku.

– Wezwę karetkę – zaproponował objuczony siatami drągał.

– Wynocha! – zaryczał doktor Klusek, wymachując krótkimi rączkami. – Ale już!

...dwieście harmat grzmiało.

Zbiegowisko stopniało w oczach. Toczący pianę z pyska liliput w niczym nie przypominał miluńskiego Tolkienowskiego niziołka.

– Do domu! – zakomenderował Adaś, chwytając w obie ręce wyładowane torby. Z pustego kosza smętnie zwiślał samotny, przemycony przez Ankę pęczek zieleniny.

Może pan się o mnie oprze,

Pan tak więdnie, panie koprze.

Chwyliła przywiedły kopereki podążyła za Adasiem, który nie oglądając się za siebie, ruszył w stronę obrotowych drzwi.

Anka niechętnie rozpakowywała zakupy. Na widok krwawych kawałów mięsa robiło jej się niedobrze, ale obawiała się, że jeśli się z tym nie upora, na pomoc przybędzie cudownie uzdrowiona mama Klusek Podniecony cudownymi woniami Zaworek plątał jej się pod nogami, wydając zachęcające pomruki. Postanowiła, że w tajemnicy przed śmiertelnie obrażonym panem domu nakarmi go kawałkiem przerośniętej tłuszczem kiełbasy. Szykowała się właśnie do popełnienia przestępstwa, kiedy zadzwonił telefon.

– Do ciebie! – zawołał Adam. Słysząc było, że ledwo nad sobą panuje. – To ta Magda – wypluł z obrzydzeniem.

Jeśli istniała jakaś bardziej niż Anka niewydarzona istota płci żeńskiej, zdaniem Adasia była to jej najlepsza przyjaciółka.

– Tylko się pospiesz! – warknął. – Mogą dzwonić ze szpitala.

– Nie masz komórki?

– Nie dyskutuj ze mną – rzucił wyniośle, z upodobaniem pieszcząc w sobie przekonanie, że jest niezastąpiony.

Istny doktor Judy m.

Anka porzuciła rozkosznie woniejącą kiełbasę i pobiegła do przedpokoju, który jej małżonek uparł się nazywać holem.

– Zakochałam się! – W głosie Magdy brzmiała najczystsza euforia. – W dentyście! Obie będziemy paniami doktorowymi!

Ankę zamurowało. Dentysta? Szkoda, że nie anatomopatolog ze szpitalnej kostnicy. Pomysł obdarzenia uczuciem osobnika gmerającego w cudzych otworach gębowych wydał jej się kuriozalny. Wzdrygnęła się na myśl o pocałunku z zębolubnym potworem.

Nie tak..

Jeszcze szerzej!

Język bardziej w prawo...

Nie zaciskaj!

A teraz wypłuj i wypłucz...

Bardzo dobrze!

Błę! Nienawidziła wszystkich stomatologów świata, a wizytę u każdego z nich przyplacała rozstrojem nerwowym. Ani trochę nie wierzyła w wygłaszane uspokajającym tonem bajeczki o absolutnie niezawodnym znieczuleniu.

Ani o bezbolesnych małych zastrzykach.

– Wczoraj w nocy dostałam zapalenia okostnej – kontynuowała radośnie Magda. – Wyładowałam na ostrym dyżurze w szpitalu na Lindleya. Mają tam chirurgię szczękową.

Ankę przeszedł dreszcz obrzydzenia. Odpędziła od siebie obraz nocnych zmor wyposażeń w zakrwawione obcęgi.

– Przyjął mnie Igor – gruchała Magda. – Pierwsza kategoria. Metr dziewięćdziesiąt. Podobny do Seana Beana. Jesteśmy na ty – relacjonowała radośnie, zachłytnąjąc się z emocji. – Przepisał mi antybiotyki kazał przyjść za trzy dni. Do domu!

– Uspokój się – poradziła Anka. – Raczej ma tam gabinet, a nie miłosne gniazdko.

– Jesteś obrzydliwie drobiazgową.

O Jezu... Anka wyobraziła sobie Magdę z determinacją napastującą Bogu ducha winnego faceta. Znikąd pomocy. Zrobiło jej się go żal. W takich wypadkach jej przyjaciółka dysponowała siłą tornada.

– Musisz mi pomóc – usłyszała.

No jasne.

Poczuła, że włos jeży jej się na głowie. Kiedy Magda podążyła tropem upatrzonego faceta, była zdolna do wszystkiego.

– Co mam zrobić tym razem?

Z góry bała się odpowiedzi.

– Powiedziałam mu, że piszę cykl artykułów o historii dentystryki. Byłam dziś w bibliotece i skierowałam sobie kilka tekstów o inkrustowaniu siekaczy kamieniami szlachetnymi przez Inków. A może Majów? Nieważne. To bardzo interesujące. Czuję, że pokocham kultury prekolumbijskie.

– I co? – zainteresowała się Anka. – Mam ci zamontować kilka kolorowych zębów?

– Nie kpij. – Magda najwyraźniej poczuła się dotknięta. – Te artykuły są po hiszpańsku. Przetłumaczysz mi je, żeby w środę mogła zablysnąć erudycją. Pa!

Anka odłożyła słuchawkę. Wyglądało na to, że najbliższe trzy dni upłyną jej na zapoznawaniu się ze zwyrodniałymi gustami południowoamerykańskich ludożerców. Westchnęła ciężko i powlokła się do kuchni.

Adam w skupieniu układał jedzenie w lodówce, której wewnątrz coraz bardziej przypominało podrzędny sklep mięsny. Brakowało tylko bzyczących tłustych much.

– Nie widziałeś Zaworka? – zapytała Anka.

– Nie widziałeś mojej kielbasy? – zawtórował jej Adam, nerwowo rozglądając się dookoła.

Ogarnęło ją złe przeczucie. Jednoczesne zniknięcie jamnika i ociekającego zwierzęcym tłuszczem specjału uznała za wysoce niepokojące. Mina Adama świadczyła o tym, że podziela

jej obawy. Zaklął i pogalopował w stronę stojącej w przedpokoju wiklinowej budy. Anka z duszą na ramieniu popędziła za nim. Za późno! Adam zdążył już dobrać się do jamniczego domku. Potrząsał nim energicznie, usiłując wydobyć ze środka kiełbasożernego pasożyta.

– Wyłaż, cholero – zawarczał.

Zaworek ostrożnie wychylił z bezpiecznego schronienia świecący od tłuszczu pyszczek.

Adam upuścił budę i wycelował w Ankę przy krótki paluszek.

– Ubiję tę glistę – wydyssał. – Jak Boga kocham, ubiję.

Anka złapała budę w objęcia i pobiegła do sypialni. Zatrzasnęła drzwi i dla pewności podparła je krzesłem.

Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy.

Niech trwa!

Anka przekręciła się na bok i rozmasowała ścierniętą łydkę. Cały sobotni rano przeleżała bez ruchu, obłożona dostarczonymi przez Magdę artykułami. W miarę wczytywania się w pełne fachowych terminów opowieści o *incrustaciones dentarias* ogarniało ją coraz większe obrzydzenie. Z kolorowych odbitek szczyrzyły się do niej czaszki z nabijanymi turkusami opiłowanymi siekaczami. Była gotowa zaostrzyć własne i wyruszyć na poszukiwanie najnowszego wybrańca Magdy.

Z drugiej strony nie miała siły wściekać się na przyjaciółkę. Miłosne szaleństwo Magdy uwolniło ją od ponurych myśli o powinnościach małżeńskich. Po raz pierwszy od dnia ślubu poczuła radosną ekscytację.

Przyjemnie ożywna zepchnęła papiery na podłogę i podniosła się z łóżka.

– Jadę na Koło – poinformowała wdzięcznie upozowanego na poduszce Zaworka.

Uwielbiała pchle targi. Z rozkoszą grzebała w stertach przeróżnych staroci, których imponującą kolekcję ukrywała przed Adamem w najgłębszych zakamarkach ich obszernego lokum. Spośród antyków jej mąż tolerował jedynie zwaliste szafy gdańskie, Ance kojarzące się niemilo z rzymskimi sarkofagami. Uparcie odmawiała zamieszkania z ponurym gratem, który jej zdaniem nadawał się jedynie do tego, żeby na wieki zatrzasnąć w nim zakneblowaną starą skarpetą mamę Klusek.

– Niedługo wrócę – pocieszyła obrażonego jamnika, który organicznie nie znośił zostawać sam.

Wysiadając na ulubionym przystanku, poczuła znajome podniecenie. Precz z prekolumbijskimi szczeżujami! Czas na łowy.

Usadowieni pomiędzy poważnymi handlarzami weseli pijaczkowie, oferujący budziki z lat siedemdziesiątych, pudełka oklejone muszelkami i wydawane w poprzedniej epoce siermiężne kryminały o dzielnych funkcjonariuszach MO, witali ją jak starzy przyjaciele. Anka przykucnęła przy pierwszym z brzegu koszyku z różnościami prawie pewna, że wypatrzyła wśród nich

wykładaną kością bransoletkę. Chwileczkę... Niemożliwe... Z niedowierzaniem przyjrzała się niewinnemu z pozoru znalezisku. A jednak! Jak oparzona odskoczyła od koszyka i rzuciła rzekomą biżuterią w jej osupiałego właściciela. Z plastikowego kubka, który trzymał w ręce, chlusnęła na przybrudzoną koszulę doprawiona rumem herbatka.

– Co to jest, do cholery?! – wrzasnęła. – Co to jest?!

– Zęby. – Handlarz podetknął jej pod nos kościano-metalowe paskudztwo. – No przecież widać.

– Czy je?

– Toż nie moje – odparł flegmatycznie handlarz. – Ciotecznego dziadka. Jest tego więcej, pani poszuka.

– To ile on ich miał? – W wyobraźni Anki gigantyczny rekin ludojad walczył o lepsze z żarłoczną wielogłową hydrą.

– Pełno – oświadczył z dumą potomek szablozębnego mutanta. – Przed wojną miał tu gabinet. Całkiem niedaleko.

Ankę olśniło. Wyglądało na to, że właśnie wpadł jej w ręce spadek po dalekim przodku nadobnego Igora. To więcej niż zbieg okoliczności.

To omen.

Boży znak

Cud.

Wyszarpnęła z kieszeni komórkę i wybrała zakodowany w pamięci numer.

– Przyjeżdżaj na Koło! – wrzasnęła do słuchawki. – I to już! Weź trochę pieniędzy i sporą torbę. Byle nie przezroczyśta! Dopadniemy Igora!

– I wsadzimy do reklamówki? Zmieści się? – Magdę najwyraźniej ogarnęło podniecenie. – Nie chcę go w kawałkach. Interesuje mnie całość.

– Czełam! – Anka uznała, że nie ma czasu na dłuższą dyskusję. Rozłączyła się i padła na kolana przed błogosławionym koszem, żeby dokładniej zbadać jego zawartość. Facet nie kłamał. Spomiędzy miedzianych uchwytów, sprężyn o nieokreślonym przeznaczeniu i poczerniałych widelców szczyrzyły się do niej osadzone w metalu pozółkłe fragmenty uzębienia.

– Ile pan za to chce? – zapytała drżącym z podniecenia głosem.

Właściciel upornej kolekcji radośnie zatarł ręce.

– Dwadzieścia za sztukę – zdecydował. Błyskawicznie wyniuchał złoty interes.

Anka jęknęła w duchu. W tym momencie stać ją było na nędzny ułamek wydobyciego na światło dzienne skarbu.

– Pan żartuje – zaryzykowała. – Przecież to śmiecie.

– To po co pani kupuje? – Potomek utalentowanego dentysty najwyraźniej poczuł się urażony.

Anka rozejrzała się i zdrętwiała z przerażenia. Wokół wybebeszonego kosza zdążył się już zebrać spory tłumek okazujących żywe zainteresowanie amatorów staroci. Stojący najbliżej tłusty właściciel sąsiedniego stoiska przykucnął obok i wsadził obie łapy do kosza.

Uznała, że nie ma chwili do stracenia. Gdzie, do cholery, podziewa się Magda? Wyrwała grubasowi wyjątkowo okazałą sztuczną szczękę i obronny gestem przycisnęła ją do piersi.

– No co pani? – Łypnął na nią groźnie. – Pani oddaje! Ile za wszystkie? – Nie zamierzał tracić

czasu na zbędne pertraktacje. Uznał widocznie, że warto zainwestować w intrygujące drobiazgi.

– Trzysta. – Cioteczny wnuczek stomatologa postanowił ubić interes życia. – Z wiertłami trzysta pięćdziesiąt.

– Z wiertłami?! Jakimi wiertłami?! – Anka poczuła, że sytuacja wymyka się spod kontroli.

– Pani pogrzebie głębiej – doradził właściciel skarbcza. – Takie małe kartoniki.

Wydobyła z dna kosza płaskie pudełeczko i zbadała jego zawartość. Faktycznie, miała przed sobą gustowny komplecik miniaturowych narzędzi tortur.

– Pani pokaże – zażądał grubas.

– To moje! – zapisała, odruchowo zaciskając pięść.

Grubas wyszczerzył garnitur żółtych zębów, w niczym nieustępujący urodą pamiątkom po przedsiębiorczym wujku.

– Pani się zabiera – ryknął. – Daję trzysta i biorę. Wszystko!

Anka rzuciła się na kosz, osłaniając jego zawartość własnym ciałem.

Tuścioch chwycił ją za rękę. Anka miała wrażenie, że wokół nadgarstka zaciska jej się imadło.

Zawyła z bólu.

Grubas nie puszczał.

Przez tłumek przebiegł pełen aprobaty szmer. Akcja nabierała tempa.

Ratunku!

– Tu jesteś! – Słyszac głos Magdy, Anka o mało nie rozplakała się z radości.

– Dawaj trzysta złotych! Szybko! – wrzasnęła.

– Na co? – Magda przepchnęła się przez widzów z zainteresowaniem śledzących zmierzające do krwawego finału widowisko.

– Na zęby! – Anka uznała, że nie ma czasu wdawać się w szczegóły.

Magda posłusznie sięgnęła do torebki.

– Chwilunia, chwilunia! – Grubas nie miał zamiaru się poddać. – Panie, ja byłem pierwszy, bierz pan pieniądze. – Usiłował wcisnąć pogniecione banknoty właścicielowi zębonośnych złów.

Zapomnij, pomyślała Anka. Spadkobierca dentystry wpatrywał się w Magdę rozanielonym wzrokiem.

– Dla tej ładnej pani za dwieście pięćdziesiąt – oświadczył, uśmiechając się głupekowato. – A resztę dołożę gratis. – Odepchnął grubasa od kosza, a jego zawartość wysypał Magdzie pod nogi.

Jaką resztę? Nie było chwili do stracenia. Anka rozgarnęła kupę żelastwa i zajęła się oddzielaniem ziarna od plew.

Alleluja!

– Tylko popatr! – jęknęła z zachwytu, odkładając na kupkę zabytkowe świderki i rozwieraki.

– O Boże... Olać Azteków! – Magda opadła na kolana i wyrwała Ance okazały stalowy ekstraktor. – Igor oszaleje, jakto zobaczy!

– To może się podzielimy? – Grubas zdecydował się podjąć pertraktacje pokojowe. – Po połowie.

Magda spiorunowała wzrokiem stojące na drodze do jej szczęścia monstrum.

– Mowij nie ma! – oświadczyła, zdecydowana rozwiać wszelkie nadzieje na rozejm. – Pakujemy! – Rzuciła Ance reklamówkę.

Potomek stomatologa złapał torbę w locie.

– Ja potrzy mam – zaproponował usłudze.

– Może faktycznie weźmiemy połowę? – Anka przyjrzała się krytycznie pokaznemu stosikowi żelastwa. – Będzie trochę taniej.

– Właśnie! – ucieszył się grubas.

– Zwariowałaś? – Magda rzuciła jej mordercze spojrzenie. – To mój posag! Ładuj jak leci!

– W porządku. – Anka wyjęła jej z ręki miniaturowe obcęgi i wrzuciła do podstawionej reklamówki. – W końcu to ty płacisz.

– Pewnie, że ja! – Magda podniosła się z kolan i otrzepała szare od kurzu spodnie. – Patrz i ucz się, jak inwestować!

Jej słowom zawtórowały pierwsze takty *IX symfonii* Beethovena.

Anka wyciągnęła z kieszeni telefon.

– Słucham?... Nie... Oczywiście, że pamiętam – zapewniła z podejrzaną gorliwością. – Tak za pół godziny... Na pewno... Tak kupię kwiaty!

Popatrzyła na Magdę wzrokiem zbitego psa.

– Na śmierć zapomniałam – wyjęczała. – Jasna cholera!

– O czym?

– O imieninach. – Wzdrygnęła się ze wstrętem.

– Adama?

– Gorzej. Jego mamusi.

– Nie martw się – pocieszyła ją Magda. – Dasz jej kwiaty i uciekniesz.

– Nic z tego – westchnęła ciężko Anka. – Mama Klusek wyprawia przyjęcie.

Poranną ciszę przerwał ogłuszający warkot. Wyrwana ze snu Anka usiadła gwałtownie i rozejrzała się w poszukiwaniu budzika. Koldra spadła na podłogę, odkrywając wygodnie zwiniętego w kłębek Zaworka. Jamnik wpakował się do łóżka, korzystając z tego, że Adaś nie wrócił jeszcze z nocnego dyżuru.

Westchnęła. Od kilku dni jej pierwszą przytomną myślą po przebudzeniu było wspomnienie imprezy imieninowej u mamy Klusek. To wtedy Anka, która sądziła, że o rodzinie Klusek wie już wszystko, w błyskawicznym tempie zmieniła zdanie.

Tym razem mama Adasia zdecydowała się świętować w gronie przyjaciółek. Gościem honorowym i jedynym przedstawicielem swojej płci miał być rzecz jasna jej cenny potomek, z konieczności obciążony balastem w postaci niewydarzonej małżonki. Dumna mamusia nie była w stanie zrezygnować z żadnej okazji pochwalenia się jedynakiem. Przykry dysonans miała stanowić tylko obecność Anki, uosabiającej jedyny, za to brzemienny w skutki błąd życiowy, który zdaniem pani Klusek popełnił jej syn.

Przez całą drogę Anka zbierała siły, koncentrując się na zagrożeniu, które musiała dla niej stanowić babska impreza w wydaniu teściowej. Już w pojedynkę matka Adasia dysponowała mocą tarana i siłą śmiertelności tajfunu. Z odpowiednim wsparciem musiała przypominać tornado, które kilka lat wcześniej spustoszyło Filipiny.

Kiedy Adaś doholował operującą się Ankę na miejsce kaźni, już od drzwi powitał ich

niemiły dla ucha jazgot dobiegający z salonu. Z jego natężenia można było wnioskować, że koleżanki pani domu świetnie się bawią. Anka cofnęła się odruchowo, na co mąż zmierzył ją złym spojrzeniem.

Raz koźie śmierć.

Zebrała się w sobie i zdecydowała wkroczyć do salonu, niezbyt subtelnie popychana przez sunącego za nią małżonka. Widok, który zastała w reprezentacyjnym pokoju mamy Klusek, stokrotnie wynagrodził jej heroiczną decyzję, aby wykonać krok prosto w paszczę lwa. Na kanapie jak kury na grzędzie siedziały rządkiem baby-dziwa. Po przeciwnej stronie stołu tronowała gospodyni, usadowiona na mocno uginającym się pod jej ciężarem fotelu. Ponieważ Anka była już jako tako przyzwyczajona do wizualnego fenomenu, jaki stanowiła mama Klusek, skoncentrowała się w pierwszej kolejności na jej gościach okupujących kanapę. Na jej najdalszym końcu zagnieździła się wyschnięta na wiór kopia matki Adasia ze spaloną trwałą undulacją grzywką i brwiami mocno podkreślonymi smoliście czarnym ołówkiem. Czerwonawe plamy różu kraszące jej zapadnięte policzki sprawiały, że wyglądała jak gruźlik w ostatnim stadium choroby. Kłam temu wrażeniu zadawały małe świńskie oczka, aktualnie przewiercające na wylot Ankę i stanowiące świadectwo doskonałego samopoczucia ich właścicielki. Obok chuderlawej niby-suchotnicy uplasowała się baba bez porównania od niej obszerniejsza, spowita w błyszczącą czerwień uwydatniającą figurę wieloryba. Miała wojowniczy wyraz twarzy podkreślony przez makijaż w indiańskich barwach wojennych. Małe ślepką ozdobił cień w kolorze intensywnego różu, który w zestawieniu z czerwienią przyodziewku prezentował się wyjątkowo wyraziście.

Kiedy Anka napała już oczy widokiem dwóch pierwszych kobiet, przeniosła wzrok na ostatnią. Po raz kolejny przekonała się o mądrości starych maksym.

Finis coronat opus.

Trzecia przyjacielka pani Klusek stanowiła prawdziwą ucztę dla oczu. Akcentem, na który Anka zwróciła uwagę w pierwszej kolejności, było kompletnie nieadekwatne do aktualnej pory roku nakrycie głowy o nieokreślonym kształcie, wykonane ze sztucznego futra i ozdobione lamparcimi cętkami. Z niewiadomych powodów właścicielka nie zdjęła przypominającego płat skóry zdartej z dzikiego kota przybrania, spod którego wymykały się zalotnie natapirowane i sklejone lakierem pasma włosów utlenionych na platynowy blond. Grube czarne krechy otaczające oczy czyniły z niej skrzyżowanie podstarzałej Kleopatry z wyjątkowo infantylną dzidzią-piernik. Obrazu dopełniała karminowa, lekko rozsmazana szminka pokrywająca cienkie usteczka, zdobiąca również protezę, stanowiącą dzieło mało utalentowanego fachowca. Osadzone w niej zęby były ogromne jak u konia, za to nienaturalnie śnieżnobiałe.

Anka odwróciła wzrok od szacownego gremium, stwierdzając, że nadmiar tak spektakularnych wrażeń estetycznych może być szkodliwy. Pograżona w zachwycie zapomniała o powitaniu kanapowego dziwowiska, co spotkało się z widoczną dezaprobatą solenizantki.

– To jest żona Adasia – wypluła z siebie gospodyni. W jej głosie słychać było jednocześnie pogardę i zawstydzenie, że pozwoliła na związek ukochanego syna z tak nieudanym egzemplarzem płci żeńskiej.

Baby powitały ją pomrukami świadczącymi, że w ich mniemaniu mama Klusek rzeczywiście nie wywiązała się z obowiązków kochającej rodzicielki, przyjmując do rodziny tak niewydarzone stworzenie.

Zgodna dezaprobatą pani Klusek i jej towarzyszek świadczyła o tym, że osoba synowej musiała być głównym tematem plotek, którymi mamusia jej męża raczyła swoje przyjaciółki. Anka doszła do wniosku, że nie ma nic przeciwko roli nadwornego straszydła. Poczula nawet coś w rodzaju mściwej satysfakcji.

Samica wieloryba, która od dłuższego czasu wpatrywała się w nią z niezdrowym podnieceniem, najwyraźniej postanowiła nawiązać towarzyską konwersację.

– Jest w stanie błogosławiony? – zaskrzeczała.

Pytanie zawisło w próżni.

– No to jest czy nie...? – Wieloryb najwyraźniej domagał się odpowiedzi.

Anka zorientowała się po dłuższej chwili, że pytanie wyrażone w trzeciej osobie liczby pojedynczej zostało skierowane do niej. Nerwowo zastanawiała się, o co chodzi babie w czerwieni. W tym towarzystwie absolutnie nie czuła się pobłogosławiona.

– No, w ciąży jest? – zagadkała wielorybica. Wściekłość malująca się na nalany obliczu kazała Ance przypuszczać, że ostatecznie pogrzyżyła się w oczach szacownego zgromadzenia. Gruba baba z pewnością nie daruje jej, że zmusiła ją do zastąpienia wytartego komunału bardziej dosadnym sformułowaniem. Osoby jej pokroju stanowiły kwintesencję dulszczyzny, nakazującej posługiwanie się wyświechtanymi frazesami w razie konieczności podjęcia tematów wstydlivych. Bez wątpienia zaliczały się do nich fizyczne konsekwencje aktu płciowego.

– Nie jest – poinformowała Anka, odruchowo używając trzeciej osoby.

Wszystkie baby wykrzywiły się z dezaprobatą. Najwredniejszy wyraz miała twarz mamy Klusek.

– Mówiłam, że nic dobrego z tego nie będzie! – stwierdziła z satysfakcją. To, że potwierdziły się jej najgorsze oczekiwania wobec synowej, napełniało ją przewrotnym zadowoleniem.

Baby zagadkały ze współczuciem, zgodnie poruszając głowami na podobieństwo chińskich kionów.

– I nie gotuje! – teściowa ze złośliwą radością wytknęła kolejny grzech Anki, niemal równie ciężki jak jej brak współpracy w zbożnym dziele przedłużania rodu. Pozbawianie jej synka codziennej porcji kotletów uważała za zbrodnię nie do odkupienia.

Baby jeszcze energiczniej pokiwaly głowami, patrząc na Ankę jak na odrażającego dziwolęga.

– Będziemy się za nią modlić – obiecała właścicielka cętkowanego beretu giganta.

– Panie są z kółka różańcowego – poinformowała mama Klusek z namaszczeniem.

Wszystkie jak na komendę wzniosły oczy do nieba i złożyły dłonie w mańdryk. Na ich twarzach odmalował się wyraz obłudnego współczucia, który nie uległ zmianie do końca wizyty. Najwyraźniej chciały dać do zrozumienia, że współodczuwają z mamą Klusek, hodującą węza na własny łonie.

Kolejna seria warkotów wyrwała Ankę z zamyślenia. Upiorny hałas z każdą chwilą przybierał na sile. Nauczona smutnym doświadczeniem, bez trudu zlokalizowała jego źródło.

Mieszkające za ścianą stadło małżeńskie o wdzięcznym nazwisku Kłak spokojnie mogło pretendować do miana rodziny Adamsów. Emerytowany ubek wagi piórkowej, żyjący

w ciąglym strachu przed swą o głowę wyższą i trzy razy cięższą połowicą, co piątek spożywał pół litra wódki i wyrównywał rodzinne porachunki. Anka posiadała niezbite dowody zarówno na cotygodniowe libacje, jak i na następujące po nich rękoczyny. Świadectwem alkoholowych ekscesów były wyrzucone przez okno butelki po żółdkowej gorzkiej, co sobota zdbiające trawnik pod jej balkonem. Skutki przemocy w rodzinie były na ogół o wiele bardziej spektakularne. Maltretowana małżonka zwykła spędzać sobotnie noce na klatce schodowej, głośno wzywając zmiłowania Pańskiego. Anka, w której jednostajne zawodzenie budziło samarytańskie odruchy, zwykle około północy wynosiła jej na korytarz kubek gorącej herbaty. Wkrótce potem pani Kłak po cichu wracała do mieszkania, skąd w niedzielny poranek zaczynały dochodzić hałasy świadczące o tym, że brała srogą pomstę na chuderlawym małżonku.

Anka bezskutecznie starała się dociec, w jaki sposób to szczególne stadło zagnieździło się w ekskluzywnej kamienicy na Pięknej. Jej zdaniem miało to coś wspólnego z umocowaniem pana domu w poprzednim, acz nie do końca minionym systemie. Najwyraźniej jakiś uczynny kolega ze starych dobrych czasów umożliwił Kłakowi sprowadzenie rodziny do reprezentacyjnego lokum.

Dzisiejsze dźwięki nie miały bezpośredniego związku z burzliwym życiem rodzinnym. W dni powszednie pan Kłak pozostawiony sam w domu przez wciąż jeszcze aktywną zawodowo małżonkę, przystępował do tajemniczych działań, stanowiących źródło rozlegającego się od bladego świtu rumoru. Anka, która snuła na ten temat rozmaite spekulacje, zaczęła ostatnio podejrzewać, że poniewierany małżonek buduje statek kosmiczny, który zabierze go dostatecznie daleko od budzącej grozę poślubionej smoczy.

Zerwała się z łóżka, gotowa raz na zawsze położyć kres Kłakowym zapędom konstruktorskim. W piżamie i skarpetkach pognąła do przedpokoju, zdedykowana w razie potrzeby wziąć szturmem ubeczką twierdzą. Kiedy z impetem otworzyła drzwi, do mieszkania szeroką strugą wlała się mętna ciecz, ewidentnie wzdobywająca się spod progu upiornego sąsiada. Anka pomyślała w pierwszej chwili, że płynna szarawa substancja stanowi paliwo do statku kosmicznego, i przelotnie ucieszyła się, że jego budowa najwyraźniej wkroczyła w fazę finalną. Otrząsnęła się z chwilowego zamyślenia i wypadła na zalany korytarz. Załomotała pięściami w sąsiednie drzwi, spod których w dalszym ciągu strumieniami wybijiała brudnosina ciecz.

– Otwierać! – wrzasnęła.

Odgłosy wiercenia nie ustawały.

Wymierzyła drzwiom solidnego kopniaka. Eskalacja przemocy przyniosła pożądany efekt – hałas ucichł. Anka usłyszała głośny chłupot i towarzyszącą mu kwecistą wiązanek przekleństw. Drzwi otworzyły się i na progu stanął odziany w kalesony kandydat na kosmitę.

– Skąd się leje?! – wrzasnęła Anka. Natarła na roznegliżowanego sąsiada i wepchnęła go z powrotem do mieszkania.

– Z węża! – odrzucił Kłak i pogalopował w głąb mrocznego przedpokoju. – Czasem wyskakuje!

– Skąd wyskakuje?! – Anka pomknęła jego śladem, gotowa wraz z nim stawić czoło siejącemu spustoszeniu gadowi.

– Z kibla! – rzucił Kłak, wskazując na poźółkę drzwi łazienki.

Anka zastygła w progu, przerażona wizją wypełzającej z klozetu gigantycznej anakondy. Po chwili ciekawość zwyciężyła. Była gotowa stanąć twarzą w twarz z nawiedzającą Kłaków

poczwarą.

W łazience pojaśniało. Anka wkroczyła za gospodarzem do ustronnego przybytku i z niedowierzaniem rozejrzała się po zalanym ostrym światłem pomieszczeniu. Jego widok z nawiązką rekompensował nieobecność gadziego mutanta.

Wszystko wskazywało na to, że pan Kłak nie poszedł w ślady innych lokatorów, którzy z rozmachem odrestaurowali zakupione lokale. Ponieważ wspólnota mieszkaniowa ograniczyła się do odnowienia fasady i klatki schodowej, nowi lokatorzy ze wszystkich sił pracowali nad tym, aby ich mieszkania stały się godne wymyślnie upiększonej kamienicy.

Kłak najwyraźniej oparł się temu trendowi. Łazienka, do której wkroczyła Anka, była tego najlepszym świadectwem. Pokrywająca ściany napuchła od wilgoci brudnoseledynowa farba olejna przywodziła na myśl ostatnie stadium trądu. Rude zacieki na żeliwnej umywalce współgrały z o kilka tonów ciemniejszym kamieniem porastającym muszlę klozetową, a z zamontowanego pod sufitem górnopełka zwisała zakończona gruszkowatym uchwytem spłuczka. Poobijaną wannę litościwie otulała kwiecista zasłonka. W kącie wytrwale pracowała przerdzewiała pralka.

Anka jęknęła z zachwytu. Odkąd zamieszkała z Adamem, marzyła o wdarciu się do ubeckich kazamat. Rzeczywistość przerastała jej wszelkie oczekiwania. Rodzina Kłaków, z przyczyn oczywistych darząca sentymentem poprzednią epokę, pozostała obojętna na przywleczoną ze zgniłego Zachodu modę na kafelki i porcelanowe dolnopełki.

– Mówiłem, że wyskoczy! – Pełen satysfakcji okrzyk Kłaka przywołał Ankę do rzeczywistości. Dopiero teraz zauważyła, że z leżącego obok muszli klozetowej węża od pralki wycieka struga wody. Najwidoczniej sąsiad racjonalizator sprzągnął wiekowy sprzęt AGD z zarośniętym cudem kanalizacji.

Kłak podniósł wąż i wpakował go z powrotem do klozetu.

– A skąd pani wiedziała, że się leje? – zainteresował się, podciągając do góry przemoczone nogawki kalesonów.

– Zalało mnie – warknęła Anka.

W zamyśleniu podrapał się pod pachą. Ance zrobiło się niedobrze.

– To ja pomogę pościierać – zaproponował niemrawo. – Pani poczeka.

Ukucnął i wy dobył spod wanny kłęb brudnych szmat.

– Nie, dziękuję. – Anka pospiesznie wycofała się z łazienki. Wizja Kłaka pełzającego w kalesonach po przedpokoju odebrała jej ochotę na skorzystanie z dobrosąsiedzkiej pomocy.

– Może innym razem – rzuciła szybko i ruszyła do drzwi. – Do widzenia.

– To może chociaż weźmie pani szmaty – zawołał niezrażony jej niewdzięcznością Kłak, ale Anka była już na klatce schodowej.

Kiedy weszła do mieszkania, poczuła, że robi jej się słabo.

Dębowa klepka, duma i radość Adasia, puchła w oczach, powoli nasiąkając wodą.

14.

Anka z duszą na ramieniu pędziła w stronę centrum handlowego. Jeśli będzie miała szczęście, zdąży przed powrotem Adasia nabyć jakiś specyfik, który choć trochę zniweluje skutki porannego potopu. Na widok dziwnie matowego, napuchniętego parkietu jej mąż gotów ciężko zaniemóc. Ponieważ nie czuła się na siłach udzielać mu pierwszej pomocy, postanowiła w miarę możliwości przywrócić podłodze dawny wygląd.

Wokół świątyni konsumpcji trwała w najlepsze akcja „Lato w mieście”. Kawiarniane ogródki były okupowane przez świętujące niedzielę rodziny. Usadowieni wygodnie ojcowie popijali zimne piwo, odprowadzając głodnym spojrzeniem rozchichotane nastolatki w obcisłych topach i przykrótkich szortach, podczas gdy ich żony, blade i podenerwowane, próbowały uspokoić płaczące niemowlęta. Przejścia między stolikami tarasowały dziecinne wózki. Stadka starszych pociech, przyodzianych stosownie do okazji w jaskrawe stroje kąpielowe, radośnie taplały się w pobliskiej fontannie, obryzgując wodą przechodniów. Atmosferę letniska *à la polonaise* podkreślała jazgotliwa muzyka.

Nagle sielankę zakłócił przeraźliwy wrzask. Wszystkie głowy odwróciły się w stronę jego źródła. Jakiś dzieciak, na oko ośmioletni, darł się wniebogłose, nie zwracając uwagi na uciszającą go dwójkę dorosłych. W pewnej chwili rzucił się do ucieczki i na oślep popędził przed siebie.

– Tomuś! – rozpaczliwie zawołała za nim starsza kobieta, najpewniej babcia. – Tomuś, wracaj!

Tomuś ani myślał zareagować i twardo parł naprzód. W dłoniach ścisnął niewielkie tekturowe pudełko. Obserwująca tę scenkę Anka za późno zorientowała się, że stoi mu na drodze. Dzieciak wpadł na nią, omal nie powalając jej na ziemię. Odruchowo przytrzymała zbiega, który w odwecie wymierzył jej potężnego kopniaka w łydkę.

– Tomuś, nie wolno! – zawołała nadbiegająca truchtem babcia.

Nie kóp pana, bo się spocisz!

– Niech pani go nie puszcza! – zawtórował jej nadciągający młody mężczyzna, zapewne ojciec wrzeszczącego dzieciaka.

Anka posłusznie wypełniła polecenie. Tomuś ryknął głośnym płaczem.

– Nie oddam! Nie oddam! – zawodził jednostajnie.

– Czego nie odda? – zainteresowała się Anka.

– Paciorka! – zachlipał dzieciak, kuczowo przy ciskając do piersi pudełko.

– Jakiego paciorka?

– Tak nazywał szczura. Proszę sobie wyobrazić, prawdziwego szczura! – wyjaśniła babcia głosem pełnym obrzydzenia. – Uciekł nam, kiedy robiliśmy zakupy, i wrócił z tym paskudztwem. I jeszcze wy myślił to idiotyczne imię.

– Natychmiast idziemy oddać go do sklepu – zarządził młody mężczyzna, najwidoczniej ojciec Tomusia.

Dzieciak zawył głośniejsze.

– Zdaje się, że nie przyjmują zwrotów – poinformowała Anka.

– I co my zrobimy? – wyjęczała babcia. – Za nic nie będę mieszkając z takim obrzydliwym.

– Trzeba go wypuścić. – Ojciec ewidentnie ucieszył się z genialnego pomysłu.

Anka nie mogła znieść myśli o bezdomnym, błakającym się Paciorku.

– Ja go wezmę – zadecydowała spontanicznie.

– Nie! – wrzasnął Tomuś dziko.

Ojciec wyrwał mu pudełko i szybko wręczył Ance.

Tomuś dostał spazmów.

– To do widzenia – rzucił pośpiesznie mężczyzna. Najwyraźniej bał się, że Anka może się rozmyślić. Chwytał zapierającego się dzieciaka za rękę i siłą pociągnął za sobą.

Oszołomiona błyskawicznym rozwojem wydarzeń Anka spojrzała na pudełko, pełna obaw co do dalszego losu Paciorka. O ile знаła Adama, gotów był nafutrować go trutką na szczury albo pod jej nieobecność poszczuć Zaworkiem. Jej mąż, kompletnie nieczyły na urok małych pachuch stworzonek, był zdolny zgotować mu śmierć w męczarniach.

Odpedziła od siebie ponurą wizję. Otworzyła pudełko i spojrzała z respektem na potomka stworzeń, które przyłożyły malutkie łapki do zdziesiątkowania ludzkości przez czarną śmierć. Szczurek spojrział na nią paciorkowatymi ślepkami.

Anka zakochała się od pierwszego wejrzenia.

Coup de foudre!

– Zmiana planów. Od teraz jesteście Dżumi – poinformowała go Anka i zamknęła pudełko.

Dopiero w połowie drogi do domu uświadomiła sobie, że zapomniała specy fiku do parkietów.

Ogarnięta potrzebą buntu postanowiła darować sobie zaplanowane zakupy. Z zachwytem wpatrywała się w kartonowe opakowanie z Dżumim w środku, dumna z holdu złożonego Camusowi.

Była już pod domem, kiedy zauważyła, że drogę zagradza jej spore zbiegowisko. Gwałtownie porzuciła myśli o klasykach literatury i rozejrzała się wokoło.

– Chyba trup – usłyszała czyjś rozmocjonowany głos.

Thumek zaszumiał i zafalował.

Anka nadstawiła uszu. Poranek obfitował w atrakcje. Najwidoczniej przyszedł czas na mocny akcent w postaci poniewierających się pod nogami zwłok

...to wy byście staruszkę przejechali, tak? A to być może wasza matka!

Odegnęła od siebie czarowny obraz pozbawionej życia mamy Kluseki podeszła bliżej.

– Szedł i upadł – relacjonowała jakaś kobieta. – Tak dziwnie szedł. Zygakiem.

Anka westchnęła. Wyglądało na to, że nieboszczyk jest rodzaju męskiego.

– Rusza się! – padło z tłumy.

– To może po karetkę? – zaproponował ktoś niepewnie.

– Panie, toż to pijak – zaproponowała kobieta z obrzydzeniem.

– Niby tak, ale ranny – wtrąciła inna.

– Pijany to krzywdy sobie nie robi – stwierdziła autorytatywnie pierwsza. Najwidoczniej odpowiadała jej rola mistrza ceremonii.

Anka zaczęła przepychać się przez tłum. Żyła w dobrej komitywie z miejscowymi pijaczkami. Za dorzucanie brakujących złotych do porannego piwa odpłacali jej szczerym uwielbieniem. Odkąd zaczęli z entuzjazmem reagować na jej widok, Adam starał się do minimum ograniczyć ich wspólne wyjścia z domu.

Na chodniku w oparach alkoholu leżał jeden z jej znajomych. Z jego rozbitej głowy powoli sączyła się krew. Anka wyszarpnęła z kieszeni telefon i wybrała 999. Dyspozytor zapewnił, że karetka przyjedzie w ciągu dziesięciu minut.

W tym momencie pijaczek jęknął cicho i otworzył jedno oko.

– Słyszysz mnie pan? – zapytała Anka, przykucając przy nim.

– A słyszę, słyszę, królowo – oświadczył ranny nieoczekiwanie różnym głosem. Na widok znajomej jego twarz rozjaśnił bezżębny uśmiech.

Anka odstawiła na chodnik pudełko z Dżumim. Zdjęła sweter i podłożyła pijaczkowi pod głowę.

– Proszę leżeć spokojnie – poleciła. – Karetka już jedzie.

– Karetka? – W oczach mężczyzny pojawiło się przerażenie. – Królowo, po co zaraz karetka?

– Usiadł i spróbował podnieść się na nogi, ale z jękiem osunął się z powrotem na chodnik.

W oddali rozległ się sygnał karetki. Pijaczek mocniej uczył się jej dłoni.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Odziani w czerwone kurtki sanitariusze zignorowali zbiegowisko zwabionych nieoczekiwaną atrakcją gapiów i sprawnie unieruchomili zdezorientowaną rozwojem wydarzeń ofiarę.

– Pani jedzie ze mną! – błagał poszkodowany, szarpiąc kołnierz ortopedyczny. – Na rany... Sam nie pojadę... Królowo...

– Pani z rodziny? – zapytał sanitariusz, patrząc na Ankę podejrzliwie. Na myśl, że jej wygląd może sugerować pokrewieństwo z rannym, wzdrgnęła się nerwowo.

– Prawie – odpowiedziała przytomnie.

– To w końcu rodzina czy nie? Obyć nie wolno...

– To mój wujek – zadeklarowała szybko.

– To pani wsiada.

Pochodzenie nie świadczy o wartości człowieka, *n'est-ce pas?*

Anka chwyciła pudełko z Dżumim i wskoczyła do karetki.

Ruszyli na sygnale.

– Do którego szpitala? – spytała Anka, tknięta złym przeczuciem.

– Na Oczki – rzucił sanitariusz, przytrzymując wydającego nieartykułowane dźwięki rannego. Z jego miny można było wywnioskować, że najchętniej zaaplikowałby mu solidną dawkę pawuloniu.

Anka jęknęła, wtórując pijaczkowi, któremu kontakt ze służbą zdrowia najwyraźniej nie służył. Przed oczami zamajaczył jej znajomy obraz. Ponura izba przyjęć, harpie ze strzykawkami, przybywający z odsieczą miły pan Wołodajowski, przyszedł mąż... Na dodatek istniało zagrożenie, że Adaś, który ma dzisiaj dyżur, zobaczy ją w roli siostry miłosierdzia zadającej się z marginesem społecznym. Mogła być pewna, że jej samarytański odruch nie spotka się ze zrozumieniem. Jakby tego było mało, dopiero teraz zauważyła, że koszulkę i dżinsy ma ubrudzone krwią. W roli lady Makbet czuła się średnio komfortowo.

Jednakże kto by się był spodziewał tyle krwi w tym starcu!

Karetka wtoczyła się tymczasem na podjazd przed szpitalem. Sanitariusze ułożyli wymachującego rękami rannego na wózku i ruszyli do wejścia prowadzącego na izbę przyjęć. Pochód zamykała Anka, wlokąca się jak nieszczęsna Anna Boleyn w drodze na szafot.

Znajome otoczenie nie poprawiło jej nastroju. Odorek lizolu tak jak pamiętnego dnia przyprawił ją o mdłości, a brudnoszare linoleum z czerwonymi żyłkami po dawnemu przywodziło na myśl rzeźnię. Tym razem jednak izba przyjęć pękała w szwach.

Sanitariusze wtoczyli wózek do zabiegowego. Anka odstawiła pudełko z Dżumim na przykrytą zielonym prześcieradłem leżankę i pozwoliła, żeby pijak znów chwycił ją za rękę.

– Królowo złota, nie zostawiaj mnie – jęknął.

Westchnęła z rezygnacją i stanęła obok wózka.

Kiedy do gabinetu weszły dwie pielęgniarki, Anka wzdrygnęła się, przeżywając upiorne *déjà vu*. Rozpoznała harpie, które za poprzedniej bytności zaaplikowały jej „malutki zastrzyk”, po którym na kilka godzin odjęto jej władzę w nodze. Jak przystało na nieśmiertelne wampiry, wyglądały zupełnie tak samo. Na myśl, że zastosują wobec nieszczęsnego pijaczka tę samą kurację, Anka mocniej ścisnęła go za rękę.

Na szczęście urocze siostrzyczki były tym razem nieuzbrojone. Przemęły i pobieżnie obejrzały ranę na skroni, po czym odsunęły się od wózka.

– Dzwonię na chirurgię – zadecydowała blondynka. – Trzeba będzie szyć.

Anka zdრętwiała w oczekiwaniu na nieuchronne.

Po pięciu minutach do zabiegowego dumnie wkroczył jej mąż.

– Co ty tu robisz?! – Wybałuszył na Ankę błękitne oczęta, kompletnie ignorując leżącego na wózku rannego.

– Nie cieszysz się, że mnie widzisz? – zagruchała. – Stęskniłam się za tobą. Nawet wezwałam karetkę, żeby było szybciej.

Adaś pozostał rażąco głuchy na to wyznanie. Z obrzydzeniem spojrzął na plamy krwi na jej koszulce.

– Coś ty znowu narobiła?

Anka po raz kolejny skonstatowała, że spodziewa się po niej wszystkiego co najgorsze.

Wzruszona wiarą męża w jej możliwości postanowiła stanąć na wysokości zadania.

– Spacyfikowałam kosmitę – pochwaliła się pogodnie.

Z pewną satysfakcją obserwowała, jak liczko męża blednie z wściekłości.

– Opowiedzieć ci?

Przez chwilę kontemplowała zmiany w fizjonomii małżonka, który z wyjątkową łatwością zmieniał kolor.

Czyżby mimikra?

Szkoda, że jesteś za mały na kameleona.

– Tobie potrzebny jest psy chiatra – wy dusił w końcu przez zaciśnięte zęby.

Anka wyobraziła sobie siebie w roli bohaterki *Lotu nad kukułczym gniazdem*. Wizja była na swój sposób pociągająca. Uwolniłaby się w ten sposób od mamy Klusek, której noga nie postąpiła raczej w wariatkowie.

– Zbadajmy się razem – zaryzykowała propozycję. – Ostatecznie jesteś obciążony dziedzicznie.

– Kretynka – wy chrypiał Adaś przez zaciśnięte gardło. Ilekroć szwankująca na umyśle żona choćby pośrednio wypowiadała się na temat jego mamusi, z oburzenia odbierało mu mowę.

Anka obserwowała go z zainteresowaniem. Kiedy popadał we wściełość, jego mimika zdradzała, że jest nieodrodnym potomkiem mamy Klusek. Zastanawiała się, czy go o tym nie poinformować.

Może innym razem.

– Panie doktorze, pacjent czeka – nieśmiało odezwała się blondwłosa harpia. Najwyraźniej usiłowała ratować sytuację.

Obejdzie się, strzy go.

Adam obrzucił ją wściekłym spojrzeniem.

– Czy ja pytałem panią o zdanie? – wycedził lodowato. Skoro małżonka nie pokajała się w obliczu jego świętego oburzenia, był gotów wyładować wściełość na Bogu ducha winnej pielęgniarence. Wbrew sobie Anka poczuła, że żal jej zastrzykolubnej wampirzycy.

– Przepraszam... – Zrugana kobieta zarumieniła się ze zmieszania. – Ja tylko...

– Na drugi raz proszę nie przypominać mi o moich obowiązkach – rzucił doktor Klusek przez zęby, pręjąc groźnie swoje sto siedemdziesiąt centy metrów.

– Przepraszam, panie doktorze. – Pielęgniarka do reszty straciła rezon wobec demonstracji samczej siły.

Anka postanowiła odwrócić uwagę Adama od sponiewieranej siostrzyczki.

– On naprawdę potrzebuje twojej pomocy – powiedziała.

Adam lubił, kiedy przy pominano mu o jego uzdrawiających właściwościach. Wciąż jeszcze pochrząkując gniewnie, odwrócił się w stronę wózka.

– Co my tu mamy...? – zapytał retorycznie. Kiedy pochylił się nad pijaczką, w nos uderzył go zapach przetrawionego alkoholu.

– Siostrzo, rękawiczki – zadysonował, nawet nie próbując ukryć gry masu obrzydzenia.

Zabezpieczony warstwą lateksu obejrzał ranę na skroni pijaczka. Ponieważ nie silił się na delikatność, pacjent jęknął boleśnie.

– Będę szyć – rzucił doktor Klusek tonem zapowiadającym magiczną sztukę. – Siostrzo, igła i nici.

*Panowie i panie,
wstrzymajcie oddech.*

Przed wami jedyny i niepowtarzalny David Copperfield!

Krasnalowaty cudotwórca groźnie spojrział na struchlałego ze strachu rannego.

– Proszę się nie ruszać – nakazał, pochylając się nad nim. W jego rękę złowrogo błysnęła zakrzywiona igła.

Pijaczek błagalnie spojrział na Ankę.

– Królowo złota, potrzyмай za rękę – jęknął.

Anka podeszła do łóżka i ujęła jego dłoń, ignorując pełne obrzydzenia spojrzenie męża. Pomyśł dotknięcia wykojeńca gołą ręką musiał wydać mu się kuriozalny.

Dalej akcja potoczyła się błyskawicznie.

Pijaczek wrzasnął i wierzgnął dziko, usiłując podnieść się z wózka.

Odepchnięta Anka poleciała na stojącą pod ścianą leżankę, strącając z niej zapomniane pudełko z Dżumim.

W zetknięciu z podłogą kartonik się otworzył. Oswobodzony szczurek momentalnie smyrnął pod oszkloną szafkę z lekami.

– Dżumi! – zawołała, rzucając się na kolana. – Dżumi!

Uciekinier wybiegł spod szafki i z prędkością światła minął uchylone drzwi.

Anka wypadła z gabinetu.

Tłum w izbie przyjęć zamilkł i wlepił w nią pełne przerażenia oczy.

Cisza nie trwała długo.

– Dżuma! – wrzasnęła dziko kluskopodobna matrona. – Ludzie, dżuma! – zawyła i rzuciła się w stronę drzwi. Jej histeria udzieliła się pozostałym. Przepychając się i tratując, ruszyli w stronę wyjścia.

W pięć minut, które przerażonej Ance wydawały się wiecznością, izba przyjęć opustoszała.

– Ty idiotko... – usłyszała za plecami złowróżbny charkot. – Zabiję cię.

Doszła do wniosku, że Adaś proponował jej to rozwiązanie z niepokojącą częstotliwością. Ponieważ wciąż był uzbrojony w igłę, istniało pewne prawdopodobieństwo, że uzbrojony tym razem zrealizuje swój zamiar. Choć Anka nie widziała swojego męża asekuranta w roli zaślepionego żądzą krwi mordercy, na wszelki wypadek cofnęła się na bezpieczną odległość.

Niziołki doprowadzone do ostateczności mogą być groźne bez względu na gabaryty.

W tym momencie po bucie Adama przebiegł uwolniony szczur. Anka błyskawicznie straciła zainteresowanie mężem i wpełza pod ławkę, pod którą ukrył się zwierzak. Po chwili wyłoniła się spod niej, triumfalnie trzymając go za ogon.

– Co to właściwie jest?! – zaryczał Adam, któremu najwyraźniej wrócił głos.

– To Dżumi. – Anka poczuła się w obowiązku dokonać prezentacji.

Wymięła Adama i weszła do gabinetu. Podniosła z podłogi pudełko i bezpiecznie umieściła w nim szczurka.

Adam widać przypomniał sobie o niezacerowanym pijaczku, bo wszedł za Anką do gabinetu i trzęsąc się z furii, zaczął nerwowo zmieniać rękawiczki.

– Kończę za piętnaście minut – rzucił, nie patrząc na nią. – Masz na mnie poczekać – zarządził tonem pana i władcy.

Anka była pewna, że przez Adasia bynajmniej nie przemawia męzowskie przywiązanie. Po prostu chciał mieć ją na oku.

Tym razem, pamiętając o igle, wołała nie dyskutować. Posłusznie wyszła do opustoszałej izby przyjęć.

– Porozmawiamy, jak wrócimy do domu! – zawołał za nią Adaś.

W obietnicy czaiła się groźba.

Tym razem postanowiła grzecznie czekać na męża. Skoro ważyły się losy Dżumisia, gotowa była na pewne ustępstwa.

Po kwadransie doktor Klusek w całej krasie objawił się w izbie przyjęć. Z siłą niespodziewaną u miniaturowy mężczyzny chwycił żonę za rękę.

– Ty cholerna idiotko! – ryczał, ciągnąc Ankę w stronę samochodu.

Wyglądało na to, że właśnie odebrał z warsztatu cudem ocalony wehikuł. Anka na ułamek sekundy zadumała się nad ubóstwem zestawu inwektyw, którymi częstował ją wściekły małżonek. Stanowczo zaskoczyła na coś bardziej oryginalnego. Grzecznie wsiadła do odratowanego wozu. Woliała, żeby uroczą scenką, której się spodziewała, rozegrała się w domowych pieleszach, a nie na przy szpitalnym parkingu. Pomyślała przelotnie, że w jakiś tajemny sposób mama Klusek musiała zarazić ją swoim kołtuństwem.

Osmoza?

W drodze do domu towarzyszyła im grobowa cisza, przerywana od czasu do czasu groźnymi pomrukami. Wyglądało na to, że Adaś tworzy *a vista* scenariusz nadciągającej awantury. Kiedy wsiadli do wymienionej niedawno windy, Anka po raz pierwszy ucieszyła się, że nową kabinę zdobi imponujących rozmiarów lustro. Adaś, chwilowo pochłonięty kontemplowaniem swojego nieskazitelnego odbicia, przestał wydawać z siebie zapowiadające Armagedon dźwięki.

Kiedy na piątym piętrze rozsunęły się drzwi, oczom Anki ukazał się obrazek jak z najgorszego snu. Ustrojona w kwiecistą suknię mama Klusek konwersowała z wygodnie opartą o drzwi swojego mieszkania żoną kalesonowego kosmity. Imponujących rozmiarów wieloryb wymachiwał łapami, ubarwiając bogatą gestykulacją jakąś pasjonującą opowieść. Sielski charakter scenki sugerował, że między obiema paniami zawiązała się nić serdecznego porozumienia.

– ...w trzecim miesiącu – wykladała właśnie baba-waleń, podtykając pod nos mamy Klusek trzy przypominające rozgotowane parówki paluchy.

Anka błyskawicznie domyśliła się, o co chodzi. Kosmici najwyraźniej szykowali się do inwazji. Przyszedł czas wydania na świat kolejnego pokolenia. W czeluściach ich mieszkania żyła do złudzenia przypominająca prototyp kopia pani domu, w której Anka nie bez trudu rozpoznała latorośl malowniczej pary. Ostatnio do tajemniczego stadła dołączył ponury osobnik rodzaju męskiego, co sugerowało, że opasła córka rodu odnalazła swą drugą połowę. Wyglądało na to, że rozemocjonowane damy omawiają właśnie owoc szczęśliwie skojarzonego związku.

– Mamusi! – zapiszczał Adaś, brutalnie wypychając Ankę z windy. Kiedy budził się w nim zew krwi, gotów był iść po trupach.

– Adasiu, przywiozłam ci pulpety z pieczarkami – zaćwierkała słodko mama Klusek, prezentując okazały garnek owinięty w zielonkawą reklamówkę. – Jeszcze ciepłe!

– Dziękuję. – W głosie jedynaka pobrzmiwało echo chórów anielskich. – Ty zawsze o mnie pamiętasz!

Anka poczuła się jak intruz. W uroczej rodzinnej scenie z cielęcymi pulpecikami w tle stanowczo nie było dla niej miejsca.

– Stałaś pod drzwiami! – Adaś spojrział na mamusię oczami czekającego na przebaczenie psa. – Długo?

Mama Klusek na pewno знаła na pamięć grafik dyżurów ukochanego synka. Adaś, który nie

raczył informować żony o swoich godzinach pracy, mamusi spowiadał się pewnie z każdego kwadransa.

– Nic się nie stało, synku – zagruchała jego rodzicielka, kompletnie ignorując znieawidzoną synową. – Pani opowiada mi właśnie, że jej córka jest już w trzecim...

– Wejźdźmy do domu – zaproponowała grzecznie Anka. Doskonale wiedząc, w jakim kierunku zmierza konwersacja, postanowiła zdusić temat w zarodku. – Nie będziemy przecież tak tu stać. Pulpeciki stygną.

Pokonana tym argumentem mama Klusek mocniej przycisnęła do piersi starannie opakowany garnek i spojrzała wy czekująco na głodnego synka.

Adaś przekręcił klucz w skomplikowanym zamku i pchnął drzwi, które jakimś cudem wcale nie miały zamiaru się otworzyć. Pchnął mocniej i nie uzyskawszy zadowalających rezultatów, spojrzał oskarży cielsko na Ankę.

– Coś zrobiła z drzwiami? – zapytał jadowitym tonem.

– Nie z drzwiami, tylko z podłogą. – Anka starała się udzielić mu precyzyjnych informacji.

– Z podłogą?! – wrzasnęła Adaś i z całym impetem napał na drzwi. Wizja sprofanowanej dębowej klepki dodała mu sił. – Mów, co się stało z parkietem?!

– Spuchł. Przez kosmitów.

Adaś wydał z siebie dziwny dźwięk i jak taran zaatakował odporne drzwi, które w końcu uchyliły się nieco, prezentując zebrany koszmarny widok. Nasiąknięte wodą klepki w dziwny sposób uniosły się do góry, tworząc nieregularne pagórki.

Adaś z niedowierzaniem spojrzał na dębowe pobojowisko.

– Gadaż! – krzyknął, chwytając żonę za ramię. – Co tu się stało?!

– Przecież powiedziałam. – Po raz kolejny uznała, że jej mąż jest wyjątkowo mało rozgarnięty.

– Włącz do środka. – Wepchnął Ankę do przedpokoj, po czym odwrócił się do dzierzającej cenny gar mamusi. – Chodź, kochana – powiedział czule i wprowadził mamę Klusek do mieszkania. Stępując z wy siłku, zamknął za sobą stawiające opór drzwi.

– Teraz pogadamy – warknął w stronę żony.

– Właśnie – zawtórowała mu mamusia, ściągając gniewnie w ciup pokryte świńskim różem usteczka.

– Przecież już tłumaczyłam. – Anka postanowiła się bronić. Czula lekki niepokój, bo wszystko wskazywało na to, że tym razem nie skończy się na czczych pogróżkach. Może faktycznie trochę przesadziła.

Adaś po raz kolejny tego dnia poczerwieniał, a intensywnie czarne brwi jego mamusi prawie skryły się pod sztywną od lakieru grzywką.

– Przestań pieprzyć – warknął wściekle.

– O ile sobie przypominam, przestałam to robić dobry kawał czasu temu. – Skoro nadarzyła się okazja podsumowania ich szcążkowego pożycia małżeńskiego, Anka nie mogła się powstrzymać.

Ponoć każdy efekt ma swoją przyczynę, wynikającą z naszego działania lub z jego braku.

Od momentu kiedy nieśmiało zasugerowała, że nie czuje się w pełni usatysfakcjonowana, Adaś ani razu jej nie dotknął. Nie dociekała, czy jest to efekt nawracającej cyklicznie impotencji, czy raczej pogłębiającego się wstrętu do jej osoby.

Tak czy inaczej, co za ulga.

Nie skupiajmy się na przy czynach, a świętujmy rezultaty.

– Nie przy mamusi! – wrzasnął teraz, ruszając w jej stronę. – Jak śmiesz? Idiotka!

Anka po raz kolejny zadumała się nad ubóstwem jego słownictwa i na wszelki wypadek cofnęła się nieco.

Jak na zawołanie w przedpokoju zjawił się Zaworek

– Broń pani! – zażądała Anka.

Jamnik wbił w napastnika zły wzrok i zawarczał groźnie. Adam odruchowo odskoczył do tyłu i pospiesznie schował się za mamę Klusek

– Zabieraj stąd to małe gówno! – ryknął wściekle, wyglądając zza kwiecistej barykady.

Zaworek spojrział na niego z pogardą, po czym stanął słupka, zaintrygowany pudełkiem, które Anka cały czas przy ciskała do piersi. Musiała zagrać w nim krew mężnych przodków myśliwych, bo zaczął podskakiwać, nerwowo popiskując.

– I jeszcze cholerny gryzoń! – Adasiowi przypomniało się chyba pandemonium w izbie przyjęć. – Skądś go przy wlokła?

Wobec nowego zagrożenia temat zmasakrowanego parkietu zszedł na dalszy plan.

– Ze sklepu – odpowiedziała zwięźle Anka. Nie czuła się na siłach relacjonować spotkania z rozbestwionym Tomusiem i jego rodziną.

– No to idziemy oddać – warknął.

– Lepiej to zabij! – Mama Klusek postanowiła włączyć się do akcji. – Łeb ukręć i do śmieci!

– Brzydzą się, mamusiu. – Adam ze wstrętem popatrzył na pudełko. – Lepiej chodźmy i to oddajmy.

– Zwrócą pieniądze – ucieszyła się mama Klusek

Anka nie miała najmniejszej ochoty pozbywać się przedsiębiorczego zwierzątka. Z drugiej strony takie rozwiązanie ratowało Dżumiego przed zamordowaniem i wrzuceniem do zsypu.

– Ale idziemy razem – zarządził Adaś, ciągle okopany za umocnioną garem kwietną zaporą.

– Przypilnujemy, żeby na pewno to oddała.

– Dobrze, syneczku. – Z tonu mamy Klusek wynikało, że podziwia synowską przezorność. – Tylko odstawię pulpeciki.

– Tak, mamusiu – zagruchał miłośnie Adaś. – Chodźmy do kuchni.

Po piętnastu minutach, które upłynęły na podziwianiu pulpecików pływających w gęstej zawieszynie nieokreślonego koloru, karna ekspedycja wyruszyła w stronę centrum handlowego. W awangardzie kroczyła milcząca mama Klusek, na której twarzy gościł wyraz ponurej determinacji. Za nią truchtała Anka, popychana od czasu do czasu przez przeklinającego pod nosem Adama.

Cała naprzód ku nowej przygodzie,

taka gratka nie zdarza się co dzień!

Po kolejnym kwadransie malownicza procesja dotarła do celu. Mama Klusek naparła dzielnie na prowadzące do sezamu obrotowe drzwi i pochód triumfalnie wkroczył do Adasiowego sanktuarium.

– Którędy? – rzuciła mamusia. Jej kwiecista suknia rozpostarła się jak żagle Kolumbowej „Santa Maria”, triumfalnie zdążającej na spotkanie nowego świata.

– Tam. – Anka skierowała pochód w lewo.

– Wy dwie to oddacie, a ja pójdę coś zobaczyć – zdecydował Adaś i podążył w kierunku ukochanego sklepu z samcami gadzietami. Wystawione w gablotach cuda nawoływały go jak śleskione za Odysusem syreny.

– Idziemy! – padła komenda. Mama Klusek objęła dowództwo nad uszczuploną ekspedycją.

Anka, będąc żądnej drogi ucieczki, posłusznie pomaszerowała w stronę sklepu zoologicznego, holując za sobą posapujący z emocji kwietnik Minęła domki chomików, koszatniczek i szynszyli, po czym skierowała się w stronę wybiegu dla szczurów. Przed wielką klatką pochlipywała kilkulatnia dziewczynka.

– Spójrz, zostały same białe – tłumaczyła jej stojąca obok kobieta.

– Miał być łaciaty! – Mała rozdarła się na dobre.

Anka błyskawicznie oceniła sytuację. W duchu pożegnała się z Dżumisiem i wręczyła dziewczynce pudełko.

– Proszę – powiedziała. – Ten ma łaty.

Dziewczynka otworzyła kartonik i zapatrzyła się w szczurka jak w tęczę.

– To dla ciebie – dodała Anka i czym prędzej pociągnęła mamę Klusek w stronę wyjścia.

– A pieniądze?! – Gospodarna teściowa ani myślała zrezygnować z dwudziestu złotych.

Anka zignorowała biadolenie.

– Poszukamy Adama.

– Adaś! – Wspomnienie ukochanego imienia wystarczyło, żeby mama Klusek porzuciła myśl o nędznej mamonie. – Gdzie jest Adaś?

Rzuciła się w kierunku miejsca, z którego niedawno oddalił się jej syn. Tłum rozstępował się przed nią jak Morze Czerwone.

Trop Adasia urywał się w pobliżu obrotowych drzwi.

– Gdzie on poszedł? – W głosie mamy Klusek sły chać było autentyczne przerażenie. – Może się zgubił? A jak ktoś mu zrobił krzywdę?

Anka wyobraziła sobie męża z obłędem w oczach bląkającego się po labiryncie sklepów, kawiarni i punktów usługowych. Krok w krok posuwała się za nim wygłodniała, pożerająca błądzących klientów sklepowa wersja Minotaura. Wizja męża pożeranego przez jakąś mało wybredną mięsożerną bestię była urzełająca. Niestety, nic z tego. Adam znał to miejsce jak własną kieszeń i poruszał się po nim gnany instynktem psa gończego. Zbędna była nawet kochana mamusia w roli urokiwej Ariadny.

– No gdzie?! – Stanowczo domagała się powrotu zaginionej latorośli.

Anka z zalem zrezygnowała z obsadzenia Adasia w roli potomka bohaterskich Greków i rozejrzała się dookoła.

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?! – Teściowa łypnęła na nią złym wzrokiem. W jej przekonaniu Anka powinna jakimś cudem błyskawicznie namierzyć wtopionego w tłum małżonka.

– Może wszczepimy mu mikroczipa? Takiego jak Zaworkowi.

– Jakiego picza?! – Mama Klusek zignorowała możliwości współczesnej techniki. Najwyraźniej na wspomnienie znenawidzonego psa wpadła w jeszcze większą wściekłość. –

Szukaj! – zarządziła.

Anka postanowiła złapać trop zaginionego. Wszystko wskazywało na to, że teściowa za chwilę eksploduje, wysadzając w powietrze świątynię konsumpcji. Oczywiście duszy ujrzała zapadające się z hukiem wieże World Trade Center i uznała, że najwyższy czas na energiczne podjęcie akcji poszukiwawczej.

Jak na zawałanie wszechobecna skoczna muzyka ucichła i z głośników popłynął niski męski głos:

– Właściciel samochodu o numerach rejestracyjnych WI trzy-dwa-sześć-pięć proszony jest o niezwłoczne udanie się...

– O! Powiedz mu, żeby znalazł Adasia!

– Jakiemu mu? – zdziwiła się Anka. Mamie Klusek wydawało się chyba, że głos dobiega z przestworzy, w których czuwa nad jej synkiem jakaś bliżej nieokreślona opiekuńcza istota.

– No temu tam! – Teściowa wycelowała palec w wieńczącą przybytek szklaną kopułę.

Ance zabrakło słów. Nie czuła się na siłach wnikać w jej duchowy świat, zamieszkiwany głównie przez jakieś bliżej niezidentyfikowane mściwe istoty, gotowe obrócić w proch każdego, kto nieopatrznie stanie na jej drodze. Te same niesubstancjonalne byty miały wspierać ją w opiece nad stanowiącym centrum wszechświata Adasiem. Na głęboki podziw zasługiwał fakt, że w tę skomplikowaną ezoteryczną konstrukcję udało się wpleść coniedzielne wizyty w kościele, jak również przyjmowanie z pełną pompą chodzącego po kołędzie księdza.

– Na co czekasz?! – W głosie brutalnie oderwanej od dziecka matki zabrzmiała histeria.

Anka poczuła się ogłuszona niekontrolowanym wybuchem instynktu macierzyńskiego.

Kiedy rozpaczliwie szukała wyjścia z przerastającej ją z każdą sekundą sytuacji, z kieszeni jej dzinsów dobyły się podkreślające doniosłość sceny dźwięki symfonii Beethovena.

Ogarnęło ją złe przeczucie.

– Nie wzięłam ze sobą dokumentów. Wszystko przez tego cholernego szczura! Patrz, co narobiłaś, idiotko! – Ton szepczącego do słuchawki Adama łączył w sobie doskonale znaną Ancę wściekłość z dużo bardziej zagadkową desperacją.

– Przy kupnie jakiego gadżetu trzeba się wylegitymować? – zainteresowała się przelotnie.

– Zamknij się i rób, co mówię. Wracaj do domu, weź mój portfel i przyjeżdżaj na komisariat na Wilczą! Szybko!

Połączenie zostało gwałtownie przerwane.

– Znalazł się – poinformowała Anka, odwracając się do rozrzuconej mamy Klusek.

– Gdzie? – Porzucona matka zawisła wzrokiem na jej ustach. – Gdzie jest mój synek!

– Na policji – odparła zwięźle Anka i pobiegła w stronę wyjścia, nie oglądając się na zastygłą nagle w osłupieniu teściową. Ciężkie sapanie, które za sobą słyszała, świadczyło o tym, że zdesperowana matka dzielnie dotrzymuje jej kroku.

– Skandal! A jaki wstyd! – Zadyszka nie przeszkadzała jej w wyrażeniu opinii o kontaktach porządnym obywateli z organami ścigania. Zgodnie z wyznawanym przez nią światopoglądem były one zarezerwowane dla marginesu społecznego złożonego z alkoholików, kobiet lekkich obyczajów, przedstawicieli większości wolnych zawodów i młodych ludzi z kółczykami w nosie.

– Adam pewnie składa zeznania – stwierdziła Anka pocieszająco.

– Jakie zeznania? – Mama Klusek przystanęła, wbijając w wybrażoną synową zły wzrok.

– Zeznania świadka – improwizowała Anka, potajemnie pasąc się wizją swego małżonka

przykutego do ściany zawilgoconego lochu i opędzającego się od krewnych Dżumisia wielkości spasyonych kotów.

– Może widział jakieś przestępstwo.

Teściowa spojrzała na nią z pogardą. Sam pomysł wmieszania Adama w czyjeś ciemne sprawy musiał wydać się jej nieprzyzwoity. Prychnęła z odrazą i podjęła przerwany marszbieg.

– Potrzebuje portfela – poinformowała ją zwięźle Anka. – Wracamy do domu.

Tym razem mama Klusek nie podjęła dyskusji. Anka zdążyła zarejestrować ten fakt jako absolutne *novum*.

Kiedy dotarła do celu, drogę zagroził im wychodzący z kamienicy rachityczny staruszek. Mama Klusek natarła na niego z impetem, rozplaszczając kruchego jak wydmuszkę seniora na drzwiach od zsypu. Anka spojrzała bezradnie na sponiewieranego sąsiada i wpadła za teściową na klatkę schodową. Mama Klusek waliła właśnie z furią w przy cisk windy, która z nieznanych jej przyczyn zatrzymała się na trzecim piętrze.

– Na dół! – ryknęła wściekle, dla pewności kopiąc metalowe drzwi odzianą w bezkształtny chodak nogą. – Ale już!

Narastający rumor wywabił z mieszkania gospodarza domu, który wystawił głowę przez uchylone drzwi.

– Co tu się dzieje? – warknął, wyrażając nietypowe dla siebie zainteresowanie losem lokatorów.

Anka z rozrzewnieniem wspomniła dozorcę kamienicy na Uniwersyteckiej. Pogrążony na co dzień w błogim nieróbstwie pan Sławek przypominał o swoim istnieniu, kiedy na miesiąc przed Bożym Narodzeniem ozdabiał klatkę schodową girlandami kolorowych, migających w szalonym rytmie lampek. Psychodeliczny wystroj obowiązywał do wczesnej wiosny, kiedy miejsce choinkowych dekoracji zajmowały powieszzone za uszy wielkanocne zajęce. Spełniony artystycznie autor świąteczno-futurystycznych instalacji spędzał resztę czasu w zaciszu domowych pieleszy, odgradzony solidnymi drzwiami od trywialnej rzeczy wistości.

– No co się tu dzieje, pytam?! – Głos stróża gwałtownie wyrwał Ankę z zamyślenia.

Ponieważ zajęta dyscyplinowaniem użytkowników windy mama Klusek pozostawiła jego pytanie bez odpowiedzi, gospodarz poszerzył szparę w drzwiach na tyle, żeby osobiście zlokalizować źródło piekielnego hałasu.

– Pani nie kopie! – zażądał.

Mama Klusek spojrzała na niego wyzywająco i wy mierzyła windzie kolejnego kopniaka.

– Na policję zadzwonie! – postraszył cięć.

– Nie musi pan, same zaraz tam pójdziemy – poinformowała go usłużnie Anka.

Facet popatrzył na nią jak na wariatkę.

– Może lepiej do czubków – zasugerował, cofając się w głąb bezpiecznego mieszkania. Najwyraźniej odczuwał typowy dla jego klasy społecznej zabobny lęk przed chorobami psychicznymi.

Anka uznała jego pomysł za warty rozważenia. Zamarzyła jej się mama Klusek przypięta pasami do szpitalnego łóżka i obezwładniona końską dawką jakiegoś środka uspokajającego.

Zanim zdążyła dojść w tej kwestii do porozumienia z cieciem, który przyglądał jej się podejrziwie, walenie gwałtownie ustało.

– Zjeżdża! – W głosie mamy Klusek zabrzmiała ponura satysfakcja.

Po chwili drzwi windy rozsunęły się z cichym sykiem, wypuszczając ze środka kobietę z wózkami. Na widok zagradzającego jej drogę purpurowego na twarzy monstrum młoda matka odruchowo cofnęła się z powrotem. Niezrażona nową przeszkodą mama Klusek chwyciła za rączkę spacerówki i wywleka wózek z windy razem z kurczowo wczepioną w niego właścicielką. Odrzucając ją na bok, wepchnęła się do pustej kabiny, po czym skłębła na z lekką ogłoszoną błyskawicznym rozwojem akcji Ankę.

– Jedziemy! – zakomenderowała.

Do pełnego zwięźstwa nad wrogiem zabrakło tylko obwieszczających triumf trąb anielskich.

Kiedy Anka otworzyła drzwi mieszkania, teściowa wpadła do środka i z precyzją pocisku balistycznego namierzyła leżący na stole opasy portfel, w którym właściciel obok dokumentów trzymał imponujący plik kart kredytowych. Anka zdążyła się już przekonać, że ich liczba miała zbawienny wpływ na samoocenę jej małżonka.

Mama Klusek chwyciła własność cennego synusia i pogalopowała do wyjścia.

– Na co czekasz? Idziemy! – wrzasnęła.

Po chwili Anka biegła na Wilczą, holując za sobą postępującą z wysiłku rodzicielkę Adasia, której nadmiar ruchu ewidentnie zaszkodził.

– Szybciej! – wyrzęziła depcząc jej po piętach teściowa.

Anka obejrzała się i gwałtownie przystanęła, porażona widokiem zdewastowanej fizjonomii mamy Klusek. Zamiast namalowanych grubą krechą intensywnie czarnych brwi jej oblicze zdobiły dwie nieregularne ciemne plamy. Korzystając z niezaplanowanego postępu, mama Klusek otarła spocone czoło, rozsmarowując na nim resztki cyrkowego makijażu. Czarne smugi sprawiały, że wyglądała jak karykatura ruszającego do akcji komandosa.

– Dlaczego ty stoisz? – syknęła z pretensją.

Anka postanowiła nie podejmować tematu zmian, które zaszły w wyglądzie towarzyszki. Podejrzewała, że wiadomość o niezaplanowanej zmianie wizerunku może źle wpłynąć na i tak już fatalne samopoczucie teściowej, zdolnej oskarżyć ją o jakąś perfidną akcję sabotażową, wymierzoną w oczekującego pomocy jedynaka. Z dwojga złego Anka wolała już pokazać się publicznie w towarzystwie pokrytego barwami wojennymi zapoconego stwora.

Dojrawszy komisariat, mama Klusek wysforowała się do przodu i jak bomba wpadła do środka. Ponieważ w pobliżu nie było nikogo, kto przyjąłby na siebie pierwszy cios, pognąła pomalowanym na paskudny seledyn korytarzem i bez pukania natarła na pierwsze napotkane drzwi. Anka, która uznała, że bezpieczniej będzie poczekać na zewnątrz, usłyszała, jak zaatakowane przez teściową pomieszczenie wypełnia się jej wściekłym jazgotem:

– Gdzie trzy macie mojego syna?! – zaryczała jak lwica broniąca młodych.

– Został zatrzymany? – zabrzmiało czyjeś zadane ze stoickim spokojem pytanie.

Obojętny głos rozmówcy musiał ostatecznie wyprowadzić z równowagi mamę Klusek, której głos wznosił się o kilka oktaw.

– Zatrzymany?! Został porwany, uprowadzony!

– Przez kogo? – Interlokutor zachowywał profesjonalny spokój.

– Przez was! To skandal! Złożę skargę!

Anka uznała, że musi wkroczyć do akcji, zanim teściowa zostanie aresztowana za pobicie funkcjonariusza. Wsunęła się do pokoju i stanęła między młodym policjantem a rozjuszoną

liwicą.

– Podejrzewamy, że mój mąż przebywa tu w charakterze świadka – powiedziała szybko.

Policjant zmarszczył brwi.

– Z tego, co wiem, aktualnie nikogo nie przesłuchujemy.

– Jak to nie?! – W głosie mamy Klusek zabrzmiało szaleństwo.

Anka zerknęła przez ramię na rozszalałą teściową, która toczyła wokół dzikim wzrokiem. Jej twarz przybrała barwę przejrzałego pomidora, a w kącikach wściekle wykrzywionych ust pojawiły się banieczki śliny.

– Imię i nazwisko – zażądał policjant. Sprawiał wrażenie lekko zirytowanego.

– Klusek Waława.

– Nie pani. Syna.

– Klusek Adam. – Głos dumnej matki stał się nagle piśczętliwy. – Doktor Adam Klusek.

– Chwileczkę. – Funkcjonariusz podniósł słuchawkę telefonu i szybko wystukał numer.

– Mamy tu kogoś o nazwisku Klusek? – zapytał. – Rozumiem... Jest na dole... Czeka na dokumenty...

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Ankę z zakłopotaniem.

– Pani mąż został aresztowany – poinformował.

– Gdzie go trzymacie? – Tym razem głos mamy Klusek był ledwo słyszalny. Ewidentnie doznała szoku.

– Przyniosłam dokumenty – wtrąciła szybko Anka.

– W takim razie proszę za mną. – Policjant starał się ignorować kłopotliwą obecność zdesperowanej matki. Daremnie. Wobec możliwości ujrzenia syna stęsknionej matce błyskawicznie wróciły siły.

– Idziemy – zakomenderowała z nową energią.

Mężczyzna westchnął ciężko, niezdolny do podjęcia walki z żywym wcieleniem matczynej miłości.

Areszt mieścił się w piwnicy. W Ance odżyły wizje zamkniętego w lochu Adama, skulonego na wiązce przegniłej słomy. Z wyśiłkiem odpędziła od siebie podsuwane przez wyobraźnię upojne obrazy upokorzonego małżonka.

– To tu. – Policjant wskazał pokryte blachą drzwi i wycofał się prędko, zapewne nie czując się na siłach uczestniczyć w rozdzierającej serce scenie rodzinnej.

Anka zapukała w masywne drzwi i wzorem mamy Klusek, nie czekając na zaproszenie, weszła do ponurego, pozbawionego okien pomieszczenia. Siedzący za biurkiem zwalisty funkcjonariusz podniósł wzrok znad lektury i spojrzał na nią wyczekująco. Odruchowo podała mu wypchany kartami kredytowy mi męzowski portfel.

– Przyniosłam doku... – zaczęła, ale zamilkła gwałtownie. Widok, który objawił się jej oczom, odebrał jej mowę. W pręty oddzielającej część pomieszczenia masywnej kraty wczepił się kurczowo jej mąż. W jego wytrzeszczonych oczach malowało się czyste szaleństwo. W ostrym świetle jarzeniówek jego twarz wydawała się trupio zielona.

Za plecami Anki rozległ się dziwny dźwięk. Odwróciła się odruchowo i stanęła oko w oko z trzymającą się za gardło mamą Klusek. Z jej ust wydobywał się głuchy charkot.

– Mamusiu! – zaskowy czał Adaś. – Nie umieraj!

Posłuszna dramatycznemu wezwaniu mama Klusek ruszyła w stronę zwisającego z kraty

syna. Jej nieprzytomny, wbity w jeden punkt wzrok i chwiejny chód sprawiały, że wyglądała jak coś pomiędzy haitańskim zombi z krainy wudu a stąpającym po krawędzi dachu lunatykiem. Ance natychmiast przyszła na myśl *Noc żywych trupów*.

– Dziecko... – zachrypięła mama Klusek, wzorem Adama wczepiając się w kraty. – Moje biedne dziecko...

– Mamusiu, powiedz im, że nic nie zrobiłem – załkał Adam, kurczowo ściskając jej rękę.

– Obawiam się, proszę pani, że coś jednak zrobił – wtrącił siedzący za biurkiem policjant, na którym dramatyczna scena zdawała się nie robić żadnego wrażenia.

– Co? – Anka z trudem oderwała wzrok od rozgrywającego się na jej oczach dramatu.

– Okradł sklep – poinformował zwięźle stróż prawa.

– Co zabrał? – Wiedzona przeczuciem podejrzewała, że zna odpowiedź.

– Srebrny otwieracz – potwierdził jej przypuszczenia policjant. – Ochroniarz zauważył, jak chowa go do kieszeni.

Doskonale potrafiła wyobrazić sobie tę scenę. Jej mąż, rozdarty między fascynacją stanowiącym kwintesencją jego gustu przedmiotem a wrodzonym Kluskom skąpstwem, chwytając drżącą z pożądania ręką odlaną w srebrze nagą kobietę i pieszczotliwie przesuwa palcem po jej smukłym ciele. Ogarnia go przeświadczenie, że znalazł kobiety ideał – wiecznie rozebrany, zastygły w pełnej oddania pozycji i niemy. Nie mogąc znieść myśli o rozstaniu, postanawia uwić jej ciepłe gniazdko w rozgrzanej ciepłem swego ciała kieszeni...

– Pani mąż ma szczęście. – Mężczyzna niedbale przeglądając wyjęte z portfela dokumenty. – Gdyby ukradziony przedmiot był o dziesięć złotych droższy, zamiast o wykroczenie byłby oskarżony o przestępstwo.

– Pójdę do więzienia? – W głosie wciąż przyklejonego do krat Adama zabrzmiała nuta hysterii.

Policjant spojrział na niego z politowaniem.

– Skoro potwierdziła się pana tożsamość, udzielę pouczenia i wypiszę mandat na dwieście złotych – zakomunikował oficjalnym tonem. – Jeśli zrobi pan to znowu, czeka pana sąd grodzki.

– Wypraszam sobie! – Na wieść o tym, że nie czeka go dziesięcioletnia odsiadka, Adam błyskawicznie odzyskał pewność siebie. – Pan się zapomina!

– Ośmielam się twierdzić, że to pan się dziś zapomni! – odparł policjant, patrząc na więźnia z mieszaniną wstrętu i politowania. – Następnym razem... – ostentacyjnie otworzył dostarczony portfel i pomachał harmonijką kart kredytowych – ...radzę użyć tego.

Adam usiłował spiorunować go wzrokiem, co zdaniem jego żony pochłoniętej śledzeniem rozgrywającej się sceny wypadło wyjątkowo żałośnie. Policjant ciężko podniósł się zza biurka, pobrzękując okazałym pękiem kluczy. Bez pardonowo oderwał od krat zwisającą bezwładnie mamę Klusek i uwolnił mamrocącego coś gniewnie pod nosem więźnia.

– Syneczku! – Mama Klusek zawisła na szyi odzyskanego cudem dziecka.

Adam delikatnie odsunął od siebie pijaną ze szczęścia mamusię i nie obdarzając nawet jednym spojrzeniem swego dręczyciela, pełnym godności krokiem opuścił miejsce, w którym go upokorzono. Zadał przy tym o to, aby stalowe drzwi zatrzasnęły się za nim z donośnym hukiem.

– Połknij, mamusiu. Wiem, że to niedobre – szczebiotał miłośnie Adam, podnosząc do sinawych usteczek mamy Klusekły żeczkę cukru z hojną dawką kropli uspokajających. Był tak pochłonięty przywracaniem jej do życia, że nie skomentował rozmazanego na czole czarnego

tuszu. – Bądź dzielna.

– Gorzkie... – zakwiliła mamusia głosem skrzywdzonego dziecka, trzymając się za nadwężone dramatycznymi przeżyciami serce. Eskortując Adasia do domu, wyraźnie zaniemogła.

– No, kochanie, za moje zdrowie – zachęcał Adam. – Otwieramy buźkę. Zrób aaaaa...

Anka poczuła, że robi jej się niedobrze. Popisy synowskiego oddania w wykonaniu jej męża stawały się coraz bardziej groteskowe. Adam, który ani razu nie nazwał jej „kochaniem”, darzył upiorną mamę Klusek uwielbieniem graniczącym z jakąś przedziwną obsesją. Ubóstwiana mamusia odplacała mu się z nawiązką, czyniąc z ukochanego jedynaka obiekt kultu. Na Ankę, która ani myślała stać się kapłanką w rodzinnej świątyni Klusków, patrzyła jak na groźną, wymagającą ciągłej inwigilacji reneгатkę.

– Grzeczna dziewczynka... – kłaskał Adaś, któremu udało się skłonić mamusię do przełknięcia lekarstwa. – Ślicznie!

– A pfe! – poskarżyła się pacjentka, mrugając wdzięcznie rzadkimi, sztywnymi od tuszu rzęsami. – Niedobre!

– Teraz popijemy – pospieszył z pomocą doktor cudotwórca. Kiedy otworzył lodówkę, miejsce głupawego rozanielenia na jego twarzy zajął pełen złości grymas.

– Gdzie sok? – spytał groźnie, po raz pierwszy od momentu uwolnienia z policyjnych łazamat zwracając się bezpośrednio do żony.

– Wypiłeś – poinformowała grzecznie Anka.

– Trzeba było kupić. – Adaś wydawał się poirytowany faktem, że musi tłumaczyć tępej małżonce rzeczy najbardziej oczywiste.

– Właśnie! – Cudownie uzdrowiona mama Klusek natychmiast przyszła mu w sukurs. – Adam lubi soczek pomarańczowy, prawda, synku? – Utkwiła w niewyrośniętej latorośli rozmowyłowany wzrok

– A ja lubię pomidorowy. – Anka postanowiła przyłączyć się do konwersacji na tematy kulinarne. – Może skoczysz do sklepu?

– O czym ty gadasz?! – Adam poczerwieniał z irytacji.

– Przy okazji możesz kupić sobie otwieracz – poradziła życzliwie Anka.

Podskoczył, jakby trafił w niego piorun. Wspomnienie nieudanej próby wzięcia w jasyr srebrnej piękności ostatecznie wyprowadziło go z równowagi.

– To wszystko przez ciebie! – wrzasnęła oskarżycielsko.

– Właśnie, przez ciebie – zawtórowała mu na wszelki wypadek mama Klusek. Jak zwykle ucieszyła ją możliwość utworzenia zwanego frontu przeciw wyrodnej synowej.

– Przeze mnie okradłeś sklep? – zdziwiła się Anka. Jakkolwiek przy wykładzie już do tego, że Adam z zasady obarcza ją odpowiedzialnością za wszelkie zło, pomysł wmieszania jej w sklepową kradzież wydawał się absurdalny.

– Niczego nie okradłem, idiotko – warknął Adam. – Przez ciebie zapomniałem zapłacić!

– Czym? – drążyła Anka. – Portfel zostawiłeś w domu.

Wyglądało na to, że zapędzonemu w koki róg Adamowi na chwilę zabrakło słów. Wzrokiem poszukał oparcia u równie jak on rozsiedzłej rodzicielki.

– I dlaczego przeze mnie? – Anka była zdecydowana do końca prześledzić jak zwykle pokrętny tok rozumowania małżonka, który doszedł do perfekcji w oszukiwaniu samego siebie.

– Powiedz jej, syneczku! – syknęła mama Klusek, zagrzewając jedynaka do boju.

– I ty jeszcze śmiesz pytać?! – Anka z zaciekawieniem obserwowała, jak godnie cherubinka błękitne oczy jej męża zaczynają wyłazić z orbit. Wobec takich efektów specjalnych brak konkretnej odpowiedzi wydał jej się mało istotny.

– Nie dość, że skompromitowałam mnie przed moim personelem, to zdążyłaś jeszcze pod moją nieobecność zdewastować mieszkanie! – wrzeszczał w amoku.

– To nie ja, to kosmici – przypomniała Anka.

Wytrzeszczone oczy Adama miały błyskawice.

– Zejdź nam z oczu! – wrzasnęła. Anka nie wiedziała, czy użył formy *pluralis maiestatis*, czy też miał może na myśli siebie i swoją mamusię. Osobiście skłaniała się ku pierwszej możliwości.

– Chętnie – odparła zgodnie. – I tak wy chodzę.

– Dokąd? – A daś uznał widocznie, że powinien posiąść pełną wiedzę o najbliższych planach małżonki.

– Do Magdy. – Anka uśmiechnęła się słodko. – Może wybierzemy się razem? I zabierzemy mamusię.

Na twarzy Adasia odmalowała się zimna pogarda. Zignorował propozycję i na powrót poświęcił całą uwagę przywracaniu mamie Klusek nadwątlonych ciężkimi przeżyciami sił.

Anka pobiegła do sypialni i upchnęła w torbie gruby plik przetłumaczonych opowieści o dokonaniach przodków doktora Igora Walerka, bezpiecznie ukrytych pod łóżkiem. Gdyby dostały się w ręce Adasia, uznałyby je za koronny dowód jej niepoczytalności. Potem wywabiła z wikinowej budy ukrywającego się przed domową przemocą Zaworka i przypięła mu smycz. Zdruzgotany przebywaniem pod jednym dachem z przestępcą jamnik popadł w głęboki stupor. Anka wzięła go na ręce i zajrzała do kuchni, zamienionej w międzyczasie w zaimprovizowany punkt pomocy medycznej. A daś zakładał właśnie na ramię mamy Klusek gumowany rękaw, gotowy do dokonania pomiaru ciśnienia. Anka ucieszyła się przelotnie, że jej mąż nie ma pod ręką defibrylatora.

– Wracam wieczorem – rzuciła w przestrzeń, starając się nie nawiązywać kontaktu wzrokowego z uroczą parką. Zaworek, bezpieczny w jej objęciach, wyszczerzył zęby w kierunku patrzącej na niego z nienawiścią mamy Klusek.

– I zabierz ze sobą tę glistę! – rozkazał Adam.

Glista zawarczała groźnie.

– Spokój, cholero! – wrzasnęła Adam gotów udawać bohatera, dopóki żona trzymała psa na rękach. Anka mogła się założyć, że pozostawiony sam na sam z dwumiesięcznym yorkiem wlaźby ze strachu na szafę i stamtąd wezwał na ratunek mamusię, przed którą pewien respekt czuł nawet bohaterski z natury Zaworek.

– Dokąd ona idzie? – Mama Klusek hołdowała opinii, że miejsce kobiety dosłownie i w przenośni jest przy mężu.

– Zastawić pułapkę na dentystę – grzecznie poinformowała Anka.

– Jakiego dentystę? – Z powodu chwilowego braku brwi wyraz skrajnej dezaprobaty na twarzy teściowej stracił wiele ze swej wymowy.

– Takiego jak Sean Bean. – Anka z każdą chwilą wczuwała się bardziej w rolę przykładowej synowej. Jej grzeczny ton zdezorientował mamę Klusek, która spojrzała niepewnie na syna, oczekując od niego sensownych wyjaśnień.

– Nie słuchaj jej, mamó. – Na twarzy Adama odmalowało się autentyczne obrzydzenie. – To wariatka.

– Z kim ty się ożeniłeś?! Moje biedne dziecko. – Głos zgnębionej losem potomka *Mater Dolorosa* przeszedł w jękiwy lament. – Gdyby Grażynka wiedziała...

– To co? – zainteresowała się Anka. Niesforna wyobraźnia natychmiast podsunęła jej obraz odzianej w tandetny czerwony kostiumik bliźniaczej siostry Kaśki Kariatydy szturmującej drzwi ich mieszkania.

Mama Klusek nie uznała za stosowne podzielić się z Anką upojną wizją przyszłości Adama u boku wpatrzony w niego jak w obraz absolwentki szkoły pielęgniarstwa. Ignorując niezrównoważoną psychicznie synową, ciężko podniosła się ze stołka i podeszła do lodówki.

– Mamusia podgrzeje ci klopsika – zagruchała do Adama, którego wygląd sugerował, że znajduje się na granicy apopleksji. Zdaniem mamy Klusek kotlet był panaceum na wszelkie bolączki ciała i duszy.

– A ty się wynoś! – Perspektywa uczy nie udobruchała Adama, który w dalszym ciągu mierzył krnąbrną małżonkę nienawistnym wzrokiem.

Anka nie miała nic przeciwko temu. Mocniej przytuliła do siebie wciąż szczerzącego zęby Zaworka i wyszła z kuchni. Na progu odwróciła się na chwilę, aby podsunąć idyllicznej parze kolejny temat do miłosnych treli.

– Pogratuluj mamusi ode mnie wyjątkowo udanego makijażu – rzuciła słodko. – Nie wiem tylko, czy nie jest zbyt ekspresyjny jak na dzień. Wygląda raczej na wieczorowy.

Wrażliwa na punkcie swojej urody mama Klusek jednym susem dopadła parapetu i porwała stojące na nim lusterkó. Z jej ust wydobył się głuchy jęk. Lusterkó wypadło jej z ręki i rozbiło się na kamienny ch płytkach.

– Mamusia – Adam doskoczył do niebezpiecznie chwiejącej się na nogach rodzicielki i chwycił ją za rękę. Pod jego stopami zachrzęściło potłuczone szkło. – Znów ci słabo?

– Należałoby tylko bardziej podkreślić brwi. – Wypuściwszy partyjską strzałę, Anka doszła do wniosku, że najwyższy czas zejść ze sceny.

– Jeśli teraz wyjdiesz, możesz nie wracać – oświadczył Adaś uroczyście. Najwyraźniej miał na myśli żonę, a nie aktualnie poszkodowaną na ciele i umyśle mamę Klusek.

– Smaczno! – rzuciła Anka przez ramię i uciekła z mieszkania.

Magda otworzyła drzwi z impetem świadczącym o bojowym nastroju. Z targających nią ostatnio emocji musiało zrobić się jej gorąco, bo powitała uchodźców w samej bieliźnie.

Schodząca właśnie po schodach staruszka przeżegnała się szybko i przyspieszyła kroku.

– Obraża boska! – zaskrzeczała z półpiętra. – Sodomia i Gomoria!

Magda uśmiechnęła się błogo.

– Jestem osiedlową gorszycielką – oznajmiła z satysfakcją.

– Wychodzisz w tym stroju na zakupy? – zainteresowała się Anka.

– Tylko na balkon. Kiedyś niechący otworzyłam tak drzwi chodzącemu po kółdzie księdzu.

– Wszedł?

– Niestety – odparła Magda tonem zawiedzionej gospodyni. – Uciekł, mrużąc pod nosem

apage i vade retro me.

Anka spojrzała na nią z powątpiewaniem. Wyobraziła sobie przyjaciółkę wywożoną z osiedla na furze gnoju niczym Jagna Borynowa.

– Kobiety mi się nie kłaniają, za to ich mężowie ślinią się na mój widok i prężą jak gotowe do skoku tygrysy – kontynuowała z dumą Magda. Zawsze fascynowały ją eksperymenty na żywej tkance.

– Wejź do środka, bo zmarzniesz – poradziła Anka.

Magda niechętnie cofnęła się w głąb przedpokoj. Najwyraźniej publiczne prezentowanie wdzięków weszło jej w krew. Anka weszła za nią do mieszkania i wypuściła z objęć wrywającego się energicznie Zaworka. Kiedy znalazła się w pokoju, zaniemówiła. Przedziwne dekoracje całkowicie odmieniły dobrze jej znane pomieszczenie. Na podłodze piętrzyły się hałdy ubrań i butów przeróżnych fasonów – od sandałów na wysokim obcasie po przywodzące na myśl wysokiej rangi esesmana czarne oficerki. Na przystrojonym eleganckim obrusem stole stała butelka czerwonego wina i dwa smukłe kieliszki. Wielki bukiet kwiatów dopełniał kompozycję, która byłaby godna najlepszej restauracji, gdyby efektu nie psuł dysonans w postaci ułożonych równiutko na okrągłej tacy groźnie szczyrzących poźółde zęby sztucznych szczęk.

– Czy to danie główne? – zainteresowała się Anka. – Cokolwiek kościste. Można połamać zęby.

– Danie główne to ja – wyprowadziła ją z błędu przyjaciółka. Podeszła do stołu i o centy metr przesunęła kryształowy wazon z kwiatami. Odsunęła się nieco, aby ocenić efekt, i uśmiechnęła się z satysfakcją. – To zaledwie przystawka.

Anka przyjrzała jej się z niedowierzaniem, zadziwiona tajemniczą przemianą otulonego w cienkie koronki wampa w przykładną gospodynię. Nie potrafiła wyobrazić sobie niczego, co mogłoby wywołać tak spektakularną metamorfozę.

– Zaprosiłaś okolicznych staruszków? – zaryzykowała po chwili namysłu. – Upijesz ich winem, a potem będziesz przy mierzła im te szczęki.

Magda uśmiechnęła się tajemniczo.

– Wysł się bardziej.

– Zaproponujesz im wymianę i skonfiskujesz ich stare protezy. Zrobisz sobie z nich bransoletki – spróbowała raz jeszcze Anka, znając upodobanie przyjaciółki do niebanalnej biżuterii.

Zamiast odpowiedzieć, Magda wydała z siebie triumfalny okrzyk i zawirowała w dzikim tańcu radości. Opadła na największą górę ciuchów i ułożyła się na niej w pozie odczuwającej doskonały błogostan odaliski.

Nagle spomiędzy skotłowanych ubrań wydobył się żaloszny kwik. Magda poderwała się jak oparzona, rozgarnęła wielokolorową kupę i spod warstwy zwiewnych sukienek wyciągnęła trzęsącego się jak galareta Zaworka, który chwilę wcześniej zanurkował w obiecujące kłębowisko. Delikatnie postawiła go na podłodze. Na wpół uduszony jamnik chwiejnym krokiem ruszył w stronę swojej pani.

– Biedny piesek – powiedziała machinalnie Anka. Była zbyt zaintrygowana dziwnym zachowaniem przyjaciółki, aby należycie zająć się kontuzjowanym jamnikiem.

– Wyłumacz mi w końcu, co tu się dzieje – poprosiła.

Magda uparcie milczała. Na widok jej rozanielonej miny Anka doznała nagłego olśnienia. W jednej chwili zajmująca centralne miejsce na udekorowanym stole upiorna kompozycja wydała jej się jak najbardziej na miejscu. Spojrzała na przyjaciółkę z mieszaniną niedowierzania

i podziwu.

– Jezu... – z jej ust wydobył się nabożny szept. – Zwabiłaś tu pięknego Walerka?! Nie wierzę. Magda uśmiechnęła się triumfalnie.

– Będzie za godzinę – odpowiedziała z miną sugerującą, że spodziewa się co najmniej wizyty archanioła Gabriela.

– Jak to zrobiłaś?

– Zadzwoniłam do niego – odpowiedziała od niechcienia Magda.

– Co mu powiedziałaś? – Anka, znając jej pomysłowość, natychmiast zwiertrzyła jakąś wyrafinowaną intrygę.

– Nic takiego. – Magda niedbale wzruszyła ramionami.

– Mów natychmiast!

– Powiedziałam mu, że spuchła mi cała górna szczęła, mam czterdzieści stopni gorączki, a z rany po zębie sączy mi się ropa.

– I uwierzył?

– Byłam chyba dość przekonująca. – Magda skromnie spuściła oczy. Wyglądała jak chodząca niewinność.

– Nie poradził ci, żebyś pojechała na ostry dyżur?

– Owszem, ale powiedziałam mu, że jestem za słaba i po drodze na pewno stracę przytomność. – Magda była zachwycona własną pomysłowością. – Zasugerowałam też delikatnie, że wszystko zaczęło się, odkąd oczyścił mi ranę. Chyba podrażniłam jego zawodową ambicję – dodała z dumą.

Anka pokiwiała głową. Jeśli doktor Walerek miał ego rozdęte choć w połowie tak jak jej mąż, gotów byłby polecić na Marsa i dochodzić swych racji, jeśli ufoludki zarzuciłyby mu błąd w sztuce lekarskiej.

– Lepiej poradź, w co mam się ubrać. – Magda wskazała na zaściełające podłogę góry ciuchów, przerywając jej rozważania nad związką między dyplomem lekarskim a chorobliwym przerostem ambicji.

Anka z namysłem spojrzała na szmaciane pobjowisko.

– Najlepiej zostać w tym, co masz na sobie – poradziła. – Ewentualnie możesz dołożyć te oficerki.

Magda z namysłem przyjrzała się wyglansowanemu na wysoki połysk butom.

– A może coś na wysokich obcasach. – Anka uczyniła ustępstwo na rzecz bardziej konwencjonalnie pojmowanej elegancji.

Magda zachichotała nerwowo i wyciągnęła ze sterty obuwia niewiarygodnie wysokie sandały ze srebrnych, nabijanych kryształkami paseczków. Wyglądały jak kiepska podróbka szpilek od Manolo Blahnika. Założyła je i zapięła wysadzane sztucznymi brylantami sprzączki.

– Jak sądzisz? – zapytała.

Anka zakrzuszyła się ze śmiechu. Miała przed sobą skrzyżowanie współczesnego Kopciuszka z gwiazdką filmów porno.

– Doskonale – zawyrokowała.

Radosną atmosferę zakłócił dzwonek do drzwi.

Niedoszła gwiazda filmów erotycznych gwałtownie pobladła.

– Miał być za godzinę – zniżyła głos do pełnego przerażenia szeptu.

– Może to listonosz – pocieszyła ją Anka.

– W niedzielę?

– Albo świadkowie Jehowy?

Przyjaciółka jęknęła.

– Masz jeszcze jakieś pomysły?

– Chwilowo nie. – Anka była rozczarowana własnym brakiem wyobraźni.

Magda omiotła dzikim wzrokiem pobożowisko na podłodze.

– Co teraz będzie? – jęknęła bezradnie.

– Ty będziesz powoli otwierała drzwi, a ja w tym czasie posprzątam.

– Nie zdążyś wepchnąć tego do szafy.

– Wyniosę wszystko do kuchni i zamknę drzwi. – Anka wreszcie błysnęła inwencją.

Przebrana za prostytutkę gospodyni, najwyraźniej podniesiona na duchu, spojrzała na nią z podziwem.

– Jesteś genialna – oświadczyła.

Anka doszła do wniosku, że ma przed sobą książkowy przykład wywołanej gwałtownym uczuciem labilności emocjonalnej.

– Idź otworzyć. – Delikatnie wypchnęła przyjaciółkę z pokoju i przystąpiła do likwidacji sterty ubrań. Zwinęła część w gigantyczną kulę, pobiegła do kuchni i cisnęła ją na podłogę. Powtórzyła tę operację kilka razy, w wyniku czego małe pomieszczenie zostało szczelnie wypełnione sięgającymi blatów kłębam i tekstyliów. Energicznie dopchnęła je nogą i z ulgą zatrasnęła za sobą drzwi. Honor pani domu został uratowany.

W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku Anka wróciła do pokoju. Odruchowo strzepnęła mikroskopijny pyłek z eleganckiego obrusa i przyoblekła twarz w odpowiedni do witania gości uśmiech. Kilka następnych sekund sprawiło, że zastąpił go wyraz krąćcowego przerażenia.

Do pokoju wkroczył doktor Igor Walerek. Bardziej niż podobieństwo do Seana Beana w oczy rzucała się jego śmiertelna bladeść. Kiedy zobaczył Ankę, przełknął nerwowo ślinę i spojrzał na nią błagalnie, najwyraźniej szukając ratunku.

Anka była zdezorientowana jego dziwnym zachowaniem, dopóki jej oczy nie spoczęły na towarzyszącej gościowi Magdzie. Zamrugała szybko w nadziei, że za chwilę obudzi się z koszmarnego snu. Niestety, rzeczywistość była nieubлагana.

Jej przyjaciółka w dalszym ciągu miała na sobie uniform luksusowej call girl. Jej radosna mina sugerowała, że kompletnie zapomniała o swoim frywolnym przyodziewku.

Na myśl o chwili, w której odzyska świadomość, Anka oblała się zimnym potem.

– Przeszedłem nie w porę? – z zaschniętego gardła Igora wydobył się niepewny skrzek. Rozejrzał się nerwowo, zapewne szukając w pośpiechu podciągającego spodnie klienta. Nie znalazłszy go, z mieszaną przerażenia i bezradności spojrzał na wyjątkowo skąpo odzianą Magdę. Najwyraźniej starał się objąć rozumem skalę perwersji, w której gnieździe właśnie się znalazł. W jego oczach malowała się chęć natychmiastowej ucieczki z jaskini rozpusty, do której podstępnie go zwabiono.

– Czełam na ciebie. – Uwodzicielski ton Magdy w połączeniu z jej szczątkową kreacją musiał utwierdzić niewinno Igora w najgorszych podejrzeniach. – Czuj się jak u siebie w domu.

Z miny doktora Walerka można było wywnioskować, że ani myśli mieszkać w burdelu.

– Usiądź – zaproponowała grzecznie Magda, wskazując kanapę. Przykrywająca ją narzutą była z lekka pomięta, co mogło sugerować, że rozłożysty mebel był przed chwilą świadkiem gorszych scen. Igor przyjrzał mu się z namysłem, jakby bliższy kontakt ze skotłowaną kanapą był równoznaczny z zakażeniem nieuleczalną chorobą weneryczną.

Magda wyglądała na zdezorientowaną. Wymarzona randka rozwijała się stanowczo nie po jej myśli.

Doktor Walerek przycupnął na brzegu podejrzanego mebla.

– Podobno masz czterdzieści stopni gorączki? – spytał z powątpiewaniem. Intensywność, z jaką wpatrywał się w Magdę, pozwalała sądzić, że po chwilowym szoku uznał jej strój za interesujący.

– Już mi przeszło – obwieściła radośnie Magda.

– Ropne zapalenie okostnej też? – Walerek z irytacją zmarszczył brwi. Wydawał się rozdrażniony faktem, że nie będzie miał okazji odegrać roli doktora Schweitzera. – Całkiem dobrze wyglądasz. – Przeniósł wzrok na koronkowy przód przezroczy sty ch stringów.

Magda uśmiechnęła się błogo i odruchowo spojrzała w wiszące na ścianie lustro. Mogła obejrzeć się w nim tylko do pasa, ale to, co zobaczyła, zupełnie wystarczyło, żeby zwalić ją z nóg. Jęknęła głucho i osunęła się na kolana.

– Nie musisz przeproszać – uśmiechnął się łaskawie Walerek – Każdy może się pomylić – dodał pocieszająco, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie każdy opanował sztukę posługiwania się termometrem.

Magda zakwiliła i zwinęła się na dywanie w pozycji embrionalnej. Anka uznała, że najwyższy czas przyjąć jej z odsieczą.

– Zasilała. – Uśmiechnęła się radośnie do Igora. – To pewnie ta gorączka.

Walerek skwapliwie skorzystał z okazji wykazania się profesjonalizmem.

– Natychmiast zimny okład. Potrzebuję lodu – zaordynował, choć wyglądał, jakby potrzebował czegoś zupełnie innego. Najlepiej czapki niewidki.

– Jest w lodówce. – Anka była uszczęśliwiona, że może wywabić gościa z pokoju. Będzie mogła spokojnie udzielić zdruzgotanej przyjaciółce pierwszej pomocy.

– Daj mi jakieś ubranie... – jęczała tymczasem Magda. – Najlepiej czador.

Anka otworzyła szafę. Była pusta. Na jedynym zajęтым wieszaku wisiała samotna futrzana kurtka. Anka doszła do wniosku, że nie czas na wybrzydanie, i rzuciła ją Magdzie.

– Gdzie masz resztę ubrań? – zapytała odruchowo.

Porażone tą samą myślą, spojrzały na siebie ze skrajnym przerażeniem.

– Lepiej tam idź – poradziła Magda słabym głosem.

Anka wybiegła z pokoju. Kiedy stanęła w drzwiach kuchni, jej oczom ukazał się niezwykły widok. Walerek, najwyraźniej bez reszty pochłonięty akcją ratunkową, dzielnie przedzierał się przez hałdy zalegających na podłodze skłębionych ubrań, usiłując dostać się do lodówki. Wysoko zadzierał długie nogi, co upodabniało go do brodzącego w bajorze bociana. Malowniczość tego obrazka na chwilę odebrała Ance mowę. Niezdolna nad sobą zapanować, wybuchła histerycznym śmiechem.

Walerek odwrócił się gwałtownie. Nic nie wskazywało na to, że uznał sytuację za komiczną. Silił się na pełną godności minę, ignorując fakt, że po kolana tonie w sponiewieranej zawartości kobiecej szafy.

– Właśnie robiłyśmy pranie – poinformowała go przytomnie Anka.

– Buty też pierzecie? – spytał Walerek, wskazując leżący na szczycie góry ciuchów samotny kalosz w kwiatki.

– Magda bardzo dba o higienę. – Anka skorzystała z okazji, aby podkreślić zalety przyjaciółki, ale doktor Walerek odwrócił się do niej plecami i podjął wędrówkę w stronę lodówki. Ignorując chichoczącą nerwowo Ankę, skupił się na bezskutecznych próbach otwarcia zabaryładowanych drzwiczek.

– Może pomogę? – zaproponowała Anka.

Nadobny dentysta, któremu właśnie udało się uchylić odporne drzwiczki, nie raczył zareagować.

– Nie ma lodu – poinformował zwięźle, grzebiąc w wyładowanym mrożonymi warzywami zamrażalniku.

– Jest marchewka z groszkiem – odparła Anka.

Walerek posłał jej przez ramię ponure spojrzenie. Skrzywiła się, zniecierpliwiona jego niedomyślnością.

– Moja babcia zawsze przykładła sobie marchewkę – postanowiła naprowadzić go na właściwy trop. – Choć ostatnio twierdzi, że na gorączkę lepsze są buraczki.

Igor wyciągnął z zamrażalnika pierwszą z brzęgu mrożonkę.

– Nie ma buraczków – stwierdził jadowicie, odwracając się w jej stronę z woreczkiem mrożonej brukselki w ręce. Najwidoczniej profesjonalny spokój powoli go opuszczał. – Może skoczę do sklepu.

– Niech będzie brukselka. – Anka stwierdziła w duchu, że nie powinna być zbyt drobiazgową.

Przezornie zeszała z drogi, gdy Walerek zatrzasnął lodówkę i zaczął mozolną wędrówkę do drzwi. Zrobiła w tył zwrot i ruszyła do pokoju.

Magda siedziała na podłodze, otulona futrem z merynosów. Prezentowała się wyjątkowo wdzięcznie.

– Okryłam ją, bo miała dreszcze – pospieszyła z wyjaśnieniem Anka, na wypadek gdyby Walerek nie podzielał jej zachwytu.

– Niech się położy – zarządził szorstko uzbrojony w brukselkę dentysta. Jego ton sugerował, że obfitująca w atrakcje wyprawa do lodówki do reszty wyczerpała go psychicznie.

Magda posłusznie rozciągnęła się jak długa na dywanie.

– Na kanapie! – warknęła, patrząc na nią z mieszaniną niedowierzania i zabobonnego lęku. Doszedł chyba do wniosku, że zamiast stomatologa potrzebny jest jej doświadczony psychiatra.

Magda podniosła się z podłogi. Puchata kurtka rozchyliła się zachęcająco.

Walerek pozostał nieczuły na wdzięki półnagiej odaliski, która spoczęła na kanapie w pełnej oddania pozie. Fakt, że miał przed sobą stanowiące kwintesencję męskich marzeń wcielenie zmysłowej obietnicy, zdawał się nie robić na nim większego wrażenia.

– Poproszę o latarkę – jego głos ciał jak lancet.

– Nie mam latarki – szepnęła Magda omdlewająco.

– Może być świeczka? – Anka, rozpaczliwie pragnąc zatrzeć złe wrażenie, postanowiła za wszelką cenę być pomocna. Mina Walerka jednoznacznie sugerowała, że jej wysiłki pozostaną niedocenione.

– Mam to zrobić świeczką? – zapytał zwodniczo łagodnym tonem.

Magda gwałtownie usiadła. Nie bardzo wiedziała, z jaką perwersją ma do czynienia, ale nie miała zamiaru próbować sił jako polykaczką ognia.

– Leż – rozkazał Walerek zimno i bezceremonialnie pchnął ją z powrotem na kanapę. – I nie ruszaj się.

Magda ponownie spróbowała usiąść.

– Leż, mówię! Bo cię zwiążę – zagroził rozjuszony dentysta, atakując pacjentkę paczką brukselki. Ponieważ nie trafił w czoło, wyglądało to, jakby chciał udusić oporną pacjentkę za pomocą mrożonki.

Sobowótrowi Seana Beana najwyraźniej kompletnie wysiadły nerwy.

Anka, która uznała, że mają do czynienia z groźnym furiatem, postanowiła wezwać pomoc. Zaczęła powoli wycofywać się z pokoju, nie odrywając wzroku od rozgrywającej się przed nią sceny.

– Co z tą latarką?! – ryknął za nią Walerek.

– Pozy czę od sąsiadów. – Robiła wszystko, żeby jej głos brzmiał beztrosko.

– Tylko szybko – zażądał potencjalny oprawca.

– Już biegnę. – Anka wypadła do przedpokoj. Jeśli oszalały dentysta miał zamiar udusić mrożonką jej przyjaciółkę, liczyła się każda sekunda.

Wybiegła na klatkę schodową i załomotała do mieszkania naprzeciwko. W odpowiedzi rozległo się głośnie szczekanie. Po dłuższej chwili drzwi otworzył dorodny młodzieniec w dresach i bejsbolówce z butelką piwa w ręce. Spomiędzy jego nóg wyglądał powarkujący głucho pitbull.

– Co jest? – zapytał mężczyzna lekko bełkotliwym głosem. – Pali się?

– Mordują kobietę! – Anka uznała, że nie ma czasu wdawać się w dłuższe wyjaśnienia. – I gwałcą! – dodała w natchnieniu.

– Jak to gwałcą? – Błysk w zamglonych oczkach amatora piwa sugerował, że jest wielbicielem drastycznych pornosów.

– Świeczką! – Anka próbowała zachęcić go do udziału w przedstawieniu rozgrywającym się *vis-à-vis*.

– Gdzie?

– Naprzeciwko – poinformowała zwięźle.

– To gwałcą tą ładną panią? – Jego ton sugerował, że Magda budzi w nim subtelniejsze uczucia. Wychodzenie na balkon w bieliźnie najwidoczniej się opłacało. Anka postanowiła zapamiętać to na przyszłość.

– Szybciej!

– Chwilunia, wezmę tylko kij. – Wycofał się w głąb mieszkania. Po chwili powrócił z budzącym respekt kijem bejsbolowym. Wydawało się istnym cudem, że nie było na nim śladów krwi i włosów poprzedniej ofiary. – Masa jestem – powiedział grzecznie, dając do zrozumienia, że nieobce są mu dobre maniery. – A to Boluś – wskazał na psa. – Boluś, idziem!

Pitbull posłusznie podyrdał za właścicielem.

Masa wyminął Ankę, rzucając jej stalowe spojrzenie godne Terminatora, i z rozmachem otworzył drzwi mieszkania interesującej sąsiadki.

Kiedy Anka weszła do pokoju, który o mały włos nie stał się miejscem zbrodni, dresiarz wymachiwał już groźnie kijem nad głową cofającego się przed nim Walerka, którego z bocznej flanki zachodził warczący ostrzegawczo Boluś. Osaczony stomatolog cisnął w napastnika workiem

mrożonej brukselki. Wykorzystawszy jedyną dostępną broń, w panice rozejrzał się w poszukiwaniu drogi ucieczki.

– Zabierz stąd tego wariata – krzyknął do Anki, która z satysfakcją obserwowała scenę pogromu.

– Ja ci pokażę wariata, ty pieprzony zboku! – ryknął Masa i końcem kija walnął Walerka w spłot słoneczny. Dentysta z głuchym jękiem osunął się na podłogę.

– Ratunku... – wychrypiał, z trudem łapiąc powietrze. – Policja...

– Już ja ci dam policję! – Napastnik uśmiechnął się błogo. Najwyraźniej był w swoim żywiole.

– Zrób coś – jęknął Walerek, posyłając Ance błagalne spojrzenie.

– Chciałeś ją poparzyć i związać. – Uznała, że przeszli na ty. – I skatować latarką.

– Co?! – Ponieważ osłupienie pięknego dentysty wyglądało na autentyczne, poczuła lekkie wyrzuty sumienia, ale na wspomnienie zniewolonej na kanapie Magdy natychmiast odzyskała pewność siebie.

– Nie udawaj, że nie rozumiesz – rzuciła twardo.

– To jakiś koszmar – zawył Walerek, zdecydowany za wszelką cenę ratować życie. Wizja zatłuczenia na śmierć kijem bejsbolowym sprawiła, że odzyskał energię. – Posłuchaj... – zwrócił się do stojącego nad nim w rozkroku Masy.

– Cicho, ty wszawy zbrojeńcu – warknął dresiarz, prezentując nieoczekiwane bogactwo słownictwa. – Nikt cię nie uczył, że kobiet się nie tyka? Dać po buzi i owszem, byle nie za mocno, to można, każdy przez baby może wyjść z nerw – podzielił się z ofiarą zasadami swojego kodeksu honorowego. – Ale żeby swoją kobietę gwałcić, śmieciu jeden?

– To nie jest moja kobieta! – W głosie Walerka pobrzmiwała desperacja. – To moja pacjentka!

– A co, zboku, bawimy się w doktora? – Masa popatrzył na niego ze wstrętem, nie dając się zbić z pantałyku.

– Jestem doktorem! – wyjęczał Walerek

– Jasne, a ja jestem chińskim królem – zaśmiał się ponuro dresiarz.

– Cesarzem – poprawiła go odruchowo Anka, ale Masa nie wyglądał na zainteresowanego lataniem dziur w edukacji.

– To może panie wyjdą, a my sobie porozmawiamy – zaproponował radośnie.

– Tylko proszę za bardzo nie nabrudzić – poprosiła Anka, widząc oczami duszy ściany zbryzgane krwią.

– Nie ma sprawy, poradzimy sobie, co, doktoru? – zagadnął wesoło właściciel kija bejsbolowego, najwyraźniej zadowolony, że ma okazję popisać się profesjonalizmem.

Magda zsunęła się z kanapy i kulila na podłodze, wpatrzona okrągłymi jak spodki oczami w rozgrywający się przed nią dramat. Na widok jej miny Anka uznała, że sprawa Walerka nie jest jeszcze przesądzona. Przypomniało jej się wszystko, co czytała na temat chorych więzi między przestępcą a jego ofiarą i skrzywiła się z niesmakiem.

– Kto to jest? – Magda wskazała palcem uzbrojonego dresiarza, który miarowo uderzał kijem w otwartą dłoń.

– To jest pan Masa – dokonała prezentacji Anka. – A to Bolek – dodała, wskazując na pitbulla, z którego gardła przez cały czas wydobywał się złowrogi warokt.

– Jaka masa? Co oni tu robią?

Anka poczuła się urażona.

– Ratuję cię – odpowiedziała z godnością.

– Przed czym? – Magda nie zamierzała zaprzestać indagacji.

– Przed śmiercią. Chciał cię zamordować.

– Kto? – Magda wytrzeszczyła oczy.

Anka uznała, że przyjaciółka jest w szoku. Usiadła na kanapie i objęła ją ramieniem.

Magda odepchnęła pomocną dłoń i wyprostowała się gwałtownie.

– O Jezu – jęknęła, jakby nagle zdała sobie sprawę z powagi sytuacji.

– Pamiętasz? Chciał cię związać, ogłuszyć brukselką i zatłuc latarką – przy pomniała Anka.

– Brukselką?!

Niedoszła ofiara ukryła twarz w dłoniach.

– Chciał sprawdzić, jak goi się rana po zębie – wymamrotała. – Dlatego kazał mi się nie ruszać. I potrzebował jakiegoś światła, żeby lepiej widzieć.

Anka poczuła w żołądku nieprzyjemny chłód.

– Jesteś pewna?

– Powiedział mi, kiedy poszłaś pożywić latarkę.

– Poszłam po pomoc – sprostowała Anka słabym głosem.

Masa odwrócił się w ich stronę. Wyglądał na lekko zaniepokojonego rozwojem sytuacji.

– To kto kogo w końcu mordował? – zapytał, opuszczając beużyteczny chwilowo kij.

Anka zdrewniała. Wyobraźnia podsunęła jej obraz wściekłego Masy, który z zakrwawionym mbejsbolem wytacza się z mieszkania Magdy, pozostawiając za sobą trzy trupy.

– To pomyłka – powiedziała najłagodniej, jak umiała.

– Jaka pomyłka? – Uniósł kij do góry, jakby miał zamiar wziąć potężny zamach.

– Moja – odpowiedziała mężnie Anka i zamknęła oczy w oczekiwaniu na pierwszy cios.

Dresiarz zaklął szpetnie i odwrócił się do niedoszłej ofiary.

– Co tu jest grane?

– A myśli pan, że ja wiem? – Walerek, który zaczynał wierzyć, że wyjdzie z opresji cało, wyraźnie zhardział.

Anka otworzyła jedno oko, aby śledzić rozwój sytuacji.

– I nie chciałeś jej zgwałcić świeczką? – upewnił się Masa.

Walerek spojrzał na Magdę ze wstrętem.

– Końcem palca bym jej nie tknął – wydekłamał z uczuciem. Magda zachlipała żałośnie.

– To czemu jest prawie goła? – Sąsiad najwyraźniej próbował uporządkować fakty.

– A skąd ja mam wiedzieć? – Gość honorowy przeszedł do ofensywy. – Widocznie lubi tak przyjmować gości.

– Ciekawe, co robiła, zanim pan przyszedłeś – zarechotał lubieżnie dresiarz. Wyglądało na to, że jego opiekuńcze uczucia względem Magdy zastąpiła prymitywna samcza solidarność.

– Prała kalosze – poinformował Walerek

Masa spojrzał na niego z tępym wyrazem buldogopodobnej twarzy.

– Jakie kalosze?

– W kwiatki. – Walerek, zdecydowany z nim nie zadzierać, udzielał możliwie wyzerpujących odpowiedzi.

Niedoszły oprawca przyjrzał się kolejno wszystkim obecnym w pokoju.

– Co wyście brali? – zapytał, wykrzywiając się z obrzydzenia. – Kompletnie wam odpierdoliło.

Anka gorączkowo zastanawiała się nad odpowiedzią, która mogłaby usatysfakcjonować coraz bardziej rozwścieczonego buldoga uzbrojonego w drewnianą pałkę. Zanim obmyśliła odpowiednio błyskotliwą ripostę, Masa splunął jej pod nogi i ruszył do przedpokoju.

– Bolek, zabieramy się z tego burdelu.

Pitbull posłusznie ruszył za swoim panem. Po chwili drzwi wejściowe zatrzasnęły się za nimi z przyominającym eksplozję hukiem.

Skulona na podłodze Magda wpatrywała się w ocalonego od śmierci Walerka, który ciężko opadł na godne Seana Beana siedzenie i ukrył twarz w dłoniach.

– Igor... – szepnęła żałośnie. Wizja wspólnej sielankowej przyszłości niebezpiecznie się oddalała.

Nie zareagował. Rytmicznie kiwał się w przód i w tył, upodabniając się do przerośniętej ofiary choroby sieroczej.

– Pomogę ci wstać – zaproponowała łagodnie Anka, podnosząc się z kanapy.

– Nie waż się mnie tknąć, wariatko – wyszczał Walerzek – Trzymaj się ode mnie z daleka.

– Nie cieszy się, że żyjesz? – Anka starała się uzmysłowić mu jasne strony sytuacji.

– Zabiję cię – postanowił. Gramolił się z podłogi, najwyraźniej usiłując zachować przy tym resztki godności.

Ponura determinacja, która zabrzmiała w jego głosie, upewniła Ankę, że sponiewierany król chirurgii szczękowej nie żartuje. Stał na chwiejnych nogach i ruszył w jej kierunku.

W jego oczach malowała się kompletna pustka. Anka stwierdziła, że ma do czynienia z drugim tego dnia żywym trupem. Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiejś broni.

– Zabiję cię... zabiję... – syczało jednostajnie sunące w jej stronę zombi.

W przyпіły wie natchnienia podbiegła do stołu i chwyciła za szyjkę butelkę czerwonego wina.

– Zabiję... – W głosie naciągającego Walerka oprócz determinacji słychać było euforię.

Ankę przebiegł zimny dreszcz. Mocniej chwyciła butelkę i zaczęła nią wymachiwać. Zombi zastygło w miejscu. Podniesiona na duchu Anka przeszła do ataku. Ruszyła na Walerka, podnosząc wyżej zaimprowowaną maczugę.

– Zaraz wyskoczy – odezwała się Magda martwym głosem.

– Którędy? – ucieszyła się Anka. Wizja ewakuującego się oknem Walerka wyjątkowo przy padła jej do gustu.

– Siedzi tylko końcówką.

Anka ze zdziwieniem spojrzała na przyjaciółkę. Bez względu na to, co należało uznać za końcówkę, jej zdaniem Walerkowi nie brakowało żadnej części ciała.

– Żeby było szybciej – kontynuowała monotonicznie Magda.

– Aha. – Anka zaczynała rozumieć związek między wizytą Walerka, wydobytą na światło dzienne końcówką i zrobieniem z niej możliwie szybkiego użytku. Nie rozumiała tylko, dlaczego przyjaciółka akurat teraz zwierza jej się z planów, jakie miała względem nadobnego stomatologa.

Mocniej machnęła butelką przed nosem stojącego bez ruchu Walerka. W tym momencie z butelki z cichym pyknięciem wyskoczył tkwiący w niej na słowo honoru korek. Anka zrozumiała enigmatyczną przemowę przyjaciółki, którą bepodstawnie podejrzewała o chęć skonsumowania

znajomości już na pierwszej randce. Zadowolona, że odzyskała wiarę w cnotę Magdy, z fascynacją obserwowała, jak rubinowoczerwone wino zalewa spodnie i buty jej ukochanego.

– Nie... – jęknęła słabo Magda. – To chyba jakiś zły sen.

Anka podziwiała w milczeniu swoje dzieło. Na jasnych dżinsach i białych adidasach głęboka czerwień prezentowała się wyjątkowo ekspresyjnie. Zmiana wyszła Walerkowi na dobre. Nigdy nie miała zaufania do mężczyzn w białych butach.

– Coś ty zrobiła? – zamiauczał cienko Walerek. Osłupiały, w milczeniu wpatrywał się w zbrukane obuwie. Wyglądało na to, że skoncentrowany na poniesionej szkodzi, porzucił mordercze zamiary. Anka odetchnęła z ulgą i odstawiła na stół pustą butelkę.

– Otworzyłam wino – poinformowała go Anka.

Walerek przyjrzał jej się z namysłem.

– Jesteś nienormalna – stwierdził. – Powinni cię zamknąć...

– To samo mówi mój mąż – odpowiedziała pogodnie, stwierdziwszy, że lepiej nie polemizować z tak postawioną diagnozą. – Też jest lekarzem – dodała w nadziei, że wciągnie Walerka w dyskusję na tematy medyczne, co odwróci jego uwagę od ociekających winem spodni.

– Powinien zrobić ci lobotomię.

Anka zakwicziała radośnie, wyobrażając sobie zasugerowany przez Walerka zabieg. Adaś, pomagając sobie młotkiem, wbija jej w oczodół śrubokręt, a posapująca z wysiłku mama Klusek trzyma ją za nogi.

Walerek skrzywił się szpetnie i spojrzał na nią ze wstrętem.

– Wynoszę się stąd – zapowiedział tonem sugerującym, że będzie to kara godna popełnionych przez Magdę i Ankę zbrodni na jego majestacie.

– A moja dziura? – zapytała żałośnie Magda.

Mina dentysty wyraźnie wskazywała, że otwarta propozycja seksualna napełnia go obrzydzeniem.

– Jak ci nie wstyd? – warknął.

Niezrażona Magda rozdziawiła buzię i skinęła zachęcająco. Walerek wybałuszył na nią oczy.

– Ty dziwko! – wychrypiał. Jego twarz z czerwonej stawała się purpurowa.

Anka obserwowała go szczerze zmartwiona. Wizja padającego trupem Walerka nie należała do zachęcających. Pożałowała, że nie ma doświadczenia w postępowaniu ze zwłokami i pomyślała tęsknie o Masie, który wyglądał, jakby miał zaprawę w pozbywaniu się ciał.

Ku jej uldze Walerek, zamiast osunąć się bez życia na podłogę, obrócił się na pięcie i ruszył do drzwi.

– Wszystko ci wytłumaczę. – Magda podjęła ostatnią próbę zatrzymania pięknego stomatologa.

– Tak, wszystko – skwapliwie zawtórowała jej Anka.

Walerek nie raczył zareagować. Sztwnym krokiem wymaszerował z pokoju. Po chwili z korytarza dobiegło już drugie tego dnia potężne trzaśnięcie drzwiami.

Z kąta za kanapą, gdzie postanowił przeczekać nawałnicę, wyłonił się Zaworek. Pomaszerował w kierunku winnej kałuży i zaczął pracowicie zlizywać z parkietu rubinowy płyn.

Magda przyglądała mu się przez chwilę.

– Upije się – stwierdziła bez emocji.

– Szczęściarz – rzuciła Anka z rozartganiem. – *À propos*, masz jeszcze wino?

– Oczywiście – ożywiła się Magda. – Już przy noszę. Czerwone czy białe?

– Oba.

Po kwadransie spojrzała w wyrzute na gospodynię.

– Mało. – Stwierdziła, że trochę płacze jej się język – Na pewno masz więcej.

– Wypiłam – odparła Magda z godnością.

Po chwili namysłu Anka porzuciła myśl o zapisaniu przyjaciółki na spotkania AA i zajęła się sprawą bardziej palącą.

– To co zrobimy? Przecież w okolicy nie ma żadnego otwartego do późna monopolowego. Co ci strześliło do głowy, żeby wyprowadzić się do takiej eleganckiej dzielnicy?

– A niby gdzie miałam zamieszkać?

– Na przykład na Bemowie. Tam na każdym winklu są dwie budy z alkoholem.

– Nic dziwnego. To produkt pierwszej potrzeby. Gdybym mieszkała na Bemowie, non stop chodziłabym na rauszu.

Magda pogrzyżyła się w myślach.

– Wiem! – Aż podskoczyła z radości. – Idę do sąsiada!

– Do tego od kija? – Anka spojrzała na nią niepewnie. – Zapomnij. Rozwali ci łeb i poszczuje pitbullem.

– No co ty! Piętro niżej. Tam mieszka nawrócony alkoholik. Może ma jakieś zapasy na czarną godzinę. Poratuje nas w potrzebie.

– Nie zapomnij najpierw się ubrać.

– Fakt. – Magda ściągnęła brylantowe trzewiczki i rzuciła futro, po czym na bosaka poczłapała do kuchni.

– Wybierz coś bardziej konwencjonalnego – rzuciła za nią Anka. Wyobraziła sobie śliniącego się pijaka, podążającego zygakiem za rozneglizowaną sąsiadką. Doszła do wniosku, że jak na jeden dzień wystarczy jej oglądania przyjaciółki w stroju jawnogreszniczcy.

Z aprobatą pokiwała głową, kiedy gospodyni wróciła do pokoju w powiewnej niebieskiej sukni i płaskich plastikowych kłapkach. Tak dobrany strój nie wróżył większych kłopotów.

Magda ruszyła do przedpokoju. Powiewna szata wdzięcznie opływała jej sylwetkę, falując w rytm nieco niepewnych kroków właścicielki.

Kiedy trzasnęły drzwi, Anka wygodniej rozsiadła się na podłodze i pogrzyżyła w rozważaniach nad udekorowanym na czerwono Walerkiem. Nie ulegało wątpliwości, że wizja Magdy i Igora połączonych na resztę życia nieuchronnie odpływa w siną dal. Najwyraźniej im obu nie służyły związki z adeptami nauk medycznych.

Po chwili wróciła Magda.

– Popatrz, co mam – triumfowała. – Nawet nie chciał pieniędzy. Pewnie pokrzepiła go myśl, że nie on jeden spędza popołudnie na wprowadzaniu w siebie napojów z procentami.

Anka z nieufnością przyjrzała się dwóm zakapslowanym butelkom.

– Wino Mamrotka? – spytała z wahaniem. – Jesteś pewna tego, co robisz? A jak nas to zabije?

– No co ty. – Magda wyglądała na zdeterminowaną. – A nawet gdyby, to i tak będzie pięknie. Umrę z miłości.

– A co ze mną? – Anka nie była gotowa rozstać się ze światem.

– Marudzisz. Idę po otwieracz.

Po zdjęciu kapsla z butelki wy dobył się landrynkowo-chemiczny aromat.

– Dziwnie pachnie. – Anka zmarszczyła nos.

– Wydaje ci się. – Przyjaciółka z satysfakcją spojrzała na swoją zdobycz i napełniła kieliszki. Ciecz okazała się dziwnie mętna, za to idealnie czerwona.

Upiła pierwszy łyk

– Może być – stwierdziła mężnie. – Spróbuj.

Wino miało przedziwny aromat stęchlizny, przez który przebijała nutka taniego płynu do naczyń. Bukiet wieńczyła lepka, kojarząca się z potężną dawką aspartamu słodycz.

Anka zatkała nos i z determinacją przełknęła łyk tajemniczej substancji. Kiedy po dziesięciu sekundach stwierdziła, że nadal żyje, wychyliła kieliszek do dna.

– Nalewaj! – zażądała.

– Pieprzyć Walerka – zdecydowała Magda, dolewając jej podejrzanego trunku.

– Zdaje się, że już mu to dziś proponowałam.

Magda skrzywiła się ze wstrętem.

– Już go nie kocham.

– Wróbelek Walerek miał mały werbelek,

Werbelek Walerka miał mały felerek... – zaśpiewała radośnie Anka.

– Pięknie. – Magda spojrzała na nią z aprobatą.

– Zapomniałam, jak to leci dalej.

– Nawet nie obejrzał zębów. – Niedoszła ukochana Walerka machnęła ręką w stronę udekorowanej sztucznymi zębami tacy.

– Jego strata – zawyrokowała Anka. Z trudem podniosła się z podłogi i podeszła do uroczyście nakrytego stołu.

– Wezmę sobie jedną na pamiątkę. – Przyjrzała się pożółkłym zębiskom.

– Ależ proszę – wspaniałomyślnie zgodziła się Magda. – Wrzuc to Adamowi do zakupki.

Na myśl o mężu wyławiającym z dostarczonej przez mamę Klusek ogórkowej garnituru pożółkłych kłów Anka zachichotała histerycznie.

– Może podaruje mamusi – rozmarzyła się. – Będzie jak znalazł, kiedy wypadną jej własne.

– Super! Przynajmniej się nie zmarnują.

Anka wybrała najpiękniejszy okaz między wojennej sztuki dentystrycznej i delikatnie wsunęła go do kieszeni.

– To my już pójdziemy – zdecydowała.

– No co ty – zmartwiła się Magda. – Teściowa pewnie dalej okupuje wasze gniazdko i pociesza sponiewieranego Adasia.

– I pasie tego złodzieja pulpecikami. – Anka wzdrygnęła się na myśl o mamie Klusek ładującej do ust jedynaka wielkie łychy mięsnej papki i ocierającej mu z brody gęsty pieczarkowy sos.

– Idę – zdecydowała.

– Nie mów, że do niego wracasz.

– Zaworek musi mieć pełną rodzinę – oświadczyła Anka ze śmiertelną powagą.

Chwyliła jamnika na ręce i ruszyła w stronę drzwi.

15.

Kiedy Anka otworzyła drzwi mieszkania na Pięknej, zamiast jazgotu teściowej powitała ją głucha cisza. Przez chwilę zastanawiała się, czy może mieć nadzieję, że para Klusków odleciała w przestworza ubeckim statkiem kosmicznym, którego budowa szczęśliwie dobiegła końca. Ciekawe, czy to wystarczy, żeby uznać Adasia za zmarłego. Nie po raz pierwszy doszła do wniosku, że doskonale czułaby się w roli majątnej wdowy, i uznała, że w pełni zasłużyła na połażny spadek po doktorze Klusku. Należała jej się nagroda za miesiące ponurej gehenny. Niestety nie słyszała, żeby prawo spadkowe mówiło coś o podróżach międzygalaktycznych.

Zanim zdążyła rozstrzygnąć tę kwestię, w zamku zachrobotał klucz. Zaworek przybrał pozę psa myśliwskiego i zawarczał cicho, ale odpowiednio groźnie.

Do mieszkania wkroczył Adaś, ledwo widoczny zza wielkiego bukietu, najohydniejszego, jaki Anka w życiu widziała.

– Jestem – dobiegło zza kwietnego parawanu.

Musiła się z tym pogodzić. Fakt, że Adaś nie odleciał w kosmos, wydał jej się w tym momencie szczególnie bolesny.

– A gdzie mamusia? – Miała nadzieję, że przynajmniej mama Klusek dała się uwieść perspektywie międzygwiazdnych wojaży. Wyobraziła sobie bezkształtny toból unoszący się w stanie nieważkości. Obraz był tak sugestywny, że wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

– Jestem! – powtórzył Adaś głośniej, nie podejmując kwestii nieobecności ukochanej rodzicielki.

Pobrzmiwająca w jego głosie uraza kazała Ance sądzić, że po raz kolejny nie sprawdziła się w roli żony. Zdaniem doktora Kluska powinna zapewne witać powracającego w domowe pielesze męża z należnymi honorami. Preferowałaby fajerwerki i orkiestrę dętą.

– Wróciłem! – gromko zaanonsował się po raz trzeci. Anka doszła do wniosku, że oczekuje od niej erupcji wdzięczności i podziwu.

– Widzę. Co to za bukiet? – zapytała bez specjalnej ciekawości.

– To dla ciebie – wydukał doktor Klusek, najwyraźniej zadając sobie gwałt. Zrobił krok

w kierunku żony i mężnie wyciągnął w jej stronę polaźnych rozmiarów wiecheć. Anka odruchowo cofnęła się o krok.

Obawiaj się Greków, nawet gdy przynoszą dary.

– No bierz! – W głosie doktora Kluska zabrzmiała dobrze znana Ance irytacja.

Od razu poczuła się pewniej. Jeszcze przed chwilą szczerze obawiała się, że jej mąż zwariował.

– Wybaczam ci! – oświadczył tonem pełnym emfazy.

– A co niby?

– Wszystko!

Anka pomyślała, że pierwsze wrażenie było słuszne. Jej mąż wrócił do domu ciężko poszkodowany na umyśle.

– Przewróciłeś się? – zagadnęła niezobowiązująco. – A może ktoś cię uderzył w głowę?

Adaś wyjrzał zza bukietu i wytrzeszczył na nią wodniste oczka.

– Zwariowałaś? – wrzasnął.

A więc zamroczenie było tylko chwilowe. Odetchnęła z ulgą na myśl, że nie czeka jej długoletnia opieka nad mężem wariatem.

– Bierz te kwiaty – zażądał. Anka z satysfakcją obserwowała, jak jej mąż w sobie tylko właściwy sposób gwałtownie zmienia kolor. W jednej chwili twarzą przerośniętego przedszkolaka przybrała kolor przejrzałego pomidora.

Dla świętego spokoju wzięła bukiet.

– Kosztowały dwieście złotych – obwieścił Adaś, puchnąc z dumy. Anka czekała, aż uniesie się pod sufit jak balon napęczniony helem.

Swoją drogą nigdy nie przysłoby jej do głowy, że małżonek jest w stanie zainwestować w ich związek tak zawrotną sumę. Spojrzała na niego z nowym zainteresowaniem.

– Piękne kalie – pochwaliła.

Wyprężył się dumnie.

– To chyba pogrzebowa wiązanka. Ktoś umarł?

Adaś prychnął gniewnie.

– Mamusia je wybrała – oświadczył tonem wykluczającym wszelką dyskusję.

Anka bez trudu mogła sobie wyobrazić, że teściowa życzy jej rychłej śmierci, uznała jednak, że nawet jak na mamę Klusek aluzja jest nieco zbyt przejrzysta.

– Ona też ci wybacza – zakomunikował Adaś uroczyście. Był tak dumny, jakby sugerował żonie, że właśnie otwierają się przed nią bramy raju.

Anka stwierdziła w duchu, że albo rodzina Klusków poddała się zbiorowej lobotomii, albo ma do czynienia z jakąś niezidentyfikowaną makiaweliczną intrygą. Tak czy inaczej bezpieczniej będzie jak najszybciej zorientować się w sytuacji.

– I będziemy się odtąd kochać jak dwa gołąbki? O przepraszam, trzy. – Wolała nie dodawać, że jej zdaniem mama Klusek przypomina raczej rozdętego indora. – Jak to było...? I żyli długo i szczęśliwie?

– Właśnie... – mruknął Adaś. Mogła się założyć, że zmełł w ustach jeden z paskudnych epitetów, którymi zwykł ją ostatnio obdarzać.

– Jestem naprawdę wzruszona – oświadczyła zimno. – A teraz gadaj, dlaczego twoja mamusia zapalała do mnie tak gwałtownym uczuciem.

Nie oczekiwała, że Adaś rzuci się na kolana, wyznając jej miłość w imieniu własnym i rodzicielki, ale to, co usłyszała, kazało jej ponownie zastanowić się nad jego poczytalnością.

– Wujek... – wy mam rotał niewyraźnie.

– Chcesz być moim wujkiem? – zdziwiła się.

Jeśli miał ochotę się zabawiać w złego wujaszka wykorzystującego potajemnie zastraszoną siostrzenicę, stanowczo będzie musiał znaleźć sobie inną partnerkę. Anka była pewna, że raczej kiepsko odnalazłaby się w roli lolitki w podkolanówkach i białych lakierkach.

– Stryjek Władzio miał zawał... – kontynuował niewzruszenie.

– Przykro mi.

Uroczego stryjcia widziała raz, z okazji obiadu, podczas którego Adaś zaprezentował rodzinie swoją narzeczoną. Zwalisty reprezentant starszego pokolenia Klusków, połykający pełnymi łyżkami zawieszony sos, sam się prosił o komplikacje kardiologiczne. Mimo to była gotowa okazać mężowi stosowne współczucie.

– Co mówią lekarze? – zapytała grzecznie.

– Długo nie pociągnie – stwierdził Adaś krótko.

– To smutne. – Starła się dać mu do zrozumienia, że łączy się z nim w bólu. – Ale co to ma wspólnego ze mną?

– Testament.

Anka poczuła się nieco zdezorientowana. Być może chodziło o coś bardziej skomplikowanego niż perwersja z udziałem wujcia i małolaty.

– Dostanę spadek – W oczach Adasia błysnęła chciwość.

– Gratuluję – odparła odruchowo.

– Dostanę spadek dwa lata po śmierci stryjka, jeśli do tego dnia się nie rozwiodę – kontynuował. – Stryjek wyznaje tradycyjne wartości – dodał, prężąc się dumnie na znak, że w pełni popiera preferowany przez przedstawiciela starszego pokolenia Klusków światopogląd.

– A jeśli pociągnie jeszcze dekadę?

– Poczekamy – zdecydował Adaś autorytatywnie.

Anka odetchnęła z pewną ulgą. Mążonek najwyraźniej jej potrzebował, co oznaczało, że przynajmniej chwilowo pozostanie na Pięknej. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na to, że w najbliższym czasie ona i Zaworek nie stracą dachu nad głową. Aby uniezależnić się w tym względzie od Adasia, powinna posiadać gdzieś niekrępujące *pied-à-terre*, nazwane przez Colette filonierą, do którego mogłaby się wycofać w krytycznym momencie. Sytuacja Anki różniła się jednak w tym względzie od położenia Klaudyny. Ciężka niewydolność finansowa sprawiała, że musiała brać pod uwagę jego stanowisko w kwestii lokalowej.

– Czy li Zaworek i ja nie musimy się wyprowadzić? – upewniła się na wszelki wypadek.

– Rodzina powinna mieszkać razem – oświadczył Adaś pompatycznie.

– Amen – odparła Anka i na wypadek gdyby jej mąż zmienił zdanie, uciekła do swojego pokoju.

2013

1.

Anka pędziła ulicą z dygocącym Zaworkiem w ramionach. Kraciasty ocieplany kubraczek widocznie nie wystarczał, bo jamnik trząsł się jak galareta i szczękał zębami. Co jakiś czas przystawała i nerwowo zerkała za siebie. Możliwe, że Adam wyruszył za nią, gotów za wszelką cenę pomścić ukochany komplet wypoczynkowy. Jeśli zastosuje przy tym zasadę „oko za oko, ząb za ząb”, wypruje jej flaki. Niewykluczone, bo jej mąż uwielbia przecież zasady. Ostatnio widocznie hołduje maksymie „każdemu według zasług”: ochoczej cycatej flądrze koronki, głupiej żonie plastikowy Mikołaj z tępą gębą. Jeśli tak realizuje się słynna dziejowa sprawiedliwość, to wielkie dzięki, Anka poradzi sobie sama.

Odwróciła się po raz kolejny, by sprawdzić, czy Adam podąża jej tropem uzbrojony w nożyce do drobiu, i wpadła na groźnie wyglądającego Świętego Mikołaja, który przepychał się środkiem chodnika, torując sobie drogę wypchanym workiem. Zaworek warknął ostrzegawczo, szykując się do ataku. Czerwony grubas przystanął. Anka stwierdziła, że mikołajowa głupia mina nie jest zarezerwowana dla plastikowych egzemplarzy i stanowi ważny element kostiumu także żywych przedstawicieli gatunku.

Mikołaju, Mikołaju,

Skąd przybywasz:

Z lasu? Z gaju?

– Pani weźmie tego psa! – zażądał Mikołaj. Jeśli miał coś wspólnego z jakimkolwiek gajem, doskonale to ukrywał. – Pani da pracować!

– Jezu, następny... – jęknęła. – Ilu was jeszcze jest?

– Coś się nie podoba? – zagadnął zaczepnie Mikołaj i machnął wielkim workiem.

A żebyś wiedział, tłuszczochu, pomyślała Anka.

Czy to u was taka moda,

że do pasa sięga broda?

– Niech pan lepiej stąd idzie – poradziła. – W okolicy krąży maniak i morduje każdego Świętego Mikołaja, który wpadnie mu w ręce. Sam pan rozumie, uraz z dzieciństwa. Nie dostał

wymarzonych lyżew i oszalał. Właśnie widziałam, jak zabił pana kolegę.

Mikołaj przyjrzał jej się uważnie.

– Głupia baba – zawyrokował.

Anka uznała, że dzienny limit kontaktów ze stworami w czerwonych kubrakach został wyczerpany. Wyminięła agresywnego grubasa, który patrzył za nią jeszcze przez chwilę, po czym machnął ręką i ruszył w swoją stronę.

Magda otworzyła drzwi owinięta w puszysty błękitny szlafrok. Na głowie ukręciła sobie gigantyczny turban z ręcznika. Podtrzymując jedną ręką skomplikowaną konstrukcję, uważnie przyglądała się Ance.

– Co masz na głowie? – spytała Anka z zainteresowaniem. – Nie wspominałaś o balu kostiumowym. Włożyłabyś tę dziurawą bieliznę.

– Lepiej spójrz na siebie – poradziła przyjaciółka. – Raczej nie potrzebujesz dodatkowej charakterystyki.

Anka zerknęła do lustra.

– To tylko wnętrzności – postawiła rozdygotanego Zaworka na podłodze i zajęła się wyplątaniem z włosów białych pasemek

– Zabiłaś Adama? – zainteresowała się Magda. – To by się nawet zgadzało. Zawsze uważałam, że musi być wypchany jakimiś pakułami. Założę się, że brakuje mu części narządów, na przykład czegoś tak trywialnego jak jelita. Nie mogę sobie wyobrazić, że defekuje tak samo jak reszta ludzkości.

– Co do jelit nie mam pewności. Na razie wypatroszyłam nie jego, tylko kanapę.

– Tę wielką? – Magda spojrzała na nią z szacunkiem. – Na to samo wychodzi, bo on tego nie przeżyje.

– Myślisz...? – westchnęła Anka z nadzieją.

– Masz to jak w banku. Sama mówiłaś, że modli się do tego grata.

– Regularnie wachał ją w przekonaniu, że tak pachnie życiowy sukces.

– Zboczeniec – skrzywiła się Magda. – Podciął mi skrzydła. Po takiej stracie już się nie otrząśnię.

– Izunia będzie miała okazję go pocieszyć.

Przyjaciółka spojrzała na nią ze współczuciem.

– Może powinnam wykazać się empatią i cię przytulić.

– Najpierw zdejmij z głowy ten ręcznik

– To specjalna okazja – oświadczyła Magda z dumą. – Postanowiłam zacząć nowe życie i potrzebowałam jakiegoś wyrazistego akcentu, żeby podkreślić doniosłość chwili.

Anka jęknęła. „Nowy etap życia” oznaczał na ogół kolejny poroniony związek. Postanowiła, że wróci do tematu w bardziej sprzyjającej chwili. Nagle zdała sobie sprawę, co oznacza zdobiący głowę Magdy zawój.

– Nie mów, że ufarbowałaś włosy!

– To takie oczywiste? Myślałam, że zrobię ci niespodziankę.

– Zdradź mi jeszcze, co to za kolor.

– Sama zobacz i powiedz, co widzisz. – Magda energicznie potrząsnęła głową. Turban rozwinął się i spadł na podłogę.

– O Jezu... – Anka jęknęła i zakryła oczy. Na ramiona jej przyjaciółki opadło coś, co do złudzenia przypominało kłęby waty nasączonej gęstą zupą pomidorową.

Zaworek najwyraźniej podzielał opinię swojej pani, bo ukrył się za jej plecami i zaczął ujadać.

– Co on wyprawia? – Magda była oburzona.

– Pewnie cię nie poznaje. Zerknij do lustra, to go zrozumiesz.

– Moje włosy...?

– Lepiej przyzwyczaj się do myśli, że już nie masz włosów.

Magda ujęła w palce wilgotny kosmyk i zbladła.

– Co to za kolor?!

– Nie było napisane na pudełku? – zdziwiła się Anka. – Powinni dołączyć specjalne ostrzeżenie. *Nie sięgaj po ten kolor, jeżeli jesteś w psychicznym dołku. Rozumiemy Twoją potrzebę zrobienia czegoś z własnym życiem, ale efekt może się okazać zbyt radykalny. Jeśli dalej jesteś zdecydowana, przed zakupem podpisz oświadczenie, że jesteś w pełni władz umysłowych. Na wszelki wypadek postaraj się o perukę. Powodzenia!*

– Musiałam zamienić pudełka. – Magda z niedowierzaniem oglądała pasmo koloru kęczupu Krzepki Radek

– Co by było napisane na tym drugim?

– *Dojrzały bakłazan – wyrecytowała. – Odcień odpowiedni dla wyrafinowanej kokietki, świadomej wrażenia, jakie wywiera na mężczyznach. Idealnie podkreśli Twoją naturalną zmysłowość i wydobędzie tę stronę Twojej osobowości, którą dotąd starannie ukrywałaś przed światem. Nie czekaj dłużej, czas wreszcie zabłysnąć!*

– Wobec tego komuś pomysł się warzy wa. Dostał ci się nadgniły pomidor.

– Boję się spojrzeć w lustro. – Magda nadal oglądała pojedynczy kosmyk

– Może włożysz ciemne okulary? Powinnaś oswajać się stopniowo. Jeszcze godzinę temu byłaś blondynką.

– Nie przypominaj mi. Lepiej będzie, jeżeli na jakiś czas o tym zapomnę.

– Może twój szef przestanie cię molestować? – Anka usiłowała sobie wyobrazić korzyści płynące z dobrowolnego przestoczenia się w nieświeże warzywo.

– Chyba najpierw się czegoś napiję – postanowiła Magda. – Będę widziała mniej ostro.

– Dobry pomysł! Po trzech piwach będę ci mogła z czystym sumieniem powiedzieć, że wyglądasz bosko.

– Po prostu nie mogę się doczekać. – Magda ruszyła do kuchni. Wróciła z czterema butelkami i torbą chipsów.

– No to świętujemy – zarządziła.

– Tak bez choinki? Bez choinki się nie liczy.

– Nie bądź drobiazgowa. Zamiast barszczu z uszkami dostaniesz pizzę. Zaraz zamówię taką wielkości młyńskiego koła.

– Jakby to ujęła mama Klusek? – Anka zmarszczyła brwi. – Sodomia i Gomoria!

Ktoś energicznie zapukał do drzwi.

– Nasza pizza! Mniam! – ucieszyła się Magda i pobiegła do przedpokoj.

– Dziękujemy, że przyjechał pan tak szybko! – Z rozmachem otworzyła drzwi. – Mam tu kogoś, kto bardzo tego...

– ...potrzebuje? – dokończył Adaś i pchnął ją do środka. – Domyślam się. Gdzie ona jest?! – ryknął i podetknął Magdzie pod nos nożyce do drobiu. – Przyniosłem jej prezent.

– Nie ma jej tu. Przy sięgam – zastrzegła Magda przytomnie.

– Akurat! Odsuń się!

– Właśnie dzwoniła, żeby się pożegnać. Wyjechała za granicę.

– Dokąd? – Adam uśmiechnął się złośliwie i wskazał nożycami porzuconą w kącie kurtkę Anki.

– Pewnie do ciepłych krajów?

– Zapomniałam spytać – mruknęła Magda.

W tym momencie w przedpokoj pojawił się Zaworek.

– Skąd tu się wzięła ta cholerna glista? – chciał wiedzieć Adam.

– Wpadł z wizytą. Jest bardzo towarzyski.

Doktor Klusek zastrzygł nożycami i uśmiechnął się przebiegle.

– Wiem, że gdzieś ją schowałeś. Ten padalec nie rusza się bez niej na krok.

Magda postanowiła zmienić taktykę.

– Anka, uciekaj! – wrzasnęła przeraźliwie, cofając się na widok ostrego narzędzia. – On tu jest. Zwariował!

– Zejdź mi z drogi – zaproponował Adaś zwodniczo łagodnym tonem.

– Przez okno! To tylko drugie piętro! Jakos go zatrzymam!

Adam rozejrzał się szybko. Chwycił z wieszaka ocieplany płaszcz w nobliwą pepitkę i zaatakował go nożycami.

– Jezu, nieeee! – zawyła Magda dziko. – Błagam! Wiesz, ile to kosztowało? Ty morderco, to Max Mara!

Adaś uśmiechnął się i chlasnął ostrzem. Kawałek paska upadł mu pod nogi. Magda krzyknęła boleśnie i złapała go za rękę.

– Przestań – poprosiła pokornie.

W drzwiach pokoju stanęła Anka.

– Przepuść go.

Była gotowa do konfrontacji.

Magda posłusznie puściła rękę Adama. Padła na kolana i obronnym gestem przytuliła do siebie sponiewierany płaszcz.

– Myślisz, że można to przyszyć? – Spojrzała na Ankę z nadzieją, podnosząc skrawek paska.

– Spytaj jego, ostatecznie jest chirurgiem. – Anka zerknęła na Adama. – Jak myślisz, będzie żył?

Korzystając z zamieszania, Zaworek podniósł łapę i swoim zwyczajem nasikał Adasiowi na buty.

– Cholerne by dłu! – Doktor Klusek obejrzał sprofanowane obuwie. – Zabiję go!

– Nie sądzę. – Magda wypuściła z rąk uszkodzony płaszcz. Stała w bezpiecznej odległości, zdecydowana widocznie nie uronić nic z przedstawienia, rozgrywającego się w jej przedpokoju.

Zaworek na wszelki wypadek schował się za nią. Z bezpiecznej kryjówki triumfalnie patrzył na prześladowcę, prezentując minę z serii „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz?”.

– Chodź tu, wredna glisto! – zażądał Adam.

– Hau! – odpowiedział Zaworek

– Przetłumaczy ci? – zaproponowała Anka. – Powiedział „A gówno!”.

Jamnik pomachał ogonem na znak, że przekład w pełni go satysfakcjonuje.

– Ty naprawdę jesteś nienormalna – stwierdził Adam. – Mamusia od początku miała rację.

– Może wspomniałeś jej przy okazji, że też jesteś nienormalny, bo nie jesteś w stanie... jak to ująć... spełniać obowiązków małżeńskich? – zainteresowała się Anka. – *À propos*, jak ci się układa z cicią unurzaną w oliwie?

– O czym ty gadasz? – warknął doktor Klusek

– O pięknej Izuni. Czy m się napompuwała? Solą fizjologiczną czy silikonem?

– Ty...! – Adam ruszył na nią jak zołg. Wytrzeszczone oczy błyszczały chęcią mordy.

Zaworek najwyraźniej zdecydował, że nadeszła pora, aby bronić znieważaną panią. Błyskawicznie opuścił zaimprovizowaną kryjówkę i zastąpił drogę napastnikowi, wyprężając zjeżony groźnie grzbiet. Rozkraczył się na krótkich łapach i podniósł ogon, przyjmując postawę bojową. Żeby jego intencje były zupełnie jasne, wydał z siebie niski ostrzegawczy warkot.

Na widok nieoczekiwanej przeszkody Adam zatrzymał się gwałtownie. Chociaż za skarby świata by się do tego nie przyznał, Zaworek oprócz nienawiści budził w nim ogromny respekt. Jak przy stała na rasowego tchórza, instynktownie wy czuwał bohatera.

– Bierz go! – zarządziła Anka, stwierdziwszy, że czas wyrównać rachunki.

Zaworek posłusznie ruszył do ataku. Wykonał fachowy naskok i zawisł na nodze Adama, wbijając zęby tuż powyżej kolana.

– Ugryzł mnie! – Doktor Klusek wykonał skomplikowany taniec, usiłując strząsnąć z siebie jamnika. – Zabierzcie go ze mnie!

– Dzielny piesek! – Magda dopingowała Zaworka ze swojego kąta. – Spróbuj trochę wyżej i bardziej pośrodku!

– Zamknij się, idiotko! – w głosie Adama zabrzmiała czysta nienawiść. – Wiesz, kim jesteś? – Nastąpiła dramatyczna pauza. – Powiem ci! Jesteś cholerną lesbą!

Doktor Klusek spojrział na Magdę z satysfakcją, przekonany, że negując jej zdrowe stosunki z przedstawicielami swojej płci, użył najgorszej z możliwych obelg.

– Jak na to wpadłeś? – zainteresowała się Magda. – Mamusia ci powiedziała?

– Nie waż się wspominać o mojej matce! – zaryczał Adam, energicznie opędzając się od kwiozerczego Zaworka, zdecydowanie ponowić ofensywę.

– Bądź dzielny, piesku – poleciała Magda, po czym całą uwagę skierowała na Adama. – Przykro mi, że dowiedziałeś się dopiero teraz. Nie wiedziałyśmy, jak ci powiedzieć... Czeakałyśmy, aż sam się domyślisz.

Adam chwilowo zapomniał o psie i wybałuszył na nią oczy.

– Anka i ja... No wiesz... – Magda skromnie spuściła wzrok – W telewizji mówią, że nie ma się czego wsty dzić.

– O czym ona gada? – wyjęczał Adaś.

Na dźwięk osłabłego nagle głosu nieprzyjaciela Zaworek uznał, że wykonał swoje zadanie. Posłał ofierze groźne spojrzenie i podreptał w stronę swojej pani.

– Dziśny piesek – powiedziała Anka odruchowo. Patrząc mężowi w oczy, oświadczyła:

– Magda i ja chcemy być razem.

Z satysfakcją obserwowała, jak jej mężowi opada starannie ogolona szczęka.

– Nie chciałam cię oszukiwać – dodała cicho. – Zrozum, na początku sama nie zdawałam sobie sprawy...

Podeszła do Magdy i wzięła ją za rękę.

– Nie mam siły dłużej z tym walczyć. – Starła się, żeby jej głos lekko drżał. – My się kochamy.

– Chyba nie będziesz robił trudności przy rozwodzie? – Magda złożyła ręce w błagalnym geście. – Chcemy się pobrać. Zresztą na pewno czegoś się domyślałeś.

Adaś pobielał na twarzy, idealnie dopasowując się kolorem do ścian przedpokoju.

– Ty... ty... – wycharczał. – Jak ci nie wstydz?

Anka przyglądała się z zainteresowaniem zmianom zachodzącym w jego fizjonomii.

– I co ludzie powiedzą?! – jęknął głucho, jak przystało na nieodrodnego potomka mamy Klusek

– Na dodatek przepadnie spadek po stryjcju – stwierdziła Anka z satysfakcją. – Trudno. Chcę rozwodu!

Wszystko wskazywało na to, że w ferworze walki doktor Klusek zapomniał o testamencie antenata rodu Klusków. Bezgłośnie poruszył wargami jak gigantyczny karp.

– I alimentów!

Adaś wyglądał na zdruzgotanego. Pomysł comiesięcznego pozbawiania go pieniędzy musiał mu się wydać straszny.

– Nie martw się – pocieszyła Anka męża. – Izunia na pewno zgodzi się z tobą zamieszkać. Jeżeli tylko gustuje w pełzaniu po podłodze i zbieraniu brudnych skarpet, będziecie razem bardzo szczęśliwi.

– Iza to bardzo inteligentna dziewczyna... – Adam nabzdyczył się jak indor. Kiedy doszedł do wniosku, że właśnie przyznał się do romansu, było już za późno. Jak każdy bufon charakteryzował się fatalnym refleksem.

– I wcale nie chodzi mi o jej wygląd – dokończyła Magda. – Nie wiedziałam, że rozum siedzi w cyckach. Jeżeli tak, to należy jej się Nagroda Nobla.

– Kim ona właściwie jest? – zainteresowała się Anka.

– Zastanówmy się... Może siostrą instrumentariuszką? – zasugerowała Magda. – Założę się, że doskonale dba o twoje narzędzia.

– Skąd wiesz? – Adam rozdziawił usta. Wyglądał jak wioskowy głupek

– Widzisz? – skrzywiła się Anka. – Za grosz poczucia humoru.

Magda ze smutkiem pokiwała głową.

– Beznadziejny przypadek

– Ona przynajmniej jest normalna – obwieścił doktor Klusek, najwyraźniej zdecydowany przyznać się do romansu z miss mokrego podkoszulka. – A wy jesteście zboczone! – Doszedł chyba do wniosku, że bezpieczniej powrócić do poprzedniego tematu. Wyglądał przy tym jak

sędzia wydający niepodlegający apelacji wyrok śmierci. Anka gotowa była przysiąc, że zgadzał się z opinią Hitlera na temat odmiennych orientacji seksualnych, za które w Rzeszy groził obóz koncentracyjny. – Powinni was zamknąć!

– Pewnie masz rację, w końcu jesteś lekarzem – pogodnie przytaknęła Magda.

– Wychodzę. – Adam miał minę, jakby ogłaszał wiadomość o kolejnym ataku na WTC. Pozbawianie bliźnich swego towarzystwa uznawał za najcięższą z możliwych kar. Otworzył drzwi i zatrzasnął je za sobą z takim impetem, że z sufitu odpadł spory kawałek tynku. Zaworek zeskokczył na podłogę z rąk swojej pani i starannie go obwąchał. Uznawszy najwyraźniej, że nikomu nie grozi bezpośrednie niebezpieczeństwo, wrócił do Anki, zostawiając na chodniku szlaczek ułożony z białych odcisków łap.

– Może trochę przesadziliśmy? – Anka zerknęła na Magdę. – Jeszcze coś sobie zrobi.

– Przeceniasz go, to nie typ samobójcy – orzekła Magda. – Poszedł prosto do mamusi. Na pocieszenie dostanie podwójną porcję kotletów.

– To może tam zadzwonię i ją uprzedzę? – mruknęła Anka. – Opije się kroperek na uspokojenie i uniknie apopleksji.

– A co dokładnie jej powiesz? Że kochasz inaczej?

– Faktycznie, głupi pomysł. Jak myślisz, czy to podpada pod przemoc w rodzinie? – Anka wskazała na dziurę w suficie.

Zaworek zapiszczał i wlepił w nią przy nagląące spojrzenie. – Posłusznie sięgnęła po kurtkę.

– Chce siusiu.

2.

Zaworek wracaj! – Anka spojrzała pod nogi, gdzie na ogół płątał się jamnik. Typowo psie zapędy do podejmowania samodzielnych wypraw badawczych były mu całkowicie obce. Z reguły dreptał pół kroku przed swoją panią, patrząc z pogardą na pobratymców, którzy dzisiaj z upodobaniem taplali się w topniejącym śniegu.

– Zaworek! – Anka rozejrzała się wokół. Jeśli jej pies zmienił zdanie w sprawie sportów zimowych, zapomniał ją o tym powiadomić.

– Zaworek... – To, co działo się na pokrytym szarą breją trawniku, odebrało jej głos. Sport, który uprawiał jamnik w żaden sposób nie wiązał się z porą roku, za to niewątpliwie należał do ulubionych psich zajęć.

– Jak ci się udało...? – Anka zamrugała z niedowierzaniem.

Zaworek był zbyt zapracowany, żeby udzielić jej odpowiedzi. Podrygiwał ochotczo, wczepiony w zad dziesięć razy większej suki, która przykucnęła nisko, żeby ułatwić mu karkołomną operację.

– O Jezu, zabierzcie go! Saruniu, fe! Nieładny pies! Złaz z niej, pokurczu jeden, jak Boga kocham, Sodomia i Gomoria!

Z sąsiedniego trawnika nadciągał kon mamy Klusek. Anka pożerała wzrokiem burzę suchych jak siano loczków, podkreślone turkusem oczy, zaciśnięte w cienką linię karminowe usteczka, a nade wszystko brwi – intensywnie czarne łuki namalowane tuż pod utlenioną grzywką. Doszła do wniosku, że kobieton, który jej się objawił, stanowiłby prawdziwą ozdobę upiornej parodii babskiego wieczoru, urządzonej swego czasu przez teściową.

– Do sądu pozwę! Policję wezwę! Kolegium będzie...! – Stwór rył świńskim kopytkiem brudny śnieg i toczył pianę z pyska. – Skandal! Pies ma rodowód...! Żeby z takim karakanem...!

– Serce nie sługa. – Na widok zakochanego Zaworka Ankę ogarnął nastrój filozoficzny. – Musi pani zaprowadzić ją do weterynarza – poradziła. – Chętnie pokryję połowę kosztów.

Pani Klusek numer dwa wybałuszyła na nią obwiedzione turkusową krechą oczy.

– Bezbożnica! – Aż zachłysnęła się ze świętego oburzenia. – Do aborcji będzie mnie tu

namawiać, Jehowa jakaś! Tfu! – Splunęła pod nogi i odwróciła się na pięcie. – Saruniu, idziemy!

Ostry głos przywiódł sukę do opamiętania. Strząsnęła z siebie Zaworka i posłusznie ruszyła z kobietą.

– Gdzie pani mieszka? – zawołała Anka. – Powinnyśmy razem zastanowić się, co zrobimy z... – szukała odpowiedniego określenia.

Dziećmi? Szczeniakami? Poczęty m życiem?

– W drugiej klatce, na parterze. – Klon nawet nie zaszczycił jej spojrzeniem. – Chodź, biedulko – pogoniła Sarunię, tęsknie oglądającą się za miejscem, gdzie przed chwilą uległa pożarowi zmysłów. – Idziemy!

Anka chwyciła Zaworka pod pachę i ruszyła do domu.

– Nie wiedziałam, że lubisz większe od siebie. – Cały czas była pod wrażeniem jego wyczynu.

– Hau! – skarcił ją Zaworek

– Masz rację, to sprawy intymne – zgodziła się.

W pośpiechu pokonała dwa piętra, żeby jak najszybciej podzielić się z Magdą ważną nowiną.

– Będziemy miały małe! – poinformowała, otrzepując na wycieraczcze oklejone śniegiem buty.

– Kiedy? – zainteresowała się Magda.

– A ile trwa psia ciąża? – Anka weszła do mieszkania i zatrzasnęła za sobą drzwi. Z sufitu oderwał się kolejny kawał tynku i pacnął tuż obok jamnika, który odskoczył z głośnym kwikiem.

– Tak wygląda grom z jasnego nieba, Zaworku – pouczyła go Anka. – To kara za rozpustę.

Trzy miesiące później

Amoże jednakuciec?

Odwagi!

Anka zebrała się w sobie i nacisnęła dzwonek. Głośne szczekanie upewniło ją, że trafiła pod właściwy adres. Zamek szczęknął i w drzwiach stanęła...

Chwileczkę! Gdzie oczka? Gdzie usteczka? Gdzie loczki pudliczki?

Że nie wspomnę o brwiach.

...w drzwiach stanął wysoki mężczyzna w bojówkach i koszulce z Fidelem Castro.

Anka poczuła, że serce, które za sprawą Adasia powinno zmienić się w blok granitu, leciutko drgnęło.

– W czym mogę pani pomóc? – Mężczyzna przyjrzał jej się uważnie. – Uprzedzam, że niczego od pani nie kupię. Nie chcę skórzanej kurtki, kompletu noży ani dywanu ze sklepu w likwidacji.

A nie chciałbyś mnie?

– Przyшлаm w sprawie psa – wydukała.

– To wspaniale! – Mężczyzna momentalnie się rozpromienił. – Jaka płęć panią interesuje?

Zgadnij.

– Rozumiem, woli pani obejrzeć. – Odsunął się od drzwi. – Proszę wejść.

Obejrzeć? Tak od razu?

– Pan nie rozumie – wyjaśniła pospiesznie Anka, porzucając lubieżne myśli.

– To pani nie po szczeniaku? – Mężczyzna się nachmurzył. Nawet Fidel w czerwonej koszulce wyglądał na znartwionego.

– Nie chcę szczeniaka. – Ankę serce zabolęło na myśl, że musi go rozczarować. Była gotowa zaadoptować całe Schronisko na Paluchu, byle tylko dobrze wypaść w oczach interesującego nieznanomego.

Głęboko zaczerpnęła tchu.

– Chodzi o to, że mój pies... i pańska suka...

Odbyli stosunek płciowy? Dopuścili się kopulacji? Popełnili głupstwo?

– Oni... jak to powiedzieć...? Chyba są rodziną...

– Ma pani nowofundlandczyka? – zainteresował się mężczyzna. – A może bernardyna z akromegalią?

– Ależ skąd. – Anka poczuła się zdezorientowana. – Jamnika. Miniaturowego.

Mężczyzna skrzywił się lekko.

– Może pozwoli pani za mną.

Weszła do mieszkania, konstatuując, że pan Saruni, nawet skrzywiony, jest sto razy atrakcyjniejszy od szczerzącego się w fałszywym uśmiechu krasnalowatego doktora Kluska.

– Proszę do kuchni. Zamykam je tam, bo strasznie siusiają.

Anka uchyliła drzwi i zajrzała do środka.

W wielkim koszyku leżała narzeczona Zaworka z trojgiem dzieci.

– Jeśli się pani upiera, można zrobić testy DNA, ale nie sądzę, żeby miało to jakiś sens.

Nie zamierzała się z nim spierać. Szczeniaki do złudzenia przypominały młode niedźwiedzie i nic nie wskazywało na to, żeby z któregoś wyrósł półkwi jamnik. A już zwłaszcza miniaturowy.

– Jest pan pewien, że to psy?

– Tak twierdzi weterynarz.

– Co pan z nimi zrobi?

– A ma pani jakiś pomysł?

– Może ufunduje pan dla nich stypendia? Wtedy pewnie ktoś je adoptuje. A może warto by pomyśleć o psim zaprzęgu?

– Najpierw zamorduję tę cholerną babę – warknął mężczyzna. – Ta idiotka miała pilnować Saruni.

Właśnie, *à propos* baby. Podobno mieszka tu jedna, może pan ją zauważył. Znaki szczególne? Niech się zastanowie... Chyba brwi.

– Więc ta miła pani, która wprowadzała pieska, to nie pańska mama?

Tylko nie kłam!

Gospodarz wzdrygnął się ze wstrętem.

– To Zimorodek Cecylia Zimorodek Mieszka naprzeciwko. Musiałem wyjechać i zapłaciłem jej za opiekę nad Sarunią. Jak widać, przyłożyła się do pracy.

– I do niczego się nie przyznała?

– Owszem, oświadczyła, że to wola boska. Pani Zimorodek ma niewzruszone zasady moralne.

– I dlatego powierzył jej pan Sarunię?

– Wydawała się na swój sposób godna zaufania. Mieszka sama, mąż uciekł od niej z pielęgniarką, która przychodziła robić mu zastrzyki, kiedy złapał anginę.

Pielęgniarka? Tylko nie to!

– Porzucona pani Zimorodek pogrążyła się w dewocji, ale nie przyszło mi do głowy, że zastosuje wobec mojej suki święte „Idźcie i rozmnażajcie się”. A poza tym... nie umiem oprzeć się jej brwiom.

Serce Anki zaśpiewało.

Chcę tu zostać. Na zawsze.

– Nie wie pani przypadkiem, czym ona je maluje? Węgłem? Tuszem drukarskim?

Mogę mieszkać w kuchni. Pod stołem. Albo w koszyku Saruni.

Przykro mi, kochane pieseczki, pora na eksmisję.

– Markierem. Wodoodpornym.

Świeżo upieczony psi tata wyciągnął rękę.

– Michał.

– Anka.

Proszę, nie każ mi stąd wychodzić.

– Napijesz się czegoś? Tylko nie bardzo wiem, co mam.

Wody z kranu. Płyn do mycia naczyń. Lizolu.

– Herbaty? To chyba jest.

– Uwielbiam herbatę.

Michał przyjrzał się Ance podejrzliwie.

– Wejdziesz do pokoju – powiedział i zniknął w kuchni.

Anka rozejrzała się i poczuła rozkoszny dreszcz. Żadnego parkietu. Zwłaszcza dębowego. Żadnych skórzanych hipopotamów. Materac na stelażu, biurko z komputerem, podniszczony fotel i książki. Masa książek Na półkach, na parapecie, na podłodze.

Jestem w rajku.

Wzięła do ręki porzuconą na materacu nadbitą artykuł. *Zmiany patologiczne narządów żucia ludności żydowskiej z Dobrzyńia nad Wisłą*. Westchnęła błogo, porażona wizją snujących się po ulicach osobników w chałatach, wyposażonych w gigantyczne oślinione szczękoczułki.

Trwaj, chwilo. Jesteś piękna.

Michał wrócił do pokoju z dwoma kubkami. Anka nie wiedziała, którym zachwycać się bardziej. Jeden był ozdobiony reprodukcją *Pocałunku Klimta*, drugi reklamował wytwórnę styropianu, prezentując gruby kobiecy zad zaklinowany w warstwach granulowanej bieli. Wzdrygnęła się ze wstrętem na wspomnienie filizanek z Almi Decor, które Adaś z upodobaniem ustawiał w kuchennych szafkach, obowiązkowo przeszkolonych, aby mogły demonstrować swą kosztowną zawartość w całej krasie.

– Klimt czy styropian? – zapytał Michał.

– Może być Klimt.

I pocałunek

Jeszcze raz spojrzała na sterty książek

– Gdzie pracujesz?

Blagam, nie mów mi, że jesteś lekarzem. Bądź rzeźnikiem. Rakarzem. Balsamistą zwłok. Byle nie doktorem medycyny.

– W PAN-ie.

Gdzie chóry anielskie?

– A ty?

– Nigdzie. Robię doktorat. Z czarownic.

– *Malleus Maleficarum*? Jules Michelet?

Kocham cię.

– Masz tu mieszkanie? Nigdy cię nie widziałem – stwierdził Michał niezobowiązująco. – Na ogół kojarzę ludzi z psami.

– Zatrzymałam się u przyjaciółki. W zasadzie jestem bezdomna.

– A przyjaciółka prowadzi noclegownię?
– Bardziej dom dla kobiet po przejściach. Ukrywam się przed wariatem. Chciał mnie zamordować.

– Za co?

– Przemeblowałam mu mieszkanie.

– To chyba nie bardzo ci wyszło? Może spróbujesz jeszcze raz?

– Wykluczone. Wy mordowałam hipopotamy.

– Hodował zwierzątka? Jak miło. Nie dało się ich odratować?

– Wykluczone. Załatwiłam całe stado.

– Mogłaś przy okazji załatwić wariata.

– Niestety. O mało mnie nie poćwiartował.

Proszę, powiedz, że mnie obronisz.

– Mam pomysł na doskonałą kryjówkę.

– Dla mnie? – rozanieliła się Anka.

– Zostaniesz tutaj.

Gdzie fanfary? Gdzie trąby anielskie?

– Na dwa dni. Do tego czasu wariat pewnie przestanie cię szukać.

– To za mało. – Anka prawie załkała z rozczarowania. Jakkolwiek Adaś od miesiący nie dawał znaku życia, posłuszna wyobraźnia natychmiast podsunęła jej wizję wyposażonego w niebezpieczne narzędzie doktora Kluska, który w lunatycznym transie snuje się po okolicy, opętany potrzebą pomśczenia swoich krzywd.

Obraz był tak sugestywny, że prawie w niego uwierzyła.

– Nie szukam utrzymania, tylko opiekunki dla Saruni – poinformował ją Michał rzeczowo. – Wyjeżdżam na konferencję i nie wiem, co z nią zrobić. Zimorodek stanowczo odpada. A skoro twierdzisz, że formalnie jesteś bezdomna, to chyba wszystko ci jedno, gdzie będziesz spała?

– Kiedy jedziesz? – Anka pociągnęła nosem.

– Jutro.

– Ale wrócisz? – zapytała płacząco.

– Musisz mieć kompletnie zszargane nerwy – stwierdził Michał, patrząc na nią ze współczuciem.

– Wrócisz?! – prawie krzyknęła Anka. Myśl, że facet kategorii pierwszej, na dodatek z własnym lokalem i imponującą kolekcją książek, mógłby wymknąć jej się z rąk, była nie do zniesienia.

– Przecież mówię, że jadę na dwa dni – zniecierpliwił się.

Najwyraźniej uznał temat za wyczerpany.

– I zaufasz mi? – Anka, starała się, aby jej głos sugestywnie zadrżał.

Jeśli miała nadzieję na nagrodę w postaci monologu o *coup de foudre* i natychmiastowym porozumieniu dusz, sromotnie się zawiodła.

– A czemu nie? – Michał wruszył ramionami. – Wyglądasz porządnie.

A nie pięknie? Zniewalająco? Bosko?

Fatalna gruboskórność.

– Nie boisz się o pieski?

Pokręcił głową.

– Spójrz na nie. To raczej ty powinnaś się bać. Którejś nocy poczują zew krwi swoich dzikich przodków i zechcą rozerwać cię na strzępy. No ale skoro wykończyłaś hipopotamy... Jestem dobrej myśli.

Ja też. Niech się dzieje wola nieba.

– Pójdę już – oświadczyła Anka z wyraźną niechęcią. – Kiedy mam przyjść?

– Najlepiej rano. Wyjeżdżam w południe.

Przyjdę o piątej. Nie, o czwartej.

Z ociąganiem podniosła się z fotela.

– Będę czekał. W rewanżu zabiorę cię na imprezę u przyjaciół. Poznasz trochę fajnych ludzi.

Jednego już poznałam. Wy starczy.

– Do jutra – rzuciła i ruszyła w stronę drzwi.

– Oby nie dopadł cię ten wariat – zawołał za nią Michał.

Wykluczone. Nie kiedy rozpoczynam nowe życie.

– Jestem zakochana.

Magda przyjrzała się Ance.

– Oprzytomnij. – Nic nie wskazywało, że udzielił jej się nastrój uniesienia.

– Wykluczone.

– Kim jest ten szczęśliwiec? – skrzywiła się Magda.

– To właściciel Saruni.

– A nie właścicielka? Nie mów tylko, że zakochałaś się w babsku ulepionym na wzór twojej teściowej. Już nie musisz udawać lesbijki.

– Ona tylko wprowadza Sarunię na spacer.

– Twój wybranek mieszka z klonem mamy Klusek? To matka czy partnerka? Rozumiem, że zdecydowałaś się żyć w trójkącie z gerontofilem i kobietą jego życia?

– On mieszka tylko z Sarunią. I stadem niedźwiedziątek

– Majaczysz.

– Niedźwiedziątek polarnych – dodała Anka, uśmiechając się z rozmarzeniem.

– Bredzisz.

– Ani trochę. Możesz sama zobaczyć.

– Nie mam ochoty. Z zasady nie ufam wariatom. Tobie też nie radzę.

– Na dwa dni się wyprowadzam. Będę mieszkać z Sarunią.

– Stanowczo zwariowałaś. – Magda z politowaniem przyjrzała się przyjaciółce.

– Sama się przekonasz. Uratuję ją przed Zimorodkiem.

Magdzie na chwilę zabrakło słów.

– Wezwę lekarza – zaproponowała w końcu. – Nie wiesz przypadkiem, czy psychiatrzy składają wizyty domowe? Można by za jednym zamachem posłać kogoś do twojego nowego

ukochanego.

Anka, opętana jedną myślą, nie zwracała najmniejszej uwagi na te rozważania.

– Pomożesz mi. Na dwa dni zaopiekujesz się Zaworkiem.

– Mowy nie ma – zaprotestowała Magda. – Przeżyje traumę.

– W takim razie zabiorę go ze sobą. Może uszanuje karmiącą matkę i nie będzie napastował Saruni.

– A można wiedzieć, co będziesz tam robić?

– Przeprowadzę dyskretne przeszukanie. Przejrzony zawsze ubezpieczony.

– Masz zamiar przez dwa dni ryć w rzeczach obcego faceta? – zdziwiła się Magda. – Sprawdź przy okazji, czy nie trzyma gdzieś noży c do drobiu – poradziła życzliwie.

– Słusznie, poszukam – wyjątkowo zgodnie stwierdziła Anka. – W wolnych chwilach poczytam o narodzie wybranym i szczęścokształkach.

– Od razu wiedziałam, że ci odbiło. – W głosie Magdy zabrzmiała ponura satysfakcja.

– Muszę poszerzać horyzonty. On jest bardzo inteligentny.

– Rozumiem, że stwierdziłaś to po pięciu minutach spędzonych w jego towarzystwie?

– Po dziesięciu – sprostowała Anka z powagą. – Zresztą pewne rzeczy od razu rzucają się w oczy. Poza tym jest absolutnie piękny.

– Lepiej uważaj. Po Adasiu każdy facet większy od karzełka będzie ci się wydawał skrzyżowaniem archaniola z Dolphem Lundgrenem.

– Zobaczysz go, to zrozumiesz. Bojówki. Dwa centymetry włosów. Fidel Castro. Przysięgam. To chodzący ideał.

– Zejźdź na ziemię, dobrze ci radzę. Jeśli jest taki cudowny, jak mówisz, na pewno kogoś ma.

Anka pokręciła głową.

– Tam nie było śladu kobiety.

– Może lubi sprzątać.

– Nie wygląda na to.

– Uważaj. Faceci w większości świetnie umieją się maskować. – Magda wyraźnie uważała się za ekspertkę w kwestii męskiej przewrotności.

– On jest inny.

– Na początku zawsze tak się wydaje – stwierdziła Magda głosem delfickiej Pytii. – Poza tym przypominam ci, że nie masz rozwodu. Może on jest tradycjonalistą i nie zadaje się z rozpasanymi mężatkami.

– Przecież się rozwodzę.

– Nie tak zaraz. Jeśli Adaś zwęszy, że wytypowałaś już jego następcę, z wrodzonej podłości będzie przeciągał sprawę w nieskończoność.

– Cholera... O tym nie pomyślałam.

– Przygotuj się na kłopoty.

– To może bigamia? – zapytała Anka.

– Może nie pamiętasz, ale to karalne.

– Będziemy się ukrywać.

– Pewnie na Kubie?

Anka spojrzała na Magdę z wyrzutem.

– Myślałam, że raczej tutaj.

- Na mnie nie licz. Za udział w przestępstwie można iść do więzienia.
- Porozmawiamy o tym później. - Anka uznała, że bezpieczniej będzie nie drążyć tematu. - Na razie będę przez dwa dni pilnować niedźwiedzi.
- To może lepiej zatrudnij się w zoo? Przy najmniej obejdziesz się bez bigamii.
- Anka spojrzała na nią wzrokiem zranionej łani.
- Nic tu po mnie. Idę się pakować.
- Na dwa dni? Wystarczy ci to, co masz na sobie. Może jeszcze ewentualnie koronkowa bielizna.
- Szłoda, że nie zabrałam na pamiątkę tej, którą Adaś zafundował Izuni.
- A na co ci wory na melony? I takby ci się nie przydały - pocieszyła ją Magda.
- Za to dziurawe majtki byłyby jak znalazł.
- Nie jestem do końca przekonana. Większość facetów gustuje w szczątkowej bieliznie, ale są podobno wyjątki.
- Masz rację. Może on woli dziewiętnastowieczne barchanowe pantaloney do kolan. W końcu facet zawodowo zajmuje się przeszłością.
- Czy sta perwersja. - Magda skrzywiła się niechętnie.
- Nie perwersja, tylko szacunek dla tradycji. - Anka z rozmachem otworzyła szafę.
- Czego szukasz? Barchanów?
- Nie. Gorsetu.
- Zaworek, który do tej pory leżał grzecznie na posłaniu z koca, podszedł do swojej pani i zamerdał zachęcająco cienkim ogonem.
- Może sama poszukasz? Ostatecznie to twoja szafa - zaproponowała Anka, sięgając po smycz. - My wychodzimy na spacer.
- Może po drodze trochę oprzytomniejesz - ucieszyła się Magda. - Podobno na świeżym powietrzu myśli się lepiej.
- Więc śpij przy otwartych oknach - rzuciła Anka zimno i holując za sobą podnieconego perspektywę spaceru Zaworka, wyszła z mieszkania.

Zamyślona nad swoim losem Anka wolno wchodziła po schodach w towarzystwie usatysfakcjonowanego załatwieniem kompletu potrzeb fizjologicznych Zaworka. Dopiero na półpiętrze zdała sobie sprawę, że na klatce schodowej rozlega się nieprzyjemny hałas.

Tknięta złym przecuciem przyspieszyła kroku.

Zza drzwi Magdy dochodził wściekły ryk

- Gadaj, gdzie ona jest!

- W noclegowni dla bezdomnych. - Anka usłyszała wesoły głos przyjaciółki. Wyglądało na to, że Magda doskonale się bawi.

- Mów, bo cię załutuję, ty zбочzona lesbijo!

- Strzelam dalej. Przytulę dla upadłych kobiet?

- Zamknij się, wariatko!

- Zdecyduj się lepiej, mam gadać czy się zamknąć?

Anka pokonała chęć natychmiastowej ucieczki i nacisnęła kłamek. Na szczęście drzwi nie

były zamknięte na klucz.

Chyłkiem wsunęła się do przedpokoju. Wrzaski dochodziły z kuchni.

Stała w progu i błyskawicznie oceniła sytuację. Obrazek był tak malowniczy, że nie mogła powstrzymać nerwowego chichotu.

Adaś przyierał do ściany o głos wyższą od siebie Magdę, która patrzyła na niego z góry. Anka stwierdziła z ulgą, że przyjaciółka wcale nie wygląda na śmiertelnie przerażoną.

Chrząknęła. Adaś błyskawicznie obrócił się w jej stronę.

– Jesteś! – wrzasnęła.

– Jak widać. – Ance zaczął się udzielać szampański nastrój Magdy.

A gdzie nożyce do drobiu?

– Jak śmiesz się śmiać?!

Ciach, ciach.

– *To silniejsze ode mnie* – Anka zacytowała wicehrabiego de Valmont, ale popis erudycji pozostał bez echa. – Miło, że wpadłeś z wizytą. Czy żyłbyś się za mną stęsknił?

– Przyszedłem ci powiedzieć, że nie dam ci rozwodu – wyskandował Adaś i przyjrzał się żonie, najwyraźniej szukając oznak szalonej radości.

Anka poczuła, że robi jej się słabo. Wizja nowego szczęśliwego życia zaczęła się niebezpiecznie oddalać.

– Przecież jestem lesbijką – oświadczyła przytomnie, zdecydowana walczyć o swoją przyszłość.

– Pójdziesz do szpitala – oznajmił Adaś triumfalnie.

– Tego się nie leczy. – Zastanawiała się, czy powinna uświadomić męża, że odmiennej orientacji seksualnej od jakiegoś czasu nie uważa się za chorobę.

– Gadasz bzdury! Mam znajomości, zamkną cię w czubków i wybiją z głowy te świństwa.

Wyobraziła sobie, że tkwi w celi o ścianach obitych grubym wołokiem, poddawana na przemian lodowatym kąpielom i elektrowstrząsom. Było co prawda mało prawdopodobne, aby jakiś psychiatra, kierujący się wobec Adasia poczuciem zawodowej solidarności, zamknął jego żonę w wariatkowie, Anka uznała jednak, że lepiej nie ryzykować.

– A co na to mamusia? – chwyciła się ostatniej deski ratunku. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że pani Klusek godzi się na związek bezcennego jedynaka ze zdeklarowaną lesbijką.

– Mamusia rozumie – oświadczył Adaś z powagą.

– Co niby rozumie?

– Że to ważne dla mojej kariery – stwierdził mentorskim tonem.

– A co ja mam wspólnego z twoją karierą? – Anka poczuła się zdezorientowana. W trakcie ich poronionego małżeństwa Adaś nieraz dawał do zrozumienia, że jego niewydarzona małżonka jest kulą u nogi, uniemożliwiającą mu osiągnięcie życiowego sukcesu.

– Nie mogę się teraz rozwieść.

– Dlaczego? – jęknęła w obliczu nieuchronnej katastrofy.

– Mój ordynator – stwierdził Adaś krótko, najwyraźniej nie spiesząc się z dalszymi wyjaśnieniami.

– Też chce się ze mną ożenić?

– Nic nie rozumiesz, kretynko – warknęła.

– Dobrze to ująłeś – zgodziła się skwapliwie. – Może więc wytłumaczysz mi, o co chodzi.

– On wyznaje wartości chrześcijańskie. – Adaś skrzywił się paskudnie. Nie wyglądał na przekonanego do tradycyjnych poglądów na życie.

– No i co z tego?

Gdyby wzrok mógł zabijać, rozsypałaby się w proch pod wściekłym spojrzeniem męża.

– Nie rozumiesz, idiotko? Nie toleruje rozwodów – zasycał jadownicie doktor Klusek

– Ale my nie mamy przecież ślubu kościelnego – zauważyła przytomnie Anka.

– No właśnie. – Adaś wpatrywał się w nią złym wzrokiem. – Przez ciebie nie dostałem awansu.

Anka postanowiła nie polemizować, chociaż załamanie kariery doktora Kluska skłonna była uznać raczej za dowód jego miernych kompetencji zawodowych. Mogłaby się założyć, że nawet posiadanie czterech żon nie zaszkodziłoby Adasiowi bardziej niż ewidentny brak talentu. Doszła jednak do wniosku, że podzieli się z nim swoimi refleksjami w bardziej sprzyjającej chwili.

– Zabieram cię do domu – oświadczył Adaś z emfazą. – Pakuj się.

Anka uznała, że najwyższy czas rozwiązać wizję pogodnej przyszłości spędzonej w towarzystwie zresocjalizowanej i odpowiednio skruszonej małżonki.

– Ale spać będziemy oddzielnie – kontynuował doktor Klusek

Zachichotała. Najwyraźniej Adaś postanowił ukarać ją za występne czyny wygnaniem z małżeńskiej łóżnicy. Chociaż jego nawracająca impotencja sprawiała, że do wysoce niesatysfakcjonujących dla obu stron aktów miłosnych dochodziło sporadycznie, musiało uznać, że wyrzucenie z sypialni okaże się dla Anki najgorszą możliwą torturą.

– Nigdzie nie idę – oświadczyła twardo.

W oczach Adasia odmalowało się bezbrzeżne zdumienie, które szybko przerodziło się we wściekłość.

– Pakuj się, zamiast gadać! – wrzasnęła. – A ten czarny karakan zostaje tutaj! – zażądał, rzucając Zaworkowi mordercze spojrzenie.

– Zaworek zostaje. Ja też – poinformowała go Anka zimno. – Rozwiedzimy się, a ty weźmiesz ślub z Grażyną. W kościele, jak Pan Bóg i ordynator przykazali.

– Mowy nie ma! – warknął Adaś groźnie. – To my weźmiemy ślub w kościele. Mamusia będzie szczęśliwa. – Rozmarzył się na chwilę.

– Nic z tego. – Anka robiła wszystko, żeby rozwiązać jego nadzieję na wspólne życie, przypieczone mocą sakramentu.

– Nawet suknia jest – kontynuował Adaś, nie zwracając na nią uwagi.

Na wspomnienie atlasowo-tułowego cuda, ciągle jeszcze zalegającego w najdalszym kącie szafy, zrobiło jej się słabo.

– Żadnego ślubu nie będzie! – krzyknęła, doprowadzona do ostateczności.

– Co?! – ryknął Adaś, porzucając upojne rojenia.

– Chcę rozwodu! I to szybko!

– Nie wiesz, co gadasz! – krzyknął melodramatycznie. – Wiesz, kim będziesz beze mnie? Nikim! Zerem! Byłaś zerem, zanim dałem ci nazwisko i pozycję!

Anka przyjrzała mu się w zamyśleniu.

– To dlaczego się ze mną ożeniłeś?

Adaś poczerwieniał jak burak.

– Tak mi się odwdzięczasz! – syknął, ignorując jej pytanie. – I mamusi! Skończysz

w rynsztoku! – stwierdził tonem sędziego wydającego wyrok śmierci. – Obie skończycie! Ty i ta druga...

– O, przepraszam – wtrąciła grzecznie Magda, dotąd pochłonięta bez reszty obserwowaniem małżeńskiej awantury. – Czy żbyś mówił o mnie?

– O tobie, lesbo! – zawył Adaś, najwyraźniej doprowadzony do ostateczności.

Anka w duchu podziękowała przyjaciółce, że porzuciła rolę biernego świadka. Istniała szansa, że doktor Klusek, osaczony przez dwie przedstawicielki gorszej płci, postanowi wycofać się z pola walki.

Próżne nadzieje. Jak wszystkie słabe z natury jednostki, doktor Klusek w ataku szewskiej pasji stawał się nieobliczalny.

– Powiem wszystkim, że jesteś zboczona! – wrzasnął dziko. Rzucił Magdzie mordercze spojrzenie, groźnie prężąc rachityczne ciało. Przypominał nastroszonego kogucika rasy brakel.

Jakkolwiek widok odartego z resztek godności Adasia budził w Ance przewrotną satysfakcję, uznała, że bezpieczniej będzie pozbyć się go z mieszkania.

– Właściwie to Magda jest biseksualna – wyznała.

– Co ty gadasz?

– Zaraz się przekonasz. Za chwilę przyjdzie tu jej nowy kochanek – Anka ostentacyjnie spojrzała na zegarek – Właściwie już powinien tu być.

Adaś natychmiast się skurczył. Perspektywa spotkania z niezidentyfikowanym osobnikiem płci męskiej musiała wytrącić go z równowagi.

– Na pewno chętnie go poznasz – stwierdziła niewinnie.

Doktor Klusek wyglądał na mocno skonsternowanego.

– Możecie porozmawiać sobie o sporcie. To mistrz Mazowska wagi półciężkiej.

Adaś, którego gabaryty z trudem kwalifikowały się do wagi muszej, wyraźnie pobałdł. Zerknął w stronę drzwi i zaczął wycofywać się rakiem.

– Ja wam jeszcze pokażę! – syknął wyraźnie przekonany, że ostatnie słowo powinno należeć do niego.

– Nie możemy się doczekać – odparła Magda z anielskim uśmiechem. – Kiedy mamy się ciebie spodziewać?

Doktor Klusek nie zaszczycił jej odpowiedzią. Mrużąc coś gniewnie pod nosem, chyłkiem wymknął się z mieszkania.

– Wygląda na to, że na jakiś czas mamy go z głowy – stwierdziła Anka radośnie. – Znalazłaś już może ten gorset?

Następne dwa dni Anka spędziła, pogrążając się z wolna w absolutnym błogostanie. Czas dzieliła sprawiedliwie pomiędzy zapoznanie się z imponującym księgozbiorem nowego mężczyzny swojego życia i dyskretną rewizję w poszukiwaniu śladów pozostawionych przez

ewentualną rywalkę.

Czekając na powrót Michała, pławiła się w dziwnej rozkoszy. Nie dość, że znacznie pogłębiła swoją szcztąkową wiedzę z zakresu archeologii, co dawało nadzieję na błyskotliwą konwersację z obiektem jej zainteresowania, to jeszcze – co ważniejsze – nie natrafiła na nic, co sugerowałoby, że w zawalonej książkami kawalerce bywa jakaś inna przedstawicielka jej płci.

Z radosnych rozmyślań wyrwał ją chrobot obracającego się w zamku klucza.

Sarunia wydała z siebie radosny kwik i rzuciła się w stronę przedpokoj. Anka podążyła za nią.

Po chwili do mieszkania wkroczył Michał. Na plecach miał wypchany worek z demobilu. Anka wzdygnęła się na wspomnienie pseudoeleganckich sakwojaży, z którymi miał zwyczaj podróżować Adaś. Wyglądały jak skrzyżowanie ekwipunku komiwojażera z kiepską podróbką Louis Vuitton.

Sarunia skoczyła na swojego pana z takim impetem, że gwałtownie się cofnęła. Anka stwierdziła, że chętnie rzuciłaby się w ramiona Michała, podobnie jak uszczęśliwiona suka, wydając z siebie radosne popiskiwanie.

– Cześć – rzucił lakonicznie.

Anka poczuła się zawiedziona. Miała nadzieję na bardziej entuzjastyczne powitanie.

Spokojnie. Wszytko w swoim czasie.

– Co robiłaś przez te dwa dni?

– Trochę czytałam – odpowiedziała od niechcenia.

Michał spojrział na nią z wyraźną aprobatą. Niedbale rzucił w kąt wypchany wór i skierował się do kuchni, z której dobiegało kwilenie podekscytowanych niedźwiedziątek. Anka ruszyła za nim.

– Nie uważasz, że od wczoraj urosły? – W jego głosie słychać było nadzieję, że usłyszy zdecydowany sprzeciw.

Anka poczuła, że nie ma siły go oszukiwać.

Amicus Plato, sed magna amica veritas.

– Chyba trochę – potwierdziła zgodnie. W obecnym stanie ducha nie zaprzeczyłaby, nawet gdyby Michał uznał dzieci Saruni za stado dorastających hipopotamów.

– Obiecałaś wymyślić, co z nimi zrobimy. – Mężczyzna jej marzeń spojrział na nią wyczekująco.

My? Jakież to miłe.

Anka wpadła w popłoch. Uświadomiła sobie, że zajęta przetrząsaniem zagraconej kawalerki zapomniała zastanowić się, gdzie bezpiecznie przesiedlić potomstwo Saruni. Zaczęła zbierać myśli, bez reszty pochłonięte planowaniem nowego życia.

Michał przyglądał jej się intensywnie. Doszła do wniosku, że nie może stracić okazji, by błysnąć intelektem przed mężczyzną, z którym miała zamiar spędzić resztę życia.

Nagle doznała olśnienia.

– Kojarzy sz bazar na Olimpij?

– Żartujesz? – Michał spojrział na nią z politowaniem. – Kupiłem tam masę książek.

Anka uśmiechnęła się błogo, po raz kolejny utwierdzona w przekonaniu, że spotkała swoje przeznaczenie.

Targowisko na stadionie Olimpij stanowiło jedno z najbardziej malowniczych miejsc stolicy,

pod pewnymi względami bijąc na głowę bazar na Kole. Co niedziela zbierali się tam warszawscy pijaczkowie i handlowali wszystkim, co wpadło im w ręce – od popsutych komórek, klawiatur bez połowy klawiszy i testerów z lat siedemdziesiątych po tandetne ozdoby, książki na każdy możliwy temat i przybrudzone ciuchy. Wśród stert śmieci można było jednak wygrzebać cuda – markowe ubrania, starą biżuterię i najprawdopodobniej białe kruki. Transakcjom towarzyszył dreszczyk emocji: jeśli właściciel upatrzonogo towaru pilnie zbierał fundusze na butelkę wina prostego, aby uprzedzić zbliżający się atak padaczki alkoholowej, upatrzone rzeczy można było nabyć za symboliczne grosze.

– I co, będziemy sprzedawać dzieci Saruni do spółki z alkoholikami? – Spojrzał na nią z powątpiewaniem. – Jak dorosną, będą się rzucać na każdego człowieka śmierdzącego przetrwionym alkoholem.

– Nie martw się, ludzie handlujący zwierzętami mają swoją miejscówkę przed bramą – uspokoiła go Anka. – Tam nie ma pijaczków, tylko dzieci, które chcą mieć pieska, kotka albo świnkę morską.

– A jak dostaną się w nieodpowiednie ręce? – Michałowi najwyraźniej bardzo leżał na sercu los niedźwiadków. Anka spojrzała na niego z jeszcze większym niż dotąd zachwytem. Silny facet z miękkim sercem był jej ideałem mężczyzny.

– Nie sądzę – odparła pospiesznie. – Jeśli ktoś zdecyduje się na psa o takich gabarytach, musi mieć naprawdę silną motywację.

– Może masz rację... – stwierdził Michał z ociąganiem. – Zresztą jak tak dalej pójdzie, to może sprzedam i Sarunię.

Anka spojrzała na niego z przerażeniem. Jako że bez udziału Saruni nie poznałaby chodzącego wcielenia swoich marzeń, była gotowa karmić sukę wyszukanyimi smakołykami, na każde zawołanie zabierać na spacer, a jeśli zaszłaby taka potrzeba – do końca życia nosić ją na rękach.

– Błagam, powiedz, że żartujesz... – jęknęła.

– Trochę. Ale może to lepsze rozwiązanie niż na dwa miesiące oddać ją w łapy pani Zimorodek

Anka błyskawicznie zwęszyła okazję.

– Wyjeżdżasz? – zapytała od niechcienia.

– W czerwcu zaczynam kopać w Granadzie – odpowiedział Michał radośnie.

– Co dokładnie będziesz tam robić? – Uznała, że bezpieczniej będzie zaprezentować szczerze zainteresowanie jego planami. Zawsze uważała, że wspólne zainteresowania są podstawą stabilnego związku.

– Będziemy kopać w Medina Elvira.

– Jakie to stanowisko? – Anka postanowiła zabyć świeżo nabytą znajomością słownictwa fachowego.

– Wczesnośredniowieczne osadnictwo islamskie. Ósmy i dziewiąty wiek

Ponieważ w bogatym księgozbiornie nie natrafiła na pozycję o islamskich osadnikach, uznała, że bezpieczniej będzie zwęsklować rozmowę na sprawy natury bardziej ogólnej.

– Czy to daleko od Alhambry? – zapytała.

– Bardzo niedaleko. Interesujesz się architekturą arabską? – W głosie Michała zabrzmiała aprobata.

– Właściwie wolę mudéjar – rzuciła Anka lekko. W duchu dziękowała opatrności, że

przejrzała pobieżnie album, który znalazła na zawalonym książkami stole, szukając dowodów na istnienie rywalki.

Michał wyglądał na wysoce usatysfakcjonowanego.

– Kobiety rzadko znajdują się na architekturze.

– Trochę różnię się od większości kobiet – oświadczyła Anka z godnością. W duchu liczyła, że taka deklaracja go zaintryguje.

– A więc będę miał kłopot z Sarunią... – Zamiast zachwycać się nowo pozyskaną wielbicielek, wrócił myślami do swojej pupilki.

Anka, która czekała na właściwy moment do ataku, w mgnieniu oka osiągnęła stan pełnej gotowości bojowej.

– Mogę ci pomóc – zadeklarowała.

– Zaopiekowałabyś się Sarunią? – zapytał z nadzieją w głosie chodzący ideał.

– Oczywiście musiałabym się tu wprowadzić... – Anka postanowiła kuć żelazo póki gorące i wziąć swój los we własne ręce.

– Właściwie to są hotele dla psów. – Entuzjizm Michała gwałtownie opadł.

Jego mina sugerowała, że wyobraził sobie Ankę zapuszczającą korzenie w jego mieszkaniu. Nic nie wskazywało na to, że ta perspektywa wydała mu się szczególnie atrakcyjna.

– To dla mnie drobiazg. – Anka postanowiła udawać głupią. – Będę tylko musiała zabrać trochę swoich rzeczy.

– Jakich rzeczy? – Michał wyglądał na przestraszonego.

– Na przykład ubrań.

– Ubrań... – Ance wydawało się, że jest nią głęboko rozzarowany. Być może kobieta zbyt szybko przejmująca się wyglądem zewnętrznym nie jest jego wyśnionym ideałem.

– Nie mogę przez dwa miesiące chodzić w jednych dżinsach – zaśmiała się nerwowo.

– Lubię kobiety w dżinsach – rzucił z rozargnieniem Michał. Anka nie wiedziała, czy jest to zawołany komplement pod jej adresem, czy raczej uwaga natury ogólnej.

– No i co, zgadzasz się? – Postarała się, żeby jej propozycja zabrzmiała jak oferta biznesowa. Z drżeniem serca oczekiwała, czy jej dyplomacja zostanie należyście doceniona.

Wyglądało na to, że Michał nadal się ociąga.

Spojrzał z namysłem na Sarunię i westchnął ciężko.

– W porządku – powiedział po chwili milczenia, która Ance wydawała się wiecznością.

Nagle świat wydał jej się piękny.

Veni, vidi, vici!

3.

Michał zadzwonił skoro świt. Choć Anka musiała zwlec się z niewygodnej kanapy, aby odebrać telefon, w duchu podziękowała niebiosom, że zostawiła mu swój numer telefonu.

– To co, idziemy? – Jego głos brzmiał wyjątkowo rześko.

– Gdzie? – zapytała mało przytomnie. Robiła wszystko, aby odzyskać pełną świadomość, ale pobudka do wpół do siódmej rano była stanowczo ponad jej wątłe siły.

– No przecież dziś niedziela. – Michał sprawiał wrażenie zniecierpliwionego. – Olimpia, pamiętasz?

– Tak, oczywiście – odpowiedziała szybko Anka. Miała nadzieję, że rozmówca nie uzna jej za ociężałą umysłowo. Ponieważ wyglądało na to, że Michał najbardziej ze wszystkiego ceni w kobietach intelekt, musiała mieć się na baczności.

Eureka!

– Pieski! – wykrzyknęła, nagle całkowicie rozbudzona.

– Ano właśnie, pieski. – Michał najwyraźniej był skłonny wybaczyć jej chwilowe zaćmienie umysłu. – Możemy wystartować o ósmej?

– Czym pojedziemy? – Ankę ogarnęło złe przecucie. Wyobraziła sobie Michała za kierownicą wehikułu godnego doktora Kluska, który nieustannie trząsł się o stan niepokalanej karoserii i zapraszał na krótkie przejażdżki jedynie uprzywilejowanych szczęśliwców.

– Autobusem. – Niemal usłyszała, jak kamień spada jej z serca. – Miałem coś, co od biedy można było nazwać samochodem, ale miesiąc temu rozkraczył się na środku Marszałkowskiej i skonał na moich oczach.

Serce Anki zabiło radośnie.

– To co, spotykamy się za godzinę na przystanku, z którego odjeżdża sto dziewięćdziesiąt? – zaproponował Michał.

– Oczywiście! – radośnie zgodziła się Anka. – W co zapakujesz niedźwiadki?

– Znalazłem pod śmietnikiem wyjątkowo solidne pudło. Wleżą do niego wszystkie trzy.

Anka zachichotała, bo wyobraźnia podsunęła jej obraz Adasia, który w jak zwykle

nienagannym stroju penetruje osiedlowe śmietniki w poszukiwaniu skarbów z drugiej ręki.

Wizja była tak sugestywna, że z trudem się z niej otrząsnęła. Dopiero teraz z pełną wyrzistością zdała sobie sprawę, że czasy garniturków wypychających wąskie ramionka, spodni w kant i nienagannie wypastowanych bucików w rozmiarze czterdziestym ma raz na zawsze za sobą.

– Tylko się pospiesz! – zarządził Michał i przerwał połączenie. Anka doszła do wniosku, że oprócz intelektu ceni w kobietach punktualność.

Postanowiła stanąć na wysokości zadania.

Na przystanku od razu rzuciło jej się w oczy pokąźne zbiegowisko. Przepchnęła się przez podełscytowany tłumek i stanęła oko w oko z Michałem. Mężczyzna jej życia dzierzył wyścielone kocem pudło po bananach Chiquita, z którego wydobywało się wesołe poszczekiwanie. Otaczający Michała ludzie starali się wepchnąć ręce do pudła i pogłaskać szczeniaki. Kobiety mruzczały coś przy tym o sierotach, którym odebrano matkę, a dzieci ćwierkały pieszczotliwie, próbując brać piaski na ręce. Rozsądek zachowywali jedynie mężczyźni, którzy jak przystało na przedstawicieli silnej płci i głowy rodzin, udawali stoicki spokój, ograniczając się do rzucania ukradkowych spojrzeń na popiskującą zawartość kartonu.

– Tatusiu, ja chcę piaska! – zawodziła jakaś pięciolatka, którą ojciec próbował wyciągnąć ze zwartego tłumku.

– Mieliśmy kupić kotka. Pamiętasz? – kuśił.

– Nie chcę kotka! – Dziewczyńka twardo obstawała przy swoim. – Nienawidzę kotków!

– Toż wczoraj jeszcze lubiałaś – w głosie mężczyzny sły chać było zmęczenie.

– Chcę piaska!

Sterroryzowany ojciec spojrział z namysłem na Michała.

– Te piaski to na sprzedaż? – zapytał zrezygnowanym tonem. Wyglądało na to, że zrobi wszystko, żeby jego upiorne dziecko przestało się drzeć.

– Na sprzedaż, ale nie dla pana – oświadczył Michał twardo.

Mężczyzna spojrział na niego w osłupieniu.

– Co pan gadasz? Jak to nie dla mnie? – Dumnie wypiął rachityczną pierś, najwyraźniej szykując się do próby sił.

Anka uznała, że najwyższy czas włączyć się do akcji.

– Pana córeczka jest chyba jeszcze trochę za mała, żeby opiekować się psem – powiedziała ugodowo.

Głos domagającego się szczeniaka dziecka wzniósł się o oktawę. Zawodziło teraz jak strażacka syrena i Anka odruchowo zasłoniła uszy. Mina Michała sugerowała, że zrobiłby to samo, gdyby tylko miał wolne ręce.

– Za mała? Co znaczy za mała?! – rozsierdził się ojciec upiornej pięciolatki. – Ja tam

od urodzenia miałem psa!

– Pewnie na łańcuchu? – zaryzykowała Anka.

– A tak właśnie. – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, prezentując liczne braki w uzębieniu. Najwidoczniej był gotowy do rozmowy o kynologii. – Burek mu było.

– To nie są psy łańcuchowe – powiedziała Anka łagodnie. Była zdecydowana za wszelką cenę uniknąć awantury.

– Przyucz się jeden z drugim. Żyć parę razy nie dostanie, to zmięknie. Mam gospodarstwo w Głuskowie, ten się nada – oświadczył, próbując wyciągnąć z pudła najokazalszego szczeniaka.

Michał cofnął się gwałtownie.

– Niech pan zabiera tego dzieciaka i wraca do swojego Głuskowa – warknął.

– Głupiś pan jak but – stwierdził szczerbaty mężczyzna, spluwając na chodnik – Oliwia, idziemy. – Mocno chwycił zapierającą się córkę za rękę. – Patrz, mamy autobus, pojedziemy do Auchan i kupimy ci coś ładnego.

– Barbie Kopciszka – zażądał mały potworek i dał się wciągnąć do autobusu. Przycisnął twarz do szyby i posłał Ance głupkowato-bezczelny grymas.

Anka odetchnęła z ulgą. Niebezpieczeństwo zażegnane.

Tłumek otaczający ją i Michała zaczął się powoli rozpraszać. Po chwili na placu boju została tylko starsza pani w nicianych mitenkach.

– Miałam kiedyś takiego pieska – powiedziała z rozrzewnieniem.

– To może weźmie pani jednego? – spytała Anka z nadzieją. Starsza pani nie wyglądała na osobę skłoną przykuć szczeniaka łańcuchem do budy.

Staruszka uśmiechnęła się łagodnie.

– Trochę za duże. Nie mają państwo czasem jamniczka?

Michał z namysłem przyjrzał się Ance. Przez jedną starszą panią Zaworkiem.

– Popatrz, jedzie sto dziewięćdziesiąt! – zawołała, szczęśliwa, że odwróci jego uwagę od nobliwej staruszki. – Wsiadamy!

– Za ile pieski? – zainteresował się siny na twarzy pijaczek. Na rozłożonym pod jego nogami kawałku folii pyszniły się wystawione na sprzedaż przedmioty. Atrakcyjna oferta obejmowała rozdeptane buty, kolorowe butelki po nalewkach i częściowo rozmontowane radio. Resztę przedmiotów trudno było zidentyfikować. Sąsiedzi oferowali duży wybór breloczków, przedpotopowych telefonów komórkowych, kryminałów z epoki komunizmu i podrzewiały ch śrubokrętów.

– Jeszcze nie wiemy – oświadczyła szybko Anka. Wizja bezbronnego niedźwiadka prowadzonego na sznurku do pijackiej meliny nie przypadła jej do gustu.

Pech chciał, że pod bramą Olimpii zamiast sprzedawców milusich zwierzątek uplasowało się kilkoro bynajmniej nie milusich pijaczków, którzy w niczym nie przypominali rozkosznych szczeniactków, puchatych kotków i pogodnych świnek morskich.

– A pan czemu nie za bramą? – spytała Anka najbliższego handlarza w nadziei, że przepłoszy przy najmniej jednego niepożądanego gościa.

– Poprzykałem się z takim jednym. O kobitę – wyjaśnił, wskazując z dumą świeże limo pod okiem.

Anka wołała nie pytać, kto wygrał i jaką nagrodę otrzymał zwycięzca od pożądanej tak gorąco damy.

– Pani pokaże jednego – zażądał amator kobiecych wdzięków, sięgając do pudła ze szczeniakami. Michał zdecydowanym gestem odepchnął jego dłoń ozdobioną płamami wątrobowymi i krogulczymi pazurami, których właściciel nie obcinał pewnie od miesięcy.

– Panie, co pan... Na handel czy nie na handel? – włączyła się kobieta o twarzy koloru świeżej wątróbki.

– Jeszcze nie wiem. – Michał próbował dać odpór amatorom win prostych.

– Interes musi się kręcić – stwierdziła autorytatywnie wątróbkopodobna stwora. W jej oddechu dominowała nuta spożytych na śniadanie procentów, a na rozłożonej u grubych nóg płachcie królowały niedokładnie doprane części męskiej garderoby. Anka przyjrzała im się z zainteresowaniem.

– To po mężu – poinformowała właścicielka wystawy. – Już rok będzie, jak się zapił. Na śmierć. – W jej głosie pojawił się odcień dumy.

– Przykro mi – stwierdziła odruchowo Anka.

– Co pani, pił, to i umarł.

– Też racja. – Anka włączyła się w nurt obowiązującego wśród pijaczków łagodnego stoicyzmu.

– A dobry był człowiek... – rozczuliła się handlarka. – Ze świecą szukać...

Anka postanowiła ulżyć kobiecie, odwracając jej uwagę od spraw ostatecznych.

– Po ile pani sprzedaje?

– Po trzy. Jak raz starczy na piwo.

– Faktycznie.

– A za psiki to niech pani bierze po sto. Ładne są, to pójdą.

– Mogę za darmo. Był w dobre ręce – zastrzegła Anka.

– Głupia pani? Zarobić trzeba.

– Niekoniecznie.

– To daj pani, ja wezmę. – Pijaczka spojrzała na Ankę z mieszaną pogardą i poządlivości. Oczyma duszy widziała już zapewne złoty interes, który zrobi na dorodnych szczeniętach.

Michał obronnym gestem przysunął pudło bliżej.

– A pan to co? Mąż? – kontynuowała kobieta. – Pan jej każe porządnie handlować.

Anka spojrzała na swoje poprzecierane dzinsy. Wyglądało na to, że została przyjeta do grona miejscowych lumpów.

– I tę kurtkę sprzedać – doradziła życzliwie kobieta, chwytając Ankę za rękaw. – Za stówę pójdzie.

Anka wzdrygnęła się nerwowo.

– Pierwszy raz tu handluje, to nie wie.

Zainteresowany pieskiem pijaczek zaczął nerwowo zwijać swoją płachtę.

– Patrz pani. Idą.

– Zbieraj pan bety – poradziła Michałowi pijaczka.

Anka podniosła głowę. Od strony Hali Mirowskiej nadciągało dwóch strażników miejskich.

Wśród pijacków zapanowało poruszenie. Niepisane prawo zabraniało im handlować „na dziko” poza obrębem stadionu. Z porozkładanych na chodniku płacht błyskawicznie znikły buty, zdezelowane komórki i książki. Również ich właściciele w cudowny sposób ulegali dematerializacji.

– Uciekamy – zarządziła Anka.

Michał chwycił pudło ze szczeniakami, odwrócił się gwałtownie i wpadł na ostatniego ze znikających jak za dotknięciem magicznej różdżki pijacków.

Pudło wypadło mu z rąk

Dzieci Saruni rozbiegły się po chodniku.

– Zakaz handlu – oświadczył lakonicznie jeden ze strażników. – Mandat.

– To pomyłka – pospieszyła z pomocą Anka. – Po prostu pieski wyszły na spacer.

– Na spacer? – powtórzył strażnik z przebiegłym uśmiechem. – A gdzie smycze i torebki na odchody?

– Nie potrzebujemy smyczy, pieski są wyjątkowo posłuszne. – Anka postanowiła pominąć niewralgiczny temat psich woreczków.

Szczeniaki jak na zawołanie porzuciły nierówny chodnik i podążyły w stronę pobliskiego skwerku. Michał rzucił się za nimi w nadziei, że zagoni hasające w najlepsze stadko i zaprezentuje strażnikowi jego karność. Na nieszczęście szczeniaki wypatrzyły właśnie okazałego collie i pognały przywitać się z kolegą.

– Posłuszne, mówi pani? – skrzywił się pogardliwie stróż prawa. – Dokumenty poproszę.

– Moje czy jego? – Anka wskazała na Michała, zajętego zaganianiem w jedno miejsce psiej sfory.

– Zależy czy je są te psy.

– Wspólne.

– To będą dwa mandaty.

– A może jeden na pół? – Anka uznała, że nie zawadzi spróbować negocjacji.

– Zdzisieć, chodź no tutaj. – Strażnik skinął na kolegę, który bacznie obserwował Michała próbującego bezskutecznie zapanować nad potomstwem Saruni.

– Handlowali przed bramą. Spisz go.

– Moment. Co to za pieski? – zapytał drugi strażnik. Jego głos brzmiał zdecydowanie mniej groźnie, niż spodziewała się Anka. Poczuli, jak wstępuje w nią nadzieja.

– Mówię ci, że na handel. – Sroższy spośród stróżów prawa posłał towarzysowi złe spojrzenie.

– Państwo nie potrzebują tych piesków? – zapytał ten drugi, ignorując marsową minę kolegi.

– To ja je wezmę.

Anka zdębiała.

– Ma pan prywatne zoo?

– Nie, ale moja siostra mieszka na wsi.

– I co, potrzebuje psów pasterskich? Nie wiem, czy te mają odpowiednie kwalifikacje.

– Żeby pani wiedziała, co się dzieje – rozgadał się mężczyzna, nie zważając na mordercze spojrzenia partnera. – Pół Warszawy jeździ po okolicznych wsiach, szukając autentycznych szczeniąt urodzonych w budzie.

– I co z nimi robią, jak już znajdą? – spytała Anka podejrzliwie.

– Biorą. Znaczą się, adoptują. Taka teraz moda. – Wyglądało na to, że nie zamierza polemizować z najnowszymi trendami obowiązującymi w stolicy.

– Chciał pan powiedzieć, że kupują? – uściśliła Anka.

– Właśnie – ucieszył się strażnik, najwyraźniej zdecydowany poprawić sytuację finansową siostry. – Ja biorę, a państwo nie płacą mandatu.

– Co ty na to? – Anka spojrzała na Michała, który podszedł do niej, trzymając pod pachami dwa szczeniaki. Trzeci płątał mu się pod nogami, zaniepokojony losem rodzeństwa.

– A jak trafią się sadyści? Albo zaopatrzeniowcy wietnamskich restauracji? – W głosie Michała zabrzmiała autentyczna troska. Anka spojrzała na niego z uwielbieniem.

– Co pan! – zawołał strażnik, podniecony wizją łatwego zarobku. – Jak jeden z drugim płacą po trzy stowy za pieska, to nie po to, żeby go potem zjeść.

– Brzmi sensownie – ucieszyła się Anka i zerknęła na Michała. – To co robimy?

– A więc dobrze, niech je pan zabiera.

– Do samochodu ich nie weźmiesz – szczerkął drugi ze strażników. – Jesteśmy na służbie! – stwierdził z namaszczeniem, poprawiając opinający się na wydatnym kałdunie mundur.

Jego kolega ostentacyjnie spojrzał na zegarek

– Właśnie skończyliśmy – oznajmił z zadowoloną miną. – Mieciu, nie bądź luźnia.

Miecio zmełł w ustach przekleństwo.

– Dawaj pan te dwa – rozkazał Michałowi. – Zdzisiej, bierz trzeciego – zarządził, aby podkreślić, że w pełni panuje nad sytuacją.

Dwaj strażnicy ruszyli w stronę zaparkowanego nieopodal służbowego samochodu, dźwigając trzy kule futra.

– No to z głowy – stwierdziła Anka, usilnie starając się, żeby jej głos zabrzmiał rażno. Rozstanie z potomstwem Saruni okazało się trudniejsze, niż przy puszczała.

Mina Michała sugerowała, że przeżywa to jeszcze boleśniej.

– W domu będzie bez nich pusto – westchnął.

– To się nazywa syndrom opuszczonego gniazda. Patrz, jedzie nasz autobus – rzuciła, ruszając w stronę przystanu.

Michał westchnął ciężko i posłusznie podążył za nią.

4.

Co myślisz o małżeństwie? – zapytała Anka niezobowiązująco. Od dwóch miesięcy miała zamiar poinformować Michała o swoim stanie cywilnym. Jego mina sugerowała jednoznacznie, że nie obrała właściwej drogi.

- A dlaczego pytasz? – Spojrzał na nią podejrzliwie.
- Odpowiadasz pytaniem na pytanie – powiedziała słodko.
- Nieważne. Mów lepiej, o co ci chodziło.

Anka westchnęła w duchu. Szukała wszelkich pretekstów, żeby spędzać jak najwięcej czasu w jego towarzystwie. Wolne chwile poświęcała na pospieszoną edukację w zakresie archeologii i historii sztuki, co pozwalało jej prowadzić w miarę swobodne konwersacje na mniej lub bardziej naukowe tematy. Wysiłek intelektualny opłacił się po stokroć. Gdy zawzięcie dyskutowali o przydatności macierzy Harrisa, widziała na twarzy Michała szczerze zainteresowanie. Miała przy tym nadzieję, że osoba interlokutorki fascynuje go w równym stopniu co poruszane przez nią tematy. Ze wstydem wspominała, z jakim niesmakiem odnosiła się do gorączkowych działań Magdy, zdecydowanej osiąść swojego dentystę za sprawą wiadomości o spiłowanych kłach rdzennych mieszkańców Ameryki prekolumbijskiej. W porównaniu z jej własnym pędem do wiedzy skromne poczynania przyjaciółki jawiły się jako niegroźne hobby.

– Więc co miałaś na myśli? – Głos Michała wyrwał ją z rozmyślań o przyspieszonym rozwoju intelektualnym.

Anka uznała, że nie ma sensu odkładać trudnej rozmowy *ad mortem defecatum*.

– Bo widzisz... – zaczęła, przytoczona świadomością, że właśnie decyduje się jej los.

– Chcesz wyjść za mąż? – Michał najwyraźniej usiłował ułatwić jej sytuację. – Jeśli myślisz o mnie...

– Nic nie rozumiesz. – Anka doszła do wniosku, że nie jest jeszcze gotowa poznać jego opinii w kwestii stałych związków. – Ja już mam męża.

– I szukasz drugiego? – zapytał Michał niezobowiązująco. – Biorąc pod uwagę, że tylu kobietom nie udaje się zdobyć nawet jednego, można by to uznać za zbytnią zachłanność, nie

sądziysz?

Poczuła, jak ogarnia ją czarna rozpacz. Zamiast urządzić gwałtowną scenę zazdrości, jej nowy wybranek płynnie przeszedł do abstrakcyjnych zagadnień statystycznych.

– Rozwodzę się – oświadczyła, chcąc skierować rozmowę na tematy bardziej osobiste.

– Można wiedzieć dlaczego?

– Związałam się z wariatem. Kiedyś ci o nim mówiłam. To ten, co chciał mnie zamordować.

– Jak? – Michał w dalszym ciągu zachowywał niezłamany spokój. Jeżeli liczyła na słowa współczucia, srodze się rozczarowała. Przemawiała przez niego ciekawość badacza, a nie zazdrość kochanka, który dowiaduje się, że ma rywala.

– Nożycami. Do drobiu – ciągnęła mężnie Anka, gotowa za wszelką cenę zainteresować go własną ciężką dolą.

– To ciekawe. Nie słyszałem jeszcze o takim narzędziu zbrodni – ożywił się Michał. – I co było dalej?

– Uciekałam w ostatniej chwili. Zaatakował Magdę i dokonał amputacji.

Michał, który znał już Magdę i wiedział, że nie brakuje jej żadnej kończyny, spojrzął na Ankę z nowym zainteresowaniem.

– A co jej amputował?

– Pasek od płaszczu.

Michał przyjrzał jej się z głębokim namysłem.

– To był Max Mara – kontynuowała dzielnie.

Mina Michała sugerowała, że nic mu to nie mówi. Anka po raz kolejny pobłogosławiła w duchu los, który pozwolił jej spotkać faceta nierozróżniającego metek. Ze wstrętem pomyślała o Adasiu, który z pasją godną lepszej sprawy kolekcjonował koszule i krawaty od Yves Saint Laurenta.

– Markowy ciuch – podjęła, stwierdzając w popłochu, że zainteresowanie jej rozmówcy gwałtownie maleje. Sam wygląd Michała dostatecznie zresztą sugerował, że kwestie odzieżowe nie są dla niego sprawą życia i śmierci. Znowu miał na sobie lekko wygniecione bojówki i T-shirt wyrażający poparcie dla kubańskiej rewolucji. Anka, wielbicielka generała Franco, zastanowiła się przelotnie nad dzielącymi ich różnicami światopoglądowymi, uznała jednak, że być może za bardzo wybiega myślami w przyszłość. Na roztrząsanie tego rodzaju problemów przyjdzie jeszcze czas.

– To kiedy ten rozwód? – zapytał wreszcie Michał. Serce Anki zabiło mocniej. Konwersacja została w końcu zwelklowana na właściwe tory.

– Jak tylko on się trochę uspokoi – odpowiedziała, zdecydowana konsekwentnie przedstawiać obecnego małżonka jako kompletnego wariata. – Trochę się go boję – wyznała w nadziei, że Michał wyrazi chęć służenia jej pomocą.

Niestety najwyraźniej nie kwapił się do nadstawiania za nią karku.

– Wystąpiłaś o zakaz zbliżania się?

Postanowiła odmalować swoją aktualną sytuację w jeszcze ciemniejszych barwach.

– Uwierz mi, to na nic – westchnęła melodramatycznie.

– A jak znowu cię zaatakuje? – Michał być może chciał się upewnić, że będzie wtedy w bezpiecznej odległości.

– Jesteś od niego wyższy. – Anka usiłowała odwołać się do jego samczej dumy. Nadaremnie.

Michał, w przeciwieństwie do zakompleksionego Adasia emanujący spokojną pewnością siebie, nie czuł potrzeby udowadniania swojej męskości w starciu ze słabszym przeciwnikiem. Po raz kolejny pomyślała z pogardą o doktorze Klusku, w wypadku którego jedyną wróżącą zwycięstwo walką wręcz byłoby starcie ze szczególnie nieruchawym przedszkolakiem. Ze świeżą energią przy stepsiła do realizacji i upojnych planów.

– Ale obiecywałeś ci, że rozwiódę się w ciągu pół roku – oświadczyła z mocą.

Wbrew jej nadziei Michał nie wyglądał na szczególnie uradowanego. Być może nie uświadomił sobie jeszcze, że ta kwestia dotyczy bezpośrednio również jego przyszłości.

Spokojnie.

Wszystko w swoim czasie.

– On jest kompletnie niesamowity! – po raz setny oświadczyła Anka.

Magda spojrzała na nią z politowaniem. Ostatnio przyjaciółka zjawiała się w jej mieszkaniu głównie po to, żeby się przespać, coś zjeść i nabrać nowych sił, niezbędnych w żmudnym procesie powolnego, ale konsekwentnego omotywania nowego mężczyzny jej życia.

– I jest absolutnym przeciwieństwem Adasia.

– I myślisz, że to wystarczy, aby uznać faceta za ideał? – Magda usiłowała ostudzić nieco jej zapał.

– Wyobrażasz sobie Adasia w koszulce z napisem Mr Jihad i gustownym rysunkiem bomby? – zapytała radośnie.

– On ma bombę, za to ty masz kłapki na oczach.

– I nosi bojówki – oświadczyła z takim triumfem, jakby uznała dyskusję za zakończoną.

– Ty też masz kilka par, a jeszcze nie poprosiłam cię o rękę. A ostatecznie jesteśmy parą lesbijek – przypomniała jej Magda. – Powiedziałaś już o tym swojemu nowemu kandydatowi na męża?

Obserwowała z przerażeniem, jak na twarz Anki co chwilę wypływa szeroki, nieco głupkowaty uśmiech, charakterystyczny dla osób bardzo zakochanych.

– Mr Jihad? A może on jest jakimś ekstremistą? Wyśadzi w powietrze ciebie, mnie i biednego Zaworka.

– Nie martw się – odparła Anka. – Koszulka to tylko koszulka.

Magda chyba nie podzielała jej optymizmu.

– W każdym razie musi być niepoważny.

– Mam się tym martwić? Chyba żartujesz? – fuknęła Anka. – Ostatni rok spędziłam z nad wyraz poważnym facetem, zajęтым głównie celebrowaniem własnej osoby.

– Fakt. Możesz mieć lekki uraz.

– Lekki? Chyba żartujesz? Gdy widzę faceta w garniturze, mam ochotę go opluć.

– Więc wolisz zamachowca w bojówkach. – Magda ze smutkiem pokiwiała głową.

– I bez oporów zapoznał się z pijaczkami spod Olimpii – zachwycała się Anka. – Adaś nie podszedłby do takich na wyciągnięcie ręki. Stanąłby w bezpiecznej odległości i oblałby wszystkich lizolem. Najchętniej ze szlauchu.

– Fakt. Adaś to snob i gardzi przedstawicielami nizin społecznych. Ale nie możesz przecież rzucać się na szyję każdemu mężczyźnie, który zdradza inklinacje do bratania się z marginesem.

– Michał po prostu jest ponad wszelkie podziały!

– Jasne, może jeszcze zaśpiewasz *Międzynarodówkę* i zaczniesz cytować Marksa – skrzywiła

się Magda. – Nie uważasz, że jesteś trochę za stara na komunizowanie?

– Wstyd mi za ciebie – warknęła Anka. – Zawsze byłaś zwolenniczką niemieszania się przedstawicieli różnych klas społecznych.

– Nieprawda! Kto cię namawiał na związek z Adasiem?

– Jasne, masz zapewne na myśli mariaż przedstawicielki lumpenproletariatu z człowiekiem z elit.

– Nie zmieniaj tematu – poprosiła Magda, krzywiąc się boleśnie. – Skoro taki ideał nie ma stałej partnerki, to musi mieć jakiś ukryty feler. Chyba że liczy na szybki numerek.

– Jesteś złośliwa! On nie jest taki! – Anka wołała nie zdradzać się z głębokim przeświadczeniem, że gdyby tylko Michał miał ochotę na numerka z nią w roli głównej, mógłby odtrąbić sukces już w trakcie ich pierwszego spotkania.

– A może to impotent? – Magda najwyraźniej miała zamiar pastwić się nad nią dalej. – Jednego już zaliczyłeś. Dobrze ci radzę, tym razem wypróbuj porządnie faceta, zanim staniesz z nim na ślubnym kobiercu.

Słowiczy nastrój Anki prysnął w ciągu sekundy.

– Nie sądzę, żeby on miał zamiar się żenić – powiedziała cicho.

Magda uznała, że powinna ją nieco pocieszyć.

– Przecież będziesz u niego mieszkała. Całe dwa miesiące. Zdązysz zapuścić korzenie, a potem zobaczymy.

– Już wiem, co zrobię – ożywiła się Anka. – Pod nieobecność Adasia wyprawię się z Michałkiem na Piękną, żeby zabrać resztę moich rzeczy. Kiedy zobaczy, z jakich luksusów rezygnuję, będzie musiał myśleć o mnie z podziwem.

– A nie boisz się, że wpadniecie na Kluska? Nie wiem jakty, ale ja wietrzę kłopoty.

– Ależ to by było piękne... Będzie musiał przynieść sobie stołek, żeby spojrzeć Michałkowi w oczy.

– Za to pięści ma na poziomie jego genitaliów, więc nie jest tak całkiem bezbronny – ostrzegła ją Magda.

Na myśl o wściekłej gębie Adasia, którego furia upodabiała do wrednej laleczki Chucky, Ankę ogarnęła absolutna błogość.

– Radzę ci uważać, furia ci potrafią być niebezpieczni – ciągnęła Magda.

– Przy wykład. To klasyczny dowód prawdziwości powiedzonka o chmurze i deszczu.

– A może on ma broń palną?

– Jasne, swego czasu zastanawiał się nad kupnem pistoletu skałkowego. – W głosie Anki zabrzmiała czysta pogarda. – To było wtedy, kiedy nastała moda na stare militaria. Miał zamiar powiesić go sobie w gabinecie.

– Żałuję, że nie widziałam tego gabinetu – westchnęła Magda tęsknie. – A teraz już trochę na to za późno, nie uważasz?

Anka zachichotała nerwowo na myśl o przyjaciółce taranującej dębopodobne wrota apartamentu na Piękną w celu wdarcia się do Adasiowego sanktuarium.

Doktor Klusek uznał, że w pomieszczeniu, które przeznaczył do swej wyłącznej dyspozycji, powinien panować nastrój angielskiego klubu dla dżentelmenów. Ściany pokrywała tkanina w odcieniu zgaszonej zieleni, a meble bez powodzenia udawały sprzęty Chippendale'a i Hepplewhite'a. Na żalostnej podróbce żaluzjowego biurka pysznił się komplet

pseudoantycznych przyborów piśmienniczych. Żadna z ksiąg pokaznego księgozbioru, zajmującego dwa imponującej wielkości regały, nawet o centymetr nie zmieniła swojego położenia od chwili, kiedy się tam znalazła. Adaś gardził molami książkowymi, uważając jednocześnie gustownie wypielione biblioteczki za istotny element wystroju męskiego gabinetu. W pewnym momencie jego właściciel postanowił, że na ścianie naprzeciwko biurka zawiśnie w szklanej gablotce antyczny pistolet skałkowy. Stracił zainteresowanie dla tego projektu, dopiero kiedy zorientował się, że do dobrego tonu należy posiadanie nie tylko starej broni, ale i równie starożytnych przodków, którzy mogliby się nią posługiwać. Jako że jego drzewo genealogiczne zdradzało wybitnie plebejskie pochodzenie, nie odważyłby się konfabulować na temat praprapradziadka poległego podczas insurekcji kościuszkowskiej z inkryminowanym pistoletem w ręce. Wobec tego uznał go za *res non grata* i podjął starania o ozdobienie swojej samotni czymś mniej kłopotliwym.

Anka porzuciła smutne wspomnienia, postanawiając twardo, że już nigdy nie będzie zaprztać sobie głowy wystrojem pomieszczenia, do którego ona – podobnie jak wszystkie przedstawicielki jej płci – absolutnie nie miała wstępu. Podejrzała, że jedyną kobietą, którą Adaś powitałby tam chętnie, byłby króliczek rodem z Playboya, serwujący na srebrnej tacy trzydziestoletnią whisky.

– Tak, na to stanowczo za późno – stwierdziła. Było więcej niż pewne, że przyjaciółka będzie znała gabinet Adasia tylko z opowieści. – Zapomnij.

Magda wyglądała na autentycznie niepokieszoną.

– Za to na pewno będę miała okazję zobaczyć gabinet twojego Michała – rzuciła kąśliwie. Z relacji Anki dowiedziała się, że kawalerka jej nowego wybranka jest wypełniona tysiącami książek, które stały wszędzie – w jedynym w pokoju, w mikroskopijnym przedpokoju i równie małej kuchni. Stosowny regał znalazł się nawet w łazience. Już przy pierwszej wizycie Anka ku swojej wielkiej uldze przekonała się, że sprofanowane bliskiokozu zostały jedynie dzieła w stylu *Firmy* Grishama, *Igły* Folletta i *Dnia Szakala* Forsytha. Ucieszyła się przy okazji, że Michał stawia na klasykę również w wypadku literatury popularnej. Do klasyki zaliczały się z pewnością powieści okupujące rozchwiany regał w kuchni, gdzie Anka wypatrzyła obydwu Tołstojów, Dostojewskiego i Nabokowa. Natomiast woluminy zgromadzone w pokoju mogłyby jej zdaniem być napisane równie dobrze po chińsku lub w suahili. Jeśli naiwnie uważała, że archeologia jako nauka humanistyczna ma niewiele – albo zgoła nic – wspólnego z dziedzinami tak odrażającymi jak geometria czy statystyka, srodze się zawiodła. Sytuację ratowały jedynie wyjątkowo liczne albumy, którymi mógł z czystym sumieniem zachwycać się każdy profan.

– Jasne, że zobaczysz, ale dopiero jak wyjedzie – zastrzegła szybko Anka. Michał jak dotąd widział Magdę raz – do tego przelotnie. Choć beznadziejnie zakochana, Anka zachowała tyle zdrowego rozsądku, że nie pozwoliła przyjaciółce złożyć mu wizyty domowej. Jakkolwiek nowy wybrankę wydawał się jej raczej obojętny na kobiece wdzięki *en masse*, z doświadczenia wiedziała, że Magda potrafi zrobić piorunujące wrażenie na każdym, począwszy od mężczyzny na stanowiskach menedżerskich aż po robotników i cieciw.

– Strzeżonego Pan Bóg strzeże – dodała sentencjonalnie. – Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Muszę dbać o swoje interesy. I nie waz się do niego zbliżać bez mojego pozwolenia – zagroziła Anka.

Magda zachichotała i pokazała jej język

– Ty się faktycznie zakochałaś. – Przyjrzała się przyjaciółce, jakby była wyjątkowo rzadkim okazem egzotycznej fauny.

– Od godziny próbuję ci to wytłumaczyć – zachnęła się Anka.

– Zaczynam ci wierzyć. A więc niech będzie i tak.

– Amen – zaśpiewała Anka radośnie. – *Vivat amor!*

– Mam do ciebie małą prośbę. – Anka starała się, aby zabrzmiało to możliwie niezobowiązująco.

– O co chodzi? – spytał Michał ostrożnie. – Pewnie chcesz, żebym przed wyjazdem uprzątnął z podłogi część książek?

Żeby tylko.

– Nie. – Czas na frontalny atak Raz kozie śmierć. – Mógłbyś pojechać ze mną do mieszkania na Pięknej? Jeśli mam u ciebie zamieszkać, będę potrzebowała kilku rzeczy.

– Podobno nie mieszkasz tam od kilku miesięcy. – Michał najwyraźniej postanowił zachować ostrożność.

– I nie miałam kogo poprosić, żeby pomógł mi zabrać rzeczy. Najbardziej żal mi książek – dodała przebiegle.

Tak jak przy puszczała, wzmianka o słowie pisany m zdziałała cuda.

– Dużo ich masz? – Michał zdecydowanie się ożywił.

– Masę – odparła skromnie. – Zabiorę tylko najpotrzebniejsze.

W duchu zdecydowała, że w razie konieczności włamie się do gabinetu Adasia i przywłaszczy sobie część zesłanych tam bezpieczeństwa woluminów. Była gotowa zrobić wszystko, żeby ukochany uznał jej księgozbiór za odpowiednio imponujący.

Jej entuzjazm okazał się zaraźliwy. Michał wyciągnął z szafy dwa plecaki. Mniejszy z nich podał Ance.

– Wystarczy? – Wydawał się autentycznie zatroskany. Anka doszła do wniosku, że robi się zazdrosna. Gdyby reagował na nią z takim samym zachwytem jak na płody intelektu ulubionych autorów, czułaby się kobietą absolutnie spełnioną.

– Powinny – stwierdziła skromnie. – Zawsze będziemy mogli obrócić dwa razy.

Spojrzał na nią z szacunkiem i zarzuciwszy plecak na ramię, ruszył do przedpokoju. Widać było, że jego zdaniem szczytna misja ratunkowa nie powinna czekać.

Anka posłusznie podążyła za nim.

W drodze na Piękną usiłowała zabawić Michała błyskotliwą konwersacją, ale szybko stwierdziła, że jej towarzysz nie reaguje odpowiednio entuzjastycznie na jej wyśliki.

Wydawał się zamyślony.

– Jak sądzisz, czy twój mąż będzie w domu? – zapytał, kiedy wysiadali z autobusu.

Anka uśmiechnęła się triumfalnie. Poprzedniego dnia zadzwoniła do szpitala na Ozki

i dowiedziała się, że doktor Klusek będzie miał nazajutrz dwunastogodzinny dyżur.

– Nie martw się – odparła, usiłując nadać swojemu głosowi miękkość aksamitu. – Nikt nie będzie nam przeszkadzać.

Michał przyjrzał się jej z namysłem. Wyglądała na lekko zaniepokojonego jej deklaracją.

– Mógłby robić trudności – wyjaśniła szybko.

– Książki są wspólne? – zapytał bez entuzjazmu.

– Ależ skąd! – zapewniła Anka. – Jedyne, co przeczytał w ciągu ostatniego roku, to instrukcja obsługi nowego smartfona.

– Więc w czym problem?

– To furjat. Mógłby zrobić nam krzywdę.

Z miny Michała wywnioskowała, że wyobraża sobie jej dotychczasowego partnera jako niebezpiecznego dla otoczenia dwumetrowego osiłka. Uznała, że na tym etapie znajomości bezpieczniej będzie nie wystawiać na próbę jego odwagi.

– On jest całkiem nieduży – zapewniła skwapliwie i z ulgą skonstatowała, że Michał wygląda na nieco spokojniejszego.

Kiedy wkroczyli do imponującej kamienicy na Pięknej, Michał rozejrzał się uważnie i gwizdnął przez zęby.

– No, nieźle. Na pewno nie chcesz tutaj mieszkać?

Anka z trudem powstrzymała się od deklaracji, że za idealne dla siebie lokum uważa zawałoną literaturą fachową kawalerkę.

– Pieniądze szczęścia nie dają – oświadczyła z godnością.

Michał mruknął coś pod nosem i skierował się w stronę klatki schodowej.

– Które piętro?

– Piąte.

Drzwi wielkości wrót od stodoły nie zrobiły na Michale większego wrażenia. W milczeniu przyglądał się towarzysze, kiedy wyciągała z kieszeni wielki pęk kluczy.

– A jak wymienił zamki?

– Nie sądzę. Były za drogie. – W tej chwili nie czuła się na siłach tłumaczyć towarzyszowi, jak niechętnie doktor Klusek rozstaje się z pieniędzmi.

Drzwi rzeczywiście ustąpiły. Anka weszła na paluszkach do mieszkania i wzdrygnęła się nerwowo na widok miejsca, w którym spędziła najgorsze chwile w życiu. Mimowolnie zarejestrowała, że pod jej nieobecność Adaś dokonał renowacji zbezczeszczonego parkietu, który odzyskał jednolitą fakturę i lśnił dawnym blaskiem.

– Nie poślizgnij się tylko – ostrzegła Michała, który wsunął się za nią do przedpokoju wielkości jęgo kawalerki.

– Nie masz przypadkiem filcowych łapci? Takich jak w muzeach – zapytał, niezmierny fakt, że znalazł się nagle w tej oazie luksusu.

– To jeszcze nic – zachichotała Anka. – Zapraszam dalej.

W pomieszczeniu, które Adaś uparł się nazywać salonem, jak za dawnych czasów stał skórzany komplet wypoczynkowy. Po nowatorskiej aranżacji, o którą Anka postarała się przed świętami, nie został najmniejszy ślad. Skórzane meble, choć do zdudzenia przypominały wymordowane przez nią stado hipopotamów, bez wątplenia stanowiły świeży nabytek. W kącie jak za dawnych czasów królował gigantyczny kaktus. Na ścianie zamiast łabędziego stadła wisiał

imponujących rozmiarów zegar w awangardowej drewnopodobno-skórzanej oprawie.

Odwróciła się do Michała, który zdawał się chłonąć całym sobą atmosferę Adasiowego sanktuarium.

– I co o tym sądzisz? – zapytała tonem dumnej gospodyni. – Uwierzyć, kiedy stąd ostatnio wychodziłam, wyglądało jeszcze lepiej.

– To raczej niemżliwe.

– A jednak Skórzana padlina, syntetyczny śnieżek po kostki i mocny akcent w postaci czapczki z wora na melony.

Michał spojrział na nią z namysłem. Jeśli miał w tym momencie wątpliwości co do jej zdrowia psychicznego, to uprzemie jej o tym nie poinformował.

– Książki są tam – powiedziała Anka pospiesznie, prowadząc go w stronę najmniejszego pokoju, który Adaś łaskawie pozwolił jej samodzielnie umeblować. Choć efekt jej działań przyprawiał go o białą gorączkę, Anka zdecydowanie odmawiała usunięcia odrapanego antycznego kufra, kompletu krzesel art déco z wytartą tapicerką i pamiętającej lepsze czasy eklektycznej komody, którą samodzielnie odrestaurowała. Adasia doprowadzały do szału zwłaszcza gargantuiczne ilości książek, na tyle zaczytanych, że pozbawione były walorów dekoracyjnych.

– Pakujemy – zarządziła, wskazując trzy pełne regały.

– Powinniśmy byli wynająć ciężarówkę – stwierdził Michał. Anka dojrzała w jego oczach błysk głębokiej aprobaty.

– Zrobimy kilka kursów – postanowiła. – Adaś nie wróci przez dwudziestą.

– Adaś? – powtórzył Michał. Być może wydało mu się zastanawiające, że określa tak pieszczotliwym mianem sadystę, który niedawno usiłował pozbawić ją życia.

– On jest taki malutki, że pasują do niego tylko zdrobnienia – poinformowała go Anka radośnie. – Adaś. Okrzesek. Maleństwo.

– Może jeszcze rośnie? Poza tym gabaryty tych skórzanych gratów sugerują raczej, że musi być słusznej postury.

– Żartujesz? Ile razy chce usiąść na fotelu, musi przystawiać sobie stołek

Michał nie wyglądał na w pełni przekonanego, ale Anka wolała porzucić niewygodny temat.

– Lepiej się pakujemy – zaproponowała.

W tym momencie z przedpokoju dobiegły odgłosy sugerujące, że ktoś usiłuje sforsować drzwi.

– Patrz, cholera, otwarte. – Anka usłyszała lekko zdyszany dyszkancik Adasia. – Ki diabeł?

– Może zapomniałeś zamknąć, koteczku – odpowiedział mu afektowany kobiecy głosik

– Kto to? – zapytał od niechcienia Michał, pochłonięty sortowaniem sterty książek – Zdaje się, że mieliśmy być sami?

– Pewnie mnie okradli! – usłyszeli bolesny okrzyk

– To Adaś – poinformowała zwięźle Anka.

– Taksję właśnie domyślałem – mruknął Michał. – I zdaje się, że ma towarzystwo.

– Sprawdźmy, czy coś nie zginęło – zaproponował kobiecy głos.

– Oszalałaś?! Oni mogą tu jeszcze być! – zakwilił Adaś.

– To ja pójde sama.

Wszystko wskazywało na to, że doktor Klusek skwapliwie przystał na tę propozycję.

– Ja tu poczęłam – zastrzegł na wszelki wypadek

Rozległ się kłopot wysokich obcasów i po chwili do pokoju wsunęła się natapirowana kobieca głowa.

– Ratunku, złodzieje! – pisnęła kobieta.

Anka przyjrzała jej się z namysłem i skonstatowała, że ma do czynienia z legendarną Izunią, która rzeczywiście taszczyła przed sobą monstrualnych rozmiarów biust.

– Patrz, pani przyszła nam pomóc – ucieszył się Michał.

– Ilu ich jest?! – dobiegł z przedpokoju wystraszony głos Adasia, który najwyraźniej postanowił trzymać się w bezpiecznej odległości od potencjalnego zagrożenia.

– Dwoje! – odkrzyknęła Izunia.

– A co robią?!

– Kradną książki!

W głowie Adasia musiało zalegnąć się jakieś podejrzenie, bo zamiast prowadzić dalszą konwersację, osobiście zjawił się na miejscu przestępstwa.

– To ty! – zaryczał na widok Anki.

– Kto to jest, kocie? – chciała wiedzieć Izunia.

– Co ty tu robisz?!

– A co, nie widać? Zabieram swoje rzeczy – oświadczyła Anka. – Jak mi będziesz przeszkadzać, to wyniesiemy stąd wszystko. Łącznie z parkietem.

– Ty idiotko! – wrzasnęła po dawnemu doktor Klusek Anka natychmiast poczuła się jak w domu.

– Kocie, co to za kobieta? – Izunia coraz natarczywiej domagała się odpowiedzi.

– To moja żona! – wypluł z siebie Adaś.

– Mówiłeś, że się rozwodzisz! – W głosie właścicielki gigantycznego biustu pojawiła się histeria.

– Jasne, że się rozwodzę! Spójrz tylko na nią!

– Wygląda okropnie – ucieszyła się Izunia i wyprężyła się dumnie, prezentując w całej okazałości walory swojej sylwetki. Anka stwierdziła mimochodem, że zestawienie rachitycznych nówek z monstrualnie rozbudowanym przodem sprawia osobliwe wrażenie. Spojrzenie, którym Michał obrzucił nowo przybyłą, utwierdziło ją w przekonaniu, że ma do czynienia z arcyciekawą zagadką przyrodniczą.

– A ten to kto? – Adaś wykrzywił się szpetnie, celując krótkim paluchem w Michała.

– Kochanek

– Dziwka – stwierdził odruchowo, po czym zrobił minę świadcząca o zachodzącym w nim intensywnym procesie myślowym. – Kłamiesz – oświadczył w końcu z satysfakcją. – Jesteś zбочzona i pieprzysz się ze swoją przyjaciółką lesbijką.

– Czy ja o czymś nie wiem? – zainteresował się Michał.

– Teraz żyjemy w trójkącie – poinformowała Anka zwięźle i uznała, że bezpieczniej będzie nie kontynuować tematu. – Skoro już tu jestem, wezmę przy okazji trochę ciuchów – zdecydowała i otworzyła szafę.

Adaś błyskawicznie znalazł się przy niej.

– Tego nie ruszaj. To kupiła mamusia. – Zdecydowanym ruchem przesunął w swoją stronę część wieszaków.

Mama Klusek podejmowała co jakiś czas próbę zweryfikowania odzieżowych gustów synowej i raczyła ją prezentem w postaci starannie dobranej sztuki garderoby. Na zawieszonych przez Adasia wieszakach wisiały kwieciste sukienki z bliżej niezidentyfikowanego twórcywa sztucznego, workowate spódnice midi i dwa okrycia wierzchnie łączące w sobie cechy namiotów i pokrowców na wyjątkowo zwaliste meble. Oddzielną półkę zajmowały barchanowe koszule nocne w sam raz dla pensjonariuszki przytułku dla ubogich położnic.

– A może wezmę sobie coś na pamiątkę? – zaproponowała Anka, sięgając po suknię we wściekle czerwone róży czki. Mama Klusek stanowczo preferowała wszelkie odcienie szkarłatu.

– Zostaw! – wysyczał jadownicie doktor Klusek

– Racja – zgodziła się. – Jak znalazł będą dla Izuni.

Z zadowoleniem skonstatowała, że zdeformowana figura wybranki Adasia nie będzie stanowić problemu, jako że mama Klusek z maniackim uporem kupowała jej odzież w rozmiarze XXL. Jeśli była to delikatna sugestia, że powinna jak najszybciej dać jej synkowi potomka, Anka pozostała na nią głucha. Sprawdzanie na świat nowego pokolenia Klusków wydawało jej się pomysłem co najmniej kuriozalnym. Cóż, może obleczona w stylony i barchany nowa synowa lepiej wywiąże się z tego odpowiedzialnego zadania.

Anka uznała, że nadeszła pora na gest pojednania. Pochyliła się nad spakowanym plecakiem i wręczyła Adasiowi wysłużony egzemplarz *Malleus Maleficarum*.

– Poczytaj sobie do poduszki – poradziła życzliwie.

Odskoczył jak oparzony.

– Zabieraj to!

– Nie to nie. – Z powrotem schowała książkę do plecaka.

– Chyba nie myślisz, że pozwolę ci zabrać komputer. – Małżonek nadął się jak balon.

Na wspomnienie imponującego sprzętu elektronicznego Michała Anka uśmiechnęła się z politowaniem.

– Zatrzymaj go sobie na pamiątkę – zaproponowała, po czym wyminęła pełne plecaki i ruszyła w stronę kuchni. Adaś podyrdał za nią.

– Czego tam szukasz?! – wrzasnęła.

– Mojego kubka. Też chcę mieć jakąś pamiątkę.

– Słukł się – oświadczył z satysfakcją.

Anka otworzyła jedną z oszklonych szafek i płynnym ruchem wygarnęła z niej komplet eleganckich filiżanek. Na widok porcelany rozpryskującej się na terakotowych płytkach doktor Klusek zaniemówił.

– Słukły się – oznajmiła Anka pogodnie i wymaszerowała z kuchni.

Gospodarz następował jej na pięty, zdecydowany bronić reszty swojego imponującego dobytku.

– Michał, idziemy stąd! – Nie oglądając się za siebie, ruszyła do drzwi. Michał dogonił ją w progu i wręczył mniejszy z wypchanych plecaków.

– Fakt. Czas na nas – przyznał, po czym zaproponował pogodnie Adasiowi:

– Zrób pa, pa!

– I nie zapomnij pozdrowić mamusi! – rzuciła Anka i wymaszerowała z mieszkania.

Oby po raz ostatni.

Impreza zaczęła się w kuchni, jedynym miejscu, gdzie wolno było palić. Zakaz dotyczył całej reszty ogromnego sześciopokojowego mieszkania ze względu na przemieszczającą się przez niego progeniturę – dziewczynkę o anielskiej buzi i dziesięcioletniego blondynka o rysach tak regularnych, że mógłby z powodzeniem odegrać Jara z *Młyna nad Lutynią*.

Anka odpędziła od siebie myśli o Hitlerjugend i zaczęła przyglądać się dorosłym. Pół godziny temu Michał przedstawił ją dwóm tuzinom gości i z nadmiaru wrażeń lekko kęciło jej się w głowie. Ulegając milczącej presji, zapaliła pierwszego od kilku lat papierosa i wycofała się do kąta, żeby w spokoju przyjrzeć się znajomym Michała.

Pewne odstępstwo od ogólnie przyjętych obyczajów stanowił fakt, że jak dotąd nie pojawił się jeszcze gospodarz domu. Oczekiwano go z pewnym zniecierpliwieniem, jako że był to dzień niezwykle nawet jak na standardy zebranego w jego domu malowniczego towarzystwa: Tomasz Ruciński miał zostać tego dnia odznaczony autentycznym medalem – Orderem Ziemi Pińskiej. Lokalne władze honorowały go w podzięce za wkład w rozwój kulturalny regionu i kształtowanie jego tożsamości jako „małej ojczyzny”. Tomasz, archeolog podobnie jak Michał, własnymi siłami doprowadził do założenia i otwarcia w Pińsku muzeum archeologicznego, eksponującego zresztą głównie znaleziska z jego własnych wykopalisk w pobliskiej Płatnicy. Wdzięczne władze lokalne zaprosiły go na podniosłą uroczystość, której punktem kulminacyjnym miało być wpięcie w kłapę dumnego odznaczenia. Anka, która poznała Tomcia jakiś czas temu, nie mogła go sobie jednak wyobrazić jako posiadacza kłapy, a co za tym idzie – garnituru. Określenie stylu najlepszego przyjaciela Michała jako niedbały było łagodnym eufemizmem. Podobnie jak Michał, Tomek preferował bojówki i kolorowe koszulki. Ostatnio Anka widziała go w ognistocie czerwonym T-shircie reklamującym wykopaliska w Pełczyskach, z którego szczyrzyła do niej zęby wyjątkowo plastycznie oddana czaszka.

Wyobraziła sobie Adasia odzianego w koszulkę ozdobioną fragmentami ludzkiego szkieletu, otwierającego prowincjonalną placówkę muzealną, i zakwicziała z uciechy. Jedyne muzeum, które mogłoby zainteresować jej małżonka, musiałyby być od początku do końca poświęcone jego osobie i wybitnym dokonaniom na wszelkich możliwych polach.

Anka zastanowiła się przelotnie, jak wyglądałaby część ekspozycji prezentująca ich małżeństwo. Podejrzała, że Adaś dosłownie i w przenośni spuściłby na nią zasłonę milczenia.

Pro forma wyobraziła sobie jeszcze mauzoleum ku chwale mamy Klusek. Nie bawiła się tak dobrze od miesiąca. Ponieważ Michał sądził, że natykając się na Pięknej na Adasia i jego flamę, doznała poważnego wstrząsu psychicznego, zaprosił Ankę na imprezę, żeby odwrócić jej uwagę od wstrząsającego przeżycia. Co prawda rok przebywania w towarzystwie doktora Kluska zaimpregnował ją całkowicie na wszelkie związane z jego osobą negatywne emocje, ale wolała nie wyprowadzać z błędu swojego nowego wybranka. Korzyści z tego miały być dwojakie. Po pierwsze, objawi się Michałowi jako kobieta delikatna i potrzebująca obrony, co w kontaktach damsko-męskich było zawsze na wagę złota i stanowiło komunikat dość prosty, żeby zarejestrowała go nieskomplikowana męska percepcja podprogowa. Po drugie, będzie miała okazję przyjrzeć się bliżej znajomym Michała i wyciągnąć cenne wnioski na – wspólną rzecz – jasną – przyszłość.

– Co pijesz? – Z zamyślenia wyrwał Ankę radosny głos lekko chwiejącego się na nogach dwudziestokilkulatka, który w jednej ręce trzymał butelkę piwa, a w drugiej flaszkę czystej wódki. Trzeciej możliwości nie było.

Anka po raz ostatni zaciągnęła się papierosem i dokonała życiowego wyboru.

– Wódkę poproszę.

Na twarzy barmana pojawił się wyraz szczerzej aprobaty.

– Też wolę wódkę – oświadczył i pociągnął spory łyk z opróżnionej do połowy butelki. – Marek jestem. – Odstawił piwo na kuchenny blat i podał Ance rękę.

– A mogłaby mi prosić o kieliszek? – zapytała nieśmiało. Wspólne pociąganie z gwinta wydało jej się w tym momencie mało atrakcyjnym rozwiązaniem.

– Jeszcze cię tu nie wdziałem – oznajmił nowy znajomy, wręczając jej stopkę z grubo rzniętego szkła, którą Anka oceniła na początek dwudziestego wieku. Jej sympatia dla gospodarzy rosła. – Z kim jesteś?

– Z nim. – Wskazując palcem Michała, poczuła przypląć dumy godnej posiadacza cennego skarbu.

– Rozumiem, nowa narzeczona. Przyzwyczaiłem się do poprzedniej, ale to nic – oświadczył Marek i dołał Ance wódkę.

Rozstrojona wzmianką o swojej poprzedniczce, szybko przełknęła zawartość kieliszka. Towarzysz przyjrzał jej się z nowym zainteresowaniem.

– Tamta piła z colą – skrzywił się z obrzydzeniem.

Jeśli ilość wypitego alkoholu miała stanowić jakiś test, Anka była gotowa zmienić zdanie i popijać z nowym kompanem prosto z butelki.

– Jaka ona jest?

– Jak to jaka? – obruszył się Marek – Zimna, prosto z lodówki!

– Nie wódka, tylko narzeczona. – Anka usiłowała sprowadzić rozmowę na pożądane tory.

– Nie pamiętam dokładnie. Z pół roku jej tu nie było.

– Rzuciła go? – W Ankę wstąpiła nadzieja. Była zdedykowana uleczyć złamane serce.

– On ją – oświadczył lakonicznie Marek

Spojrzała na niego pytająco, gotowa chłonąć każde słowo jak naturalna gąbka.

– Wyjechał do Hiszpanii na trzy miesiące i tyle go widziała. – Bezskutecznie próbował przybrać smutną minę.

Ance zrobiło się słabo. Jeśli mogła wnioskować *per analogiam*, wychodziło na to, że po powrocie z wykopalisk Michał wykopie ją nie tylko ze swojego mieszkania, ale i z życia.

Ponure myśli musiały odbić się na jej twarzy, bo Marek z własnej inicjatywy po raz kolejny napełnił jej kieliszek. Pomyślała, że za chwilę będzie nie tylko nieszczęśliwa, ale i pijana.

Najwyższy czas na strategiczny odwrót.

– Gdzie jest łazienka?

– Prosto i w prawo.

Po powrocie Anka z przerażeniem zauważyła, że Marek uśmiecha się do niej zachęcająco, podnosząc do góry świeżo otwartą butelkę wódkę. Postanowiła zignorować nieme zaproszenie i ruszyła w stronę Michała, pograżonego w dyskusji z gospodynią.

– To jest Monika, żona Tomka – oświadczył na jej widok z pewnym rozżargnieniem. – A to Anka, moja... koleżanka.

Fakt, że zastanowił się przez chwilę nad jej statusem, nappełnił serce Anki nową nadzieją. Po chwili jednak doszła do wniosku, że „koleżanka” zabrzmiała podejrzanie blado.

Uznała, że przed wyjazdem Michała czeka ją jeszcze masa pracy.

Nagły wybuch aplauzu sprawił, że porzuciła ponure rozważania.

Do kuchni wtoczył się Tomek. Ku zdziwieniu Anki rzeczywiście miał na sobie atramentowoczarny garnitur grabarza, godny mistrza w swoim fachu. Imponujący efekt psuły zwisający krzywo krawaty i niewiadomej proveniencji plama na gorsie koszuli.

– *Salve, amici!* – zawołał Tomek. Nietrudno było zauważyć, że z pewnym trudem trzyma się na nogach.

– Czy on prowadził? – spytała Anka cicho. Oczywiście wyobraźni widziała bliżej niezidentyfikowany wehikuł zakosami pokonujący trasę między Pińczowem a Warszawą.

– Żartujesz? – obruszył się Michał. – Jest wyjątkowo rozsądny.

Nie polemizowała, choć jej zdaniem przyjaciel Michała już na pierwszy rzut oka uosabiał przeciwieństwo jakiegokolwiek rozsądku.

– Chodź, obejrzymy medal – zaproponował tak ochoczo, jakby proponował jej co najmniej wycieczkę po Lувrze.

– Świetny pomysł – zgodziła się.

Tomek, który właśnie wszem wobec prezentował połyskujące pozłotą odznaczenie, z triumfalną miną odwrócił się w ich stronę.

– To Tomek – Michał dokonał niedbałej prezentacji. – A to Anka.

– A to order – oświadczył radośnie laureat, coraz bardziej chwiejąc się na nogach. – Chcesz potrzytać?

– Oczywiście. – Anka nie śmiała odmówić.

– Potem była masa toastów... – Tomek z lekką bełkotą. – A w powrotnej drodze wstąpiliśmy do wiejskiego sklepu.

– Tak myślałem – ucieszył się Michał. Był w równie słowicznym nastroju.

Anka przyjrzała im się z namysłem. Nie była pewna, czy jest gotowa na życie w gronie zdeklarowanych pijaków.

– *Amor vincit omnia* – rzuciła trochę od rzeczy, najwyraźniej przekonując samą siebie.

Michał i Tomek przyjrżeli jej się z zainteresowaniem.

– Święte słowa – oświadczył Tomek – Może się napijemy?

5.

Anka wpadła jak bomba do sali rozpraw.

– Chyba się spóźniłam – stwierdziła.

– Rzeczywiście.

Groźnie wyglądający sędzia rezydował za masywnym stołem, oflankowany przez dwóch ławników. Ponieważ wszyscy przyglądali się jej z wyraźną dezaprobatą, Anka odnotowała na wszelki wypadek w pamięci, że dziesięciminutowe spóźnienie na własną rozprawę rozwodową może być źle widziane.

Świeżo nabytą wiedzę mogłaby jednak wykorzystać dopiero w bliżej nieokreślonej przyszłości, jako że kandydat na męża numer dwa unikał jak dotąd jednoznacznych deklaracji. Choć pracowała nad nim usilnie, Michał wydawał się odporny na wszelkie, mniej lub bardziej subtelne, naciski. Anka była skłonna zakładać, że ma opory przed związaniem się w ogóle, a już zwłaszcza z partnerką z odzysku.

Jeśli uważała, że mieszkając przez dwa miesiące w kawalerce Michała, nabierze praw zarówno do lokalu, jak i do jego lokatora, miała prawo czuć się z lekką rozczarowana. Choć Sarunia już jakiś czas temu uznała ją za swoją panią, jej właściciel w dalszym ciągu nie odnosił się do niej z podobnym uwielbieniem. Zainteresowanym przedstawiał ją jako swoją koleżankę, zbyt rzadko jak na gust Anki dodając określenie „dobra”, co więcej – nie wykazywał najmniejszej chęci do skonsumowania ich znajomości, ograniczając się do wielogodzinnych konwersacji na tematy naukowo-literackie. Anka czuła się w miły sposób stymulowana intelektualnie, coraz bardziej tęskniła jednak za stymulacją innego rodzaju. Co jakiś czas nawiedzała ją upiorna wizja związku z kolejnym impotentem. Odsuwała od siebie czarne myśli, pocieszając się, że Michał jako człowiek subtelny cierpliwie czeka, aż Anka wyzwoli się z krępujących małżeńskich więzów. Bywało jednak, że budziła się w środku nocy złana potem, bo śniło jej się, że jest Heloizą, skazaną na długie lata jałowego związku z mężczyzną w pełni usatyfakcjonowanym dyskusjami o zawiłościach nominalizmu. Co prawda para intelektualistów przypieczętowała w końcu swoją przyjaźń trywialnym aktem kopulacji, Anka wołała jednak nie

nić o Michale wytrzebionym na podobieństwo średniowiecznego myśliciela, który uległ w końcu cielesnej żądzy.

Z zamyślenia wyrwał ją srogi głos sędziego.

– Proszę usiąść – zarządził, wskazując Ance miejsce po prawej stronie.

Na lewo od stołu sędziowskiego siedział Adaś. Na tle solidnych mebli wydawał się mniejszy niż zwykle.

– Odczytam teraz pozew – oświadczył sędzia z namaszczeniem.

– Proszę bardzo – odpowiedziała Anka odruchowo. Sędzia po raz kolejny zgromił ją spojrzeniem zza dwuogniskowych okularów, po czym przystąpił do powolnego odczytywania sążnistego wniosku sporządzonego przez adwokata doktora Kluska.

Kiedy Adaś, występujący w roli powoda, zgodził się łaskawie na rozwód bez orzekania o winie, Anka nie posiadała się ze zdziwienia. Nie bardzo wiedziała, co skłoniło jej małżonka do takiej wspaniałomyślności, przypuszczała jednak, że doktor Klusek panicznie bał się upublicznienia kwestii jego szczątkowej wydolności seksualnej. Stając wobec takiej możliwości, Adaś wolał zrzec się prawa do objawienia się jako strona obrażona, znieważona i okradziona z części wspólnego dobytku jeszcze przed jego formalnym podziałem.

– ...mimo wszelkich starań... – do zamyślanej Anki docierały strzępy napuszonych zdań. Zachichotała, bo kwieciste frazy, których zastosowania doktor Klusek domagał się zapewne od swojego prawnika, były równie rozdęte jakiego powoda.

– ...wyjątkowo nieodpowiedzialna...

– ...wielokrotnie naraziła na szwank...

– ...z premedytacją...

Bawiła się coraz lepiej. Odmalowany przez Adasia obraz jej osoby sprawiał jej przewrotną satysfakcję.

– ...swoimi zachowaniami...

– ...karygodnym zaniedbaniem...

– ...doprowadzając do rozkładu...

Jeśli to miał być rozwód bez orzekania o winie, Anka nie potrafiła sobie wyobrazić, jak wyglądałby w wykonaniu Adasia pozew obarczający ją pełną odpowiedzialnością za rozpad ich poronionego małżeństwa.

– ...nie widząc możliwości dalszego...

– ...moja decyzja jest nieodwołalna.

– Czy pozrywający utrzymuje chęć rozwiązania związku małżeńskiego z pozwaną? – padło w końcu pytanie.

– Oczywiście, Wysoki Sądzie! – odpowiedział Adaś z emfazą.

– Czy pozwana zgadza się z przedstawionym wnioskiem i wyraża zgodę na rozwiązanie związku małżeńskiego bez orzekania o winie?

– Oczywiście, Wysoki Sądzie. – Anka postanowiła być równie elokwentna jak doktor Klusek. Co prawda przedstawione przez Adasia uzasadnienie wniosku sugerowało, że wina leży wyłącznie po jej stronie, doszła jednak do przekonania, że wykorzystał po prostu kolejną szansę objawienia się postronnym jako ofiara pochopnie poślubionej nieudacznicy.

– Czy prowadzicie państwo wspólne gospodarstwo domowe?

– Nie, Wysoki Sądzie, żona opuściła mnie siedem miesięcy temu – oświadczył Adaś z miną

sugerującą, że jest to przestępstwo zagrożone karą śmierci.

– Czy utrzymują państwo kontakty seksualne? – indagował sędzia.

Doktor Klusek pობładł gwałtownie, co sugerowało, że panicznie boi się poruszania niewygodnej dla niego kwestii.

Anka uznała, że należy wyręczyć go w odpowiedzi.

– Właściwie to nigdy ich nie utrzymywaliśmy, Wysoki Sądzie – odpowiedziała. – Pod tym względem nic się nie zmieniło. Za to powód utrzymywał stosunki poza gospodarstwem domowym.

– Hmm... – Sędzia po raz pierwszy wyglądał na szczerze zainteresowanego przebiegiem rozprawy. – Wnioskuje z tego, że powód nie kocha żony?

– Absolutnie nie! – zaperzył się Adaś.

– I pozwana nie kocha męża?

– Ani trochę – oświadczyła z satysfakcją Anka.

– Ogłaszam przerwę.

Wysunęła się z sali, z ulgą zostawiając za sobą odzianych w ponurą czerń egzorcystów. Widok sceny rozgrywającej się na korytarzu sprawił, że gwałtownie się zatrzymała. Jej publicznie oskarżony o niemoc seksualną małżonek rzucał się właśnie w szeroko otwarte ramiona mamusi.

– Chodź do mnie, syneczku – zaczęła miłośnie pani Klusek.

Anka pożerała wzrokiem malowniczą parę, zdecydowana w pełni rozkoszować się rozgrywającym się przed nią widowiskiem. Skoro po raz ostatni ogląda przedstawienie w wykonaniu wędrownego teatru Klusków, nie może uronić z niego ani odrobiny.

Na tle oszczędnie dobranej scenografii cyrkowe barwy stroju mamy Klusek prezentowały się oszłamiająco. Amarant stylonowej bluzki cudownie kontrastował z soczystą zielenią workowatej spódnicy. Rozdeptane czarne półbuciki i skóropodobna torba sugerowały, że jest to kostium galowy. Efekt podkreślał z wyjątkowym rozmachem nałożony makijaż.

– Zaraz pójdziemy do domu – zamruczała mama Klusek.

– Jeszcze nie można... – wyjącał Adaś.

– Dlaczego?

– Naradzają się...

– Co?!

Adaś wbił w rodzicielkę spojrzenie, które sugerowało, że powinna wtargnąć na salę i zakończyć sprawę w ekspresowym tempie.

– To przez nią. – Obejrzał się na Ankę, wygłaszając zwyczajową formułkę. – Ona im powiedziała...

– Co, syneczku?

– Że ja nie mogę! – zaskowycał.

– Czego?

Adaś wyjącał coś niezrozumiałe.

– Czego nie możesz, syneczku?

– Konsumować! – wyrzucił z siebie w końcu.

Anka była zdziwiona. Nie przypomniała sobie, żeby na sali padło pytanie o wspólne posiłki.

– Komsu...komsu...komsumować?! – zagadnęła mama Klusek

Ankę olśniło. Oskarżony o niedopełnianie obowiązków małżeńskich Adaś przeżywał załamanie nerwowe.

– Co komsumować? – Mamusia tymczasem domagała się odpowiedzi.

– Współżyjcie... prowadzić... – dukał Adaś.

– Gdzie prowadzić?!

– Do łóżka! – wrzasnęła Adaś.

– Przecież zawsze ci mówiłam, że pod łóżkiem są koty!

– Nie koty, tylko pies, mamusi!

Anka ryknęła śmiechem.

W tym momencie zza pleców mamy Klusek wyskoczyła zażywna brunetka wciśnięta w czerwony kostium ze złotymi guziczkami.

– Nie śmiej się z Adama – zasyczała.

– Grażynka? – Anka nie wierzyła własnym oczom. Wszystko wskazywało na to, że Kluskowy ideał sy nowej postanowił się zmaterializować.

– Zobacz, synku, kto do ciebie przyszedł!

– Co ty tutaj robisz? – warknął Adaś, patrząc groźnie na niedoszlą połowicę.

– Kazałam jej przyjść – obwieściła z dumą mama Klusek

– Po co, do cholery?!

– Teraz możesz się z nią ożenić!

– Adam, naprawdę? Ożenisz się ze mną? – rozległ się piskliwy szczebiot Izuni, która właśnie pojawiła się na schodach. – Koteczku! Przypomniało mi się, że dzisiaj nasz wielki dzień, więc przyszedłam! Powiedz, że się cieszysz, kocie!

– Iza?! – Adaś wyglądał, jakby miała go trafić apopleksja. – Ją też zaprosiłaś? – ryknął, wyplątując się z opiekuńczych ramion mamusi.

– Kto to jest, syneczku?

– Ciocia z balonami. – Anka uznała, że najwyższy czas włączyć się do rozmowy.

Właścicielka plantacji owoców południowych wytrzeszczyła na nią oczy. Przedstawienie nabierało tempa. Zgodnie z regułami gatunku na scenie kolejno pojawiły się wszystkie *dramatis personae*. Do kompletu brakowało tylko Zaworka.

Anka pogratulowała sobie, że nie poprosiła Michała, żeby jej towarzyszył. Widok otaczającej ją menażerii mógłby zrobić na nim nie najlepsze wrażenie.

– A to kto? – Na widok Grażynki Izunia wykrzywiła się szpetnie, wyczuwając rywalkę.

– Przyszedłam z mamusią – oświadczyło z godnością opakowane w czerwień prosię.

– Po co?

– Wezmą ślub! – obwieściła triumfalnie mama Klusek

– Kto?! Ona i Adaś?! Zwariowałaś, grubasie! – wrzasnęła Izunia. – Adam, powiedz im!

– Co mam im powiedzieć? – warknął Adaś.

– Że zainwestowałeś w tworzywa sztuczne – podsunęła Anka, z zapartym tchem śledząca rozwój sytuacji. Finał widowiska zaczął przerastać jej najśmielsze oczekiwania.

– Ty dziwko! – Izunia rzuciła się na Grażynkę. Staranowana faworytka mamy Klusek zatoczyła się na ścianę. – Spałaś z nim, świniuo?!

Konkurentka przyparła prosiaka do pokrywającej ściany trumnopodobnej boazerii.

Anka poczuła satysfakcję. Wyglądało na to, że nie tylko jej dorodna Grażynka kojarzyła się z trzodą chlewną.

Dramat przerwało pojawienie się woźnego.

– Strony są proszone na salę!

Sąd Okręgowy w Warszawie Wydział I Cywilny w składzie...

Nie okręgowy.

Ostateczny.

– ...rozwiązuje przez rozwód związek małżeński powoda Adama Kluska...

– ...z pozwaną Anną Suską...

– ...bez orzekania o winie stron.

Michałku, *moritura te salutat!*

Podziękowania

Serdecznie dziękuję pani Annie Derengowskiej, wiceprezes zarządu wydawnictwa, za wsparcie, cierpliwość i zaufanie.

Dziękuję też pozostałym osobom, które pomogły nadać tej książce ostateczny kształt, okazując przy tym wyrozumiałość niedoświadczonej autorce.

Spis treści

2013

1.

2.

2011

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

2013

1.

2.

Trzy miesiące później

3.

4.

5.

Podziękowania